

JOHN le CARRE

**Młasteczko w
Niemzech**

Prolog

Myśliwy i zwierzyzna

Dziesięć minut do północy: zwodniczy majowy piątek, cienka mgła znad rzeki snująca się po rynku. Bonn przypominało bałkańskie miasteczko, brudne i tajemnicze, omotane tramwajowymi drutami, jak mroczny dom, w którym ktoś umarł, przybrany w żałobną czerń i strzeżony przez policjantów. Ich skórzane kurtki połyskiwały w świetle latarni, czarne flagi wisiały nad nimi jak ptaki. Wydawało się, że wszyscy oprócz nich usłyszeli alarm i uciekli. Od czasu do czasu przemknął samochód albo przeszedł w pośpiechu pieszy, a w ślad za nimi, jak smuga na wodzie, podążała cisza. Gdzieś w oddali słychać było dzwonek tramwaju. Z piramidy puszek w sklepie spożywczym ręczny napis ogłaszał stan wyjątkowy: *Już teraz zrób zapasy!* Trzy marcepanowe świnki, jak bezwłose myszy, obwieszczały dzień jakiegogo zapomnianego świętego.

Tylko plakaty mówiły. Prowadziły swoją pozorną wojnę z drzew i latarni, wisiały na tej samej wysokości, jakby nakazy wał to jakiś przepis; zadrukowane neonową farbą, przybite do płyt pilśniowych, udrapowane girlandami czarnych chorągiewek, nacierały na niego, gdy spiesznie przechodził obok. **WYSLAĆ CUDZOZIEMSKICH ROBOTNIKÓW DO DOMU!, UWOLNIJCIE NAS OD BOŃSKIEJ DZIWKI!, NAJPIERW ZJEDNOCZONE NIEMCY, POTE M ZJEDNOCZONA EUROPA!** Największy wisiał rozpięty nad ulicą: **OTWÓRZCIE DROGĘ NA WSCHÓD, DROGA NA ZACHÓD ZAWIODŁA.** Jego czarne oczy nie zwracały na to uwagi. Jakis policjant, przestępując z nogi na nogę, wykrzywił się do niego i rzucił przyciężki dowcip o pogodzie; inny zawołał go bez przekonania, jeszcze inny powiedział: „*Guten Abend*”, ale on nie odpowiedział, bo nie obchodziło go nic poza pulchną postacią, drepzczącą pospiesznie szeroką aleją, o sto kroków przed nim, znikającą w ciemności i znów wyłaniającą się w świetle latarni.

Ciemność nadeszła bezceremonialnie, podobnie jak odeszła szarość dnia, ale noc była rześka i pachniała zimą. Właściwie w Bonn nie widać pór roku. Panuje tu łagodny klimat, klimat bólów głowy, ciepły i zwietrzały jak woda z butelki, klimat oczekiwania, goryczy płynącej z powolnej rzeki, zmęczenia i niechętnego trudu. Powietrze to wyczerpany wiatr, który opadł na równinę. Gdy nadchodzi zmierzch, wydaje się, że to ciemnieje dzienna mgła, poprzeciana błyskawicami ulicznych jarzeniówek. Tej wiosennej nocy zima wróciła ukradkiem, wślizgnęła się od strony Renu pod osłoną drapieżnej ciemności, ukąsiła niespodziewanym chłodem. Oczy małego człowieczka, spieszącego co sił o sto kroków przed nim, zachodziły łzami z zimna.

Aleja skręciła, poprowadziła ich pod żółtymi ścianami uniwersytetu. DEMOKRACI! POWIEŚĆ PRASOWEGO BARONA!, ŚWIAT NALEŻY DO MŁODYCH!, NIECH ANGIELSKIE LORDZIĄTKO PROSI O LITOŚĆ!, ALEX SPRINGER NA SZUBIENICĘ!, NIECH ŻYJE AXEL SPRINGER!, PROTEST TO WOLNOŚĆ! Te plakaty odbito na uczelnianej powielarce. Młode liście nad głowami idących błyszcząły jak potrzaskana kopuła z zielonego szkła. Światła były tu jaśniejsze, a policji mniej.

Mężczyźni szli dalej, ani szybciej, ani wolniej; pierwszy pracowicie, sumiennie. Jego kroki, choć szybkie, były nierówne i niezdarne, jakby dopiero co zstąpił z dostojnych wysokości; był to godny chód niemieckiego mieszczanina. Krótkie ramiona zwisały po bokach, plecy miał wyprostowane. Czy wiedział, że jest śledzony? Głowę trzymał uniesioną do góry, lecz z trudem, jakby pod brzemieniem autorytetu. Czy wiodło go to, co widział przed sobą? Czy pchało to, co zostało za nim? Czy to strach sprawiał, że nie oglądał się za siebie? Człowiek wpływowy nie odwraca głowy. Drugi mężczyzna szedł lekko jego śladem. Nieważki jak ciemność, przeslizgiwał się między cieniami, jakby to były oka sieci: błazen śledzący dworzanina.

Weszli w wąską alejkę; powietrze przesiąknięte było zapachem nieświeżej żywności. Mury znów krzyknęły, tym razem typową liturgią niemieckiej reklamy: SILNI MĘŻCZYŹNI PUĄ PIWO!, WIEDZA TO POTĘGA, CZYTAJ KSIĄŻKI MOLDENA! Tutaj po raz pierwszy odgłosy ich kroków zmieszały się; tutaj po raz pierwszy człowiek wpływowy jakby ocknął się, wietrzając niebezpieczeństwo czające się za nim. Wyglądało to jak niewielka niedoskonałość w jego godnym marszu, zszedł na skraj chodnika, z dała od ciemności murów, szukając jaśniejszych miejsc, gdzie światło latarni i policjanci mogli dać mu ochronę. Ale prześladowca nie popuścił. SPOTKAJMY SIĘ W HANOWERZE! - krzyczał plakat. KARFELD PRZEMAWIA W HANOWERZE!, SPOTKAJMY SIĘ W NIEDZIELĘ W HANOWERZE!

Przejechał pusty tramwaj z oknami osłoniętymi ochronną siatką. Pojedynczy dzwon kościelny zaczął monotonna wydzwaniać rekwiem cnót chrześcijańskich w pustym mieście. Szli teraz bliżej siebie, ale mężczyzna na przedzie

nadal się nic oglądał. Okrzyki następny róg. Przed nimi na tle pustego nieba rysowała się wielka iglica katedry, jakby wycięto ją z blachy. Pierwszym uderzeniem dzwonu niechętnie odpowiadały następne, aż w całym mieście rozległa się dostojna kakofonia nierównych uderzeń. *Anioł Pański!* Nalot? Młody policjant stojący u wejścia do sklepu sportowego obnażył głowę. W kruchcie katedry, w kloszu z czerwonego szkła płonęła świeca; z boku stałkramik z książkami religijnymi. Tłuszcioch zatrzymał się, nachylił, jakby chciał coś obejrzeć na wystawie; spojrzął na drogę. W tym momencie światło padające z okna oświetliło jego twarz. Pobiegł przed siebie, zatrzymał się, pobiegł znowu, ale było już za późno.

Tylne drzwi opla rekorda, prowadzonego przez bladego mężczyznę ukrytego za przyciemnionym szkłem, otworzyły się i zamknęły. Wóz ociążale nabrał szybkości, obojętny na jakiś ostry krzyk, krzyk gniewu i oskarżenia, rozpacz i gorczy, wyrwany jakby siłą z piersi, krzyk, który rozbrzmiał nagle w pustej ulicy i równie nagle umilkł. Policjant odwrócił się i zaświecił latarką. Mały człowieczek wpadł w krąg światła, ale nie poruszył się, patrząc w ślad za limuzyną. Podskakując na kocich łbach, ślizgając się po mokrych szynach tramwajowych, nie zwracając uwagi na światła, wóz zniknął na zachodzie, wśród oświetlonych wzgórz.

- Kim pan jest?

Światło latarki spoczęło na płaszczu z angielskiego tweedu, zbyt dużym jak na tak małego człowieczka, na eleganckich butach szarych od błota, na czarnych, nieruchomo patrzących oczach.

- Kim pan jest? - powtórzył głośniejszym głosem policjant, bo dzwony słyszeć już było zewsząd, a ich echo drgało w powietrzu.

Drobna dłoń zniknęła w fałdach płaszczu i wynurzyła się trzymając skórzany portfel. Policjant wziął go ostrożnie, odpiął zatrzask, żonglując latarką i czarnym pistoletem trzymany nie pewnie w lewej ręce.

- Co się stało? - zapytał, zwracając portfel. - Czemu pan krzyknął?

Człowieczek nie odpowiedział. Ruszył przed siebie.

- Nie widział go pan przedtem? - zapytał, ciągle patrząc w ślad za samochodem. - Nie wie pan, kto to był? - Mówił cicho, jakby dzieci spały na górze, miękko, z szacunkiem dla ciszy.

- Nie.

Wyrazista, pobrużdżona twarz rozplynęła się w pojedynczym uśmiechu.

- Proszę wybaczyć to nieporozumienie. Wydawało mi się, że go znam.

- Jego akcent nie był ani całkowicie angielski, ani całkowicie niemiecki, a wymową przypominała ziemię niczyją, leżącą między tymi dwoma wymowami. Przesuwał ją to w jedną, to w drugą stronę, jeśli przypadkiem sprawiała kłopot słuchaczowi.

- Co za pora roku - powiedział, zdecydowany podtrzymać rozmowę, Nagle robi się zimno i człowiek bardziej przygląda się ludziom.

Otworzył pudeleczek z małymi holenderskimi cygarami i podsunął je policjantowi. Policjant odmówił, więc zapalił sam.

- To przez te zamieszki - odparł powoli policjant. - Te flagi, hasła. Wszyscy jesteśmy zdenerwowani. W tym tygodniu Hanower, w poprzednim Frankfurt. To psuje naturalny porządek rzeczy. - Był młodzieńcem i bardzo się starał, żeby objąć to stanowisko. - Nie powinni im na tyle pozwalać – dodał używając powszechnego sloganu. - Tak jak komunistom.

Zasalutował niedbale; obcy uśmiechnął się jeszcze raz, ostatni udawany uśmiech, niby przyjacielski, niechętnie schodzący z twarzy. I poszedł sobie. Policjant, nie ruszając się z miejsca, przysłuchiwał się uważnie oddalającym się krokom. Zatrzymały się; znów ruszyły szybciej - a może to jego wyobraźnia zadziałała? - z większym przekonaniem. Przez chwilę rozmyślał.

- W Bonn - powiedział do siebie z westchnieniem, myśląc o lekkim chodzie obcego - nawet muchy są urzędowe.

Wyjął notatnik, starannie zapisał czas, miejsce i naturę wydarzenia. Nie był człowiekiem bystrym, ale ceniono go za solidność. Kiedy już wszystko zapisał, dodał numer samochodu, który nie wiadomo dlaczego utkwiał mu w pamięci. Nagle przerwał i popatrzył na to, co zapisał, na nazwisko i numer samochodu, pomyślał o tłustym człowieczku i jego długim, marszowym kroku i serce zaczęło mu bić mocniej. Przypomniał sobie tajną instrukcję, którą przeczytał na tablicy ogłoszeniowej w komisariacie i małą fotografię widzianą dawno temu. Z notatnikiem w rękę pobiegł do budki telefonicznej tak szybko, że mało nie pogubił butów.

*Daleko stąd
W niemieckiej mieścinie
Żył sobie szewc
Ca Schumann miał na imię.*

*Ich bin ein Musikant
Ich bin für das Vaterland
Mam wielki bęben
I w niego biję.*

Piosenka śpiewana w brytyjskich kantynach wojskowych w okupowanych Niemczech. Miała też wariacje obsceniczne. Śpiewano ją na melodię *Marche militairk*.

1

Pan Meadows i pan Cork

Czemu *nie* wyjdiesz pospacerować? Zrobiłbym tak, gdybym miał twoje lata. Lepsze to, niż siedzieć z tą szumowiną.

- Dobrze mi. - Cork, szyfrant albinos, spojrzął z obawą na starszego mężczyznę siedzącego obok na fotelu kierowcy. - Musieliśmy nieco przyspieszyć - dodał najbardziej pojednawczym tonem, na jaki było go stać. Cork był rdzennym mieszkańcem wschodniego Londynu, człowiekiem z zasady pogodnym. Martwił się, że Meadows tak się przejmował. - Musimy po prostu pozwolić, żeby to się stało, prawda, Arthurze?

- Potopiłbym ich wszystkich w Renie.
- No, nie mów.

Była sobota, dziewiąta rano. Drogę z Friesdorfu do ambasady blokowały samochody biorące udział w proteście, wzdłuż chodników wisiały fotografie przywódcy, a nad jezdnią transparenty: ZACHÓD NAS OSZUKAŁ; NIEMCY MOGĄ PATRZEĆ NA WSCHÓD BEZ WSTYDU. PRECZ % KULTURĄ COCA-COLI! Cork i Meadows stali unieruchomieni w *samym* środku długiej kolumny, a wokół nich trwał nieprzerwany koncert na klaksony. Zaczynał się na przędzie i przemieszczał powoli do tyłu. Ryk przelatywał nad głowami jak samolot, czasem unisono, kreska, kropka, kreska, K jak Karfeld, wybrany przez nas przywódca; a czasem po prostu każdy trąbił jak chciał, dostrajając się do symfonii.

- Czego oni do diabła chcą? Po co te wrzaski? Połowę wysłałbym do fryzjera, dałbym tęgie lanie i do szkoły!

- To rolnicy - powiedział Cork. - Mówiłem ci, pikietują Bundestag.
- Rolnicy? Ta banda? Umarliby, gdyby przemoczyli sobie nogi. To dzieciaki. Popatrz na tamtych. Obrzydliwi.

Po prawej stronie, w czerwonym volkswagenie siedziało troje studentów, dwóch chłopców i dziewczyna. Kierowca miał skórzaną kurtkę i długie włosy. Wpatrywał się uważnie w samochód stojący przed nim, wąską dłoń trzymał na kierownicy czekając na sygnał, żeby nacisnąć klakson. Pozostała dwójka całowała się zapamiętale, spleciona w uścisku.

- To wspierający - powiedział Cork. - Dla nich to rozrywka. Znasz to studenckie hasło: „Prawdziwa wolność to taka wolność, o którą się walczy”. To samo mamy u siebie, prawda? Słyszałeś, co zrobili wczoraj wieczorem na Grosvenor Square? - Cork znów spróbował zmienić temat. - Jeśli tak wygląda edukacja, wolę ignorantów.

Ale Meadows nie dał się zwiść.

- Powinni tu wprowadzić obowiązkową służbę wojskową- oświadczył, patrząc gniewnie na volkswagena. - To by ich wyprostowało.

- Już ją mają. Od jakichś dwudziestu lat. - Cork wyczuł, że Meadows zamyka się w sobie, więc znalazł temat, który by go podniósł na duchu. - Jak było na urodzinach Myry? Niezła impreza, co? Zakład, że świetnie się bawiła?

Ale z jakiejś przyczyny Meadows tylko bardziej się zasepił, więc Cork uznał, że lepiej milczeć. Spróbował już wszystkiego, bez skutku. Meadows był porządnym, trochę staroświeckim facetem, jakich niewielu zostało na świecie, warto było się z nim przyjaźnić, ale nawet synowskie oddanie Córka miało swoje granice. Próbował rozmawiać o nowym roverze, którego Meadows kupił za odprawę emerytalną, bezcłowo i z dziesięcioprocentowym rabatem. Podziwiał wóz, jego zalety i wyposażenie, aż do mdłości, a w zamian za swoje poświęcenie otrzymał tylko burknięcie. Wspomniał o Klubie Motorowym, którego gorliwym zwolennikiem był Meadows i o Dziecięcym Klubie Sportowym Państw Wspólnoty Brytyjskiej, którego spotkanie miało się odbyć po południu w ogrodach ambasady. Kolejnym tematem miało być wielkie przyjęcie urządzone poprzedniego wieczoru, na które nie poszli ze* względu na zaawansowaną ciążę Janet. I to już całe menu Córka, a Meadows może je sobie połknąć. Z braku wakacji, pomyślał Cork, z braku długich, słonecznych wakacji z dala od Karfelda i negocjacji brukselskich, i córki Myry, Arthur Meadows jest bliski załamania.

- Wiesz - zaczął z innej beczki. - Holenderski Shell skoczył o jeden punkt.

- A Guest Keen o trzy w dół.

Cork inwestował w niebrytyjskie akcje, ale Meadows wolał płacić za patriotyzm.

- Po Brukseli znów pójda w górę, nie martw się.

- Żartujesz? Przecież rozmowy utknęły w martwym punkcie, prawda? Może nie mam twojej inteligencji, ale potrafię czytać.

Meadowes, Cork po raz pierwszy musiał to przyznać* miał wszelkie powody do melancholii^ nie mówiąc już o zainwestowaniu pieniędzy w bftyj* ską stal. Wrócił po czterech latach spędzonych prawie bez przerwy w Warszawie, a już samo to wystarczy, żeby człowiek stał się nerwowym. To była jego ostatnia posada, jesienią czekała go emerytura. Cork z doświadczenia wiedział, że w takiej sytuacji ludzie markotnieją z każdym dniem zbliżającym ich do tej chwili. Tym bardziej, gdy ma się nerwowym wrak za córkę: Myra Meadowes była na drodze do wyzdrowienia, to prawda, ale jeśli wierzyć choćby w połowę plotek, które krążyły na jej temat, zostało jej jeszcze dużo do przejścia. Do tego obowiązki sekretarza kancelarii - kierowanie archiwum politycznym w czasie najgorętszego kryzysu politycznego, jaki pamiętają - i to już więcej niż trzeba. Nawet Cork, zagrzebany głęboko w wydziale szyfrów, poczuł ten podmuch - dodatkowy ruch, dodatkowe godziny, i dziecko Janet, które lada dzień przyjdzie na świat, i „zrób to na wczoraj” z kancelarii. Ale dobrze wiedział, że jego własne doświadczenia to nic w porównaniu z tym, z czym musiał się zmagać stary Arthur. Tak, pomyślał, powody do zgrzyoty zalewają Meadowesa zewsząd. Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy za chwilę. A to pilna odpowiedź na zamieszki w Bremie, a to jutrzejszy wiec w Hanowerze, a tu już przychodzą w sprawie kursu złota, albo coś w Brukseli, albo z zebraniem następnym kilkuset milionów w Frankfurtu i Zurychu. Skoro w sztyrach jest ciężko, to tym, którzy muszą szukać akt, rejestrować nadchodzące dokumenty, zaznaczać nowe wpisy i wprowadzać je do obiegu, jest jeszcze ciężiej... a to przypomniało mu, nie wiadomo dlaczego, że musi zadzwonić do swojego księgowego. Jeśli sytuacja u Kruppa będzie taka, jak do tej pory, powinien przyjrzeć się szwedzkiej stali, ot tak, na konto dla dziadusia...

- Hej - rozjaśnił się nagle Cork. - Będzie rozróżba, co?

Dwóch policjantów zeszło z chodnika, żeby zwrócić uwagę wielkiemu rolnikowi w mercedesie dieslu. Facet najpierw opuścił szybę i krzyknął na nich, potem otworzył drzwi i znów na nich krzyknął. Niespodziewanie policjanci wycofali się. Rozczarowany Cork ziewnął.

Kiedyś, wspominał tęsknie, były tylko napady paniki. Awantura o korytarz berliński, rosyjskie helikoptery warczały na granicy, burzliwe obrady komitetu czterech mocarstw w Waszyngtonie. Albo podejrzana niemiecka inicjatywa dyplomatyczna w Moskwie, którą trzeba było zdusić w zarodku, maj* strowanie przy embargo rodezyjskim, tuszowanie buntu Armii Renu w Minden. I to wszystko. Przeżykało się jedzenie, otwierało sklepik i zostawało w nim tak długo, jak trzeba, a potem szło się do domu jako wolny człowiek. Takie było Bonn. Czy się było na stanowisku dyplomatycznym, jak de Lisie, czynna stanowisku niedyplomatycznym, za zielonymi, wyciszonymi drzwiami. Scenariusz był ten sam: trochę napięcia, gorące dni, potem trochę zabawy z akcjami i znowu nuda, i przejście na następną posadę.

Aż do Karfelda. Cork popatrzył ze smutkiem na plakaty. Póki nie nad-
szedł Karfeld. Dziewięć miesięcy - twarz o grubych rysach, nalana i po-
zbawiona życia, wyrażała nadętą szczerość — dziewięć miesięcy, odkąd
Arthur Meadows wpadł przez drzwi łączące ich z archiwum z nowiną o de-
monstracji w Kilonii, o zaskakującej nominacji, o demonstracjach studenc-
kich i o lekkiej przemocy, do której stopniowo zaczęli się przyzwyczajać.
Komu się wtedy oberwało? Jakimś socjalistycznym kontrdemonstrantom.
Jeden zatłuczony na śmierć, jeden ukamienowany... dawniej byłoby to dla
nich szokujące. Ale byli wtedy zieloni. Chryste, pomyślał, jest tak, jakby
minęło dziesięć lat; choć był w stanie określić upływ czasu nieomal co do
godziny.

Kilonia wydarzyła się właśnie wtedy, gdy lekarz ambasady oznajmił, że
Janet jest w ciąży. Od tego dnia nic już nie było takie samo.

Flaksony znów rozpoczęły dziką pieśń; kolumna ruszyła do przodu i na-
gle stanęła, warcząc i piszcząc na różną nutę.

- Załatwiłeś sprawę z tymi aktami? - zapytał Cork. Wpadło mu do głó-
wy, że zrozumiał przyczynę niepokoju Meadowesa.

- Nie.

- Wózek się nie znalazł?

- Nie, wózek się nie znalazł.

Łożyska kulkowe, pomyślał nagle Cork: śliczny, szwedzki sprzęt, oferta
do wzięcia, firma szybko wkraczająca na rynek... warte dwieście funciaków...

- Spokojnie, Arthurze, nie daj się. To nie Warszawa, jesteś teraz w Bonn.
Słuchaj, ile kubków zginęło w kantine w ciągu ostatnich sześciu tygodni?
Nie chodzi mi o zbite, tylko zgubione: dwadzieścia cztery.

Meadowes był nieporuszony.

- Komu zależy na tym, żeby zwędzić kubek z ambasady? Nikomu. Lu-
dzie są zapominalscy. Zapracowani. Rozumiesz, jest kryzys. To zdarza się
wszędzie. Tak samo było z aktami.

- Kubki nie są tajne, i to jest różnica.

- Wózki na akta też - tłumaczył Cork. - Ani elektryczny kominiek z sali
konferencyjnej, o który administracja robi tyle zamieszania. Ani maszyna
do pisania z długim wałkiem z hali maszyn, ani... słuchaj, Arthurze, nikt nie
może zwalić winy na ciebie, szczególnie, że tyle tu się dzieje. Wiesz, jacy są
dyplomaci, kiedy dyktują telegramy. Popatrz na de Lisle'a, na Gavestona, to
marzyciele. Nie mówię, że nie są zdolni, ale chodzą z głową w chmurach.
Nikt nie może cię za to winić.

- Może. Jestem za to odpowiedzialny.

W porządku, dręcz się - sapnął Cork. - Przy okazji, za to odpowiada
Bradfield, nie ty. To on jest szefem kancelarii, on odpowiada za bezpieczeń-
stwo akt.

I po tym decydującym argumencie Cork znów oddał się obserwowaniu nieciekawych scen rozgrywających się wokół niego. Karfeld pomyślał, na różne sposoby też odpowiada za niejedno.

Perspektywa, która rysowała się przed Corkiem, nikomu nie dodałaby otuchy, bez względu na stopień zaangażowania w sprawę. Pogoda była pod psem. Bezkształtna nadreńska mgła, jak ślad oddechu na lustrze, leżała nad całą zabudowaną pustynią biurokratycznego Bonn. Wielkie budynki, nadal nieukończone, wyrastały ciężko z nieuprawnych pól. Przed nim, na brązowym wrzosowisku stała brytyjska ambasada, we wszystkich oknach paliło się światło, wyglądała jak szpital polowy przed bitwą. U bramy wjazdowej flaga, wciągnięta jakimś tajemnym zrządzeniem losu do połowy masztu, zwiślała smutno nad stadkiem niemieckich policjantów.

Wybór Bonn na stolicę w oczekiwaniu na Berlin od dawna uważany był za anomalię. Teraz zmienił się w obelgę. Być może tylko Niemcy, gdy już wybrali kanclerza, chcieli przynieść mu stolicę pod drzwi. Żeby pomieścić tłumy dyplomatów, polityków i urzędników rządowych - i żeby trzymać ich na dystans - mieszkańcy Bonn wybudowali im samowystarczalne przedmieście za murami miejskimi. Samochody usiłowały się teraz przedostać przez południowy skraj tej dzielnicy: bezładną mieszaninę przyciężkich wieżowców i niskich, współczesnych domów rozciągających się wzdłuż podwójnej nitki autostrady, prawie podchodzących pod miłe osiedle uzdrowiskowe Bad Godesberg. Podstawowym przemysłem w tej miejscowości było niegdyś butelkowanie wody, a teraz dyplomacja. Niektóre ministerstwa wpuszczono do samego Bonn, wzniosły więc swoje podrabiane kamienne fasady nad wybrukowanymi dziedzińcami. Niektóre ambasady mieszczą się w Bad Godesberg. Ale siedziba rządu federalnego i większość z dziewięćdziesięciu kilku misji zagranicznych akredytowanych przy niej, by nie wspomnieć o lobbystach, prasie, partiach politycznych, organizacjach ziomkowskich, oficjalnych rezydencjach dygnitarzy federalnych, kuratorium do spraw Zjednoczonych Niemiec i całej biurokratycznej nadbudowie tymczasowej stolicy Niemiec, wszystko to mieściło się po obu stronach autostrady między byłą siedzibą biskupa kolońskiego a wiktoriańskimi willami nadreńskiego kurortu.

Nieodłączną częścią tej nienaturalnej stołecznej wioski, tego państwa-wyspy, któremu brakuje politycznej tożsamości i zaplecza społecznego i które jest trwale skazane na stan nietrwałości, była ambasada brytyjska. Rozdęty, pozbawiony wyrazu blok fabryczny, jakich dziesiątki widzi się na obwodnicach zachodniego świata, zazwyczaj z symbolem produktu umieszczonym na dachu: ponure nadreńskie niebo, maleńka, trudna do uchwycenia aluzja do hitlerowskiej architektury, tyle, co nic, ledwie szczypta, dwa słupki bramki

służącej rekreacji spoconych facetów, postawionej na wyboistym gruncie na zapleczu wyrażały ducha i potęgę Anglii, obecne w Republice Federalnej. Jednym wyciągniętym odnóżem trzymała się przeszłości, drugim wygładzała te-
rażniejszość, trzecim grzebała nerwowo w nadrenskiej glebie, żeby sprawdzić,
co zakopano tam na przyszłość. Gmach zbudowano, gdy okupacja miała się ku
przedwczesnemu końcowi. Jego kształt uchwycił precyzyjnie nastrój pozba-
wionej wdzięku prostoty; kamienne oblicze zwrócono ku byłemu Wrogowi,
szary uśmiech - ku dzisiejszemu sprzymierzeńcowi. Po lewej stronie Córka,
gdy wreszcie przejechali przez bramę, stał budynek Czerwonego Krzyża po
prawej - zakłady Mercedesa; za nim, po drugiej stronie drogi - kwatery socjal-
demokratów i magazyny Coca-Coli. Ambasadę odcinał od jej oryginalnych
sąsiadów pas pustej ziemi, pokryty szczawiem i nagą gliną, biegnący prosto
ku niewidocznemu Renowi. Pole to nosiło nazwę zielonego pasa Bonn i sta-
nowiło obiekt wielkiej dumy urbanistów.

Pewnego dnia, być może, przeprowadzą się do Berlina; o tej ewentual-
ności od czasu do czasu mówi się nawet w Bonn. Pewnego dnia, być może,
cała szara góra ześlizgnie się autostradą i po cichu zajmie miejsce na wilgot-
nych parkingach wybebeszonego Reichstagu. Zanim to nastąpi, betonowe
namioty będą odgrywać swoją rolę, dyskretnie tymczasowe z szacunku dla
marzeń, dyskretnie stałe z szacunku dla rzeczywistości; pozostaną, będą się
mnożyć i rozrastać, bo w Bonn postęp zastąpiony został przez ruch, a wszyst-
ko, co rośnie, musi obumrzeć.

Meadowes zaparkował samochód, jak zwykle, za stołówką, obszedł go do-
koła, jak zwykł to czynić po podróży, sprawdził klamki i karoserię na wypadek,
gdyby pozostały na niej jakieś ślady po kamykach z jezdni. Zatopiony w my-
ślach przeszedł podjazdem do wejścia, gdzie dwóch brytyjskich żandarmów,
sierżant i kapral, sprawdzało przepustki. Cork, urażony, szedł za nim w pewnej
odległości. Gdy doszedł do wejścia, Meadowes rozprawiał już o czymś z war-
townikami.

- Więc kim pan jest? - chciał wiedzieć sierżant.
- Meadowes, z archiwum kancelarii. A on pracuje dla mnie. - Meadowes próbował zajrzeć sierżantowi przez ramię, ale ten przycisnął listę do munduru.
- Widzi pan, jest teraz na chorobowym. Chciałem się o niego dowiedzieć.
- To dlaczego jest pod parterem na liście?
- Tam ma pokój. Pełni dwie funkcje. Dwa różne zajęcia. Jedno ze mną, jedno na parterze.
- Zero - powiedział sierżant, znów spoglądając na listę. Grupka maszyn-
nistek, w spódnicach tak krótkich, jak tylko ambasadorowa pozwalała, we-
szła trąkając po schodach.

Meadowes ociągał się, nadal nieprzekonany.

- Mówi pan, że nie wchodził? - zapytał z podejrzaną czułością.
- To właśnie mówię. Zero. Nie wchodził. Nie ma go tutaj. Jasne?

Poszli za dziewczynami do holu. Cork wziął go za ramię i odciągnął na bok.

- Co się dzieje, Arthurze? O co chodzi? Chyba nie chodzi tylko o zagubione akta, prawda? Co cię gryzie?

- Nic mnie nie gryzie.

- To co to za historia z tym, że Leo jest chory? W życiu nie przechorował nawet jednego dnia.

Meadowes nie odpowiedział.

- W co Leo się wplątał? - zapytał podejrzliwie Cork.

- W nic.

- Więc dlaczego pytałeś o niego? Nie pozbędziesz się go przecież! Kurczę, od dwudziestu lat nie mogą się go pozbyć.

Cork wyczuł, że Meadowes się waha; już miał odpowiedzieć, ale coś go powstrzymywało.

- Nie możesz być odpowiedzialny za Leo. Nikt nie może za niego odpo-
wiadać. Arthurze, nie jesteś tutaj niczym tatusiem. Prawdopodobnie wybrał się na miasto, żeby wcisnąć komuś kilka kuponów na benzynę.

Ledwie wypowiedział te słowa, Meadowes rzucił się na niego.

- Nie mów tak. Nie waż się tak mówić! Leo nie jest taki, to wstętnie, żeby go o to oskarżać, że wciska komuś kupony na benzynę! I to tylko dlatego, że nie jest zatrudniony na stałe.

Wyraz twarzy Córka, gdy wchodził za Meadowesem w bezpiecznej odległości na pierwsze piętro, mówił sam za siebie. Jeśli wiek robi takie rzeczy z człowiekiem, emerytura w sześćdziesiątym roku życia nie jest przedwczesna ani o jeden dzień. Gdy Cork odejdzie w stan spoczynku, wybierze się na jakąś grecką wyspę. Kreta, pomyślał, albo Spetsai. Mógłby tam pojechać, jak skończy czterdziestkę, jeśli tylko wyjdzie mi z tymi łóżyskami. No, najwyżej czterdzieści pięć lat.

W korytarzu, nieopodal archiwum, znajdował się pokój szyfrów, a tuż za nim mały, jasny gabinet zajmowany przez Petera de Lisle'a. Kancelaria to mniej więcej tyle, co sekcja polityczna. Młodzi ludzie stąd to elita. To właśnie tu miał szansę urzeczywistnić się popularny sen o błyskotliwym angielskim dyplomacie. A nikt się do tego lepiej nie nadawał jak Peter de Lisie. Był elegancki, smukły, niemal piękny, młodość trzymała się go kurczowo, choć miał czterdziestkę z okładem. Był tak powolny, że nieomal letargiczny. Powolność ta nie była sztuczna, ale zwodnicza. Drzewo genealogiczne de Lisle'a

zostało przycięte przez obie wojny, a potem uszczuplone kolejnymi małymi, ale gwałtownymi dramataми. Brat zginął w wypadku samochodowym; wuj popełnił samobójstwo; drugi brat utonął podczas wakacji w Penzance. W ten sposób, stopniowo* de Lisie zyskał energię i obowiązki człowieka^ który wbrew prawdopodobieństwu pozostał przy życiu. Ze względu na swój sposób bycia wolałby, żeby zostawiono go w spokoju, ale skoro już tak się rzeczy miały, nie pozostawał mu żaden wybór.

Gdy Meadows i Cork wchodzili do swoich oddzielnych domen, de Lisie zbierał właśnie kartki błękitnego papieru, leżące w artystycznym nieładzie na jego biurku. Gdy już jako tako doprowadził je do porządku, zapiął kamizelkę, przeciągnął się, rzucił tęskne spojrzenie na zdjęcie przedstawiające jezioro Windermere, opublikowane przez ministerstwo pracy za łaskawą zgodą Kolei Londyńskich, Środkowoangielskich i Szkockich, i ruszył z zadowoleniem na górę, by powitać nowy dzień. Zatrzymał się przy długim oknie i przez chwilę patrzył w dół, na grzbiety czarnych samochodów rolników i wysepkę błękitu, z migoczącymi policyjnymi światłami.

- Mają prawdziwą namiętność do stali - rzucił Mickiemu Crabbe'owi, typowi o załzawionych oczach, na permanentnym kacu. Crabbe powoli wszedł po schodach, jedną ręką trzymając się poręczy i garbiąc ochronnie wąskie ramiona. - Zapomniałem o tym. Pamiętałem o krwi, a zapomniałem o stali.

- Owszem - mruknął Crabbe. - Owszem. - Głos włókł się za nim jak strzępy jego życia. Tylko włosy mu się nie postarzały; czarne i bujne wyrastały z małej głowy, jakby alkohol był dla nich odpowiednią pożywką.

- Sport! - krzyknął Crabbe, zatrzymując się niespodziewanie. - Cholerny namiot nie przyjechał.

- Przyjedzie - zapewnił go uprzejmie de Lisie. - Zatrzymała go rewolta rolników:

- A na innych drogach będzie pusto jak w kościele, cholerni Hunowie - dodał Crabbe i podjął bolesną wspinaczkę.

De Lisie szedł za nim powoli, otwierał po kolei drzwi w korytarzu, zaglądał do środka i witał się, aż wreszcie dotarł do pokoju szefa kancelarii; zapukał ostro i zajrzał.

- Wszyscy obecni, Rawley - powiedział. - Jesteśmy gotowi, jeśli ty jesteś.

- Ja już jestem gotowy.

- Nie podwędziłeś mi wentylatorka? Gdzieś zniknął.

- Na szczęście nie jestem kleptomanem.

- Ludwig Siebkorn prosi o spotkanie o czwartej - dodał cicho de Lisie. - W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Nie powiedział dlaczego. Naciskałem go, aż się wkurzył. Powiedział tylko, że chce omówić nasze środki bezpieczeństwa.

- Są całkowicie wystarczające. Rozmawialiśmy z nim na ten temat w zeszłym tygodniu; we wtorek je ze mną obiad. Nie sądzę, żebyśmy musieli

jeszcze coś robie- Okolica aż roi się od policji. Nie pozwolę, żeby tu zrobił fortecę/.

Miał surowy i pewny siebie głos, głos akademicki, ale trochę i wojskowy; głos, który pozostawia sobie rezerwę; głos strzegący swoich tajemnic i suwerenności, przeciągły, ale urywany.

De Lisie wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi.

- Jak poszło ostatniej nocy?

- Jak trzeba. Możesz przeczytać bfuđnopis, jeśli masz ochotę. Meadows zabiera to do ambasadora.

- Wyobrażam sobie, że to w tej sprawie dzwonił Siebkorn.

- Nie mam obowiązku ani ochoty składać raportów Siebkornowi. Nie wiem dlaczego telefonował o takiej porze, ani po co mamy się spotykać. Masz bujniejszą wyobraźnię niż ja.

- Wszystko jedno, przyjąłem zaproszenie w twoim imieniu. Uznałem, że to rozsądne posunięcie.

- Na którą jesteśmy umówieni?

- Na czwartą. Przyśle własny transport.

Bradfield zmarszczył się, niezadowolony.

- Obawia się o problemy z korkami. Uważa, że eskorta ułatwi sprawę - wyjaśnił de Lisie.

- Rozumiem. Przez chwilę wydawało mi się, że chce nam zaoszczędzić kosztów.

Obaj przyjęli ten dowcip w milczeniu.

2 Słyszałem ich

krzyk przez telefon...

Codzienne zebranie kancelarii w Bonn odbywa się zazwyczaj o dziesiątej, gdy już wszyscy przeczytają swoją pocztę, zerkną na telegramy i niemieckie gazety, a być może wy dobrzeją po męczących spotkaniach towarzyskich. De Lisie porównywał ten rytuał z poranną modlitwą w społeczności agnostyków: niewiele dawał inspiracji czy rad, ale ustawiał nastrój dnia, odgrywał rolę apelu i wprowadzał poczucie zbiorowego działania. Kiedyś w sobotę przychodzili bez garniturów i garsonek, na luzie, niczym emeryci, te dni pozwalały na odzyskanie dystansu i spokoju. To wszystko już minęło. Soboty stały się dniami powszechnej mobilizacji i wpasowały w dyscyplinę dni powszednich.

Weszli pojedynczo, z de Lisie'em na przedzie. Ci, którzy mieli zwyczaj witania się, uczynili to, reszta w milczeniu zajęła miejsca w krzesłach ustawionych w kształcie półkola. Rzucali spojrzenia znad plików kolorowych telegramów albo patrzyli bez wyrazu w wielkie okno na szczątki swojego weekendu. Poranna mgła podnosiła się; nad betonową oficyną ambasady gromadziły się czarne chmury; anteny wyrastały z płaskiego dachu jak surrealistyczne drzewa na tle nadchodzącej ciemności.

- Koszmarny czas na zawody! - zawołał Mickie, ale Crabbe nie liczył się w kancelarii, więc nikt mu nie odpowiedział.

Naprzeciwko, za metalowym biurkiem siedział Bradfield, nie zwracając uwagi na przybyłych. Należał do tej szkoły urzędników, którzy czytają z piórem w rękę; pióro przebiegało wiersze, podążając za jego wzrokiem, gotowe w każdej chwili do korekty albo przypisu.

- Czy ktoś mógłby mi powiedzieć - zapytał, nie podnosząc głowy - jak przetłumaczyć „*Geltungsbediirfnis*”?

- Ambicja, żądza władzy - odpowiedział de Lisie, patrząc, jak pióro opada, zabija i wznosi się znowu.

- Doskonale. Możemy zaczynać?

Jedyna obecną na sali kobietą była Jenny Pargiter, rzecznik do spraw informacji. Czytała swój komunikat płacząco, jakby wbrew powszechnej opinii; bez nadziei, w skrytości ducha wiedząc, że niewiara towarzyszy kobietom przynoszącym nowiny.

- Poza rolnikami, Rawley, najważniejsza informacja to wczorajszy incydent w Kolonii, kiedy demonstrujący studenci wraz z robotnikami stalowni Kruppa przewrócili samochód amerykańskiego ambasadora.

- Pusty samochód amerykańskiego ambasadora. A to różnica - Rawley nabazgrał coś na marginesie telegramu. Mickie Crabbe zaśmiał się nerwowo ze swego miejsca przy drzwiach, przez pomyłkę uznając ten wtęret za dowcip.

- Zaatakowali także jakiegoś staruszka, przykuli go do balustrady na placu przed dworcem, ogolili mu głowę i zawiesili na szyi napis: „Zrywałem plakaty Ruchu”. Prawdopodobnie nie odniósł poważniejszych obrażeń.

- Prawdopodobnie?

- Tak się mówi.

- Peter, przez noc pisałeś telegram. Chyba możemy zobaczyć kopię?

- Wykładałem w nim ogólne zależności.

- Czyli?

De Lisie stanął na wysokości zadania:

- Że sojusz między dysydenckimi studentami i ruchem Karfelda rozwija się szybko. Że koło nienawiści rozkręca się: niepokoje rodzą bezrobocie, bezrobocie stwarza niepokoje. Halbach, przywódca studentów, większość dnia spędził wczoraj na rozmowach z Karfeldem w Kolonii. Razem wysmażyli tę sprawę.

- Tb Halbach stał na czele antybrytyjskiej delegacji studentów w ©it»fc«seli, w Styczniu, prawda? Ten sam, który obrzucił błotem HaHday-Pride^a?

- Nadmienilem o tym w telegramie. -'

Kontynuuj, Jenny.

- Większość wielkich dzienników zamieszcza komentarze.

- Proszę tylko o fragmenty.

- „Neue Ruhrzeitung” i inne dzienniki podkreślają, że demonstranci są młodzi. Twierdzą, że to nie brunatni ani chuligani, ale młodzi Niemcy rozczarowani bońskimi rządami.

- A kto nie jest? - mruknął de Lisie.

- Dziękuję, Peter - powiedział Bradfield bez cienia wdzięczności, a Jenny Pargiter zupełnie niepotrzebnie się zaczerwieniła.

- Zarówno „Welt” jak i „Frankfurter Allgemeine” przeprowadzają porównania z ostatnimi wydarzeniami w Anglii. Szczególnie odnoszą się do protestów antywietnamskich w Londynie, zamieszek na tle rasowym w Birmingham i protestów związku lokatorów w sprawie warunków mieszkaniowych dla kolorowych. Obie gazety mówią o narastającym podziale między wyborcami i wybranymi przez nich rządami, zarówno w Anglii, jak i w Niemczech. Kłopoty zaczynają się od podatków, pisze „Frankfurter”, płatnicy sądzą, że ich pieniądze nie są właściwie wydawane. Uznają wówczas, że zmarnowali głos w wyborach. Dziennikarze nazywają to nową inercją.

- Aha. Nowy slogan.

De Lisie, znudzony bezsennością i znajomością tematów, przysłuchiwał się z roztargnieniem, docierały do niego wyświechtane frazesy: „coraz bardziej zaniepokojeni antydemokratycznymi nastrojami zarówno na lewicy, jak i na prawicy. ... federalny rząd koalicyjny powinien zrozumieć, że tylko naprawdę silne przywództwo, nawet wbrew pewnym ekstrawaganckim mniejszościom, może przyczynić się do jedności europejskiej... Niemcy muszą odzyskać zaufanie, muszą zacząć myśleć o politykę jako o czymś łączącym myśl i działanie...”

Jak to jest z tym niemieckim żargonem politycznym, zastanawiał się, że nawet w tłumaczeniu jest tak nierealny? Metafizyczna fanfaronada, ten termin umieścił w telegramie z ostatniej nocy i był z niego zadowolony. Kiedy tylko Niemiec podejmuje polityczny temat, natychmiast unosi go nurt śmiesznych sloganów... Ale czy tylko slogany bywają tak ulotne? Nawet najbardziej oczywisty fakt staje się mało prawdopodobny; najbardziej makabryczne wydarzenie, zanim dotrze do Bonn, traci smak. Starał się wyobrazić sobie, jak to jest, gdy pobiją cię studenci Halbacha; po twarzy, aż policzki zaczynają krwawić; mieć ogoloną głowę, skute ręce i skopane boki... to wszystko wydaje się takie odległe. A właściwie gdzie jest ta Kolonia? Dwadzieścia siedem kilometrów stąd? Dwadzieścia siedem tysięcy? Muszę dowiedzieć się czegoś więcej, powiedział sobie, zacząć chodzić na wiece

i sprawdzić, jak to jest na miejscu. Ale jak to zrobić, skoro razem z Bradfieldem zajmują się pisaniem najważniejszych depešz politycznych? I muszą zreferować... tyle delikatnych i potencjalnie kłopotliwych kwestii...

Jenny Pargiter rozgrzewała się. „Neue Zürcher” zamieściło oparty na domysłach tekst na temat naszych szans w Brukseli; uznała za istotne, żeby każdy w kancelarii przeczytał to bardzo wnikliwie. De Lisie westchnął głośno. Czy Bradfield nigdy jej nie wyłączy?

- Autor pisze, że nie zostały nam absolutnie żadne atuty negocjacyjne, Rawley. Żadne. Rząd Jej Królewskiej Mości wypalił się jak Bonn; nie ma żadnego poparcia elektoratu i bardzo małe ze strony partii w parlamencie. Rząd Jej Królewskiej Mości widzi w Brukseli magiczne lekarstwo na wszystkie brytyjskie bóleczki; ale jak na ironię, jego sukces uzależniony jest od dobrej woli innego upadającego rządu.

- Jasne.

- A jeszcze większa ironia polega na tym, że Wspólny Rynek przestał istnieć.

- Jasne.

- Tekst nosi tytuł *Opera żebracza*. Nadmieniają też, że Karfeld podkopyje szanse na efektywne wsparcie naszych postulatów przez Niemcy.

- To wszystko jest bardzo prawdopodobne.

- I że apel Karfelda o stworzenie osi handlowej Bonn-Moskwa, żeby wykluczyć Francuzów i Anglosasów, jest przyjmowany z wielkim zainteresowaniem w niektórych kręgach.

- Ciekawe, w jakich kręgach? - mruknął Bradfield i pióro opadło powtórnie. - Termin „Anglosasi” jest poniżej krytyki - dodał. - Nie pozwolę, żeby de Gaulle określał moje pochodzenie. - Był to sygnał dla starszych absolwentów do lekkiego, intelektualnego śmieszku.

- A co Rosjanie myślą o osi Bonn-Moskwa? - wtrącił ktoś ze środka sali. Mógł to być Jackson, człowiek, który wcześniej służył w koloniach i uważał zdrowy rozsądek za antidotum na intelektualne podniecenie. - Mam na myśli to, że zreferowano tylko połowę sprawy, prawda? Czy ktoś przedstawił im to w formie propozycji?

- Przejrzyj naszą ostatnią depešę - powiedział de Lisie.

Zastanawiał się, czy przez otwarte okno mógłby usłyszeć zawodzący chór klaksonów. Oto Bonn, pomyślał nagle: ta ulica to nasz świat. Ile nazw nosi na przestrzeni ośmiu kilometrów między Mehl a Bonn? Sześć? Siedem? Całkiem jak my: dyskutujemy o czymś, czego nikt nie chce. Nieustanna kakofonia roszczeń i protestów. Można wprowadzać nowe przepisy, zmianę szybkości ruchu ulicznego, gwałtowne kolizje, budować wysokie budynki, a ta droga nie zmienia się, jej cel jest bez znaczenia.

- Resztę poprosimy w skrócie, dobrze? Mickie?

- O tak.

Crabbe ożywił się i wdał w długą i zawiłą historię, którą w klubie amerykańskim zasłyszał od korespondenta „New York Timesa”, ten zaś z kolei usłyszał ją od kogoś z gabinetu Siebkrona. Podobno Karfeld był ostatniej nocy w Bonn. Po tym jak się pokazał ze studentami wczoraj w Kolonii, nie wrócił, jak powszechnie mniemano, do Hanoweru, żeby przygotowywać się do jutrzejszego wiecu, ale dostał się boczną drogą do Bonn i wziął udział w tajnym spotkaniu w mieście.

- Mówią, że rozmawiał z Siebkronem - dodał Crabbe. Kiedyś potrafił nadać głosowi przekonujący ton, ale ta umiejętność rozpuściła się dawno w niezliczonych koktajlach.

Bradleya zirytowało to wystąpienie, odpowiedział więc dość ostro.

- Za każdym razem mówi się, że rozmawiał z Ludwigiem Siebkronem. Dlaczego ci dwaj, do diabła, nie mieliby rozmawiać? Siebkron odpowiada za bezpieczeństwo publiczne; Karfeld ma wielu wrogów. Proszę zawiadomić Londyn - dodał znużonym tonem, robiąc następną notatkę. - Proszę przesłać iai telegram o tej pogłosce. To nie zaszkodzi. - Podmuch deszczu uderzył magle w obramowane stałą okno i gniewny grzechot wystraszył wszystkich.

- Biedne zawody Wspólnoty Brytyjskiej - szepnął Crabbe, ale jego uwaga znów nie zyskała słuchaczy.

- Jutrzejszy wiec w Hanowerze - ciągnął Bradley - rozpoczyna się o dziesiątej trzydzieści. To bardzo dziwny czas na demonstracje, ale rozumiem ich, po południu jest mecz piłki nożnej. Tu się gra w niedziele. Nie wiem, czy będzie to miało jakikolwiek wpływ na nas, ale ambasador prosi, żeby cały zespół pozostał w domach, chyba że ktoś ma coś do załatwienia w ambasadzie. Na prośbę Siebkrona przy bramie frontowej i tylnej będzie dodatkowa obsada niemieckich policjantów przez całą niedzielę, a z jakichś jemu tylko znanych nadzwyczajnych powodów, funkcjonariusze w cywilu będą dziś na służbie podczas zawodów.

- A bardziej tajnych tajniaków - szepnął de Lisie, przypominając sobie własny dowcip - nie widziałem.

- Przestań. Chodzi o bezpieczeństwo. Dostaliśmy z Londynu wydrukowane przepustki do ambasad. Rozdamy je w poniedziałek i od tej chwili trzeba je okazywać. Dalej kolej na ćwiczenia przeciwpożarowe. Do waszej wiadomości: w poniedziałek w południe odbędzie się zbiórka i ćwiczenia. Powinniście postarać się, żeby tam być, to będzie przykład dla naszych młodszych kolegów. Prace społeczne. Zawody Wspólnoty Brytyjskiej dziś po południu w ogrodach ambasad; wyścigi eliminacyjne. Jeszcze raz proponuję, żebyście wszyscy się zjawili. Oczywiście, z żonami - dodał, jakby to miało być dla nich dodatkowym obciążeniem. - Mickie, trzeba będzie się zająć ghańskim charge d'affaires. Trzymaj go z daleka od ambasadorowej.

- Mogę coś dodać, Rawley? - Crabbe kręcił się nerwowo* a jego sztywno wyprostowana szyja z obwisłą skórą przypominała nogę kurczaka - Ambasadorowa czwartej rozdaje nagrody. Rozumiecie. Czy moglibyście przyjść pod główny namiot piętnaście minut wcześniej? Przepraszam - dodał. Powiadano, że w czasie wojny był jednym z adiutantów Montgomery'ego i tak mu już zostało.

- Zanotowałaś, Jenny?

Wzruszyła ramionami, co oznaczało: nawet nie warto tego słuchać. De Lisie zwrócił się do wszystkich, używając tonu przeznaczonego dla brytyjskich klas rządzących.

- Chciałbym zapytać, czy ktoś pracuje nad kartoteką osobową? Meadows wierci mi dziurę w brzuchu, a ja przysięgam, że w tym miesiącu nawet jej nie tknąłem.

- Kto się tym zajmuje?

- Cóż, wygląda na to, że ja.

- W takim razie - powiedział Bradley - zapewne ty ją wzięłeś.

- Raczej nie, w tym problem. Jeśli mnie ukarzą, to trudno, ale nie wiem, co miałbym z nią zrobić.

- Czy ktokolwiek ją ma?

Wszystkie wypowiedzi Crabbe'a brzmiały jak wyznania.

- Mnie to też dotyczy - wyszeptał z miejsca przy drzwiach. - Rozumiesz, Rawley.

Czekali.

- Przed Peterem ja ją miałem dostać i odłożyć na miejsce. Tak mówi Meadows.

Nadal nikt nie chciał mu pomóc.

- Przez dwa tygodnie. Tyle, że nawet jej nie tknąłem. Przepraszam. Arthur Meadows rzucił się na mnie jak wariat. Ale ja jej nie wzięłem. Mnóstwo brudów na temat niemieckich przemysłowców. To nie w moim stylu. Powiedziałem Meadowsowi, żeby zapytał Leo. To on zajmuje się kartoteką osobową. To jest działka Leo.

Uśmiechnął się słabo, popatrzył po kolei na kolegów, aż jego wzrok dotarł do okna, pod którym stało puste krzesło. Nagle wszyscy spojrzeli w tę samą stronę, na puste krzesło. Nie, nie byli zaniepokojeni, po prostu zdziwiło ich, że dopiero teraz zauważyli czyjąś nieobecność. Było to proste krzesło z lakierowanej sosny, różniące się od pozostałych, nieco różowawe, jakby z buduaru. Na siedzeniu leżała mała, haftowana pdduszcza.

- Gdzie on jest? - zapytał stanowczo Bradley. Tylko jego wzrok nie podążył za wzrokiem Crabbe'a. - Gdzie jest Harting?

Nikt nie odpowiedział. Nikt nie patrzył na Bradfielda. Jenny Pargiter, czerwona na twarzy, patrzyła na swoje męskie, zręczne ręce złożone na szerokim podołku.

- Chyba utknął na tym strasznym promie * powiedział de Lisle, spiesząc trochę za szybko z pomocą. - Bóg jeden wie, co rolnicy wyrabiają po tamtej stronie rzeki.

- Niech ktoś to sprawdzi, dobrze? - poprosił Bradley tonem wyrażającym brak zainteresowania. - Zadzwońcie do niego do domu albo zróbcie cokolwiek, dobrze?

Nikt z obecnych nie uznał tego za polecenie skierowane do siebie. Opuszcili pokój w dziwnym nieładzie, nie patrząc ani na Bradfielda, ani na siebie nawzajem, ani na Jenny Pargiter, której zmieszanie sięgało zenitu.

Zakończył się ostatni bieg w workach. Silny wiatr smagający ugór ciskał kroplami deszczu o łopoczące płótno. Wilgotne olinowanie skrzypiało boleśnie. Pod namiotem, przy głównym maszcie, zebrały się przeważnie kolorowe dzieci, które wytrzymały do tej pory. Małe chorągiewki Wspólnoty Brytyjskiej, pomięte od składowania, w zmniejszonej ze względu na secesję liczbie, żałośnie falowały na wietrze. Pod nimi Mickie Crabbe w towarzystwie szyfranta Córka wzywał zwycięzców po odbiór nagród.

- M'butu, Alistair - szepnął Cork. - Dokąd on, do diabła, polaził?

Przyłożył megafon do ust.

- Czy panicz Alistair M'butu zechciałby wystąpić? Alistair M'butu... Jezu - mruknął. - Nawet nie potrafię ich rozróżnić.

- I Kitty Delassus. Ona jest biała.

- I Kitty Delassus, prosimy - dodał Crabbe, nerwowo połykając ostatnie S, bo nazwiska co wiedział z nieprzyjemnych doświadczeń, bywały źródłem obrazy.

Ambasadorowa w norkach czekała dobroduszenie przy stole na kozłach, obok sterty ładnie zapakowanych paczuszek od NAAFI. Wiatr znów uderzył z siłą; ghański charge" d'affaires stał przygnębiony u boku Crabbe'a, dygotał i stawał futrzany kołnierz płaszcza.

- Zdyskwalifikuj ich - nalegał Cork. - Daj nagrody następnym.

- Łeb mu urwę - oświadczył Crabbe, mrugając gwałtownie. - Urwę mu ten cholerny łeb. Żeby tak przyczaić się po tamtej stronie rzeki. Psiakość.

Janet Cork, w zaawansowanej ciąży, znalazła dzieci i zaprowadziła je do zagrody dla zwycięzców.

- Poczekaj do poniedziałku - wyszeptał Crabbe, unosząc megafon do ust. - Powiem mu parę słów.

Nie powie, prawdę mówiąc. Nie powie Leo ani słowa. Będzie się trzymał od niego z daleka, to jasne, schowa głowę i przeczeka.

- Proszę państwa, pani ambasadorowa rozda teraz nagrody!

Klaskali, ale nie Crabbe'emu. Impreza miała się ku końcowi. % doskonałą beztróską, pasującą równie dobrze do wodowania statku, jak do przyjęcia oświadczeń, ambasadorowa wystąpiła naprzód, żeby odczytać mowę. Crabbe słuuchał bezmyślnie: „rodzinna okazja... równe narody wspólnoty... gdybyż to większe spory tego świata mogły być rozwiązywane w tak łagodny sposób. .. serdeczne podziękowania dla komitetu sportowego, panów Jacksona, Crabbe'a, Hartinga, Meadowesa...”

W pożałowania godny sposób obojętny policjant w cywilu, stojący przy płóciennym ścianie, wyjął z kieszeni skórzanej kurtki rękawiczki i popatrzył bez wyrazu na kolegę. Hazel Bradfield, żona szefa kancelarii, złowiła spojrzenie Crabbe'a i pięknie się uśmiechnęła. Co za nuda, zdawała się mówić, ale wkrótce będzie koniec, a wtedy może nawet pójdziemy na drinka. Crabbe szybko spojrzał w inną stronę. Trzeba się trzymać jednego, powtarzał sobie żarliwie, nic nie wiedzieć, nic nie widzieć. Przywarować, to właściwe słowo. Przywarować. Spojrzał na zegarek. Za godzinę słońce będzie nisko. W Greenwich, a może i w Bonn. Najpierw napije się piwa, a potem czegoś mocniejszego. Przywarować. Nic nie widzieć i wyslizgnąć się tylnymi drzwiami.

- Hej - powiedział mu do ucha Cork. - Pamiętasz tę radę, którą mi dałeś?

- Przepraszam, *stary*?

- Diamenty Południowoafrykańskie. Obligacje państwowe. Spadły o sześć punktów.

- Trzymaj się ich - powiedział Crabbe nieszczerze i wycofał się skromnie w róg namiotu. Ledwie znalazł ciemny, przytulny kąt, odpowiedni dla jego skrytej natury, gdy jakaś ręka schwyciła go za ramię i brutalnie odwróciła. Kiedy otrząsnął się z zaskoczenia, zobaczył przed sobą policjanta w cywilnym ubraniu.

- Co u diabła... - wyrzucił z siebie z wściekłością, bo był niski i nie lubił, by ktoś go szarpał. - Co u diabła... ~ Ale policjant już kiwał głową i bełkotliwie przeproszał. Powiedział, że przeprosza, że pomylił szanownego pana z kimś innym.

Bez względu na dobre wychowanie de Lisie coraz bardziej się wściekał. Sama droga z ambasady nieźle go zirytowała. Nie znosił motocykli, nie znosił eskorty, a hałaśliwe połączenie obu nieomal przekraczało granice jego wytrzymałości. Nie znosił też celowej niegrzeczności wobec siebie czy innych. A to, co się teraz dzieje, myślał sobie, to celowa niegrzeczność. Ledwie podjechali na dziedziniec przed Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, grupa młodych ludzi w skórzanych płaszczach prawie wyrwała drzwi samochodu, krzycząc jeden przez drugiego:

..-- Henr Siebkron chce pana natychmiast widzieć! Natychmiast! Tak!
Natychmiast!

- Pójdę tak szybko, jak chcę — mruknął Bradfield, gdy prowadzili go do na malowanej stalowej windy. - Proszę mi nie wydawać poleceń. - A do de Lisle'a: - Będę musiał porozmawiać z Siebkronem o tych gościach.

Na górze wrócił im dobry nastrój. To było Bonn, które znali: blade, funkcjonalne wnętrza, blade, funkcjonalne reprodukcje na ścianach, blade, niewypolerowany tek; białe koszule, szare krawaty i twarze blade jak księżyc. Było ich siedmiu. Dwóch siedziało po obu stronach Siebkrona i nie miało w ogóle nazwisk. De Lisie zastanawiał się złośliwie, czy są to urzędnicy, których wprowadzono, żeby robili tłum. LiefF, reprezentacyjny idiota z wydziału protokołu, siedział po lewej; naprzeciwko niego, po prawej stronie Bradfielda siedział stary dyrektor policji Bonn, którego de Lisie instynktownie lubił: pokryty bliznami ludzki pomnik, z białymi łatkami, jak ślady po kulach, na skórze. Papierosy w paczkach leżały na blacie. Dziewczyna o surowym wyrazie twarzy proponowała kawę bezkofeinową, a oni czekali, aż wyjdzie.

Czego ten Siebkron chce? - myślał po raz setny, odkąd o dziewiątej rano otrzymał lakoniczne wezwanie.

Konferencja zaczęła się, jak wszystkie konferencje, od streszczenie tego, co powiedziano na poprzedniej. Lieff odczytał protokół tonem obłudnego pochlebstwa, jak człowiek odznaczany medalem. Dawał do zrozumienia, że cieszy się ze spotkania. Dyrektor policji rozpiął zieloną marynarkę i przypalał koniuszek holenderskiego cygara, dopóki nie rozjarzyło się odpowiednio. Siebkron zakaszał ze złością, ale stary policjant zignorował go.

- Nie ma pan obiekcji co do protokołu, panie Bradfield?

Siebkron zazwyczaj uśmiechał się, gdy zadawał to pytanie i choć jego uśmiech był zimny jak północny wiatr, de Lisie żałował, że dziś go nie ujrzał.

- Zasadniczo nie - odparł spokojnie Bradfield. - Ale muszę go zoba czyć przed podpisaniem.

- Nikt nie żąda, żeby go pan podpisał.

De Lisie spojrzał na niego ostro.

- Pozwolą panowie - oświadczył Siebkron - że odczytam następujące oświadczenie. Kopie zostaną rozdane.

Oświadczenie było bardzo krótkie.

Dzikan korpusu dyplomatycznego omówił już z Herr Lieffem z wydziału protokołu i z ambasadorem amerykańskim kwestię bezpieczeństwa siedzib dyplomatycznych na wypadek rozruchów w Republice Federalnej. Siebkron wyraził żal, że dodatkowe środki bezpieczeństwa okazały się niezbędne, ale przewidywanie nieszczęśliwych wypadków jest lepsze niż ich naprawianie po fakcie. Siebkron otrzymał od dziekana zapewnienie, że szefowie wszystkich placówek dyplomatycznych będą w jak najszerszym zakresie współpracować

z władzami federalnymi. Ambasador brytyjski już zapoznał się z tymi przedsięwzięciami. Głos Siebkrona nabrał ostrości, zdumiewająco podobnej do gniewu. Lieff i stary policjant odwrócili się specjalnie, by spojrzeć w twarz Bradfielda, a ich twarze wyrażały nieukrywaną wrogość.

- Jestem pewien, że przychylił się do tej opinii - powiedział Siebkron po angielsku, popychając kopię oświadczenia po stole.

Bradfield niczego nie zauważył. Wyjął wieczne pióro z wewnętrznej kieszeni, odkręcił nasadkę, założył ją ostrożnie na koniec pióra i zaczął przebiegać stalówką wiersz po wierszu.

- *Czy to aide-memoire!*

- Memorandum. Znajdzie pan tam także niemieckie tłumaczenie.

- Nie widzę tutaj niczego, co wymagałoby aż pisania - powiedział swobodnie Bradfield. - Wiesz doskonale, Ludwigu, że zawsze zgadzamy się w takich sprawach. Nasze interesy są zbieżne.

Siebkron nie zwrócił uwagi na uprzejme słowa:

- Rozumiesz też, że doktor Karfeld nie jest dobrze nastawiony do Brytyjczyków. To lokuje ambasadę brytyjską w specjalnej kategorii.

Bradfield uśmiechał się nadal.

- Nie umknęło to naszej uwagi. Zdajemy się na ciebie. Zadbaj, żeby uczucia Herr Karfelda nie wyraziły się w formie fizycznej. Liczymy na twoje umiejętności.

- Właśnie. A zatem docenisz moją troskę o bezpieczeństwo personelu ambasady brytyjskiej.

Głos Bradfielda stał się niemal żartobliwy.

- O co chodzi? To brzmi jak wyznanie miłosne.

Odpowiedź padła bardzo szybko, rzucona jak ultimatum:

- W związku z tym muszę cię poprosić, żeby aż do odwołania cały personel brytyjskiej ambasady poniżej rangi radcy nie wyjeżdżał poza Bonn. Bądź łaskaw poinstruować ludzi, żeby dla własnego bezpieczeństwa pozostawali w swoich rezydencjach - czytał z teczki leżącej przed nim. - Odtąd, aż do odwołania, do mniej więcej jedenastej wieczór czasu lokalnego.

Białe twarze patrzyły na nich przez kłęby dymu z papierosów, jak lampy przebijające się przez narkozę. Po krótkim zmieszaniu i konsternacji rozległ się głos Bradfielda, płynny i stanowczy, jak głos dowódcy podczas bitwy.

- Brytyjczycy nauczyli się z własnego bolesnego doświadczenia w różnych częściach świata, że nieprzyjemne incydenty bywają wywoływane właśnie przez stosowanie nadmiernych środków ostrożności.

Siebkron nie skomentował tego.

Bradfield, z całym uznaniem dla zawodowej i osobistej troski Siebkrona, czuł się zobowiązany przestrzec go przed jakimikolwiek gestami, które mogły zostać niewłaściwie zinterpretowane przez resztę świata.

Siebkron czekał.

Podobnie jak Siebkron, kontynuował Bradfield, i on czuje się zobowiązany do utrzymania wysokiego morale ambasady oraz umocnienia postawy młodszego personelu w obliczu przeciwności, które mogą się pojawić. Na tym etapie nie wolno mu więc wesprzeć żadnego działania, wyglądającego na ucieczkę przed wrogiem, którego na razie prawie nie widać... Czy Siebkron naprawdę chce powiedzieć, że nie jest w stanie kontrolować garstki chuliganów?...

Siebkron wstał, reszta poszła w ślad za nim. Krótkie kiwnięcie głową zastąpiło zwyczajowy uścisk ręki. Drzwi się otworzyły i skórzane płaszcze zaprowadziły ich szybko do windy. Znaleźli się na mokrym dziedzińcu. Ryk motocykli ogłuszał ich. Mercedes wywiózł ich na pas autostrady. Co takiego, u licha, zrobiliśmy? - zastanawiał się de Lisie. Co takiego, u licha, zrobiliśmy, żeby sobie na to zasłużyć? Czy ktoś rzucił kamieniem w okno nauczyciela?

- To nie ma nic wspólnego z ostatnią nocą? - zapytał w końcu Bradfielda, gdy podjeżdżali do ambasady.

- Nie widzę bezpośredniego związku - odparł Bradfield. Siedział sztywno wyprostowany, z wyrazem złości na nieruchomej twarzy.

- Cokolwiek by to było - dodał, jakby wygłaszał sam do siebie memorandum, a nie zwierzał się de Lisle'owi - Siebkron jest jedyną nitką, której nie ośmielę się przeciąć.

- Jasne - powiedział de Lisie, gdy wysiadali. Dzień zawodów miał się już ku końcowi.

Za kościołem anglikańskim, na lesistym pagórku, przy na wpół wiejskiej alejce, z dala od centrum Bad Godesberg, ambasada zbudowała skromną replikę podmiejskiego Surrey. Wygodne domki z kominkami i długimi korytarzami dla służby, której już nie trzymano, stały ukryte za drzewami. Powietrze drżało od delikatnej muzyki nadawanej przez rozgłośnie brytyjskich sił zbrojnych. Psy niezaprzeczalnie angielskich ras włączyły się po wąskich ogródkach, chodniki tarasowały małe samochody żon brytyjskich dyplomatów. Na tej uliczce w każdą sobotę, gdy przychodziła cieplejsza pora roku, odbywał się rytuał przyjemniejszy od zebrań personelu kancelarii. Na kilka minut przed jedenastą wołano psy do domu, a z kilkunastu drzwi frontowych wylaniało się kilkanaście żon w kolorowych kapeluszach, z torebkami pod ich kolor; za nimi szli mężowie w niedzielnych garniturach.

Niebawem na ulicy zebrał się tłumek; ktoś opowiedział dowcip, ktoś się roześmiał. Rozglądali się nerwowo za maruderami, patrzyli na sąsiednie domy. Czy Crabbe'owie zaspali? Czy ktoś ma do nich zadzwonić? Nie, wreszcie idą. Ruszali powoli w stronę kościoła, najpierw kobiety, za nimi mężczyźni

z rękami głęboko w kieszeniach. Przed kościołem zatrzymywali się, uśmiechając przymilnie do najważniejszej z obecnych żon, która z lekkim gestem zdziwienia weszła po schodkach i zniknęła za zieloną zasłoną. Za nią szły młodsze od niej rangą, całkiem przypadkiem w kolejności zalecanej protokołem, jak gdyby w ogóle przejmowały się takimi rzeczami.

Tego niedzielnego poranka Rawley Bradfield w towarzystwie swej pięknej żony Hazel wszedł do kościoła i usiadł w ławce obok Tillów, którzy naturalnym porządkiem rzeczy szli w procesji przed nimi. Bradfield, choć zasadniczo był katolikiem, uważał uczęszczanie do kaplicy ambasady za swój żelazny obowiązek; tej sprawy nie zamierzał konsultować ani ze swoim Kościołem, ani z sumieniem. Tworzyli ładną parę. W żyłach Hazel płynęło wiele irlandzkiej krwi, jej kasztanowate włosy rozświetlały się, gdy promienie słońca padały na nie przez witraże. Bradfield odnosił się do niej w sposób zarówno władczy, jak i szarmancki.

Bezpośrednio za nimi siedział Meadows, archiwariusz, ze swą córką, bardzo nerwową blondynką. Była śliczną dziewczyną, ale żony miały raczej skłonność do dziwienia się, że człowiek o tak prawym charakterze, jak jej ojciec, toleruje jej makijaż.

Gdy Bradfield usiadł na swoim miejscu, wyszukał w książeczce psalmy według ogłoszonych numerów - niektórych chętnie by zakazał, ze względu na zmysł smaku - i rozejrzał się po kościele, żeby sprawdzić, kto nie przyszedł. Byli wszyscy, więc już miał wrócić do psalmów, kiedy pani Vandellung, żona radcy holenderskiego, a obecnie wiceprzewodnicząca Międzynarodowego Stowarzyszenia Pań, wychyliła się ze swojej ławki, żeby zapytać nieco histerycznym szeptem, dlaczego nie ma organisty. Bradfield spojrzął na małą, oświetloną wnetrze, na pusty stołek z haftowaną poduszką i w tej samej chwili zdał sobie sprawę z pełnej zakłopotania ciszy panującej wokół. Podkreślało ją skrzypienie zachodnich drzwi, zamykanych przez Mickiego Crabbe'a, który dziś służył do mszy. Bradfield wstał gwałtownie i ruszył na przód nawy. Z chóru, z pierwszego rzędu, patrzył na niego z ukrytą obawą John Gaunt, strażnik kancelarii. Jenny Pargiter, wyprostowana jak panna młoda, patrzyła przed siebie, nie widząc nic poza światłem Boga. Janet Cork, żona szyfranta, stała obok niej; jej myśli skupione były na nienarodzonym dziecku. Mąż został w ambasadzie, miał rutynowy dyżur w pokoju szyfrantów.

- Gdzie, u diabła, jest Harting? - zapytał Bradfield, ale jeden rzut oka na Crabbe'a wystarczył, by zrozumieć, że pyta na próżno. Wyszedł chyłkiem na ulicę, podbiegł kawałek i otworzył żelazną furtkę prowadzącą do zakrystii. Wszedł bez pukania.

- Harting się nie zjawił - powiedział szorstko. - Kto jeszcze gra na organach?

Pastor, który uważał ambasadę za wyzwanie, ale sądził, że czyni postępy, był wyznawcą Niskiego Kościoła. Jego żona z czworgiem dzieci mieszka w Walii. Nikt nie wiedział, dlaczego do niego nie przyjechała.

- Zawsze przychodził. Zawsze.
- Kto może zagrać zamiast niego?
- Może prom nie pływa. Słyszałem, że dojazd jest kłopotliwy.
- Mógł przyjechać dłuższą drogą, przez most. Często tak robił. Czy nikt nie może go zastąpić?

- Nie znam nikogo - odparł pastor, dotykając palcami koniuszka złotej stuy. Myślni był daleko. - Jak dotąd nie miałem okazji o to spytać.

- Więc co ksiądz chce zrobić?

- Może ktoś mógłby zaintonować - zaproponował niepewnie pastor, ale wzrok miał utkwiony w pocztówce z okazji chrztu, wetkniętej za kalendarz. - Może to jest właściwe rozwiązanie. Johnny Gaunt śpiewa ładnym tenorem, to Walijczyk.

- Doskonale, chór musi zaśpiewać. Trzeba im to powiedzieć.

- Kłopot polega na tym, że oni nie znają hymnów - powiedział pastor. - Na piątkowej próbie chóru też go nie było. Nie przyszedł. Zlekceważył próbę, rozumie pan.

Bradfield wyszedł na dwór i stanął twarzą w twarz z Meadowesem, który po cichu opuścił miejsce obok córki i poszedł za nim na tyły kościoła.

- Zniknął - powiedział zabójczo spokojnie Meadowes. - Szukałem wszę dzie. Sprawdzalem na wykazie chorych u lekarza, byłem u niego w domu. Samochód stoi w garażu, nie wziął mleka spod drzwi. Nikt o nim nie słyszał ani nie widział go od piątku. Były urodziny mojej córki, ale nie przyszedł. Dostał zaproszenie i nie przyszedł. Obiecał jej w prezencie suszarkę do włosów; to nie w jego stylu. Panie Bradfield, to w ogóle nie jest w jego stylu.

Przez chwilę wydawało się, że Bradfielda opuścił spokój. Popatrzył ze wściekłością na Meadowesa, potem na kościół, jakby nie mógł się zdecydować, co zniszczyć; jakby w złości albo rozpaczyc chciał pobiec ścieżką, otworzyć drzwi i wykrzyknąć nowiny do tych, którzy z takim zadowoleniem siedzieli w środku.

- Chodź ze mną.

Gdy wchodzili przez główną bramę ambasady, na długo przed przepuszczeniem ich przez posterunek policji, mogli od razu rozpoznać sytuację kryzysową. Na froncie, na trawniku stały zaparkowane dwa wojskowe motocykle. Na schodach czekał Cork, dyżurny szyfrant, w rękę trzymał podręcznik dla inwestorów-amatorów. Zielona furgonetka niemieckiej policji, błyskając niebieskimi światłami, zatrzymała się obok stołówki, z jej wnętrza dobiegały trzaski radiostacji.

- Dzięki Bogu, że pan przyszedł, sir - powiedział Macmullen, szef straży. - Wysłałem dyżurnego kierowcę, musiał się z wami minąć na autostradzie.

W całym budynku brzęczały dzwonki.

T- Mamy informacje z Hanoweru, sir, z konsulatu generalnego; nie sły-
szałem ich za dobrze. Na wiecu rozpętało się piekło. Szturmują bibliotekę
i mają zamiar pójść na konsulat. Do czego to doszło, gorzej niż na Grosve-
nor Square, słyzałem krzyk przez telefon, sir.

Meadowes pospieszył za Bradfieldem po schodach.

- Powiedziałeś „suszarka do włosów”? Chciał dać twojej córce suszar-
kę do włosów?

Nastąpiła chwila zamierzonej konsternacji, czy raczej zamierzonego spo-
wolnienia, podkreślił ją nerwowy gest, jak przed bitwą. Przynajmniej tak
odebrał to Meadowes.

- Specjalnie ją zamówił - powiedział.

- Mniejsza o to - rzekł Bradfield i już miał wejść do pokoju szyfrów,
gdy Meadowes znów się do niego odezwał.

- Akta zniknęły - wyszeptał. - Zielone akta z notatkami specjalnego
znaczenia. Nie ma ich od piątku.

3 Alan

Turner

To był dzień zapowiadający próżnowanie; dzień, kiedy zostaje się w Lon-
dynie i marzy o wsi. W St James Park niedojrzałe słońce rozpoczynało
swój trzeci tydzień. Wzdłuż jeziora, w szklanym upale majowego niedziel-
nego popołudnia, jak ścięte kwiaty leżały dziewczyny. Ktoś rozpałił wielkie
ognisko i zapach palonej trawy dryfował wraz z odgłosami ruchu ulicznego.
Jedynie pelikany, kuśtykające od niechcienia wokół budek na wysepce, zda-
wały się mieć ochotę na spacer. I tylko Alan Turner, chrzęszcząc wielkimi
buciorami po żwirze, miał jakiś cel marszu. W tej chwili nawet dziewczyny
nie były w stanie go rozproszyć.

Miał buty z grubej brązowej skóry, mocno połatane. Nosił poplamiony
tropikalny garnitur i poplamioną płócienną torbę. Pył wielkim, niezgrabnym,
jasnowłosym mężczyzną, o bladej, zwyczajnej twarzy, miał szerokie ramiona
i kwadratowe palce alpinisty, a szedł z powolną siłą rzecznej barki, szerokim,
umyślnie pozbawionym finezji pewnym krokiem policjanta. Trudno było zgad-
nąć jego wiek. Studenci uważali go za starego, a starzy widzieli w nim studenta..
Niepokoił młodych swoim wiekiem, a wiekowych młodością. Jego koledzy już
dawno temu przestali się nad tym zastanawiać. Wiadomo było, że pojawił się

późno, co nie jest dobrym znakiem, że był wcześniej w Oksfordzie, w St Anthony College, gdzie spotykają się różni ludzie. Oficjalne publikacje Ministerstwa Spraw Zagranicznych odnosiły się do niego z rezerwą. Rzucając bezlitośnie światło na pochodzenie wszystkich innych Turnerów, w kwestii Alana nabierały wody w usta, jakby uznawały, że po uwzględnieniu wszelkich okoliczności, najlepszą polityką jest zachowanie milczenia.

- A więc i ciebie wezwali - powiedział Lambert, doganiając go. - Muszę przyznać, że Karfeld tym razem podbił miasto.

- Czego od nas oczekują? Że staniemy na barykadach? Że będziemy skubać szarpie?

Lambert był małym, energicznym człowiekiem, mówiono, że lubił zadawać się z dziwnymi ludźmi. Zajmował wysokie stanowisko w wydziale do spraw Zachodu i prowadził drużynę krykieta otwartą dla wszystkich pracowników.

Weszli na schody prowadzące do gabinetu generała Clive'a.

- Oni się nie zmieniają - powiedział Lambert. - Tak uważam. Naród psy chopatów. Zawsze uważają, że coś im zagraża, wersal, okrążenie, cios w plecy; mania prześladowcza to ich problem.

Dał Turnerowi czas, żeby się z nim zgodził.

- Zbiera się cały wydział. Nawet dziewczyny.

- Chryste, to ich naprawdę wystraszy. Zbierają wszystkie rezerwy.

- To kompletnie niweczy Brukselę. Jeśli rząd niemiecki straci zimną krew, wszyscy mamy niezły kanał. - Rozkoszował się tą perspektywą. - W takim wypadku musielibyśmy znaleźć zupełnie inne rozwiązanie.

- Wydawało mi się, że innego nie ma.

- Sekretarz stanu rozmawiał już z ich ambasadorem; powiedziano mi, że uzgodnili pełną rekompensatę.

- Więc nie ma się o co martwić, prawda? Możemy zaczynać weekend. Wszyscy wracają do łóżek.

Dotarli do szczytu schodów. Zdobywca Indii, zjedna stopą opartą nie dbale o zagarnięty półwysep z brązu, patrzył zadowolony nad ich głowami na polany w parku.

- Drzwi są otwarte - głos Lamberta był pełen czci. - Pracują według tygodniowego planu pracy. Kurczę, ale im to idzie - stwierdził, ale nie usłyszał pełnej podziwu odpowiedzi. - Ty pójdziesz swoją drogą, a ja swoją. Rozumiesz - dodał przebiegle. - To nam bardzo pomoże. Zjednoczyć resztę Europy za naszymi plecami przeciwko hitlerowskiemu zagrożeniu. Nic lepiej nie działa na umocnienie starych sojuszy jak stukot podkutych butów. - Kiwnął po raz ostatni głową z wyrazem niczym niezmaconej dobrej woli i zniknął w kompletnych ciemnościach głównego wejścia.

Turner przez chwilę patrzył w ślad za nim, porównując jego drobne ciało do tokańskich kolumn wielkiego portyku. Na jego twarzy malowała się

jego tęsknota, jakby sam chciał być Lambertem, drobnym i zgrabnym, zdolnym i niewzruszonym. Ruszył się wreszcie i podszedł do mniejszych drzwi z boku budynku. Były to odrapane drzwi z brązową deską przybitą od wewnątrz za szklaną szybą i napisem zakazującym wejścia osobom nieupoważnionym. Miał pewien problem z przecisnięciem się przez nie.

- Pan Lumley szuka pana- powiedział portier. - Gdyby pan znalazł dla niego minutkę.

Był to młody, zniewieściały mężczyzna i bardziej odpowiadała mu druga część budynku.

- Prawdę mówiąc, bardzo się dopytywał. Widać, że wszędzie mówi się o Niemczech.

Jego radio tranzystorowe włączone było przez cały czas; ktoś przekazywał informacje wprost z Hamburga, a w tle słychać było ryk, jak poszum morza.

- Cóż, nieźle pana przyjmą, sądząc po tym, co słychać. Już rozprawili się z biblioteką, a teraz idą na konsulat.

- Bibliotekę załatwili przed obiadem. O pierwszej. Policja otoczyła konsulat potrójnym kordonem. Nie dadzą rady podejść.

• - Od tamtej pory sytuacja się pogorszyła! - zawołał za nim portier. - Pałą książki na rynku; niech pan poczeka!

- Poczekam. Właśnie mam to zamiar, do cholery, zrobić! - Głos miał spokojny, z akcentem z Yorkshire, pospolity jak kundel.

- Zamówił panu bilet do Niemiec. Niech pan pyta w wydziale podróży! Drogą lądową, druga klasa! Pan Shawn jedzie pierwszą!

Otworzył pchnięciem drzwi do swojego pokoju i zobaczył Shawna rozpięającego się za biurkiem. Jego gwardyjska marynarka wisiała na oparciu krzesła Turnera. Osiem guzików odbijało zabłąkane promyki słońca, które bohaterko przebiły się przez kolorowe szyby. Rozmawiał przez telefon.

- Mają wszystko złożyć w jednym pokoju - powiedział uspokajająco, co najspokojniejszego człowieka mogło doprowadzić do hysterii. Najwyraźniej powtórzył to parę razy, jakby ze względu na prostotę umysłu słuchacza. - Razem ze środkami zapalającymi i niszczącymi dokumentów. To punkt pierwszy. Punkt drugi, wszyscy zatrudnieni na miejscu pracownicy mają iść do domu i cicho siedzieć; nie możemy wypłacać odszkodowań obywatelom niemieckim, którym stała się krzywda z naszego powodu. Powiedz im to, a potem oddzwon do mnie. Chryste Panie! - wrzasnął do Turnera, gdy odłożył słuchawkę. - Czy próbowałeś kiedy rozmawiać z tym człowiekiem?

- Jakim człowiekiem?

- Tym łysym błaznem. Z wydziału świrów i czubków.

- Nazywa się Crosse. - Rzucił torbę w róg. -1 nie jest błaznem.

- To psychol - mruknął Shawn.

- To nie mów o tym, bo wyślągo do Bezpieczeństwa,
- Lumley cię szuka.
- Nie pójdę - powiedział Turner. - Nie mam ochoty marnować czasu. Hanower to placówka klasy D. Nie mają kodów, szyfrów, nic. Go miałbym tam robić? Ratować cholerne klejnoty koronne?

- To dlaczego przyniosłeś torbę?

Podniósł z blatu plik telegramów.

- Od miesięcy wiedzieli o wiecu. Wszyscy wiedzieli, od wydziału do spraw Zachodu po nas. Kancelaria donosiła o tym w marcu. Widzieliśmy telegram. Dlaczego nie ewakuowali personelu? Dlaczego nie wysłali dzieci do domu? Pewnie nie mieli pieniędzy albo nie było biletów trzeciej klasy. Chrzanić ich!

- Lumley powiedział: natychmiast.

- Chrzanić i jego - powiedział Turner i usiadł. - Nie pójdę, dopóki nie przejrzę papierów.

- Taka jest polityka, żeby nie wysyłać ich do kraju - Shaw kontynuował wątek podniesiony przez Turnera. Myślał o sobie raczej jako o attache niż o urzędniku oddelegowanym do wydziału bezpieczeństwa; uważał to za odpoczynek między kolejnymi stanowiskami i nie pomijał żadnej okazji, żeby zademonstrować znajomość świata wielkiej polityki. - Działamy jakby nigdy nic - oto nasza dewiza. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby motłoch doprowadził nas do panicznej ucieczki, W końcu Ruch jest mniejszością. Lew brytyjski - dodał, czyniąc niepewny żarcik - nie powinien się denerwować z powodu prztyczków paru chuliganów.

- Nie, nie może.

Turner odłożył jeden telegram i wziął kolejny. Czytał szybko, pewnie układał papiery na oddzielne stosiki, według jakiegoś tajemniczego kryterium.

- Więc o co chodzi? Co mają do stracenia poza honorem? - zapytał, nie przerywając lektury. - Po co nas wzywają? Odszkodowania to działka wydziału do spraw Zachodu, prawda? A ewakuacja - wydziału specjalnego, zgadza się? Jeśli się martwią o dzierzawę, niech się idą wypląkać do Ministerstwa Pracy. Czemu do diabła, nie zostawiają nas w spokoju?

- Bo to są Niemcy - odpowiedział nieśmiało Shawn.

- Odpieprz się.

- Przepraszam, jeśli ci to coś popsulo - powiedział Shawn z nieprzyjemnym śmieszkim, bo podejrzewał Turnera o życie seksualne barwniejsze od swojego.

Pierwszy istotny telegram pochodził od Bradfielda. Oznakowano go jako błyskawiczny; wysłany został o jedenastej czterdzieści, a oddano dyżurnemu o drugiej dwadzieścia osiem. Skardon, konsul generalny w Hanowerze,

wezwał cały personel brytyjski z rodzinami do rezydencji i słał pilne zażalenia do policji. W drugim telegramie były ostatnie informacje Reutera datowane na jedenastą pięćdziesiąt trzy: demonstranci wdarli się do biblioteki brytyjskiej; policja nie była w stanie ich powstrzymać; los Fraulein Eick (sic!), bibliotekarki, jest nieznan.

Wkrótce po tym nadszedł następny telegram z Bonn: Norddeutscher Rundfunk donosi, że Eick, powtarzam, Eick, została zabita przez tłum. Ale zaprzeczono temu natychmiast, bo Bradfieldowi, dzięki pomocy Herr Siebkrona z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (z którym mam bliskie stosunki) udało się uzyskać bezpośredni kontakt z hanowerską policją. Według jej najnowszych ustaleń, biblioteka brytyjska została splądrowana, a książki spalone w obecności ogromnego tłumu. Pojawiły się drukowane plakaty z hasłami antybrytyjskimi, takimi jak: ROLNICY NIE BĘDĄ PŁACIĆ NA WASZE IMPERIUM! i ZAPRACUJECIE NA WŁASNY CHLEB, NIE KRADNIJCIE NASZEGO! Fraulein Gerda Eich (sic!), wiek pięćdziesiąt jeden, z Hohenzollernweg 4 w Hanowerze, była wleczona dwa piętra po kamiennych schodach, kopana, bita po twarzy i zmuszona do wrzucenia książek w ogień. Policję konną i oddziały wyposażone w sprzęt do tłumienia rozruchów sprowadzono z okolicznych miast.

Notatka uczyniona na marginesie przez Shawna stwierdzała, że sekcja namierzania zebrała dane na temat nieszczęśliwej Fraulein Eich. Była emerytowaną nauczycielką, niegdyś w służbie brytyjskich sił okupacyjnych, gdzie pracowała jako sekretarka hanowerskiego oddziału Towarzystwa Angielsko-Niemieckiego, w 1962 otrzymała brytyjskie odznaczenie za wkład do międzynarodowego zbliżenia obu krajów.

- Jeszcze jedna anglofilka leży w prochu - mruknął Turner.

Potem następowało długie, pospiesznie skompilowane podsumowanie audycji i biuletynów. Turner także to przeczytał z uwagą. Nikt, a w każdym razie nikt ze świadków wydarzeń, nie był w stanie dokładnie określić, co wywołało zamieszki, ani co ściągnęło tłum pod bibliotekę. Chociaż demonstracje stały się w Niemczech chlebem powszednim, zamieszki na taką skalę jeszcze się nie zdarzyły. Władze federalne przyznały, że są „głęboko zaniepokojone”. Herr Ludwig Siebkron z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych złamał zwyczajowe milczenie, żeby powiedzieć na konferencji prasowej, że są to „powody do bardzo realnego niepokoju”. Podjęto natychmiast decyzję o dodatkowej ochronie wszystkich oficjalnych i półoficjalnych budynków brytyjskich i rezydencji w całej Republice Federalnej. Ambasador brytyjski, po początkowym wahaniu, zgodził się na wprowadzenie dobrowolnej godziny policyjnej dla swojego personelu.

Raporty policji i prasy, a nawet samych rezydentów, na temat incydentu były beznadziejnie pogmatwane. Niektórzy twierdzili, że był to spontanicz-

ny, zbiorowy atak sprowokowany słowem „brytyjską” na ścianie budynku biblioteki. To naturalne, mówili, że wraz ze zbliżającym się gwałtownie dniem podjęcia decyzji w Brukseli polityka Ruchu - opozycyjnego wobec Wspólnego Rynku - nabierała szczególnie antybrytyjskich form. Inni przysięgali, że widzieli sygnał, białą chusteczkę powiewającą z okna. Pewien świadek utrzymywał nawet, że spoza ratusza wystrzeliła rakietą i wybuchła, rozsiewając czerwone i złote gwiazdy. Według niektórych tłum rzucił się powodowany pozytywnym impulsem, według innych „wezbrał”, wedle jeszcze innych - zadrzał. „Kierowany był ze środka”, raportował jakiś wyższy oficer policji. „Skraj stał bez ruchu, dopóki nie ruszył się środek”. „Ci w środku”, utrzymywało Radio Zachodnie, „zachowali spokój. Wybryki były dziełem nielicznych chuliganów na przedzie. Inni musieli pójść za nimi”. Zgadzano się tylko w jednym punkcie: incydent nastąpił, gdy muzyka grała najgłośniej. Pewna kobieta pisała nawet, że to sama muzyka była znakiem, po którym tłum zaczął biec.

Z kolei korespondent „Spiegla” przedstawił w Radiu Północnym szczegółowy opis, jak szary omnibus, wynajęty przez tajemniczego Herr Meyera z Luneburga, przywiózł „straż składającą się z trzydziestu doborowych ludzi” do centrum Hanoweru na godzinę przed rozpoczęciem demonstracji i że straż ta, składająca się częściowo ze studentów, a częściowo z młodych rolników, uformowała „szpaler ochronny” wokół podium dla mówcy. To właśnie ta gwardia rozpoczęła rozróbę, a zatem cała akcja była inspirowana osobiście przez Karfelda. „To jawna deklaracja,” utrzymywał, „że od tej chwili Ruch będzie maszerował w takt własnej muzyki”.

- Ta Eich - powiedział wreszcie Turner. - Są o niej jakieś świeższe informacje?

- Ma się dobrze, jak można przypuszczać.
- To znaczy jak?
- Tyle powiedzieli.
- No, to doskonałe.

- Na szczęście ani za Eich, ani za bibliotekę nie odpowiadają władze brytyjskie. Biblioteka została założona przez władze okupacyjne, ale przekazano ją Niemcom. Teraz należy wyłącznie do Landu. Nie ma w niej niczego brytyjskiego.

- No to spalili własne książki.

Shawn uśmiechnął się zaskoczony.

- Tak, właściwie tak - powiedział. - Chyba tak było. To ciekawa uwaga; moglibyśmy to nawet podpowiedzieć wydziałowi prasy.

Zadzwonił telefon. Shawn podniósł słuchawkę.

- To Lumley - powiedział, zakrywając ręką mikrofon. - Portier powiedział mu, że przyszedłeś.

Turner zdawał się nie słyszeć. Studiował następny telegram. Był krótki, dwa akapity, nie więcej, zaadresowany Lumley, do rąk własnych z zaznaczeniem natychmiast. Drugą kopię otrzymał Turner.

- Chce z tobą rozmawiać, Alan - Shawn wyciągnął słuchawkę.

Turner przeczytał tekst, potem przeczytał go jeszcze raz. Wstał, podszedł do szafki pancерnej, wyciągnął czarny, nieużywany notesik, i wrzucił do przepastnych kieszeni tropikalnego garnituru.

- Ty głupi palancie - powiedział spokojnie od drzwi. - Kiedy nauczysz się czytać swoje telegramy? Przez cały czas gadałeś o gaśnicach, a my mie liśmy cholernego zdrajcę pod nosem.

Podniósł kartkę różowego papieru i podetknął ją Shawnowi.

- Planowane zniknięcie, tak to się nazywa. Brakuje czterdziestu trzech teczek, a żadna z nich nie jest zaklasyfikowana niżej niż „poufne”. Jedna z i ona jest „tajna specjalnego znaczenia”, zniknęła w piątek. Moim zdaniem to było zaplanowane.

Zostawił Shawna ze słuchawką w garści i poszedł korytarzem w stronę pokoju zwierzchnika. Oczy miał jak pływak, blade, wyprane z barw przez morze.

Shawn spoglądał za nim. Tak jest, pomyślał, gdy dopuszcza się do pracy niższe warstwy. Zostawiają żony i dzieci, używają plugawego języka na korytarzach i nie przejmują się dobrym wychowaniem. Odłożył słuchawkę z westchnieniem, podniósł ją znów i wykręcił numer wydziału prasowego.

- Tu Shawn - powiedział. - S-H-A-W-N. Mam niezły pomysł co do tych rozruchów w Hanowerze, można to rozegrać podczas konferencji prasowej: w gruncie rzeczy nie ma to nic wspólnego z nami, Niemcy zdecydowali się na spalenie własnych książek... To może całkiem niezłe posłużyć jako przykład chłodnego, angielskiego humoru. Tak, Shawn, S-H-A-W-N. Ależ nie; może ktoś regoś dnia nawet umówią się na lunch.

Przed Lumleyem leżała otwarta teczka, starcza dłoń spoczywała na niej jak szpon.

- Nic o nim nie wiemy. Nawet nie ma go w kartotece. Dla nas nie istnieje. Nie był nawet lustrowany, od razu dostał pozwolenie. Musiałem wyprosić jego papiery z personalnego.

- I?

- Coś tu śmierdzi, tyle ci powiem. Śmierdzi zagranicą. Z rodziny uchodźców, emigrował w latach trzydziestych. Najpierw szkoła rolnicza, potem korpus saperów, usuwanie bomb. W czterdziestym piątym wrócił do Niemiec. Sierżant czasu wojny; miał komisję kontrolną; sądząc po tym, jeden ze starych włóczykijów. Zawodowy bezpieczeństwa. W tamtym czasie był taki jeden w każdej kantine w okupowanych Niemczech. Niektórzy przetrwali,

inni podryfowali do konsulatów. Bardzo niewielu wróciło; zniknęli w ciemnościach nocy albo przyjęli na powrót niemieckie obywatelstwo. Paru się wykoleiło. Żadnego dzieciństwa, w przypadku większości, na tym polega kłopot. Przepraszam - powiedział nagle Lumley i prawie się zaczerwienił.

- Jakiś dokument?

- Nic takiego, co zawróciłoby bieg Tamizy. Wytropiliśmy najbliższego krewnego. Jakiś wujek mieszkający w Hampstead; Otto Harting. Przez pewien czas jego ojciec adopcyjny. Nie ma żadnych innych żyjących krewnych. Był zatrudniony w branży farmaceutycznej. To chyba jakiś alchemik. Ludowe lekarstwa, te rzeczy. Już nie żyje. Zmarł dziesięć lat temu. Był członkiem hampsteadzkiej komórki partii komunistycznej od czterdziestego pierwszego do czterdziestego piątego. Jedno skazanie za małe dziewczynki.

- Jak małe?

- A czy to ma znaczenie? Jego siostrzeniec Leo mieszkał z nim trochę. Coś tam mogło się przydarzyć. Stary mógł go wtedy nawet zwerbować, jak sądzę... Taka penetracja długoterminowa. To pasowałoby do schematu. Albo ktoś mu o tym przypomniał teraz. Pamiętaj, oni nigdy nie pozwalają odejść. Są zli jak katolicy.

Lumley nienawidził katolików.

- Jaki miał dostęp?

- To nie jest jasne. Jego funkcje wpisano na listę jako roszczenia i sprawy konsularne, cokolwiek to znaczy. Miał status dyplomatyczny i tyle. Był drugim sekretarzem. Wiesz, jak z tym jest. Nie do awansu, nie do zatrudnienia na etacie, bez prawa do emerytury. Kancelaria to była jego cała przestrzeń życiowa. Nie był dyplomatą we właściwym tego słowa znaczeniu.

- Miał fart.

Lumley udał, że tego nie słyszy.

- Fundusz reprezentacyjny - Lumley zajrzał do akt - sto cztery funty rocznie na pięćdziesięciu gości koktajlowych i trzydziestu czterech obiadowych. Do rozliczenia. Bardzo małe piwo. Zatrudniony na miejscu. Oczywiście, czasowo. Na dwadzieścia lat.

- To daje szesnaście do przejrzania.

- W pięćdziesiątym szóstym złożył podanie o zezwolenie na ślub z dziewczyną nazwiskiem Aickman. Margaret Aickman. Spotkał ją w wojsku. Najwiśdoczniej podanie nie zostało załatwione pozytywnie. Nie ma adnotacji o ślubie.

- Może przestali o to pytać. Czego dotyczą te zaginione akta?

Lumley zawahał się.

- Taki tam m iszmasz - powiedział od niechcienia - ogólny m iszmasz. Bradford usiłuje teraz sklecić listę. - Radio portiera znów ryknęło w korytarzu.

Turner podjął:

- Jaki m iszmasz?

- Polityczny - odparł Lumley. - To nie twoja działka.

* Masz na myśli, że nie wolno mi o tym wiedzieć?

- Mam na myśli, że nie jest ci to potrzebne. - Powiedział to całkiem swobodnie; świat Lumleya umierał i nie chciał, żeby ktoś jeszcze zachorował. - Wybrał dobry moment, trzeba powiedzieć - ciągnął. - Jak to się stało? Może po prostu złapał te akta i uciekł?

- Jakież kary?

- Nic wielkiego. Wplątał się w coś pięć lat temu w Kolonii. Bijatyka w nocnym klubie. Udało się to zatuszować.

- I nie wylali go?

- Lubimy dawać ludziom szansę. - Lumley wciąż tonął w aktach, ale w jego głosie pobrzmiwała ironia.

Miał ponad sześćdziesiątkę, szorstki głos i siwe włosy, szarą twarz, sowioszare ubranie; był zgarbiony i wyschnięty. Dawno temu był ambasadorem w jakimś małym państwie, ale nie utrzymał stanowiska.

- Masz codziennie do mnie telegrafować. Bradfield ci to ułatwi. Ale nie dzwoń do mnie, rozumiesz? Bezpośrednia linia to zagrożenie. - Zamknął teczkę. - Załatwiłem to z wydziałem do spraw Zachodu, a Bradfield z ambasadorem. Pozwolą ci działać pod jednym warunkiem.

- To ładnie z ich strony.

- Niemcy nie mogą się o tym dowiedzieć. Pod żadnym pozorem. Nie mogą się dowiedzieć, że uciekł; nie mogą się dowiedzieć, że go szukamy; nie mogą się dowiedzieć, że mamy przeciek.

- A jeśli chodzi o tajne materiały NATO? To tak samo ich działka, jak nasza.

- Decyzje w tej sprawie nie należą do ciebie. Masz instrukcje, żeby postępować delikatnie. Nie zadzieraj nosa. Jasne?

Turner nie odpowiedział.

- Masz nie przeszkadzać, nie drażnić ani nie obrażać. Oni tam balansują na ostrzu brzytwy; byle co może zachwiać równowagę. Dziś, jutro, w dowolnym czasie. Istnieje nawet niebezpieczeństwo, że Hunowie będą nas podejrzewać o podwójną grę z Rosjanami. Jeśli ten pomysł znajdzie posłuch, wszystko wywróci się do góry nogami.

- Ciężko będzie - Turner podchwycił styl Lumleya - zagrać singla z Hunami.

- Ambasada ma tylko jedno w głowie. Nie jest to Harting ani Karfeld, a na pewno nie ty. To Bruksela. Zapamiętaj to sobie. I lepiej potraktuj to poważnie, bo jak nie, to wylecisz na zbity pysk.

r- Dlaczego nie wyślecie Shawna? On jest taktowny. Oczaruje ich wszystkich.

Lumley pchnął notatki po blacie. Zawierały listę danych osobowych Hartinga.

- Bo ty go znajdziesz, a Shawn nie. Co nie znaczy, że cię za to podziwiam. Ściąłbyś las, żeby znaleźć żołędź, co? Czym się kierujesz? Czego szukasz? Jakiegoś cholernego absolutu. Jeśli jest coś, czego naprawdę nienawidzę, to cynik poszukujący Boga. Być może przydałaby ci się mała porażka.

- Mam ich mnóstwo wokół.

- Dostałeś wiadomość od żony?

- Nie.

- Wiesz, mógłbyś jej przebaczyć. Tak się kiedyś robiło.

- Jezu, ale z ciebie ryzykant - wyrzucił z siebie Turner. - Co ty, do diabła, wiesz o moim małżeństwie?

- Nic. I to właśnie sprawia, że czuję się upoważniony do dawania rad. Po prostu chciałbym, żebyś przestał nas wszystkich dręczyć dlatego, że nie jesteście doskonały.

- Coś jeszcze?

Lumley obejrzał go od stóp do głów, jak stary sędzia pokoju, któremu nie zostało już wiele spraw do rozstrzygnięcia.

- Jak ty łatwo kimś gardzisz - powiedział wreszcie. - Przerażasz mnie. Dam ci radę. Musisz zacząć lubić ludzi, zanim będzie za późno. Potrzebujesz nas, zanim umrzesz. Nawet jeśli jesteśmy w podrzędnym gatunku. - Wepchnął Turnerowi teczkę do ręki. — Idź już. Znajdź go. Ale nie myśl, że zerwałeś się ze smyczy. Na twoim miejscu pojechałbym nocnym pociągami. Przyjeżdża w porze obiadu. - Półprzymkniętymi żółtymi oczami zerknął w stronę zalanego słońcem parku. - Bonn to cholernie mgliste miasto.

- Poleciałbym, jeśli ci to nie sprawia różnicy.

Lumley powoli pokręcił głową.

- Nie możesz się doczekać, co? Nie możesz się doczekać, żeby położyć na nim łapę. Grzebiesz już kopytem? Boże, chciałbym mieć twój entuzjazm.

- Kiedyś miałeś.

- I spraw sobie garnitur. Spróbuj wyglądać jak należy.

- A nie wyglądam?

- Dobrze, dobrze - powiedział Lumley. Już go nic nie obchodziło. - Noś sobie swoją szmacianą czapkę. Myślałem, że twoja klasa cierpi na nadmiar uznania.

- Jest coś, o czym mi nie powiedziałaś. Na czym im bardziej zależy: na człowieku czy na aktach?

- Zapytaj Bradfielda - odparł Lumley, unikając jego wzroku.

Turner wrócił do swojego pokoju i wykręcił numer żony. Odebrała jej siostra.

- Wyszła - powiedziała.

- Chcesz powiedzieć, że nadal są w łóżku.

' - Czego chcesz?

- Powiedz jej, że wyjeżdżam z kraju.

Odłożył słuchawkę i znów usłyszał radio portiera. Jakaś stacja europejska ryczała z całą mocą. Dobrze wychowana dama czytała skrót wiadomości. Następny wiec Ruchu odbędzie się w Bonn; w piątek, za pięć dni.

Turner uśmiechnął się. To jak zaproszenie na herbatę. Zabrał torbę i wybrał się do Fulham, okolicy znanej z pensjonatów i żonatych mężczyzn unikających żon.

4

Grudniowe odnowy

De Lisie zabrał go z lotniska. Przyjechał nieco zbyt młodzieżowym sportowym samochodem, grzechoczącym po wilgotnym bruku wiosek. Chociaż samochód był całkiem nowy, lakier był już zgaszony klejem kasztanowców z wysadzanych drzewami alejek Godesbergu. Była dziewiąta rano, ale latarnie uliczne nadal płonęły. Po obu stronach, na płaskich polach wiejskie domy i nowe budynki w gospodarstwach unosiły się na pasmach mgły jak kadłuby rozbitych statków wyrzucone przez morze. Krople deszczu kłuły niską przednią szybę.

- Umieściliśmy cię w hotelu Adler; myślę, że to w porządku. Nie wiemy dokładnie, jakie diety wam przysługują.

- Co jest na tych plakatach?

- Och, prawie ich już nie zauważamy. Połączenie... sojusz z Moskwą... przeciw Ameryce... przeciw Wielkiej Brytanii.

- Miło wiedzieć, że jest się nadal w wielkiej lidze.

- Obawiam się, że trafisz na normalny boński dzień. Czasem mgła jest trochę zimniejsza - mówił radośnie de Lisie - wtedy nazywamy ją zimą. Czasem jest cieplejsza i to jest lato. Wiesz, co się mówi o Bonn: albo pada, albo szlabany kolejowe są zamknięte. W rzeczywistości, oczywiście, obie te rzeczy dzieją się naraz. Wyspa odcięta przez mgłę to właśnie my. To bardzo metafizyczne miejsce; marzenia zastąpiły tu rzeczywistość. Żyjemy pomiędzy niedawną przeszłością i niezbyt odległą przyszłością. Większość z nas odczuwa to tak, jakby była tu od zawsze.

- Czy za każdym razem przydzielają ci eskortę?

Czarny opel trzymał się o trzydzieści metrów za nimi. Ani się nie oddalał, ani nie zbliżał. Dwóch bladych mężczyzn siedziało z przodu, reflektory były włączone.

- Chronią nas. Teoretycznie. Może słyszałeś o naszym spotkaniu z Siebkronem? - Skręcili w prawo, a opel podążył za nimi. - Ambasador trochę się wściekł, ale oni mogą powiedzieć, że wydarzenia w Hanowerze potwierdzają słuszność ich postępowania: żaden Anglik nie jest bezpieczny bez ochrony osobistej. My widzimy to zupełnie inaczej. Może w piątek pozbędziemy się ich. Co słyhać w Londynie? Słyszałem, że Steed-Asprey dostał Limę.

- Tak, wszyscy się tym ekscytujemy.

Żółty znak drogowy powiedział, że do Bonn zostało sześć kilometrów.

- Powinniśmy objechać miasto, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Narazimy się na utknięcie w korku, jeśli będziemy chcieli wjechać i wyjechać. Sprawdzają paszporty i bagażniki.

- Zdawało mi się, że nie przejmujecie się Karfeldem.

- Wszyscy tak mówimy. To element naszej tutejszej religii. Przywykliśmy traktować Karfelda jak wysypkę, a nie epidemię. Będziesz się musiał do tego przyzwyczaić. Przy okazji, mam dla ciebie wiadomość od Bradfielda. Przeprasza, że nie mógł cię odebrać osobiście, ale ma teraz kupę zajęć.

Ostro skręcili z głównej drogi, zatrzęsło ich na szynach tramwajowych i wjechali w wąską, niezabudowaną uliczkę. Co jakiś czas plakat albo fotografia wyrastały przed nimi i śmigały w tył, we mgłę.

- Jak brzmią dokładnie słowa Bradfielda?

- Chodzi o to, co kto wie. Bradfield myśli, że chciałbyś to mieć od razu. Takie sprawozdanie, tak to chyba nazywacie?

- No, cóż, byłoby dobrze.

- Zniknięcie naszego przyjaciela zostało zauważone, ale tylko tyle - mówił de Lisie tym samym, przyjacielskim tonem. - To oczywiste. Ale na szczęście zdarzył się Hanover i mogliśmy to i owo ukryć. Oficjalnie, Rawley wysłał go na urlop ze względów rodzinnych. Publicznie nie rozwodził się nad szczegółami; napomknął tylko, że chodzi o problemy osobiste. Młodszy personel może sobie myśleć, co chce: załamanie nerwowe, kłopoty rodzinne; mogą sobie wymyślać własne plotki. Bradfield wspomniał o sprawie na porannym spotkaniu; wszyscy go poparliśmy. A co do ciebie...

-No?

- Ogólna inspekcja środków bezpieczeństwa w obliczu sytuacji kryzysowej? Jak ci się to podoba? Dla nas brzmi to całkiem przekonująco.

- Znałeś go?

- Hartinga?

- Tak. Znałeś go?

- Chyba tak - powiedział de Lisie, zatrzymując się na światłach. - Ale dajmy pierwszeństwo Rawleyowi, dobrze? Powiedz, co słyhać u naszych kochanych lordów Yorku?

- Kto to jest, do diabła?

- Och, przepraszam - powiedział de Lisie naprawdę speszony. - Tak tutaj nazywamy rząd. To było głupie z mojej strony.

Podjeżdżali do ambasady. Kiedy zboczyli na lewo, żeby zjechać z jezdni, czarny opel prześlizgnął się powoli obok, jak stara niania, która widzi, że dzieci znalazły się bezpiecznie po drugiej stronie drogi.

W korytarzu panował zamęt. Gońcy z depeszami mieszały się z dziennikarzami i policją. Żelazna krata, pomalowana ochronną warstwą pomarańczowej farby* odgradzała schody do piwnicy. De Lisie zaprowadził szybko gościa na pierwsze piętro. Ktoś musiał zadzwonić z recepcji, bo Bradfield już stał, gdy weszli.

- Rawley, to jest Turner - powiedział de Lisie, jakby niewiele mógł na to poradzić i dyskretnie zamknął drzwi z drugiej strony.

Bradfield był twardym, wstrzemięźliwym mężczyznąo cienkich kościach, dobrze zachowanym, w tym wieku i z tego pokolenia, które nie potrzebowało wiele snu. Ale stres ostatniej doby już dawał się dostrzec w niezwykłych dla niego sińcach pod oczami i nienaturalnie bladej cerze. Przyjrzał się Turnerowi dokładnie, bez komentarza: płócienna torba w zaciśniętej, ciężkiej pięści, spowiewany jasny garnitur, nieustępliwe, pospolite rysy. Przez chwilę zdawało się, jakby impuls niechcianego gniewu miał zburzyć jego zwykle opanowanie; jakaś obiekcja natury estetycznej, że coś tak nachalnie absurdałnego postawiono przed nim w takich czasach. Na zewnątrz, na korytarzu, Turner usłyszał przyciszony pomruk zaafierowanych głosów, stukot obcasów, szybszy stukot maszyny do pisania, tajemnicze pulsowanie maszyn szyfrujących, dochodzące z pokoju szyfrantów.

- Dobrze, że się zjawiłeś w tej niezręcznej sytuacji. Lepiej to wezmę. - Wziął od niego płócienną torbę i położył na krześle.

- Jezu, ale tu gorąco - powiedział Turner. Podszedł do okna, oparł łokiec o parapet i spojrzał na zewnątrz. Po prawej stronie, w oddali, jak gotyckie sny na tle bezbarwnego nieba, wznosiło się siedem wzgórz Kónigswinter obleczonych kredowobiałą cienką mgłą. Na dole widać było przytłumione lśnienie wody i cienie nieruchomych statków.

- On tam mieszkał, prawda? W Kónigswinter?

- Wynajmujemy parę domów na tamtym brzegu. Nikt nie ma na nie specjalnej ochoty. Ten prom jest bardzo niewygodny.

Na zdeptanym trawniku robotnicy pod czujnym okiem dwóch niemieckich policjantów rozbierali namiot.

- Myślę; że w takich wypadkach postępujesz rutynowo - mówił **Bradfield**, zwracając się do pleców Turnera. - Musisz nam powiedzieć, czego chcesz, a my dołożymy starań, żebyś to dostał.

- Jasne.

- Szyfranci mająpokój wypoczynkowy, w którym nikt ci nie będzie przeszkadzał. Polecono im, żeby wysyłali twoje telegramy bez czyichkolwiek ingerencji. Kazałem tam wstawić dla ciebie biurko i telefon. Poprosiłem też archiwum, żeby sporządziło listę brakujących akt. Jeśli potrzebowałbyś czegoś jeszcze, to de Lisie na pewno ci to załatwi. A co do spraw towarzyskich...

- Bradfield zawahał się. - Chciałbym cię zaprosić na jutro na kolację. Będzie nam bardzo miło. To zwyczajny boński wieczór. De Lisie na pewno pożyczyci ci garnitur.

- Działań rutynowych jest całe mnóstwo - odezwał się wreszcie Turner. Oparty o kaloryfer rozglądał się po pokoju. - W kraju takim, jak ten, wszystko powinno być proste jak drut. Trzeba wpaść na policję. Sprawdzić szpitale, domy opieki, więzienia, przytułki Armii Zbawienia. Rozesłać jego fotografię i rysopis i załatwić sprawę z lokalną prasą. Potem poszukam go osobiście.

- Poszukasz go? Gdzie?

- W innych ludziach. W jego kontaktach. Znajdę motywy, związki polityczne, kochanków, kochanki, kontakty. Kto jeszcze był w to wpłątany; kto coś wiedział; kto się domyślał; kto prawie, że się domyślał; kogo spotykał i gdzie; jak się komunikował; bezpieczne domy; skrzynki kontaktowe; od jak dawna to się dzieje. To nazywam szukaniem. Potem napiszę raport: wytknę błędy, narobię sobie nowych wrogów. - Nadal oglądał pokój i zdawało się, że pod jego jasnym, oceniającym okiem nic nie jest w porządku. - Tak wygląda rutynowe postępowanie. Oczywiście, w przyjaznym kraju.

- Większość z twoich propozycji jest tutaj nie do zaakceptowania.

- Naturalnie. Powiedział mi już o tym Lumley.

- Może zanim przejdziemy do ciągu dalszego, zacznijmy ode mnie.

- Nie krępuj się - powiedział Turner w-feki sposób, jakby chciał go specjalnie zirytować.

- Wyobrażam sobie, że w twoim świecie tajemnice to absolutny standard. Bardziej się liczą niż cokolwiek innego. Ci, którzy ich dochowują, są waszymi sprzymierzeńcami, ci którzy je wydają są waszą zwierzyną. To, co jest tutaj, to po prostu nie ten przypadek. Jeśli chodzi o stan obecny, kwestie związane z bezpieczeństwem zostały zdominowane przez okoliczności polityczne.

Niespodziewanie Turner uśmiechnął się.

- Zawsze tak jest - powiedział. - Zdziwiający.

- Tutaj, w Bonn, w chwili obecnej, musimy uczynić jedno: za wszelką cenę zyskać zaufanie i życzliwość rządu federalnego. Musimy umocnić ich zdecydowaną postawę wobec krytycyzmu ich własnego elektoratu. Koalicja

jest chora; najpospolitszy wirus jest w stanie ją zabić. Nasza praca przypomina rozpieszczanie inwalidy. Trzeba go pocieszać, zachęcać, a od czasu do czasu grozić mu i modlić się, żeby dożył czasu, gdy będzie mógł nas zobaczyć we Wspólnym Rynku.

- Cóż za rozkoszny obrazek. - Turner znów patrzył przez okno. - Jedy-ny sojusznik, jakiego mamy, a i ten chodzi o kulach. Dwóch chorych ludzi Europy wspiera się nawzajem.

- Czy ci się to podoba, czy nie, tak się składa, że to prawda. My tu gramy w pokera. Z odkrytymi kartami i bez atutów. Kredyt mamy wyczerpany, zapasy równe zeru. Ale nasz partner za to, że się uśmiechniemy, obstawia i gra. Ten uśmiech to wszystko, co mamy. Całość stosunków pomiędzy rządem Jej Królewskiej Mości a koalicją federalną opiera się na tym uśmiechu. Nasza sytuacja jest bardzo delikatna, i równie tajemnicza. I równie krytyczna. Cała nasza przyszłość w Europie rozstrzygnie się w ciągu najbliższych dziesięciu dni. - Przerwał, najwyraźniej czekając na to, co powie Turner. - To nie przypadek, że Karfeld wybrał przyszły piątek na swój wiec w Bonn. Do piątku nasi przyjaciele z niemieckiego rządu będą musieli zdecydować, czy ugiąć się pod naciskiem Francuzów, czy dotrzymać obietnic, które złożyli nam i swoim partnerom w Wielkiej Szóstce. Karfeld nie znosi Wolnego Rynku i woli otwarcie na Wschód. Krótkoterminowo skłania się ku Paryżowi, na dłuższą metę - ku Moskwie. Idąc na Bonn i wzmagając tempo kampanii, z rozmysłem wzmagając presję na koalicję w najbardziej krytycznym momencie. Rozumiesz?

- Daje sobie radę ze słowami - powiedział Turner. Portret królowej na kliszy kodaka wisiał dokładnie za głową Bradfielda. Jej herb był wszędzie: na krzesłach obitych niebieską skórą, na srebrnej cygarnicze, nawet na podkładkach do pisania rozłożonych na długim stole konferencyjnym. Wyglądało to tak, jakby monarchini przyleciała tu pierwszą klasą i zostawiła darmowe upominki.

- Właśnie dlatego proszę cię, żebyś postępował z największą ostrożnością. Bonn to wiocha - mówił Bradfield. - Maniery, wizja i rozmach jak przy studni gminnej, a jednak jest to państwo w granicach wioski. Nic się dla nas bardziej nie liczy niż zaufanie naszych gospodarzy. Już są oznaki, że ich urażiliśmy. Nawet nie wiem, jak to się stało. Ich zachowanie w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin stało się zauważalnie chłodne. Jesteśmy pod obserwacją; przerywa się nasze rozmowy telefoniczne. Mamy też ogromne problemy z oficjalnymi kontaktami na szczeblu ministerialnym.

- W porządku - powiedział Turner. Miał dość. - Zrozumiałem. Zostałem ostrzeżony. Poruszamy się po zaminowanym gruncie. I co teraz?

- Teraz to - wyrzucił z siebie Bradfield. - Obaj wiemy, kim Harting może być, albo był. Bóg wie, że są precedensy. Im większa zdrada, tym sytu-

acja bardziej kłopotliwa, tym bardziej nadweręza to zaufanie ze strony Niemców. Przyjmijmy, że stało się najgorsze. Gdyby udało się udowodnić - nie mówię, że tak jest, ale są pewne oznaki - gdyby udało się udowodnić, że z racji postępowania Hartinga w tej ambasadzie, nasze najważniejsze tajemnice przez wiele lat wydawane były Rosjanom - tajemnice, które w dużej mierze dzielimy z Niemcami - to nadwerężenie zaufania, choćby jego skutki okazały się błahe na dłuższą metę, może zerwać ostatnią nić, na której zawisała nasza wiarygodność. Czekaj. - Siedział wyprostowany przy biurku z wyrazem kontrolowanego niesmaku na przystojnej twarzy. - Słuchaj mnie uważnie. Tu jest coś, czego nie ma w Anglii. To się nazywa sojusz antysowiecki. Niemcy podchodzą do tego bardzo poważnie, a my pokpiiliśmy sprawę. A przecież to nadal jest nasz bilet do Brukseli. Przez dwadzieścia lat, albo i dłużej, przywdzialiśmy lśniącą zbroję obrońców. Możemy być bankrutami, możemy żebrać o pożyczki; od czasu do czasu możemy... reinterpretować... nasze zobowiązania sojusznicze w NATO; kiedy zagrzmia armaty, możemy nawet schować głowę w piasek; nasi przywódcy mogą być równie płytki jak ich przywódca.

Cóż takiego Turner usłyszał nagle w głosie Bradfielda? Obrzydzenie do siebie samego? Bezwzględna pewność własnego upadku? Bradfield mówił jak człowiek, który wypróbował już wszystkie lekarstwa i nie chce więcej słyszeć o lekarzach. Na chwilę przepaść między nimi zamknęła się i Turner usłyszał jakby własny głos, mówiący przez bońskąmgłę:

- Ale dysponujemy jedną, wielką, niezaprzeczalną siłą: kiedy ze Wscho du nadejdą barbarzyńcy, Niemcy mogą na nas liczyć. Armia Renu pospiesz nie zbierze się na wzgórzach Kent, a niezależny, brytyjski atomowy środek odstraszający zostanie wciągnięty do akcji. Widzisz więc, co może znaczyć Harting w rękach człowieka takiego jak Karfeld?

Turner wyjął czarny notes z wewnętrznej kieszeni. Trzasnął ostro, gdy go otwierał.

- Nie. Nie wiem. Jeszcze nie. Ty nie chcesz, żebym go znalazł, chcesz, żeby on zniknął. Gdybyś miał na to sposób, nie posyłałbyś po mnie. - Pokiwał głową z niechętnym podziwem. - Cóż, powiem ci coś: nikt jeszcze nie ostrzegął mnie tak wcześnie. Ledwie usiadłem, ledwie dowiedziałem się, jak ma na imię. Wiedziałaś, że w Londynie nie słyszeliśmy o nim? Nie miał do stępu do tajemnic, nawet do zwykłego wojskowego podręcznika; nie ma go na naszej liście. Mogli go uprowadzić. Mógł wpaść pod autobus, uciec i by łoby nam wszystko jedno. Ale ty! Ty naprawdę idziesz na całość, co? On wydaje się być taki, jak wszyscy szpiedzy. Więc co zwędził? Co wiesz, o czym ja nie wiem? - Bradfield usiłował mu przerwać, ale Turner wsiał na niego zaciekłe. - A może nie powinienem pytać? Przecież mam nikogo nie denerwować.

Patrzyli na siebie z wściekłością narosłych przez stulecia podejrzeń: Turner chytrze, drapieźnie i wulgarnie, kamiennym wzrokiem waźniaka; Bradford, z pozycji uciśnionego, ale nieponiżonego, skupiony, dobierał słowa, jakby były dla niego zrobione.

- Zniknęły nasze najtajniejsze akta. Wyparowały tego samego dnia, kiedy odszedł Harting. Opisują one wszystkie najdelikatniejsze rozmowy z Niemcami, formalne i nieformalne, w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Z przy czyn, które ciebie nie dotyczą, ich opublikowanie może nas zniszczyć w Brukseli.

Z początku pomyślał, że to ryk silników samolotu nadal dźwięczy mu w uszach, ale ruch uliczny w Bonn jest niezmienny jak mgła. Patrząc przez okno pomyślał nagle, że od tej chwili nie będzie mógł jasno słyszeć ani widzieć; że jego zmysły przyćmił mdły upał i ten bezcielesny dźwięk.

- Słuchaj - wskazał na swoją płócienną torbę. - Jestem jak niechciane dziecko. Nie chcesz mnie, ale musisz mnie mieć. Miła robotka bez konsekwencji, za to mi płacicie. W porządku, zrobię, co w mojej mocy. Ale zanim weźmiemy się do roboty, rozejrzyjmy się w tym, co mamy, w porządku?

I zaczął się katechizm.

- Nie był żonaty?

- Nie.

- Nigdy?

- Nie.

- Mieszkał sam?

- O ile wiem, tak.

- Kiedy go widziano ostatni raz?

— W piątek rano, na zebraniu kancelarii. Tutaj.

- Później już nie?

- Przypadkiem wiem, że płatnik go widział, ale wszystkich nie mogłem wypytywać.

- Czy zaginął ktoś jeszcze?

- Nie.

< - Masz wykaz urlopów? Jakaś długonoga sikorka z archiwum?

- Ludzie ciągle są na jakichś urlopach; nie ma takich, którzy byliby nieobecni i nieodnotowani.

- Dlaczego Harting nie wziął wolnego? Zazwyczaj tak robią. Należy zdradzać komfortowo, to moja rada.

- Nie mam pojęcia.

- Nie byłeś z nim blisko?

- Oczywiście, że nie.

- A co z jego przyjaciółmi? Co mówią?
- Nie ma przyjaciół, o których warto byłoby mówić.
- A ci, o których nie warto?
- O ile wiem, nie miał bliskich przyjaciół w naszym środowisku. Nie wielu z nas ich ma. Miewamy znajomych, ale nie przyjaciół. Tak to jest w ambasadach. Przy tak intensywnym życiu towarzyskim człowiek uczy się cenić prywatność.

- A Niemcy?
- Nie mam pojęcia. Był kiedyś w zażyłych stosunkach z Harrym Praschką.
- Praschko?
- Mamy tu opozycje parlamentarną: wolnych demokratów. Praschko jest jednym z ich najbarwniejszych członków. Często ze sobą przestawali; niezrządkiem towarzyszył mu w podróżach. W aktach jest notka, że kiedyś się przyjaźnili. Myślę, że poznali się w strefie okupacyjnej. Trzymamy tu wykaz przydatnych kontaktów. Kiedyś przepytalem go rutynowo w sprawie Praschki, a on powiedział mi, że przyjaźń się skończyła. Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

- Kiedyś był zaręczony i chciał poślubić dziewczynę nazwiskiem Margaret Aickman. Ten Harry Praschko miał ją rekomendować jako członek Bundestagu.

- I co?
- Nigdy nie słyszałeś o Aickman?
- Nic mi nie mówi to nazwisko.
- Margaret.
- Nigdy nie słyszałem o żadnych zaręczynach i nigdy nie słyszałem o tej kobiecie.

- Jakieś hobby? Fotografowanie? Znaczki? Radioamator? Turner przez cały czas zapisywał. Jakby wypełniał formularz.
- Był muzyczny. Grał na organach w kościele. Chyba miał kolekcję płyt gramofonowych. Musisz popytać wśród młodszego personelu; był z nimi w bliższych stosunkach.

- Nigdy nie byłeś u niego w domu?
- Raz. Na obiedzie.
- Czy przychodził do twojego?

W rytmie przesłuchania pojawiła się minimalna przerwa, Bradfield rozważał odpowiedź.

- Raz.
- Na obiedzie?
- Na drinku. Nie należał do tych, których zaprasza się na obiad. Przepraszam, jeśli uraziłem twoje wyczucie towarzyskie.
- Nie dysponuję czymś takim.

- A jednak ważne dla takiego faceta jak Harting. Czasem, kiedy się jest samotnym, pozostaje tylko to. Nie wiem, jak tacy faceci sobie radzą, a ty? Wiesz, ja bym nie mógł. Mogę wytrzymać jakieś parę tygodni. To jedyna możliwość, kiedy się żyje samotnie. A przynajmniej tak mi się zdaje. Nie licząc polityki, oczywiście.

- Polityka? Harting? Nie sądzę, żeby częściej niż raz na rok czytał gazetę. W takich sprawach był jak dziecko. Absolutnie niewinny.

- Oni często tacy są- powiedział Turner. - To ciekawe. - Usiadł znowu, założył nogę na nogę i odchylił się do tyłu, jak człowiek, któremu zebrało się na wspomnienia. - Znałem raz człowieka, który sprzedał prawo pierworództwa, bo nie mógł sobie znaleźć miejsca siedzącego w metrze. Zdaje mi się, że jest takich więcej, niż wylicza ich Biblia. Może na tym polegał jego problem? Nie miał prawa do uczestniczenia w obiadach, nie ma miejsca w pociągu. No i był zatrudniony na czas określony, prawda?

Bradfield nie odpowiedział.

- I był tutaj od dawna. Stały personel, te rzeczy. Nic ciekawego. Często upodabniają się do krajowców, jeśli pozostają za długo w jednym miejscu. Ale on przecież był krajowcem, prawda? W połowie. W połowie Hun, jak powiedziała by de Lisie. Nigdy nie mówił o polityce?

- Nigdy.

- Wyczuwałaś w nim żyłkę polityczną?

- Nie.

- Żadnych załamań? Napięć?

- Nie..

- A co z tą bójką w Kolonii?

- Jaką bójką?

- Pięć lat temu. W nocnym klubie. Ktoś nad nim popracował; był w szpitalu przez sześć tygodni. Udało się to zatuszować.

- To było przed moim przyjazdem.

- Dużo pił?

- Nic o tym nie wiem.

- Mówił po rosyjsku? Uczył się?

- Nie.

- Co robił z wolnymi czasem?

- Rzadko prosił o wolne. Jeśli tak, to chyba zostawał w domu, w Königswinter. Wydaje mi się, że zajmował się ogródkiem.

Przez dłuższą chwilę Turner otwarcie przyglądał się twarzy Bradfielda, szukając czegoś, czego nie był w stanie znaleźć.

- Nie pieprzył się na okrągło - powiedział. -Nie był pedałem. Nie miał przyjaciół, ale nie był odludkiem. Nie został zweryfikowany, a ty nie masz jego teczki personalnej. Był politycznym niewiniątkiem, ale udało mu się

położyć rękę na aktaekj które bardfco dużo dlaciebie znaczą;Nigdy nie ukradł pieniędzy, grał na organach w kościele, zajmował się ogródkiem i kochał bliźniego jak siebie samego. Czy tak? Nie był ani dobry, ani zły, do cholery. Więc kim był? Eunuchem ambasady? Czy w ogóle masz jakieś zdanie? - drwił, żeby pomóc cholernemu śledczemu w jego samotnym zadaniu?

Przy kamizelce Bradfielda wisiał łańcuszek od zegarka* złota nić, sym* boi cywilizowanego społeczeństwa.

- Zdaje się, że celowo tracisz czas na sprawy bez znaczenia. Nie mam czasu ani ochoty, żeby wziąć udział w twojej krętaekiej rozgrywce. Mimo że Harting był człowiekiem nic nieznaczącym, mimo że jego motyw y są niejasne, przez ostatnie trzy miesiące miał, niestety, dostęp do tajnych informacji. Uzyskał ten dostęp podstępem, więc proponowałbym, żebyś zamiast spekulować na temat jego skłonności seksualnych, zwrócił choć trochę uwagę na to, co ukradł.

- Ukradł? - powtórzył łagodnie Turner. - To śmieszne słowo - i zapisał je z celowaniedbałością, wielkimi, drukowanymi literami u góry strony. Boński klimat już wycisnął na nim swoje piętno: ciemne plamy potu pojawiły się na cienkim materiale koszmarne go garnituru. - W porządku - powiedział z nagłą zajadłością. - Marnuję twój cholerny czas. Zacznijmy od początku, żeby ustalić, dlaczego tak go kochasz.

Bradfield przyglądał się swojemu wiecznemu pióru. Mógłbyś być pedalem, mówił wyraz twarzy Turnera, gdybyś nie kochał bardziej honoru.

- Czy mógłbyś przetłumaczyć to na angielski?

- Opowiedz mi o nim z twojego punktu widzenia. Na czym polegała jego praca, jaki był.

- Jego jedynym zadaniem, gdy tutaj przybyłem, była obsługa roszczeń niemieckich cywilów wobec Armii Renu. Szkody w zbiorach dokonane przez czołgi; zabłąkane kule ze strzelnicy; bydło i owce zabite podczas manewrów. Odkąd skończyła się wojna, roszczenia wobec mocarstw okupacyjnych stanowiły całą gałąź przemysłu w Niemczech. Gdy dwa i pół roku temu przejąłem kancelarię, zdążył już uwić sobie gniazdko.

- Masz na myśli, że był specjalistą.

- Jak wolisz.

- Twoje określenia budzą emocje. Rozpraszają mnie. Nie mogę go nie polubić, kiedy tak mówisz.

- Więc jeśli wolisz, roszczenia były jego *mitier*. To, przede wszystkim, dawało mu miejsce w ambasadzie; znał swój fach na wylot; zajmował się tym przez wiele lat na różnych szczeblach kompetencji. Najpierw dla komisji kontrolnej, potem dla wojska.

- A co robił przedtem? Wyszedł z wojska w czterdziestym piątym.
- Wyszedł, oczywiście. Jako sierżant, czy coś w tym rodzaju. Jego status uległ wtedy zmianie, został współpracownikiem cywilnym. Nie mam pojęcia, co robił. Myślę, że w Ministerstwie Obrony będą mogli ci powiedzieć.
- Nie będą mogli. Próbowałem też w starych archiwach komisji kontrolnej. Obłożyli ją naftaliną, żeby zachować dla potomności. Wygrzebanie jego akt zajmie im tygodnie.
- Tak czy owak, dobrze wybrał. Póki jednostki brytyjskie stacjonowały w Niemczech, poty były manewry i niemieccy cywile domagali się odszkodowań. Można powiedzieć, że zajęcie, chociaż wymagające specjalizacji, zapewniała mu nasza zbrojna obecność w Europie.
- No, nie dałbym za to wiele - powiedział Turner z niespodziewanie zaraźliwym uśmiechem, ale Bradfield go zignorował.
- Spisywał się bardzo dobrze. Więcej niż bardzo dobrze; naprawdę był świetny. Nauczył się gdzieś prawa niemieckiego i wojskowego też. Miał dar uczenia się.
- Złodziej - podpowiedział Turner, patrząc na niego.
- Kiedy miał wątpliwości, mógł się odwołać do attache prawnego. To nie było łatwe działać jako pośrednik między niemieckimi rolnikami a armią brytyjską, wygładzać kanty, trzymać prasę z dala. Wymagało pewnego instynktu. On go miał - i Bradfield dodał z nieskrywaną pogardą - w swojej klasie był zręcznym negocjatorem.
- Ale to nie była twoja klasa, prawda?
- Niczyja - odparł Bradfield, omijając insynuację. - Działał samotnie. Moi poprzednicy uznali, że lepiej zostawić go w spokoju, a kiedy przejąłem obowiązki, nie widziałem powodu, żeby to zmieniać. Podlegał kancelarii, więc mogliśmy objąć go swego rodzaju kontrolą, nic więcej. Przychodził na poranne spotkania, był punktualny, nie sprawiał kłopotów. Do pewnego stopnia go lubiano, ale mu nie ufano. Nigdy nie mówił poprawną angielszczyzną. Na pewnym poziomie udzielał się towarzysko, głównie w ostatnich ambasadach. Mówiono, że dobrze sobie radził z tymi z Ameryki Południowej.
- Podróżował służbowo?
- Często i daleko. Po całych Niemczech.
- Sam?
- Tak.
- I znał wojsko na wylot: otrzymywał raporty z manewrów; znał nastroje, siłę, wiedział wszystko, zgadza się?
- Wiedział znacznie więcej niż to; słyszał plotki w kantynach w całym kraju; w wielu ćwiczeniach brali udział wszyscy sojusznicy. W niektórych przeprowadzano eksperymenty z nowymi rodzajami broni. A ponieważ one

też wyrządzały szkody, musiał poznać zakres ich działania. Jest mnóstwo luźnych informacji, do których mógł mieć dostęp.

- Sprawy NATO?
- Głównie.
- Od kiedy się tym zajmował?
- O ile wiem, od czterdziestego ósmego albo dziewiątego. Nie mogę powiedzieć bez odwoływania się do akt, od kiedy Brytyjczycy zaczęli płacić odszkodowania.

- Powiedzmy, mniej więcej dwadzieścia jeden lat.

- Też to sobie wyliczyłem.

- Nieźle, jak na tymczasowo zatrudnionego.

- Mogę mówić dalej?

- Jasne, wal - powiedział Turner serdecznie i pomyślał: gdybym był na twoim miejscu, wyrzuciłbym za to siebie samego.

- Taką sytuację zastałem, gdy przejąłem stanowisko. Był na kontrakcie, jego zatrudnienie było co rok odnawiane. Każdego roku w grudniu jego kontrakt odsyłano do odnowienia, i co grudzień zalecano ponowne podpisanie. Tak się sprawy miały jeszcze przed osiemnastoma miesiącami.

- Kiedy Armia Renu wycofała się z Niemiec.

- Wolimy mówić, że Armia Renu zwiększyła naszą rezerwę strategiczną w Zjednoczonym Królestwie. Musisz pamiętać, że Niemcy nadal płacą koszty jej utrzymania.

- Będę pamiętał.

- W każdym razie, w Niemczech pozostały tylko jednostki kadrowe. Wycofanie wojsk nastąpiło niespodziewanie; chyba wszyscy byliśmy tym zaskoczeni. Pojawiły się spory na temat umowy wyrównawczej, były zamieszki w Minden. Ruch właśnie się rodził, szczególnie studenci zaczęli być bardzo hałaśliwi; oddziały stały się dla nich prowokacją. Decyzję podjęto na najwyższym szczeblu; nawet nie konsultowano jej z ambasadorem. Przyszedł rozkaz i w ciągu miesiąca Armia Renu zniknęła. W tym czasie robiliśmy u siebie wiele cięć. Ostatni krzyk mody w Londynie. Wyrzucali ludzi z pracy i nazywali to oszczędnością. - Turner znów dostrzegł w Bradfeldzie wewnętrzną gorycz, skandal rodzinny, do którego nie dopuszcza się gości.

- A Harting został bez grosza przy duszy.

- Od jakiegoś czasu, bez wątplenia, widział, skąd wieje wiatr. Ale to nie zmniejszyło wstrząsu.

- Nadal był zatrudniony tymczasowo?

- Oczywiście. Jego szanse na etat, o ile kiedykolwiek istniały, zmały błyskawicznie. W chwili, gdy stało się jasne, że Armia Renu musi się wycofać, pojawiło się zagrożenie. Uznałem, że byłoby poważnym błędem zawieranie z nim jakiegokolwiek stałej umowy.

- Tak-powiedział Turner. - Rozumiem.
 - Łatwo powiedzieć, że potraktowano go niesprawiedliwie - stwierdził Bradfield. - Ale równie zasadnie można powiedzieć, że miał cholernie dużo okazji, żeby zarobić. - Oskarżenie przebijało się jak plama, choćby nie wiem jak je tłamsił.
 - Powiedziałeś, że obracał państwowymi pieniędzmi. - Turner pomyślał: tak robią lekarze. Sondują, dopóki nie są w stanie postawić diagnozy.
 - Od czasu do czasu przekazywał wojsku czeki. Był jakby listonoszem, to wszystko. Pośrednikiem. Wojsko podejmowało pieniądze, Harting przekazywał je i otrzymywał kwit. Sprawdziałem regularnie jego rozliczenia. Jak wiadomo, audytorzy wojskowi są niezwykle podejrzliwi. Nie było żadnych nieprawidłowości. System był nie do oszukania.
 - Nawet dla Hartinga?
 - Nie o tym mówię. Nawiasem mówiąc, żył całkiem wygodnie. Nie sądzę, żeby był sknerą; nie odniosłem takiego wrażenia.
 - A czy żył ponad stan?
 - Skąd mam wiedzieć, jakimi środkami dysponował? Jeśli żył za to, co tutaj dostawał, to żył stosownie do zarobków. Jego dom w Königswinter był dość duży; z pewnością powyżej jego rangi. Myślę, że utrzymywał tam pewien komfort.
 - Rozumiem.
 - Ostatniej nocy postanowiłem sprawdzić, ile dostawał w gotówce przez ostatnie trzy miesiące przed odejściem. W piątek, po spotkaniu w kancelarii, podjął siedemdziesiąt jeden funtów i cztery pensy.
 - Cholernie dziwna suma.
 - Przeciwnie, bardzo logiczna suma. W piątek był dziesiąty dzień miesiąca. Pobrał dokładnie jedną trzecią miesięcznej gaży i diet, pomniejszone o podatek, ubezpieczenie, potrącenia i prywatne rozmowy telefoniczne. - Przerwał. - To ten aspekt jego zachowania, który być może niedostatecznie podkreśliłem: był bardzo samowystarczalnym człowiekiem.
 - Chciałeś powiedzieć-jest.
 - Nigdy nie przyłapałem go na kłamstwie. Wygląda na to, że gdy postanowił odejść, wziął to, co mu się należało i nic więcej.
 - Są tacy, którzy nazwaliby to honorowym postępkim.
 - Że się nie kradnie? Ja nazwałbym to ujemnym osiągnięciem. Mógł przecież wiedzieć, znał się trochę na prawie, że kradzież uzasadniłaby włączenie niemieckiej policji do sprawy.
 - Wielkie nieba - powiedział Turner, przyglądając mu się uważnie. - Nawet nie próbujesz wystawić mu stopnia za zachowanie.
- Panna Peate, osobista sekretarka Bradfelda, przyniosła kawę. Była kobietą w średnim wieku, skromnie ubraną, zapiętą pod szyję i pełną dezaprobaty.

Wyglądało, że wie, skąd przybył Turner, bp obdarzyła go spojrzeniem pełnym królewskiej pogardy. Zauważył z przyjemnością, że to jego buty drażnią ją najbardziej i pomyślał: dobrze, do cholery po to są takie buty.

Bradfield mówił dalej:

- Armia Renu wycofała się po krótkim okresie wypowiedzenia i Harting został bez pracy. W tym sedno sprawy.

- I bez dostępu do akt natowskiego wywiadu wojskowego? To chcesz powiedzieć?

- Taka jest moja hipoteza.

- Aha - powiedział Turner, udając, że nagle go oświeciło i zapisał pracowicie w notatniku *hipoteza*, jakby był to nowy wyraz.

- W dniu, w którym Armia Renu wyszła z Niemiec, Harting przybył na spotkanie ze mną. To było prawie półtora roku temu.

Umilkł, dopadły go wspomnienia.

- Jest taki pospolity - powiedział wreszcie w chwili niezwykłej dla niego łagodności. - Rozumiesz? Tak całkowicie banalny. - Wyglądało, jakby nadal go to dziwiło. - Łatwo o tym teraz zapomnieć: tę jego nieważkość.

- Już nigdy taki nie będzie - powiedział niedbale Turner. - Lepiej przyzwyczaj się do tej myśli.

- Wszedł; wyglądał blado, to wszystko. Poza tym wcale się nie zmienił. Usiadł na tamtym krześle. To jego poduszka, tak na marginesie. - Pozwolił sobie na nieprzyjemny uśmiezek. - Ta poduszka to było roszczenie terytorialne. Był jedynym członkiem kancelarii, który zarezerwował sobie miejsce.

- I jedynym, który mógł je stracić. Kto ją wyszywał?

- Nie mam pojęcia.

- Czy miał gosposię?

- Nic o tym nie wiem.

- W porządku.

- Nie powiedział w ogóle nic na temat swojej nowej sytuacji. Pamiętam, że w archiwum słuchali wtedy radia. Pułki załadowywały się do pociągów.

- Dla niego była to ciężka chwila.

- Myślę, że tak. Zapytałem, co mogę dla niego zrobić. Odparł, że chce być użyteczny. To wszystko było bardzo stonowane, delikatnie powiedziane. Przypomniał, że Miles Gaveston jest przeciążony, w związku z niepokojami w Berlinie, ze studentami z Hanoweru i innymi napięciami, może byłby w stanie pomóc? Zwróciłem mu uwagę, że nie ma kwalifikacji do zajmowania się sprawami wewnętrznymi; były zarezerwowane dla stałych pracowników

kancelarii. Ależ nie, odpowiedział nie to miał na myśli, Nawet przez chwilę nie miał zamiaru wkraczać na teren naszych głównych zadań. Ale pomyślał sobie: Gaveston ma jedno, może dwa dodatkowe zajęcia, czy nie mógłby ich przejąć? Myślał na przykład o Towarzystwie Angielsko-Niemieckim, które jest w stanie uspienia, ale mimo to wymaga prowadzenia korespondencji na niskim szczeblu. No i dział osób zagnionych: czy nie mógłby przejąć paru spraw z tej dziedziny, żeby odciążyć bardziej zajętych urzędników kancelarii? W tym był jakiś sens, musiałem to przyznać.

- Więc powiedziałaś: tak.
- Zgodziłem się. Oczywiście wyłącznie na jakiś czas. Rzecz jasna, była to umowa tymczasowa. Zatrudnienie na czas określony. Powiedziałem że powiadomimy go w grudniu o zbliżającym się rozwiązaniu kontraktu; do tego czasu może się zajmować różnymi sprawami mniejszej wagi, które dla siebie znajdzie. Byłem głupi że go wysłuchałem.

- Ja tego nie powiedziałem.

- Nie musiałeś. Dałem mu palec, a on wziął całą rękę. W ciągu miesiąca zebrał wszystko; wszystkie odpady pracy kancelaryjnej, cały kram związany z ambasadą: osoby zaginione, petycje do królowej, niezapowiedziani goście, oficjalne wycieczki, Towarzystwo Angielsko-Niemieckie, obraźliwe listy, groźby, wszystko, czego kancelaria nie traktowała pierwszoplanowo. W ten sam sposób rozwinął swoje talenty na polu towarzyskim. Kościół, chór, komitet piknikowy, komitet sportowy. Założył nawet kasę oszczędnościową. W pewnym momencie poprosił, żeby wolno mu było używać tytułu „konsularny” i ja się zgodziłem. Rozumiesz, my tu nie mamy zadań konsularnych; wszystko idzie do Kolonii. - Wzruszył ramionami. - Do grudnia stał się niezastąpiony. Przedłużono mu kontrakt. - Podniósł wieczne pióro i patrzył na stalówkę. - I to ja go przedłużyłem. Dałem mu jeszcze jeden rok.

- Dobrze go traktowałeś - powiedział Turner, wpatrując się w Bradfiel-
da. - Naprawdę, byłeś dla niego wyjątkowo łaskawy.

- Nie miał tu stabilnej pozycji, żadnego oparcia. Był na wylocie i wiedział o tym. Myślę, że to odegrało jakąś rolę. Mamy skłonność bardziej dbać o ludzi, których łatwo możemy się pozbyć.

- Żal ci go było. Czemu tego nie przyznasz? To całkiem racjonalny powód, na litość boską.

- Tak. Chyba tak. Za pierwszym razem było mi go żal. - Uśmiechał się, ale był to uśmiech politowania nad własną głupotą.

- Czy dobrze pracował?

- Był niekonwencjonalny, ale skuteczny. Wolał telefon od słowa pisanego, ale to było zrozumiałe; nie miał wprawy w pisaniu. Angielski nie był jego językiem ojczystym. - Wzruszył ramionami. - Dałem mu jeszcze jeden rok - powtórzył.

- Który skończył się w grudniu. To jak licencja. Licencja na pracę, na bycie jednym z nas. -Nadal obserwował Bradfielda. - Licencja na szpiegowanie. A ty odnowiłeś ją powtórnie.

- Tak.

- Dlaczego?

Turner znów dostrzegł wahanie, które mogło oznaczać tylko jedno, że coś się chce ukryć.

- Nie było ci go żal, prawda? Tym razem już nie?

- Moje odczucia są nieistotne. Bradfield odłożył z trzaskiem pióro. - Powody, dla których go zatrzymano, były całkowicie obiektywne.

- Nie mówię że nie były. Ale przecież nadal mogło ci go być żal.

- Mieliśmy za mało ludzi i za dużo pracy. Inspektorzy, wbrew moim usilnym radom, zmniejszyli liczbę zatrudnionych o połowę. Diety zostały zmniejszone o pięćdziesiąt procent. Nie tylko Europa trwała w ciągłym ruchu. Nigdzie nie zostało już nic danego raz na zawsze. Rodezja, Hongkong, Cypr... wojska brytyjskie biegły z jednego miejsca na drugie, próbując ugasić pożar. Byliśmy w połowie drogi do Europy i w połowie drogi do wyjścia z niej. Mówiło się o Federacji Nordyckiej, Bóg jeden wie, co za idiota to wymyślił! - oznajmił Bradfield ze skrajną pogardą. - Badaliśmy grunt w Warszawie, Kopenhadze i Moskwie. A to spiskowaliśmy przeciwko Francuzom, a to do spółki z nimi. Wykrzesaliśmy z siebie wystarczająco dużo energii, żeby posłać na złom trzy czwarte marynarki wojennej i dziewięć dziesiątych niezależnych środków odstraszania. To był dla nas najgorszy czas; czas największego upokorzenia. Mieliśmy wtedy najwięcej roboty. A ukoronowaniem był Karfeld, który właśnie objął przywództwo nad Ruchem.

- Więc Harting powtórzył to samo.

- Nie to samo.

- To znaczy?

Pauza.

- Jemu chodziło o jakiś cel. Był zaniepokojony. Wyczułem to i nic nie zrobiłem. I to jest moja wina. Wiedziałem o jego nowym nastroju i nie sprawdziłem, o co chodzi. Przypisałem to ogólnemu stanowi napięcia w którym żyliśmy wszyscy. Teraz zdaję sobie sprawę, że rozgrywał swoją najważniejszą grę.

- Tak?

- Zaczął od tego, że czuje się niedociążony pracą. Miał dobry rok, ale myśli, że mógłby zrobić więcej. To był zły czas, a on chciałby mieć świadomość, że pomaga wyjść na spokojne wody. Zapytałem, co ma na myśli. Powiedział: no cóż, nadszedł grudzień - nigdy bardziej dosłownie nie odniósł się do sprawy swojego kontraktu - i że zastanawiał się nad przeglądem osobowym.

- Nad czym?

- Nad biografiami wybitnych osób niemieckiego świata. Naszym poufny *Who is Who*. Sporządzamy to co roku, każdy z nas dodaje coś o Niemcach, z którymi ma do czynienia. Radcy handlowi piszą o swoich kontaktach handlowych, ekonomiści o ekonomistach, attache, prasa, informacja - każdy dodaje swoje. Większość materiału jest niepochlebna; część pochodzi z tajnych źródeł.

- A kancelaria to wydaje?

- Tak. I znów dobrze trafił. Był to; jeszcze jeden ze zmundnych obowiązków kolidujących z naszymi właściwymi zadaniami. Mieliliśmy zaległości. De Lisie, który powinien się tym zająć, był w Berlinie. Sprawa stała się kłopotliwa.

- I dałeś mu tę pracę.

- Tak, jako kontrakt na czas określony.

- Do następnego grudnia na przykład?

- Na przykład. Łatwo teraz domyślać się, po co mu była potrzebna właśnie ta praca. Przegląd dawał mu wejście do wszystkich części ambasady. To sprawa międzywydziałowa. Obejmuje wszystkie sprawy federalne: przemysłowe, wojskowe, administracyjne. Gdy zajął się przeglądem, mógł odwiedzać kogo tylko chciał i nikt go o nic nie pytał. Mógł wyciągać akta z dowolnego archiwum: handlowego, ekonomicznego, marynarki, wojska, obrony - wszystkie drzwi stały przed nim otworem.

- I nigdy nie przemknęła ci myśl o jego weryfikacji?

Samokrytycyzm powrócił:

- Nigdy.

- Cóż, wszyscy mamy takie momenty - powiedział spokojnie Turner. - I w taki sposób uzyskał dostęp?

- Jest jeszcze coś.

^ Jeszcze coś? Przecież już jest mnóstwo, prawda?

- Mamy tu nie tylko archiwalia; dysponujemy również programem ich niszczenia. Prowadzony jest od lat. Chodzi o to, żeby w archiwum nie zabrakło miejsca na nowe teczki i żeby pozbyć się starych, których już nie potrzebujemy. To wygląda trochę na projekt czysto teoretyczny i pod wieloma względami tak jest. Czasami jednak tak się składa, że program funkcjonuje. Jest jasno określony limit oszczędnościowy na papier przysługujący archiwum i papier, który można w nim składować. Problem przypomina perpetuum mobile: nieustannie wytwarzamy więcej papieru, niż jesteśmy w stanie zużyć. I oczywiście to jeszcze jedna z tych prac, które podejmujemy i które porzucamy, w zależności od tego, na co pozwala nam czas; kolejne przekleństwo. Zwykle się o tym zapomina, potem ministerstwo pisze list z pytaniami o najnowsze statystyki. - Wzruszył ramionami. - Jak powiedziałem, to bardzo proste. Nie możemy w nieskończoność, nawet w pomieszczeniach tych rozmiarów, wytwarzać więcej akt, niż jesteśmy w stanie zniszczyć. Archiwum i tak pęka w szwach.

- Więc Harting zaproponował siebie do tego zadania.
- Właśnie.
- A ty się zgodziłeś.
- Zawarłem z nim kontrakt na czas określony. Miał spróbować sił i zobaczyć, jak mu idzie. Pracował nad tym pięć miesięcy. Jeśli będzie miał wątpliwości, powiedziałem, niech się skonsultuje z de Lisle'em. Nigdy tego nie robił.
- Gdzie właściwie wykonywał pracę? W swoim pokoju?

Bradfield jakby się zawahał.

- W archiwum kancelarii, gdzie są trzymane najbardziej tajne akta. Miał upoważnienie do wejścia do skarbcza. Mógł wynosić wszystko, co chciał, byle nie przesadzał. Nie ma nawet spisu rzeczy, do których zaglądał. Brakuje też kilku listów; archiwariusz zapozna cię ze szczegółami.

Turner powoli wstał, otrząpał ręce, jakby miał na nich piasek,

- Z czterdziestu kilku brakujących teczek, osiemnaście wyjęto z archiwum osobowego. Zawierają najtajniejsze materiały na temat wysoko postawionych polityków niemieckich. Staranna lektura może wskazać nasze najistotniejsze źródła. Reszta to dokumenty „ściśle tajne” i obejmujące angielsko-niemieckie porozumienia w różnych sprawach: tajne traktaty, tajne kodycyłe do ogłoszonych umów. Jeśli chciał nas postawić w trudnym położeniu, nie mógł lepiej wybrać. Niektóre z akt traktują o sprawach jeszcze z czterdziestego ósmego albo czterdziestego dziewiątego roku.

- A ta jedna, specjalna teczka? *Rozmowy Oficjalne i Nieoficjalne*?

- Nazywamy ją zieloną. To przedmiot procedur specjalnych.

- Ile takich „zielonych” teczek jest w ambasadzie?

- Tylko ta jedna. W czwartek rano była jeszcze na miejscu w skarbcu archiwum. Archiwariusz spostrzegł jej brak w czwartek wieczorem i pomyślał, że ktoś z niej korzysta. W sobotę rano zaczął się poważnie niepokoić. W niedzielę zameldował mi o zagubieniu.

- Powiedz mi - odezwał się wreszcie Turner - co się z nim działo w ciągu ostatniego roku? Co się tutaj działo pomiędzy grudniami? Nie licząc oczywiście Karfelda.

- Nic szczególnego.

- Więc dlaczego przestał ci się podobać?

- Nie przestał - odparł z pogardą Bradfield. - Nigdy nie żywiłem do niego żadnych uczuć, nie było więc problemu. Tyle że w ubiegłym roku zacząłem rozumieć jego technikę. Zrozumiałem, jak manipuluje ludźmi, jak umiejętnie się wkręca. Przejrzałem go, tylko tyle.

Turner nie odwracał wzroku.

- I co zobaczyłeś?

Głos Bradfelda był rzeczowy jak wzór matematyczny.

- Fałsz. Zdaje mi się, że już z tym mówiliśmy.

Turner wstał.

- Zacznę od jego pokoju.
- Straż kancelarii ma klucze. Oczekują cię. Pytaj o Macmullena.

^ Chcę zobaczyć jego dom, poznać przyjaciół, sąsiadów. Jeśli to będzie potrzebne, porozmawiam z jego zagranicznymi kontaktami. Stłukę całą porcelanę, którą będę musiał stłuc. Ani mniej, ani więcej. Jeśli ci się to nie podoba, powiedz ambasadorowi. Kto jest archiwariuszem?

- Meadows.
- Arthur Meadows?
- Zdaje się, że tak.

Coś go tknęło: jakaś niechęć, jakiś cień niepewności, mdły ton zupełnie nie pasujący do wszystkiego, co działo się wcześniej.

- Meadows był w Warszawie, prawda? -

Tak.

- I Meadows ma listę brakujących teczek?
- I listów.

- A Harting pracował, oczywiście, u niego.
- Oczywiście. Czeka na twoją wizytę.

- Najpierw obejrzę jego pokój. - To było postanowienie, które właśnie podjął.

- Jak sobie życzysz. Wspominałeś, że odwiedzisz także jego dom...

- I co?

- Obawiam się, że teraz to niemożliwe. Od wczoraj jest pod ochroną policji.

- Czy tak jest wszędzie?

- Co?

- Czy wszędzie jest ochrona policji?

- Siebkron nalegał na to. Nie mogę się z nim spierać.

- Pilnuje wszystkich wynajmowanych nieruchomości?

- Zasadniczo tych ważniejszych. Myślę, że włączyli dom Hartinga, bo leży daleko.

- Jakoś nie wydajesz się przekonany.

- Nie znam innego powodu.

- A co z ambasadami zza żelaznej kurtyny, czy Harting kręcił się przy nich?

- Czasem chodził do Rosjan, nie umiem powiedzieć jak często.

- A ten Prashko, ten jego przyjaciel? Powiedziałeś, że razem podróżowali.

- To było piętnaście lat temu.

A kiedy znajomość się skończyła?

- To jest w teźce. Jakieś pięć lat temu.

- Wtedy, kiedy była ta bójka w Kolonii. Może bił się z nim.

- Wszystko jest możliwe.
- Jeszcze jedno pytanie.
- Słucham.
- Ten jego kontrakt. Gdyby wygasł... powiedzmy w ostatnią środę?
- Tak?
- Czy odnowiłbyś go? Znowu?
- Mamy potwornie dużo pracy. Tak, odnowiłbym.
- Musisz za nim tęsknić.

De Lisie otworzył drzwi. Jego delikatna twarz była wymizerowana i uroczysta.

- Dzwonił Ludwig Siebkron: centrala otrzymała polecenie, żeby cię nie łączyć. Rozmawiałem z nim osobiście.

- I co?

- Rozmawialiśmy o tej bibliotekarce, Eich: to ta kobieta, którą pobito w Hanowerze.

- O co chodzi?

- Godzinę temu umarła.

Bradfield w milczeniu rozważał wiadomość.

- Dowiedz się, gdzie jest pogrzeb. Ambasador musi zrobić jakiś gest; raczej telegram do rodziny niż kwiaty. Nic rzucającego się w oczy, tylko wyrazy najgłębszego współczucia. Porozmawiaj w biurze Priveta, oni znają odpowiednie formuły. I coś od Towarzystwa Angielsko-Niemieckiego. Najlepiej, jeśli sam się tym zajmiesz. I wyślij telegram do Stowarzyszenia Bibliotekarzy; dopytywali się o nią. Zadzwoń, proszę, do Hazel i powiedz jej o tym, dobrze? Prosiła, żeby ją na bieżąco informować.

Był opanowany, trzymał się świetnie.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebował - zwrócił się do Turnera - powiedz to de Lisle'owi.

Turner patrzył na niego.

- Jeśli będziesz miał czas, oczekujemy cię jutro wieczorem. Za pięć ósma? Niemcy są bardzo punktualni. Zazwyczaj zbieramy się, zanim przyjdą. A jeśli wybierasz się do jego pokoju, to może zabierz tę poduszkę. Nie widzę powodu, żeby ją tutaj trzymać.

Albinos Córki ochylony nad maszyną szyfrującą, wyciągałne paski pomiędzy wałków, gdy usłyszał stukanie. Szybko... podniósł oczy na potężną postać stojącą w drzwiach.

- To moja torba. Niech tu leży, wpadnę później....

- Jasne - powiedział Cork i pomyślał: ...

cały ten zwariowany ...

chwila, biedna kobiecina z Hanoweru wyciągnęła kopyta, a on wylądował z pomyłecem w jednym pokoju. Nie była to jego jedyna zgryzota. Strajk w niemieckim przemyśle stalowym rozszerzał się coraz bardziej. Gdyby pomyślał o tym w piątek, a nie w sobotę, mały skok w bok ze szwedzką stalą przyniósłby cztery szylingi od funta w ciągu trzech dni; a pięć procent za dzień, w przegrywanej przez Córka bitwie z jego urzędniczą pensją to był budulec, z którego robi się wille nad Adriatykiem, *ściśle tajne* przeczytał ze znużeniem, *do rąk Bradfielda, osobiście odszyfrować*: Jak długo to jeszcze potrwa? Capri... Kreta... Spetsai... Elba... „Daj mi wyspę”, zaśpiewał wysokim głosem w rytmie muzyki pop.

- Miał też ambicję, żeby wydawać własne single. Daj mi wyspę, każdą wyspę, byle nie Bonn.

5 John

Gaunt

Tłum w korytarzu przerzedził się. Pocztowy zegar nad zapieczętowaną windą wskazywał dziesiątą trzydzieści pięć. Ci, którzy nie odważyli się pójść do stołówki, zgromadzili się przy recepcji. Straż kancelarii przygotowała poranną herbatę, a oni pili i rozmawiali przyciszonymi głosami, aż usłyszeli zbliżające się kroki. Miał metalowe podkówki pod obcasami i echo odbijało się od ścian z fałszywego marmuru jak wystrzał na strzelnicy. Gońcy, z niezawodnym wyczuciem autorytetu, ostrożnie odstawili filiżanki i zapięli guziki mundurów.

- Macmullen?

Stał na najniższym stopniu, jedną ręką opierał się ciężko o balustradę, w drugiej ścisnął haftowaną poduszkę. Po jego obu stronach rozbiegały się korytarze, w których straszyły żelazne kraty i chromowane filary. Cisza stała się nagle wyczuwalna, sprawiała, że wszystko, co do tej pory się działo, było głupstwem,

Macmullen nie ma służby, sir. Pojechał do sklepu NAAFI.

- Kim jesteście?

-unt, sir. Zastępuję go.

.... się Turner, sprawdzam zabezpieczenia. Chcę zobaczyć po...

- ...mężczyzną, zapięklonym Walijczykiem przechowującym

- odziedziczone po ojcu. Przybył do Bonn

z Cardiff, gdzie był kierowcą w policji. Klucze niósł w prawej ręce, opuszczonej, przy boku, chód miał solidny i uroczysty. Gdy tak prowadził Turnera w głąb ciemnego korytarza, przypominał górnika idącego dó przodka.

- To wstrząsające, co się tu wyrabia - odezwał się Gaunt. Mówił nie odwracając się, głos niósł się do tyłu. - Peter Aldock, to mój kontakt, rozu mie pan, ma brata w Hanowerze, był tam zaraz po wojnie, ożenił się z nie miecką dziewczyną i otworzył sklep spożywczy. Na pewno się boi: no cóż, mówił, wszyscy wiedzą, że mój George jest Anglikiem. Co się z nim stanie? Jest gorzej niż w Kongo. Czołem, ojczel!

Kapelan siedział przy przenośnej maszynie do pisania w małym, białym pokoiku naprzeciwko centrali telefonicznej, pod portretem żony. Drzwi były szeroko otwarte dla szukających wsparcia duchowego. Za sznur wetknięty był drewniany krzyż.

- Witam cię, John - odparł tonem lekkiej przygany, mającym przypomnieć obu granitową nieustępliwość ich walijskiego Boga. Gaunt powiedział jeszcze raz „czołem”, ale nie zwolnił kroku. Ze wszystkich stron dochodziły ich odgłosy wielojęzycznej społeczności: samotne niemieckie brzęczenie szefa researchu prasowego dyktującego tłumaczenie; poszczekiwanie urzędnika do spraw turystyki krzyczącego coś do telefonu; odległe gwizdanie, melodyjne i nieangielskie, które zdawało się dochodzić zewsząd, pompowane z innych korytarzy. Turner poczuł zapach salami i drugiego śniadania, farby drukarskiej i środka dezynfekcyjnego i pomyślał: wreszcie jesteście za granicą.

- Tu, na dole, pracują głównie miejscowi - wyjaśnił Gaunt, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć gwar. - Nie mają dostępu wyżej, bo to Niemcy. - Jego sympatia do cudzoziemców była wyczuwalna, ale kontrolowana: jak sympatia pielęgniarki hamowana powołaniem.

Po lewej stronie otwarły się drzwi; padł na nich nagle snop białego światła, ukazując byle jaki tynk i pomazaną zieleń dwujęzycznej tablicy. Dwie dziewczyny, które miały właśnie wyjść z kartoteki archiwum, cofnęły się, żeby ich przepuścić, a Turner spojrział na nie machinalnie. To był jego świat. Podrzędny i zagraniczny. Jedna niosła termos, druga ugięła się pod stosem akt. Przez okno wychodzące na zewnątrz, chronione żaluzjami, dostrzegł parking. Usłyszał ryk motocykla, którym odjeżdżał goniec. Gaunt skręcił w prawo, w inny korytarz. Zatrzymali się pod drzwiami, Gaunt gmerał przy kluczach, a Turner patrzył nad jego ramieniem na tabliczkę przymocowaną do środkowego panelu HARTING LEO, ROSZCZENIA I SPRAWY KONSULARNE, nieme świadectwo po żywym człowieku, albo niemy pomnik zmarłego.

Litery pierwszych dwóch słów były wysokie na dobre dwa cale, pomalowane w kratkę zielonym i czerwonym ołówkiem; słowo „konsularne” było znacznie większe, a litery narysowane były atramentem, żeby nadać im dodatkowej wagi, której tytuł najwyraźniej wymagał. Turner nachylił się i dotknął

tabliczki. Papier przytwierdzono do sklejk i nawet w słabym świetle można było dostrzec cienkie linie ołówka wyznaczające górną i dolną granicę liter, definiujące strefę skromnego życia albo życia sztucznie ograniczonego kłamstwem, *Kłamstwo. Sądzę, że jasno się wyraziłam.*

- Pośpiesz się - powiedział.

Gaunt otworzył zamek. Gdy Turner chwycił za klamkę i otwierał drzwi; znów usłyszał głos siostry i żony swoją odpowiedź, zanim rzucił słuchawkę: „Powiedz jej, że wyjechałem z kraju”. Okna były zamknięte. Upał uderzył w nich od linoleum. Czuć było smród gumy i pasty. Jedna z żaluzji była lekko zaciągnięta. Gaunt sięgnął ręką, żeby ją podciągnąć.

- Zostaw to. Trzymaj się z dala od okna. I zostań tutaj. Gdyby ktoś przy szedł, powiedz, żeby nie wchodził.

Rzucił haftowaną poduszkę na krzesło i rozejrzał się po pokoju.

Biurko miało chromowane uchwyty; było lepsze niż biurko Bradfielda. Kalendarz na ścianie reklamował holenderską firmę importową. Turner poruszał się bardzo zwinnie jak na swoją masę, przyglądał się, ale niczego nie dotykał. Ma ścianie wisiała stara mapa wojskowa z podziałem na strefy okupacyjne. Strefa brytyjska zaznaczona była jaskrawą zielenią, urodzajna plama między obcymi pustyniami. Jak cela więzienna, pomyślał, maksimum zabezpieczeń; może tylko krat brakuje. Miejsce, z którego każdy chciałby uciec. Zapach był znajomy, ale nie był go w stanie zidentyfikować.

- Cóż, jestem zaskoczony - stwierdził Gaunt. - Muszę powiedzieć, że wielu rzeczy brakuje.

Turner nie spojrzał na niego.

- Jakich na przykład?

- Nie wiem. Drobiazgów. Różnego rodzaju. To pokój pana Hartinga - wyjaśnił. - Ten pan Harting bardzo lubił różne drobiazgi.

- Jakie drobiazgi?

- No, miał własną maszynkę do herbaty, wie pan, taką, co budzi. Robiła cudowną herbatę. Szkoda, że jej nie ma.

- Co jeszcze?

- Kominek. Nowy, z wentylatorem i dwoma prętami. I lampa. Fantastycz*na, japońska. Ta lampa świeciła na wszystkie sposoby. Można ją przykręcić do połowy i wtedy świeci łagodnie. I jest bardzo ekonomiczna, tak mi powiedział. Ale mnie nie stać, wie pan, teraz, jak obcięli pensję. Mniejsza o to - dodał pocieszająco. - Myślę, że zabrał to do domu, jak pan sądzi? Jeśli tam poszedł.

- Tak, tak. Myślę, że są właśnie tam.

Na parapecie stało radio tranzystorowe. Turner nachylił się, oczy miał na wysokości panelu, i włączył je. Usłyszeli cikliwy głos spikerki brytyjskich sił zbrojnych, komentujący zamieszki w Hanowerze i perspektywy brytyjskiego

zwycięstwa w Brukseli. Turner powoli przesunął wskaźnik wzdłuż podwie*-
lonej skali. Nastawiał uszy na zmieniający się bełktr Francuzów, Niemców
i Holendrów.

- Wydawało mi się, że mówił pan o zabezpieczeniach
- Mówiłem.
- Nawet pan nie popatrzył na okna. Ani na zamki.
- Popatrzę, popatrzę. - Znalazł słowiański głos i przysłuchiwał się mu
w głębokim skupieniu. - Znałeś go dobrze, co? Często wpadałeś tu na filiżan-
kę herbaty?

- Dostyc często. Jak miałem czas. Turner
wyłączył radio i wyprostował się.
- Poczekaj na zewnątrz - powiedział. -1 daj mi klucze.
- Co on takiego zrobił? - zapytał Gaunt z wahaniem. - Czy coś nie tak?
- Co zrobił? Nic. Jest na urlopie ze względów rodzinnych. Chce być
sam, to wszystko.

- Mówią że jest w opałach.
- Kto mówi?
- Ludzie.
- W jakich opałach?
- Nie wiem. Może miał wypadek? Widzi pan, nie był na próbie chóru.

Ani w kościele.

- Jest marnym kierowcą?
- Nie wiem, naprawdę.

Trochę z przekory, a trochę z ciekawości, Gaunt stanął przy drzwiach
i patrzył, jak Turner otwiera drewnianą szafę i zagląda do środka. Trzy su-
szarki do włosów, nadal w pudełkach, leżały na dnie obok pary gumowych
kaloszy.

- Jesteś jego przyjacielem?
- No, nie. Tylko z chóru się znamy.
- Aha - mruknął Turner, patrząc teraz na niego uporczywie. - Śpiewa-
łeś za niego. Ja też śpiewam w chórze.

- No, coś takiego, gdzie?
- W Yorkshire - powiedział Turner podejrzanie przyjacielskim tonem,
nie spuszczać błądych oczu ze szczerej twarzy Gaunta. - Słyszałem, że to
świetny organista.

- Powiedziałbym, że wcale niezły - zgodził się Gaunt, nagle rozpozna-
jąc wspólne zainteresowania.

- A kto jest jego najbliższym przyjacielem; ktoś inny z chóru? Może
jakaś pani? - obłudnie dopytywał się Turner.

- Leo z nikim nie był w bliskich stosunkach.
To dla kogo to kupował?

Suszarki były rozmaitej jakości i w miały w różnym stopniu rozbudowane funkcje. Ceny na pudełkach wahały się od osiemdziesięciu do dwustu marek.

- No, dla kogo? - powtórzył.

- Dla nas wszystkich. Dla dyplomatów i innych, to nie miało znaczenia. Kupował ze zniżką dla dyplomatów. Jak ktoś czegoś chciał, szedł prosto do Leo. Bez znaczenia, jaką się miało zachciankę: radio, zmywarkę do naczyń, samochód; zawsze coś załatwił.

Znał się na rzeczy, co?

Zgadza się.

I brał sobie chyba jakiś procencik za fatygę - podsunął Turner. - To całkiem w porządku.

Nie powiedziałbym.

Dziewczynkę też sprowadził, jakby co? Pan Załatwiacz?

Z pewnością nie - powiedział oburzony Gaunt.

Co z tego miał?

Nic. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

Po prostu przyjaciel całego świata, tak? Lubi, żeby go lubiono.

Wszyscy tego chcemy, prawda?

O, filozof z ciebie?

Zawsze był usłużny - mówił Gaunt bardzo powoli, żeby dostroić się do zmiany nastroju Turnera. - Niech pan zapyta Arthura Meadowesa. Ledwie Leo przyszedł do archiwum, a już dzień później zaczął odbierać pocztę. „Nie przemęczaj się”, powiedział Arthurowi, „Oszczędzaj nogi, nie jesteś już taki młody. I tak masz na głowie masę kłopotów. Ja ci to przyniosę”. Taki jest Leo. Uczynny. Prawdziwy święty, nawet jeśli wziąć pod uwagę jego wady.

- Co to za poczta?

- Cała. Tajna i nieujawniona, bez różnicy. Szedł na dół, podpisywał się i zanosił na górę do Arthura.

Turner powiedział bardzo cicho:

- Tak, rozumiem. I może tu wpadał po drodze, co? Sprawdzał, co tam słychać w pokoju, robił sobie herbatę.

- Właśnie - powiedział Gaunt. - Zawsze był taki uczynny. - Otworzył drzwi. - No cóż, zostawiam pana samego.

- Zostań - odparł Turner, nie spuszczać z niego oka. - Nic się nie stanie. Zostań i pogadaj ze mną, Gaunt. Lubię towarzystwo. Opowiedz mi o tych jego wadach.

Włożył suszarki z powrotem do pudełek i zdjął lnianą marynarkę wiszącą na wieszaku. Letnia marynarka, taka, jaką noszą barmani. Martwa róża zwisała z butonierki.

- Jakież to wady? - zapytał, wrzucając różę do torby na śmieci. - Możesz mi o tym opowiedzieć, Gaunt? - I znów ten zapach w szafie, zapach,

który już wcześniej poczuł, ale którego nie umiał określić, słodki, znajomy, kontynentalny zapach kremów dla mężczyzn i cygara.

- To tylko głupstwa. Miał wuja.

- Opowiedz mi o tym wuju.

- Nic takiego; tylko mówił, jaki z niego był wariat. O, potrafi opowiadać ten Leo. Ciągłe zmieniał przekonania polityczne. Opowiedział nam, jak siedział z wujem w piwnicy w Hampstead, kiedy spadały bomby, i jak robili maszynką pigułki. Suszone owoce. Zgniatali je i obtaczali w cukrze, a potem, rozumie pan, wkładali je do puszek. Leo pluł na nie, na złość wujowi. Moja żona była bardzo poruszona, gdy się o tym dowiedziała - powiedziałem, żeby nie była głupia. Brakowało mu miłości, rozumie pan.

Turner obmacał kieszenie, ostrożnie zdjął marynarkę z wieszaka i przyłożył do swojej potężnej klatki.

- Mały facecik?

- Elegant z niego - stwierdził Gaunt. - Zawsze dobrze ubrany.

- To twój rozmiar?

Turner przysunął do niego marynarkę, ale Gaunt cofnął się z odrazą.

- Za mała - powiedział z oczami utkwionymi w marynarkę. - Był raczej typem tancerza. Motyla.

- Peđał?

- Oczywiście, że nie - powiedział Gaunt, znów zaszokowany. Zacerwienił się, słysząc to słowo.

- Skąd wiesz?

- To porządny gość, stąd wiem - odparł surowo Gaunt. - Nawet jeśli zrobił coś nie tak.

- Pobożny?

- Bardzo szanował religię. Nie był bezczelny ani zuchwały, mimo że to cudzoziemiec.

- Co jeszcze opowiadał o swoim wuju?

- Nic.

- A o polityce? - Turner patrzył na biurko, oglądał zamki szuflad.

Rzucił marynarkę na krzesło i wyciągnął rękę po klucze. Gaunt oddał je niechętnie.

- Nic. Nic nie wiem o jego przekonaniach politycznych.

- A kto powiedział, że mógł zrobić coś nie tak?

- Pan. Całe to tropienie. Sprawdzanie go: nie podoba mi się to.

- A co takiego mógł zrobić, ciekawe? Że tak go tropię.

- Bóg jeden wie.

- W swej mądrości. - Otworzył górną szufladę. - Masz taki notes?

Notes miał błękitną okładkę z odcisniętym złotym królewskim herbem.

- Nie.

- Biedny Gaunt. - Turner kartkował notes od tyłu. Zatrzymał się i marszczył czoło, a potem pisał coś w swoim czarnym notatniku.

- Taki notes przysługiwał od pracowników konsularnych wzwyż - odparł Gaunt. - Nie przyjąłbym go.

- A on ci go proponował, co? Coś mi się zdaje, że to był jeszcze jeden jego szwindel. I co się stało? Zwinął paczkę z archiwum, no nie, i rozdał swoim starym kumplom na parterze. „Macie chłopaki: tam ulice wybrukowane są złotem. Macie na pamiątkę od waszego kumpla”. Tak to było, Gaunt? A ciebie powstrzymały cnoty chrześcijańskie? - Zamknął dziennik i otworzył dolne szuflady.

- No, a nawet jeśli tak robił? Nie musi pan szperać w jego biurku, nie? Żeby znaleźć taką drobnostkę! Zwędził parę notesów, dziury w niebie od tego nie będzie, no nie? - Jego walijski akcent zerwał się z uwięzi i szybował wolny.

- Gaunt, to ty jesteś chrześcijaninem. Lepiej ode mnie wiesz, jakie sztuczki wyprawia diabeł. Od rzemyczka aż do stryczka, prawda? Dzisiaj zwędzisz jabłko, a jutro porwiesz ciężarówkę. Sam wiesz, Gaunt, jak to jest. Co ci jeszcze mówił o sobie? Jakies wspomnienia z dzieciństwa?

Znalazł nóż do papieru, wąski, srebrny, z szeroką płaską rękojeścią, w świetle lampy odczytywał wyryte na nim słowa.

- „L.H. od Margaret”. Ciekawe, co to za Margaret?

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Był zaręczony i miał się żenić, wiedziałeś o tym?

- Nie.

- Panna Aickman. Margaret Aickman. Coś ci to mówi?

- Nie.

- A wojsko? Mówił ci coś o tym?

- Kochał wojsko. W Berlinie uwielbiał oglądać rewie kawalerii.

- Był w piechocie, prawda?

- Naprawdę, nie wiem.

- Nie.

Turner położył nóż obok błękitnego notesu, znów coś zapisał w notatniku i podniósł małą, płaską puszkę holenderskich cygar.

- Palił?

- Lubił cygara. Tak. Palił je. Zawsze nosił ze sobą papierosy. Ale palił tylko to. Jedna czy dwie osoby z kancelarii skarżyły się, więc słyszałem. Na te cygara. Nie podobały im się. Ale Leo potrafił być uparty, kiedy chodziło o takie sprawy.

- Jak długo tu jesteś, Gaunt?

- Pięć lat.

- Wdał się w jakąś bójkę w Kolonii. To było za twoich czasów?

Gaunt zawahał się.

- Zdziwiająca, jak się tuszuje takie sprawy. Wszyscy o nich wiedzą poza tymi, którzy powinni wiedzieć. Co się stało?

- Po prostu bójka. Mówią, że się o to prosił, to wszystko.

- Jak?

- Nie wiem. Mówili, że sobie zasłużył. Słyszałem od mojego poprzednika: pewnego wieczora przynieśli go, trudno go było rozpoznać, tyle powiedział. Dobrze mu tak, powiedział; tak mu mówili. Widzi pan, bywał czasem zaczepny. Nie przeczę.

- Kto mu o tym powiedział?

- Nie wiem. Nie pytałem. Nie wścibiam nosa w cudze sprawy.

- Chodziło o kobietę? Może o Margaret Aickman?

- Nie wiem.

- To dlaczego był zaczepny?

- Nie wiem - odparł Gaunt znów w rozterce między podejrzliwością a naturalną skłonnością do rozmowy. - Czemu pana to obchodzi? - mruknął z nieśmiałą pretensją, ale Turner zignorował go.

- Słusznie. Nigdy nie należy wściubiać nosa w cudze sprawy. Nigdy nie trzeba donosić na przyjaciela. Bogu by się to nie spodobało. Podziwiam ludzi, którzy trzymają się swoich zasad.

- Nie obchodziło mnie, co robił - powiedział Gaunt, nabierając odwagi w miarę mówienia. - Nie był złym człowiekiem. Może czasem bywał trochę ostry, ale taki już był, przecież pochodził z kontynentu, wszysc.y_a tym wiedzieli. - Wskazał na biurko i otwarte szuflady. - Ale nie był aż taki zły.

- Nikt nie jest. Nikt nie jest aż taki zły. Po to wynaleziono litość. Jesteśmy uroczymi ludźmi, doprawdy. Jest chyba hymn na ten temat, prawda? Jeden z tych hymnów, które grywał, a ja i ty, Gaunt, śpiewaliśmy, kiedy byliśmy mali. Te hymny są śliczne: nie można ich zapomnieć, prawda? Jak limeryków. Bóg wiedział, co robi, kiedy wymyślał rymy. No więc, czego dowiedział się, kiedy był dzieckiem? Czego Leo dowiedział się, siedząc na kolanach wuja?

- Umiał mówić po włosku - powiedział nagle Gaunt, jakby to była karta atutowa trzymana w ukryciu do ostatniej chwili.

- Umiał, naprawdę?

- I nauczył się tego w Anglii. W szkole rolniczej. Inne dzieci nie chciały z nim rozmawiać, bo był Niemcem, więc wyprawiał się na wycieczki rowerowe i rozmawiał z włoskimi jeńcami. I nie zapomniał już tego. Miał wspaniałą pamięć, mówię panu. Nigdy nie zapominał ani słowa, które się do niego powiedziało, jestem tego pewien.

- Wspaniale.

- Byłaby z niego tęga głowa, gdyby miał pańskie przywileje.

Turner popatrzył na niego obojętnie. : - Kto ci powiedział, że mam jakieś przywileje?

Otworzył jeszcze jedną szufladę, wypełnioną przywami śmieciami biu*rowymi: zszywacz, ołówki, taśma klejąca, zagraniczne monety i zużyte bilety kolejowe.

- Gaunt, jak często odbywała się próba chóru? Raz na tydzień? Pośpiewaliście sobie i pomodliliście się, potem biegliście na piwo, a on opowiadał wam o sobie. Pewnie jeździliście też na wycieczki. Autokarowe wyprawy. To przez ciebie właśnie lubimy, prawda, i ty, i ja? Coś zbiorowego, ale i uduchowionego. Towarzystwa wycieczkowe, chóry. Leo jeździł z wami. Znał wszystkich, wysłuchiwał zwierzeń, trzymał za rączkę. Niezły musiał być z niego artysta.

Mówił, ale cały czas spisywał przedmioty w notesie: przybory do szycia, paczka igieł, pigułki różnych kolorów i z różnymi opisami. Zafascynowany, jakby wbrew sobie, Gaunt podszedł bliżej.

- Nie tylko to, widzi pan. Mieszkam na najwyższym piętrze, tam jest jeszcze jedno mieszkanie: powinien w nim mieszkać Macmullen, ale nie może go zająć, bo ma dużo dzieci, trudno, żeby tu biegały bez nadzoru, no bo jak? Najpierw mieliśmy próby w sali zebrań, w piątce, po przeciwnej stronie korytarza, obok kasy, a potem on przychodził na górę, na herbatkę. Ja tam mam kilka filiżanek; miło było się zrewanżować po tym wszystkim, co dla nas robił; za te rzeczy, co dla nas kupował i te wszystkie sprawy. Uwielbiał pić herbatę - powiedział Gaunt. - I kominek też uwielbiał. Zawsze miałem takie wrażenie, że uwielbiał rodzinną atmosferę, a sam nie miał rodziny.

- Powiedział ci to, prawda? Powiedział, że nie ma rodziny?

- Nie.

- To skąd wiesz?

- No, to było zbyt oczywiste, żeby o tym mówić. Nie miał też wykształcenia; był człowiekiem z awansu społecznego, można powiedzieć.

Turner znalazł buteleczkę z długimi żółtymi pigułkami. Wytrząsnął je na dłoń, ostrożnie obwąchał.

- I tak było całymi latami, prawda? Miłe pogawędki po próbach?

- Nie. Prawie mnie nie zauważał, zaczęło się dopiero kilka miesięcy temu, bo widzi pan, to był dyplomata. Dopiero ostatnio się nami zainteresował. I Klubem Motorowym.

- Kiedy się tak wami zainteresował?

- Na Nowy Rok - odparł bardzo już zdziwiony Gaunt. - Tak. Chyba od stycznia. Jakby zmienił zainteresowania.

- Od tego stycznia?

- Zgadza się - powiedział Gaunt, jakby dotarło to do niego dopiero teraz. - W końcu stycznia. Odkąd zaczął pracę z Arthurem. Arthur miał wielki

wpływ na Leo. Sprawił, że Leo zaczął więcej rozmyślać. Stał się bardziej skłonny do medytacji. To była wielka zmiana na lepsze. I wie pan co, moja żona się z tym zgadza.

- Idę o zakład, że tak. Pod jakim jeszcze względem się zmienił?

- No, bardziej się zastanawiał.

- Od stycznia, kiedy się wami zajął. Trach, nadchodzi Nowy Rok i Leo zaczyna rozmyślać.

- Był spokojniejszy. Jakby chory. Wie pan co, nawet żeśmy się dziwili. Powiedziałem do żony - Gaunt zniżył z szacunkiem głos - nie dziwiłbym się, gdyby się okazało, że lekarz go przed czymś przestrzegł.

Turner znów patrzył na mapę, najpierw wprost, potem z boków, zapamiętywał dziurki po szpilkach tam, gdzie były oddziały. Na starej szafce leżała sterta raportów z badań opinii publicznej, wycinki prasowe i tygodniki. Ukląkł i zaczął je przeglądać.

- O czym jeszcze rozmawialiście?

- O niczym poważnym.

- Po prostu o polityce?

- Właściwie lubię poważne rozmowy - powiedział Gaunt. - Ale jakoś tak, niezbyt odpowiadało mi rozmawiać z nim na takie tematy. Nigdy nie było wiadomo, jak to się skończy.

- Tracił panowanie?

Wycinki odnosiły się do Ruchu. Raporty z badań opinii publicznej mówiły o wzroście poparcia dla Karfelda.

- Był zbyt wrażliwy. Jakby kobiecy; można go było strasznie dotknąć, wy starczyło czasem słówko. Wrażliwy. I cichy. Dlatego nigdy nie mogłem zrozu mieć, o co poszło w tej Kolonii. Powiedziałem żonie, że jeśli to Leo rozpoczął bójkę, to chyba diabeł musiał go opętać. Ale on wiele widział, prawda?

Turner trafił na fotografię przedstawiającą studentów - uczestników manifestacji w Berlinie. Dwóch chłopców trzymało starego człowieka za ręce, a trzeci bił go po twarzy grzbietem dłoni. Palce miał zwrócone do góry, światło rzeźbiło na nich kostki. Wokół widniała linia zakreślona czerwonym mazakiem.

- Chodzi o to, że człowiek nigdy nie wie, czy za bardzo się nie spoufala - ciągnął Gaunt. - Czy nie zbliża się do niego za bardzo. Czasem sobie myślałem, i powiedziałem to żonie, która nigdy nie czuła się dobrze w jego towarzystwie, „wiesz, nie chciałbym mieć jego snów”.

Turner wstał.

- Jakich snów?

- Po prostu snów. Tego, co widział. Mówili, że widział wiele, prawda? Tych okrucieństw.

- Kto to mówił?

- Ludzie. Jeden z kierowców, zdaje się, że Markus. Już odszedł. Miał z nim służbę w Hamburgu w czterdziestym szóstym, czy coś koło tego. Wstrząsające.

Turner otworzył stary egzemplarz „Sterna” leżący na szafce. Wielkie zdjęcia z zamieszek w Bremie na rozkładówce. Była też fotografia Karfelda przemawiającego z wysokiej drewnianej platformy; młodzi ludzie krzyczeli w ekstazie.

- Chyba go to niepokoiło - powiedział Gaunt, zaglądając przez mu przez ramię. - Dużo mówił o faszyzmie.

- Naprawdę? - zapytał łagodnie Turner. - Opowiedz o tym, Gaunt. Lubie słuchać takich historii.

- No, właściwie tylko czasami - odparł Gaunt nerwowo. - Potrafił się wtedy bardzo denerwować. Powiedział, że to może znów się zdarzyć, a Zacheód będzie tylko patrzył beczynnie. Bankierzy się dołożą i znowu się zacznie. Mówił, że już nie ma znaczenia, czy się jest socjalistą czy konserwatystą, kiedy wszystkie decyzje podejmowane są w Zurychu albo w Waszyngtonie. Powiedział, że można to rozpoznać po ostatnich wydarzeniach. Trzeba przyznać, że miał rację.

Na chwilę ścieżka dźwiękowa zatrzymała się: ruch uliczny, maszyny, głosy. Turner nie słyszał nic poza biciem własnego serca.

- A jakie było na to lekarstwo? - zapytał łagodnie.

- Nie miał żadnego.

- Osobiste działanie?

- Nie powiedział tego.

- Bóg?

- Nie, nie był wierzący.

- Sumienie?

- Mówiłem panu, że on tego nie powiedział.

- Nigdy nie sugerował, że mógłbyś przywrócić równowagę? Ty, razem z nim?

- Nie był taki - odparł niecierpliwie Gaunt. - Nie lubił towarzystwa. Nie wtedy, gdy chodziło o... no, o jego własne sprawy.

- Dlaczego twoja żona go nie lubiła?

Gaunt zawahał się.

- Lubiła trzymać się przy mnie, kiedy był w pobliżu. Widzi pan, niczego takiego nie robił ani nie mówił, ale ona po prostu chciała być wtedy blisko mnie. - Uśmiechnął się pobłażliwie. - Wie pan, jakie one są- powiedział. - Bardzo naturalne.

- Długo tu zostawał? Siedział i gadał godzinami? O niczym? Patrzył poządlawie na twoją żonę?

- Niech pan tak nie mówi - parsknął Gaunt.

Turner zostawił biurko i znów otworzył szafkę. Teraz zapisał numer wyrbity na podeszwach gumowych kaloszy.

- Wcale nie przesiadywał długo. Lubił pracować po nocach. To znaczy -ostatnio tak było. W archiwum i gdzie indziej. Powiedział mi: „John, chcę mieć tu swój wkład”. I miał. Był dumny ze swojej pracy w ostatnich miesiącach. To było piękne; naprawdę, przyjemność, kiedy się na to patrzyło. Czasem przepracował pół nocy. A nawet całą.

Błade oczy Turnera nie odrywały się od smagłej twarzy Gaunta.

- Naprawdę?

Wrzucił kalosze do szafki; absurdalny stukot przerwał ciszę.

- No, miał mnóstwo roboty. Całą masę. Ten Leo to jest objuczony obowiązkami. Naprawdę, fantastyczny chłop. Za dobry na to piętro.

- I tak było co piątek wieczór od stycznia. Po próbie chóru. Przychodził, pił herbatkę i gawędził, czekał, aż wszyscy sobie pójdą. Potem wymykał się i pracował w archiwum?

- Regularnie jak w zegarku. Najpierw próba chóru, potem na górę, na herbatę, póki inni sobie nie pójdą, potem na dół do archiwum. „John - mówił - nie mogę pracować, kiedy tam jest tyle hałasu. Nie mogę tego znieść, prawdę mówiąc, uwielbiam spokój i ciszę. Nie jestem już taki młody”. Miał ze sobą torbę. Termos, czasem jakąś kanapkę. Bardzo zorganizowany człowiek.

- Wpisywał się do nocnej księgi?

Gaunt zawałał się, ale już zrozumiał groźbę, jaką niósł spokojny monotony głos. Turner zatrzaskał drewniane drzwi szafki.

- A może cię to wcale nie obchodziło? Nie bardzo, co? Nie mogłeś być taki oficjalny wobec gościa. I do tego dyplomaty, i to takiego, co uświetnia twój salon. Niech przychodzi i wychodzi w nocy, kiedy chce, co? Przecież to rodzina, nie? Po co to psuć formalnościami. To nie po chrześcijańsku, prawda? Pewnie nawet nie wiesz, o której wychodził z budynku? O drugiej, o czwartej?

Gaunt musiał wstrzymać oddech, żeby dosłyszeć jego słowa, mówił tak cicho.

- Czy to coś złego?

- I ta jego torba... - Turner ciągnął dalej tym samym strasznym, cichym głosem. - Nie wypadało do niej zaglądać, prawda? Otworzyć, na przykład, termos. Panu Bogu nie spodobałoby się to, prawda? Nie martw się, Gaunt, nie ma w tym nic złego. Nic, czego modlitwa i filiżanka herbaty nie mogłyby naprawić. - Stał przy drzwiach i Gaunt musiał na niego patrzeć. - Bawiliście się, po prostu w szczęśliwą rodzinę i pozwalaliście mu się czasem pogłaskać po łydce, żeby się lepiej poczuć. - Jego głos nabrał walijskiego akcentu. - „Patrzcie, jacy jesteśmy cnotliwi... Jak bardzo się kochamy... Jacy wspaniali jesteśmy, dyplomaci przychodzą do nas... jesteśmy solą ziemi; acó?... coś tam zawsze w garnku się znajdzie... I przepraszam, że jej nie możesz mieć, ale to

mój przywilej". No cóż, Gaunt, kupiłeś to wszystko, cały kramik. Podobno jesteś strażnikiem, a on cię zaciągnął do łóżka za trzy grosze. - Otworzył na oścież okno. - Jest na urlopie ze względów rodzinnych i nie zapominaj o tym, bo znajdziesz się w gorszej biedzie, niż kiedykolwiek byłeś.

- Może taki jest świat, z którego pan przychodzi - powiedział nagle Gaunt, patrząc, jakby go pierwszy raz zobaczył. - Ale to nie mój świat, panie Turner, więc niech mi pan nic nie mówi. Myślę o Leo jak najlepiej i nadal tak będzie. Nie wiem, co się tam panu roi w głowie. To po prostu trucizna, trucizna.

- Idź do diabła. - Turner rzucił mu klucze, a Gaunt pozwolił, żeby upadły u jego nóg. - Jeśli jest coś jeszcze, co o nim wiesz, jakaś niewiarygodna plotka, lepiej, żebyś mi o tym zaraz powiedział. Szybko.

Gaunt pokręcił głową.

- Odczep się pan.

- Co jeszcze mówią plotkarze? Trochę ich jest w chórze, Gaunt, co? Możesz mi powiedzieć, nie zjem cię.

- Nic nie słyszałem.

- A co Bradfield o nim sądzi?

- Skąd mam wiedzieć? Niech pan zapyta Bradfielda.

- Lubił go?

Twarz Gaunta pociemniała z oburzenia.

- Nie miałem okazji, żeby to stwierdzić -warknął. -Nie plotkuję o swoich zwierzchnikach.

- Kto to jest Praschko? Mówi ci coś to nazwisko?

- Nic więcej nie wiem.

Turner wskazał stosik rzeczy leżący na biurku.

- Zabierz to do pokoju szyfrantów. Będę tego potrzebował później. I wy cinki prasowe. Daj je urzędnikowi i niech podpisze odbiór, zrozumiano? Czy go lubisz, czy nie. I zrób listę wszystkiego, czego tu brakuje. Wszystkiego, co zabrał do domu.

Nie poszedł do Meadowesa, ale wyszedł na dwór i stanął na skraju trawnika przy parkingu. Welon mgły wisiał nad jałowymi polami, a ruch uliczny wzbierał jak burzliwe morze. Gmach Czerwonego Krzyża, pociemniały od rusztowań, zwieńczony był ramieniem dźwigu jak platforma wiertnicza, zacumowana na asfalcie. Policjanci patrzyli na Turnera podejrzliwie, bo stał bez ruchu, a oczy utkwione miał w horyzont, chociaż horyzont był za mgłą. W końcu - może na jakiś rozkaz, którego nie usłyszeli - odwrócił się i podszedł powoli do stopni przy drzwiach frontowych.

- Powinien pan mieć odpowiednią przepustkę - powiedział sierżant o twarzy łasicy. - Żeby wchodzić i wychodzić przez cały dzień.

Archiwum pachniało kurzem, lakieni do pieczętowania i niazftiii drukar*skim. Meadows czekał na niego. Wyglądał na wymizerowanego i śmiertelnie zmęczonego. Nie poruszył się, gdy Turner podszedł do niego, przepychając się między biurkami i aktami, tylko patrzył na niego tępo i z pogardą.

- Dlaczego postanowili właśnie pana tutaj przysłać? - zapytał. - * Nie mieli kogoś innego? Kogo tym razem chce pan zniszczyć?

6

Zapamiętywacz

Stali w małej świątyni, w wyłożonym stalą zbiorniku, który służył zarówno za skarbiec, jak i za biuro. Okna były podwójnie zabezpieczone, gęstą siatką i stalowymi prętami. Z przyległego pokoju dochodziło monotone szuranie nogami i szelest papieru. Meadows nosił czarny garnitur. W brzegi kłap miał wpięte szpilki. Stalowe szafki, jak wartownicy, stały wzdłuż ścian, każda z wypisanym przez szablon numerem i z szyfrowym zamkiem.

- Ze wszystkich ludzi, których nie chciałbym nigdy więcej oglądać...

- Turner jest na początku listy. W porządku. W porządku, nie jest pan odosobniony. Pomińmy to, dobrze?

Usiedli.

- Ona nie wie, że pan tu jest - powiedział Meadows. - Nie mam zamiaru jej o tym mówić.

- Dobrze.

- Spotkał się z nią kilka razy; nic między nimi nie było.

- Będę się trzymał z dala od niej.

- Tak - powiedział Meadows. Nie mówił do Turnera tylko obok niego, do szafek. - Tak, musi pan tak zrobić.

- Niech się pan postara zapomnieć, że to ja - powiedział Turner. - Niech się pan nie spieszy. - Przez chwilę rysy mu złagodniały, na twarzy zebrały się cienie, aż wydał się równie stary jak Meadows i równie zmęczony.

- Raz to panu powiem - rzekł Meadows - i wystarczy. Powiem, co wiem, i pan zniknie.

Turner kiwnął głową.

- Zaczęło się od Klubu Motorowego - powiedział Meadows. - Tam się z nim spotkałem. Lubię samochody, zawsze lubiłem. Kupiłem rovera. Trzylitrowy, za odprawę emerytalną.

- Od jak dawna pan tu jest?
- Od roku. Tak, teraz będzie rok.
- Prosto z Warszawy?
- Byłem przejazdem w Londynie, a potem wysłali mnie tutaj. Mam jeszcze dwa lata do odsłużenia, po Warszawie uznałem, że będę się mniej angażował. Chciałem się nią opiekować, pomóc jej wyzdrowieć...
- Już dobrze.
- Z reguły nie wychodzę zbyt często, ale wstąpiłem do tego klubu. Są w nim głównie ludzie ze Zjednoczonego Królestwa i z krajów Wspólnoty Brytyjskiej, ale jest całkiem przyzwoity. Pomyślałem, że to nam dobrze zrobi: jeden wieczór tygodniowo, zloty latem, zebrania zimą. Będę mógł zabierać ze sobą Myrę, przywrócić ją do życia, mieć na nią oko. Z początku sama tego chciała. Była zagubiona, szukała towarzystwa. Ma tylko mnie na świecie.
- W porządku - powiedział Turner.
- Byli zgraną paczką, kiedy do nich dołączyliśmy, ale jak w każdym klubie, są wżloty i są upadki; zależy, kto to prowadzi. Kiedy zbiorą się przyzwoici ludzie, jest przyjemnie; niewłaściwi - i zaczynają się kwasy.
- Harting był tam kimś, prawda?
- Pozwoli pan, że opowiem o wszystkim, dobrze? - Meadowes powiedział to stanowczo i z dezaprobatą, jak ojciec ganiący syna. - Nie, nie był tam kimś, nie wtedy. Był członkiem, po prostu członkiem. Chyba pojawił się tam raz w ciągu pół roku. Właściwie, nawet nie należał do tego klubu. W końcu był dyplomatą, a kluby dla emigrantów nie są dla dyplomatów. W połowie listopada mieliśmy doroczne spotkanie ogólne. Nie wyjmuje pan swojego czarnego notesu?
- Listopad - powiedział Turner, nie poruszając się. - Doroczne spotkanie ogólne. Pięć miesięcy temu.
- To było naprawdę śmieszne. Panowała dziwna atmosfera. Karfeld był w natarciu od jakichś sześciu tygodni i wszyscy zastanawialiśmy się, co będzie dalej. Przewodniczącym był Freddie Luxton, ale właśnie miał wyjeżdżać do Nairobi; Bill Aintree był sekretarzem i dostał upomnienie za Koreę, a cała reszta się nie sprawdziła, próbowaliśmy wybrać nowy zarząd, przelecieć przez porządek dnia i ustalić zimowe wycieczki. Właśnie pojawił się Leo, w pewnym sensie, był to jego pierwszy krok do archiwum.
- Meadowes umilkł.
- Nie mogę zrozumieć, jak mogłem tak zdumieć - stwierdził. - Po prostu nie wiem.
- Turner czekał.
- Powiem panu: nie słyszeliśmy o nim wcale, nie był nikim w tym klubie. I ta jego reputacja, wie pan...
- Jaka reputacja?

- Mówiono, że trochę cyganił. Coś się tam mówiło o Kolonii. Szczerze mówiąc, nie podobało mi się to wszystko i nie chciałem, żeby zadawał się z Myrą.

- Co to za historia z tą Kolonią?

- Plotki, tylko tyle. Brał udział w bójce w nocnym klubie.

- Żadnych szczegółów?

- Żadnych.

- Kto jeszcze tam był?

- Nie mam pojęcia. Na czym skończyłem?

- Na klubie emigrantów. Doroczne walne zebranie.

- A tak, i zimowe wycieczki. „W porządku - powiedział Bill Aintree. - Czy są jakieś kandydatury z sali?” I Leo natychmiast wstał. Siedział o trzy krzesła ode mnie. Powiedziałem do Myry: „Patrz, czego on może chcieć?” Leo powiedział, że ma propozycję wycieczki zimowej. Zna pewnego staruszka w Kónigswinter, który jest właścicielem barek, jest bardzo bogaty i lubi Anglików; jakaś szycha z Towarzystwa Angielsko-Niemieckiego. Ten dziadek zgodził się wynająć nam dwie barki z załogami, żeby zawieźć cały klub do Koblencji i z powrotem. Rodzaj rekompensaty za przysługę, którą ponoć Brytyjczycy wyświadczyli mu podczas okupacji. Leo znał tego rodzaju ludzi - powiedział Meadows i krótki uśmiech sympatii rozświetlił jego smutne rysy. - Zapewnił noclegi, rum i kawę w drodze i wielki obiad, kiedy dotrzemy do Koblencji: Leo opracował całą rzecz i sądził, że wystarczy po dwadzieścia jeden marek osiemdziesiąt od głowy, włączając w to drinki i prezent dla jego przyjaciela. - Przerwał. - Nie mogę mówić szybciej, to nie w moim stylu.

- Nic nie powiedziałem.

- Przez cały czas czuję pana presję - powiedział płaczliwie Meadows i westchnął. - Nabrali się na to wszyscy, ci z zarządu i inni. Wie pan, jacy są ludzie: jeśli się wie, czego się chce...

- A on wiedział.

- Myślę, że parę osób domyślało się, że chce załatwić jakiś własny interes, ale nikt się tym nie przejął. Prawdę mówiąc, wiedzieliśmy, że kręci, ale cóż, może zasłużył sobie na to. No i cena była całkiem niezła. Bill Aintree już się nie liczył: jemu było wszystko jedno. Poparł. Wniosek przeszedł i został zaprotokołowany bez słowa sprzeciwu, a ledwie zebranie się skończyło, Leo podszedł do mnie i Myry, uśmiechnięty od ucha do ucha. „To się jej spodoba - powiedział. - Przyjemna wycieczka rzeką. Zabierz ją ze sobą”. Jakby zrobił to specjalnie dla niej. Powiedziałem, że owszem, pojedzie i postawiłem mu drinka. To było naprawdę nie w porządku, że tak się starał, a nikt nawet nie zwrócił na niego uwagi, niezależnie od tego, co o nim mówiono. Było mi go żal. I byłem mu wdzięczny - dodał otwarcie. - I zresztą nadal jestem: to była wspaniała wycieczka.

Znów zamilkł i Turner znów czekał, aż stary człowiek upora się ze swymi problemami. Zza zakratowanego okna dochodziło nieustanne pulsowanie żelaznego serca Bonn; odległy łoskot świrdrów i żurawi, jęk pędzących bez celu samochodów.

- Szczerze mówiąc, myślałem, że podrywa Myrę - powiedział w końcu. - Byłem ostrożny, nie ukrywam. Ale nic takiego się nie wydarzyło, ani z jednej, ani z drugiej strony. Boże, stałem się na to bardzo wyczulony po Warszawie.

- Wierzę panu.

- Nie obchodzi mnie, czy pan mi wierzy, czy nie. To prawda.

- Cieszył się pewną sławą w tej materii?

- Chyba tak.

- Z kim?

- Jeśli pan pozwoli będę mówił dalej - powiedział Meadows, patrząc na swoje ręce. - Nie mam zamiaru powtarzać żadnych brudów. A najmniej panu. Więcej w tym wymysłów niż prawdy.

- Sprawdzę to - powiedział Turner z martwym wyrazem twarzy. - Zabierze mi to trochę czasu, ale to już nie pańskie zmartwienie.

- Było bardzo zimno-r Meadows ciągnął opowieść.-Popękana kra na wodzie. I bardzo pięknie, jeśli to dla pana cokolwiek znaczy. Tak jak powiedział Leo, mieliśmy rum i kawę dla dorosłych, kakao dla dzieci i wszyscy byli zadowoleni. Wypłynęliśmy z Königswinter, zaczęliśmy od drinka u niego w domu, zanim weszliśmy na pokład, a kiedy już tam byliśmy, Leo zajmował się nami. Mną i Myrą. Oddzielił nas od reszty. Jakbyśmy dla niego istnieli tylko my. Myra była zachwycona. Otulił ją szalem, opowiadał jej dowcipy... nie widziałem, żeby tak się śmiała, odkąd wyjechaliśmy z Warszawy. Ciągle mi powtarzała: „Od lat nie byłam taka szczęśliwa”.

- Jakie dowcipy?

- Głównie o sobie samym. Opowiadał anegdotę, jak w Berlinie ciągnął wózek załadowany aktami przez maneż podczas ćwiczeń kawalerii, a starszy sierżant nadjechał konno, a on tam stał zręcznym wózkiem... Umiał naśladować głosy, potrafił to; najpierw mówił z siodła, potem jako kapral gwardii; fantastyczny dar. Bardzo rozrywkowy człowiek, ten Leo... bardzo.

Spojrzał na Turnera, jakby czekał, że mu zaprzeczy, ale twarz Turnera nie wyrażała niczego.

- W drodze powrotnej wziął mnie na bok. „Arthurze, na słówko”, powiedział; to Cały on, ciche słówka. Wie pan, jak on mówi.

- Nie.

- Jakby się zwierzał. Każdy jest wtedy kimś szczególnym. „Arthurze - powiedział - Rawley Bradfield właśnie po mnie posłał; chce, żebyśmy prze-

niósł się do archiwum i pomógł ci tam, ale zanim odpowiem mu tak albo nie, chciałbym usłyszeć, co ty o tym sądzisz". Składał to w moje ręce. Gdyby pomysł mi się nie spodobał, zakończyłby sprawę; to właśnie dawał do zrozumienia. Cóż, była to dla mnie niespodzianka, nie ukrywam. Zupełnie nie wiedziałem, co o tym sądzić; w końcu był drugim sekretarzem... To nie w porządku, taka była moja pierwsza reakcja. I szczerze mówiąc, nie byłem pewien, czy mogę mu ufać. Zapytałem więc: „Masz jakieś doświadczenie w pracy z archiwaliami?” Powiedział, że tak, ale to było dawno, chociaż zawsze uważał, że powinien do tego wrócić.

- Więc kiedy to było?
- Co kiedy było?
- Kiedy miał do czynienia z archiwami?
- Myślę, że w Berlinie. Nie pytałem. Nie pyta się Leo o jego przeszłość; nie wiadomo, co się usłyszy.

Meadowes potrząsnął głową.

- I tak tam stał z tą propozycją. Nie wydawała mi się właściwa, ale co miałem powiedzieć? „To sprawa Bradfielda - odparłem. - Jeśli cię przysyła, a ty chcesz przyjść, to pracy jest dość”. Szczerze mówiąc, trochę mnie to zaniepokoiło. Nawet myślałem, żeby o tym porozmawiać z Bradfieldem, ale tego nie zrobiłem. Pomyślałem, że najlepiej przeczekać; prawdopodobnie więcej o tym nie usłyszę. Przez jakiś czas tak było. Myrze znów się pogorszyło, w kraju był kryzys przywództwa, a w Brukseli awantura o złoto. Co do Karfelda, to przez cały czas nam dokuczał. Pojawiły się delegacje z Anglii, protesty związków zawodowych, stara gwardia i ja nie wiedzieliśmy, jak się to skończy. W archiwum wrzało jak w ulu i zupełnie zapomniałem o Hartingu. Został sekretarzem Klubu Motorowego, ale poza tym rzadko go widywałem. Miałem ważniejsze rzeczy na głowie.

- Rozumiem.

- Potem Bradfield posłał po mnie. To było tuż przed świętami - koło dwudziestego grudnia. Najpierw zapytał, jak sobie radzę z programem niszczenia dokumentów. Było to trochę krępujące; przez ostatnie miesiące mieliśmy mnóstwo pracy. Program niszczenia to ostatnia rzecz, jaką ktokolwiek zawracałby sobie głowę.

- Teraz niech pan uważa: chciałbym poznać szczegóły.

- Powiedziałem, że to wisi nad nami. No cóż, odpowiedział, a co sądzę o rym, że on podeśle mi kogoś do pomocy, żeby uporządkować archiwum. Ma pewną propozycję, nic konkretnego, ale najpierw chciał wysłuchać mnie. Zgodnie z tą propozycją, to Harting mógłby mi pomóc.

- Czyją propozycją?

- Nie powiedział.

Spadło to na nich nagle; i każdy z nich na swój sposób się zdziwił.

- Jeśli ktokolwiek proponował coś Bradfieldowi - powiedział Meadows - nie miało to sensu.

- Tak właśnie pomyślałem - przyznał Turner i zapadła cisza.

- Więc powiedział pan, że może przyjść?

- Nie, powiedziałem mu prawdę. Powiedziałem, że go nie potrzebuję.

- Nie potrzebował go pan? Powiedział pan to Bradfieldowi?

- Niech mnie pan nie naciska. Bradfield wiedział doskonale, że nikogo nie potrzebuję. W każdym razie nie do programu niszczenia dokumentów. Byłem w Londynie, w listopadzie, kiedy zaczęła się ta panika z Karfeldem i powiedziałem im, że niepokoję się o ten program. Mam zaległości, czy nie mógłbym z tym poczekać, aż kryzys przeminie? Odpowiedzieli, że bym się tym w ogóle nie przejmował.

Turner przyglądał mu się uważnie.

- Bradfield wiedział o tym? Jest pan pewien, że Bradfield wiedział?

- Przesłałem mu protokół z tej rozmowy. Nic mi o rym nie powiedział. Potem zapytałem sekretarkę, czy go dostał, a ona upewniła mnie, że mu go przedstawiła.

- Gdzie teraz jest ten protokół?

- Nie wiem. To był niezarejestrowany protokół: tylko od Bradfielda zależało, czy go zachowa, czy nie. Ale w Londynie o nim wiedzą; później bardzo się dziwili, że w ogóle zwracamy sobie głowę programem niszczenia.

- Z kim rozmawiał pan w Londynie?

- Raz z Maxwellem, a raz z Cowdrym.

- Powiedział pan o tym Bradfieldowi?

- Zacząłem, ale mi po prostu przerwał. „Wszystko jest przygotowane - powiedział. - Harting przychodzi do was w połowie stycznia i będzie się zajmował niszczeniem i przeglądem osobowym”. Innymi słowy - masz to przekłnąć. „Możesz zapomnieć, że jest dyplomata- powiedział. - Traktuj go jak swojego podwładnego. Traktuj go, jak chcesz. Ale przychodzi w połowie stycznia i koniec”. Wie pan, jak on pomiata ludźmi. Szczególnie Hartingiem.

Turner pisał w notatniku, ale Meadows nie zwracał na to uwagi.

- Więc w taki sposób przyszedł do mnie. Nie chciałem go, nie ufałem mu, w każdym razie niezupełnie. I na początek postanowiłem dać mu to od czuć. Byliśmy zbyt zajęci: nie chciałem marnować czasu na przyuczanie goś takiego jak Leo. Co miałem z nim zrobić?

Dziewczyna przyniosła herbatę. Brązowa włochata szmatka nakrywała imbryczek, a kostki cukru były opakowane każda z osobna i ostemplowane znakiem NAAFI. Turner uśmiechnął się do sekretarki, ale go zignorowała. Słyszał, jak ktoś krzyczy na temat Hanoweru.

- Mówią, że i w Anglii źle się dzieje - powiedział Meadows. - Prze moc; demonstracje; protesty. Co opętało wasze pokolenie? Co myśmy wam zrobili? Nie rozumiem.

- Zaczniemy od tego, jak tu przybył - powiedział Turner. Tak to jest, jak się miało ojca, w którego się wierzyło, pomyślał: wartości dla nich samych i przepaść wielka jak Atlantyck.

- Powiedziałem Leo, jak przyszedł: „Leo, trzymaj się z boku. Nie płacz mi się pod nogami i nie zwracaj głowy innym”. Przyjął to pokornie. „Arthurze, będzie tak, jak zechcesz”. Zapytałem, czy ma coś, żeby się tym zająć. Tak, powiedział, przegląd osobowy zapewnia mu trochę zajęcia.

- To jest jak sen - powiedział cicho Turner, podnosząc wreszcie wzrok znad notesu. - Cudowny sen. Najpierw przejmuje emigrantów. Ja odwalę brudną robotę, a wy sobie śpijcie dalej. Potem nabiera pana, potem Bradfiel- da i w ciągu kilku miesięcy uzyskuje dostęp do archiwum. Jaki on był? Zdziorny? Wyobrażam sobie, że pękał ze śmiechu.

- Był spokojny. Wcale nie zdziorny. Powiedziałbym, przytłumiony. Wcale nie taki, jak mi o nim mówili.

- Kto?

- Och... nie wiem. Wielu go nie lubi; a jeszcze więcej mu zazdrości.

- Zazdrości?

- No cóż, był dyplomatą prawda? Chociaż zatrudnionym na kontroli. Mówili, że w ciągu dwóch tygodni przejmie wszystko i będzie brał dziesięć procent od akt. Wie pan, co ludzie gadają. Ale on się zmienił. Wszyscy to przyznali, nawet młody Cork i Johnny Slingo. Mówili, że to się zaczęło niemal dokładnie od dnia, kiedy rozpoczął się kryzys. To go rozbudziło. - Meadows potrząsnął głową, jakby brzydził go widok dobrego człowieka schodzącego na manowce. - No i był użyteczny.

- Niech mi pan o tym nie mówi. Podeszedł pana z zaskoczenia.

- Nie wiem, jak mu się to udało. Nic nie wiedział o archiwach, przynaj- mniej o tym, co my tu robimy; i przysięgam, że nie wiem, w jaki sposób zbliżył się wystarczająco do kogoś w archiwum, żeby się o to zapytać. Do połowy stycznia przegląd osobowy był opisany, zakończony i przekazany, a program niszczenia znów ruszył. My biegaliśmy z wywieszonym językiem: Karfeld, Bruksela, kryzys w koalicji i cała reszta. A Leo, nieruchomy jak skała, pracował nad swoimi drobiazgami. Nie trzeba mu było dwa razy po- wtarzać, myślę, że na tym polegała połowa jego sekretu. Miał doskonałą pamięć. Wyciągnął jakąś informację, zachomikował ją i wydobywał parę tygodni później, gdy się już o tym zapomniało. Sądzę, że nie zapomniał ani słowa z tego, co mu się powiedziało. Był w stanie słuchać całym sobą. - Meadows pokręcił głową na to wspomnienie. - Zapamięty wacz, tak go na- zywał Johnny Slingo.

- Przydatny. Jako archiwista, oczywiście.

- Pan to widzi zupełnie inaczej - powiedział po namyśle Meadows. - Pan nie potrafi odróżnić dobra od zła.

- Proszę mi powiedzieć, kiedy się pomylę - odparł Turner, zapisując coś przez cały czas. - Będę za to wdzięczny. Bardzo.

- Niszczenie to dziwaczna gra - powiedział Meadows tonem człowieka mówiącego o swoim rzemiośle. - Zaczniemy od tego, że panu się to zdaje proste. Wybiera się akta, duże, powiedzmy zespół archiwalny liczący dwadzieścia pięć tomów. Dam panu przykład: „Rozbrojenie”. To prawdziwy labirynt. Znajduje się najpierw sygnatury, żeby sprawdzić daty i materiał. I co się znajduje? Demontaż przemysłu Ruhry, 1946; polityka komisji kontrolnej w sprawie pozwoleń na śrutówki, 1949; odbudowa potencjału militarnego Niemiec, 1950. Niektóre rzeczy są tak stare, że pan by się uśmieł. Patrzy się na wykaz, żeby porównać z zawartością i co się znajduje? Głowice bojowe dla Bundeswehry. Coś z zupełnie innej beczki. W porządku, mówi pan, spalmy najstarsze, sądlanas nieistotne. Możemy wyrzucić przynajmniej piętnaście tomów. Kto nadzoruje sprawy rozbrojenia? Peter de Lisie: przedstawiamy to jemu: „Przepraszam, czy możemy zniszczyć do 1960?” Proszę bardzo, mówi, więc możemy. - Meadows pokiwał głową. - Tyle, że nie możemy. Nie jesteśmy nawet w połowie drogi. Nie można po prostu oderznąć dziesięciu tomów i wrzucić je w ogień. Na początek jest repertorium: kto unieważni wszystkie te wpisy? Jest indeks kartkowy, kto go oczyści? Gdzie są traktaty? Trzeba to załatwić z wydziałem prawnym. Jakies interesy wojskowe? To musi załatwić attache militaire. Czy są duplikaty w Londynie? Nie. Więc siadamy i czekamy następne dwa miesiące: nie wolno niszczyć oryginałów bez pisemnej zgody Londynu. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- Rozumiem - powiedział Turner, czekał.

- Potem są krzyżujące się odnośniki, bliźniacze akta w tych samych seriach: czy ich to też dotyczy? Czy też należy je zniszczyć? A może powinniśmy je zostawić, żeby się zabezpieczyć? Zanim się w tym połapiemy, musimy przejść przez całe archiwum, zajrzeć we wszystkie zakamarki; nie ma temu końca; nie ma niczego świętego.

- Myślę, że bardzo mu to odpowiadało.

- Tu nie ma ograniczeń - powiedział Meadows, jakby odpowiadał na czyjeś pytanie. - Może to pana urazi, ale to jedyny system, który jest dla mnie zrozumiały. Każdy może szukać wszystkiego, oto moja zasada. Każdy, kogo tutaj przysłał. Nie ma innego sposobu, żeby to prowadzić. Nie mogę węszyć wokół i pytać, kto gdzie szpera, prawda? - zapytał ignorując zdziwione spojrzenie Turnera.

- Poczul się tu jak ryba w wodzie. Byłem zdumiony. Był szczęśliwy, to po pierwsze. Radowała go praca tutaj, a wkrótce i mnie radowało, że go tutaj mam. Lubił towarzystwo. - Przerwał. - Jedyna rzecz, co do której mieliśmy zastrzeżenia - powiedział z niespodziewanym uśmiechem - to te straszne cygara, które palił. Jawajskie holenderskie. Zasmrodziły całe archiwum. Zaczę-

liśny go nękać z tego powodu, ale nie ustępował. A teraz jakby mi ich brakowało. - Mówił cichym głosem. - Wynurzył się z otchłani kancelarii, ale nie pasował do nich, a parter też nie bardzo mu służył, moim zdaniem. Ta było miejsce w sam raz dla niego. - Wskazał głową na zamknięte drzwi. - Czasem tu jest jak w sklepie: przychodzą klienci i jesteście my. Johnny Slingo. Valerie... Cóż, oni go też polubili, jak wszyscy tutaj. Wszyscy byli przeciwko niemu, kiedy przyszedł, a w ciągu tygodnia wszyscy go polubili. Znalazł z nimi wspólny język. Wiem, co pan myśli: to pochlebiali mojemu ego. W porządku, pochlebiali. Każdy chce, żeby go lubiano, a on nas lubił. W porządku, jestem samotny; Myra to zmartwienie, nie zdałem egzaminu jako ojciec, a nie mam syna o to też trochę chodziło, chociaż różnica wieku między nami wynosi tylko dziesięć lat. Może czułem się jak ojciec dlatego, że jest taki mały.

- Czepiał się dziewczyn, co? - zapytał Turner, bardziej po to, żeby przezwyciężyć niewygodne milczenie, niż dlatego, że przygotował sobie to pytanie.

- Tylko w żartach.

- Słyszał pan kiedyś o kobiecie, nazwiskiem Aickman?

-Nie.

- Margaret Aickman. Byli zaręczeni i mieli się pobrać z Leo.

- Nie.

Nadal nie patrzyli sobie w oczy.

- Lubiał tę pracę - mówił dalej Meadows. - W tych pierwszych tygodniach. Nie sądzę, żeby do tego czasu zdawał sobie sprawę, jak niewiele wie w porównaniu z nami. To znaczy, o Niemczech, o sprawach niemieckich.

Przerwał, wspominał, jakby to było pięćdziesiąt lat temu.

- On też znał ten świat - dodał. - Znał go na wylot.

- Jaki świat?

- Powojenne Niemcy. Okupację, lata, o których tu nie chce się już słyszeć.

Znał to jak własną kieszeń. „Arthurze - powiedział do mnie kiedyś. - Widziałem te miasta, kiedy były wielkimi wojskowymi parkingami. Słyszałem rozmowy tych ludzi, kiedy nawet ich język był zabroniony”. To go czasem całkowicie wybijało z równowagi. Widziałem, jak zagłębiał się w akta, cicho jak myszka, pełen fascynacji. Albo podnosił wzrok, patrzył na pokój, szukał kogoś, kto ma chwilę czasu, żeby powiedzieć mu o tym, na co trafił: „Słuchaj - mówił. - Widzisz to? Rozwiązaliśmy tę firmę w 1947. Popatrz na nią teraz!” Kiedy indziej bujał w obłokach i wtedy całkowicie traciło się z nim kontakt; był w swoim świecie. Myślę, że dręczyło go to, że tak dużo wie. To było dziwne. Myślę, że czasem prawie czuł się winny. Dużo gadał o tej swojej pamięci. „Zmuszacie mnie, żebym zniszczył swoje dzieciństwo” - powiedział pewnego razu, gdy darliśmy jakieś akta, żeby wrzucić je do maszyny. „Robicie ze mnie starego człowieka”. A ja powiedziałem: „Jeśli tak, to jesteś najszczęśliwszym z ludzi”. Uśmieśliśmy się z tego.

- Mówił coś o polityce?
- Nie.
- Co mówił o Karfeldzie?
- Oczywiście był zaniepokojony. To dlatego tak się cieszył, że może pomóc.
- No jasne.
- To kwestia zaufania - odparł buntowniczo Meadowes. - Pan by tego nie zrozumiał. I to prawda, co powiedział: te stare szpargały, których się pobywaliśmy, to było jego dzieciństwo; te stare szpargały wiele dla niego znaczyły.
- W porządku.
- Niech pan słucha: nie gromadziłem na niego żadnych materiałów. Wiem, że zrujnował moją karierę, właściwie to, co z niej zostało, kiedy pan z tym skończy. Ale powinien pan zobaczyć w nim także dobre cechy.
- Nie sprzeczasz się z panem.
- To pamięć go dręczyła. Pamiętam, jak to było z muzyką: kazał mi słuchać płyt gramofonowych, głównie po to, żeby mi je sprzedać. Ubił jakiś interes, z którego był bardzo dumny. W jednym ze sklepów w mieście. „Słuchaj - powiedziałem. - Daj mi spokój, Leo; tracisz czas. Słucham jednej, drugiej płyty, a potem zapominam, co było na pierwszej”. Powiedział wtedy szybko: „Więc powinieneś zostać politykiem, Arthurze, oni tak robią”. I mówił to serio, niech mi pan wierzy.
- Turner niespodziewanie się uśmiechnął.
- To zabawne.
- Może byłoby zabawne - odparł Meadowes - gdyby nie był przy tym tak cholernie zawzięty. Kiedyś rozmawialiśmy o Berlinie, o czymś związanym z kryzysem, i ja powiedziałem: „Cóż, nie szkodzi, nikt już przecież nie myśli o Berlinie”, co przecież jest prawdą. Miałem na myśli akta; nikt nie wyciąga akt ani się nie martwi o nieprzewidziane wypadki, jak to się zwykle robi. Chodziło mi o to, że Berlin z politycznego punktu widzenia jest martwy. „Nie - powiada on. - Dysponujemy wielką pamięcią i małą pamięcią. Mała jest po to, żeby pamiętać o rzeczach małych, a wielka - żeby zapominać o dużych”. Tak powiedział; to mnie poruszyło, naprawdę. Problem w tym, że wielu z nas właśnie tak myśli i trudno temu zapobiec w dzisiejszych czasach.
- Przychodził czasem z panem do domu, prawda? Wieczorami?
- Od czasu do czasu. Kiedy Myry nie było.
- Dlaczego kiedy Myry nie było? - Turner mocno podkreślił pytanie. - Nadal mu pan nie ufał?
- Krążyły plotki - odparł spokojnie Meadowes. - Gadano o nim. Nie chciałem, żeby ją z tym kojarzono.
- Kto o nim gadał?

- Dziewczyny. Dziewczyny w ogólności. Był kawalerem i lubił się zabawić.

- Z kim?

Meadowes pokręcił głową.

- Żle pan to zrozumiał - powiedział. Bawił się dwoma spinaczami do papieru, usiłując je ze sobą połączyć.

- Czy kiedykolwiek mówił o wojennej Anglii? O wuju w Hampstead?

- Kiedyś mi powiedział, że przybył do Dover z tabliczką na szyi. To nie była zwyczajna sprawa.

- Co nie było...

- Że mówił o sobie. Johnny Slingo powiedział, że znał go cztery lata przed jego przyjściem do archiwum i nigdy nie wydusił z niego ani słowa. A teraz się otworzył i Johnny powiedział, że to pewnie początek starości.

- Proszę mówić dalej.

- Cóż, to wszystko, co miał, ta tabliczka z napisem „Harting Leo”. Ogołili mu głowę, odswawili i wysłali do szkoły rolniczej. Zdaje się, że dali mu wybór: nauki społeczne albo rolnictwo. Wybrał rolnictwo, bo chciał mieć własny kawałek ziemi. Wydało mi się to kompletnie pomyłone: Leo, który chce zostać rolnikiem, ale tak było.

- Nic nie mówił na temat komunistów? O lewicujących chłopakach z Hampstead? Czy w ogóle?

- Nic.

- Powiedziałby mi pan, gdyby coś mówił?

- Wątpię.

- Czy kiedykolwiek wspomniał o człowieku, nazwiskiem Praschko? Z Bundestagu.

Meadowes zawahał się.

- Powiedział pewnego wieczora, że Praschko odszedł od niego.

-Odszedł?

- Nie chciał więcej powiedzieć. Razem wyemigrowali do Anglii i razem tu wrócili po wojnie; Praschko wybrał jedną drogę, a Leo drugą. -Meadowes wzruszył ramionami. - Nie naciskałem. Bo i po co miałem to robić? Potem nigdy już o nim nie wspominał.

- A całe to gadanie o jego pamięci: jak pan sądzi, o co mu chodziło?

- Myślę, że o jakieś wydarzenie historyczne. Dużo myślał o historii. Niech pan pamięta, że to było kilka miesięcy temu.

- A co to za różnica?

- To było, zanim trafił na właściwy ślad.

- Na co?

- Na ślad - odparł po prostu Meadowes. - To właśnie staram się panu powiedzieć.

- Chciałbym coś usłyszeć o zaginionych aktach - powiedział Turner. - Chcę sprawdzić repertorium i pocztę.

- Niech pan poczeka, wszystko po kolei. Są pewne sprawy, które trudno nazwać po prostu faktami i jeśli zechce pan poświęcić mi trochę uwagi, to panu o tym powiem. Pan jest jak Leo: chce pan odpowiedzi, zanim zada pan pytanie. Próbuję panu powiedzieć, że od dnia, w którym się tu pojawił, wiedziałem, że czegoś szuka. Wszyscy wiedzieliśmy. To było widać. Szukał czegoś konkretnego. Czegoś, czego można nieomal dotknąć, i wiele to dla niego znaczyło. A tutaj to rzadkość, może mi pan wierzyć.

- Archiwista jest jak historyk; są epoki, które sobie upodobał: miejsca, królów i królowe. Wszystkie akta, które się tu znajdują, są ze sobą powiązane. Muszą być. Jeśli poda mi pan jakąkolwiek teczkę z najbliższej półki, będę w stanie przeprowadzić pana jak po nitce przez całe archiwum od islandzkich przepisów dotyczących transportu morskiego do najnowszych informacji o cenach złota. Fascynacja aktami polega na tym, że nie ma miejsca, na którym chciałby się człowiek zatrzymać.

Turner patrzył na poszarzałą, dobrotną twarz, szare oczy zasnutę troską i czuł jak rodzi się ta ekscytacja.

- Archiwista może się wydawać, że to on prowadzi archiwum - powiedział Meadows. - Nie. To ono jego prowadzi. Ma takie właściwości, że po prostu go dopada i nic na to nie można poradzić. Weźmy, na przykład, Johnny'ego Slinga. Widział go pan, siedzi po lewej, starszy facet w marynarce. To typ intelektualisty, po college'u i tak dalej. Johnny jest tutaj w zasadzie dopiero od roku, przyszedł do nas z administracji, ale już go wchłonęło dziesięć-dziewięć-cztery: stosunki Republiki Federalnej ze stronami trzecimi. Może usiąść tu, gdzie pan, i recytować daty i miejsca wszystkich negocjacji, które odbyły się w związku z doktryną Hallsteina. Ja z kolei uwielbiam mechanizmy. Lubię samochody, wynalazki, to wszystko. Myślę, że wiem więcej o naruszeniach niemieckich praw patentowych niż którykolwiek z urzędników biura handlowego.

- Na jaki ślad wpadł Leo?

- Niech pan poczeka. To ważne, co teraz mówię. W ciągu ostatniej doby spędziłem wiele czasu rozmyślając o rym, a pan tego wysłucha, czy pan chce, czy nie. Akta mają nad człowiekiem władzę, i nic się na to nie poradzi. Zaczynają rządzić twoim życiem, kiedy tylko nato pozwolisz. Dla niektórych są jak żona i dzieci. Widziałem takie przypadki. A czasem pochłaniają i wtedy zaczynasz podążać tropem, i nie możesz już z niego zejść. Tak właśnie stało się z Leo. Choć nie wiem, jak się to stało. Czasem jakiś papier przykuwa uwagę, jakiegoś głupstewko: groźba strajku wśród pracowników cukrowni w Surabaja, to obec-

nie nasz ulubiony dowcip. „Hej - mówisz do siebie. - A dlaczego pan ten a ten nie zakończył sprawy?” Sprawdzasz we wcześniejszych papierach: pan ten a ten nigdy tego nie widział. Nigdy nie przeczytał telegramu. Ale przecież musiał go widzieć. Tyle, że to wszystko zdarzyło się trzy lata temu, a pan ten a ten jest teraz ambasadorem w Paryżu. Więc zaczynasz śledztwo: jakie kroki podjęto albo nie podjęto? Kogo się radzono? Dlaczego nie poinformowali Waszyngtonu? Szukasz w odnośnikach, wyciągasz oryginały. I już jest za późno; straciłeś poczucie proporcji, odleciałeś i gdy zdołasz się otrząsnąć, jesteś już o dziesięć dni starszy i wcale nie mądrzejszy, ale może bezpieczny na następne parę lat. Obsesja. Prywatna podróż. To się zdarza nam wszystkim. Tak jesteśmy skonstruowani.

- I to przytrafiło się Leo?

- Tak, to przytrafiło się Leo. Już pierwszego dnia, kiedy tutaj przyszedł. Miałem wrażenie, że on... hm, że on czeka. Sam sposób, w jaki patrzył, w jaki traktował dokumenty... Ciągłe te ukradkowe zerknięcia. Podnoszę wzrok i łapię jego spojrzenie, małe brązowe oczka przyglądające się przez cały czas. Może pan powiedzieć, że to moje dziwactwo; nie obchodzi mnie to. Niewiele sobie z tego robiłem, bo i dlaczego? Wszyscy mamy problemy, a poza tym wtedy było tu jak w fabryce. Ale tak to wyglądało. Tak to właśnie wyglądało. Na początku wiedział niewiele; zauważyłem to. A potem stopniowo łąpał ślad.

Rozległ się dzwonek. Długi, stanowczy dźwięk przetoczył się przez korytarz. Usłyszeli trzaśnięcie drzwi i odgłos biegnących nóg. Jakaś dziewczyna wołała:

- Gdzie jest Valerie, gdzie jest Valerie!?

- Ćwiczenia przeciwpożarowe - powiedział Meadows. - Teraz mamy je dwa, trzy razy tygodniowo. Niech się pan nie martwi. Archiwum jest z tego wyłączzone.

Turner usiadł. Wyglądał jeszcze bardziej blade niż przedtem. Przejechał wielką ręką po skręconych jasnych włosach.

- No, słucham - rzucił.

- Od marca pracował nad wielkim blokiem: wszystkie siedem-zero-siedem. To ustawy. Jest ich dwieście albo i więcej i głównie dotyczą przekazania uprawnień w okresie, gdy zakończyła się okupacja mocarstw. Terminy wycofania wojsk, przepisy dotyczące pozostawionych dóbr, przepisy dotyczące własności, kolejne etapy autonomii i Bóg wie co jeszcze. Od czterdziestego dziewiątego do pięćdziesiątego piątego. Właściwie nic istotnego dla ambasady. Mógł zacząć niszczenie od zupełnie innych miejsc, ale jak tylko zobaczył siedem-zero-siedem, wpadł. „Właśnie to - powiedział. - To jest coś dla mnie, Arthurze, na tym mogę poćwiczyć. Wiem, o czym jest mowa; znam te sprawy”. Sądzę, że przez piętnaście lat nikt do tych papierów nie zaglądał. Ależ to było skomplikowane, chociaż przestarzałe. Taki techniczny bełkot. Zaskakujące, ile ten Leo umiał. Znał wszystkie te terminy, po

niemiecku i po angielsku, wszystkie te formułki prawnicze. - Meadows pokręcił głową z podziwem. - Widziałem protokół, który wysłał do attaché prawnego, streszczenie akt; jestem pewien, że sam nie potrafiłbym się w tym rozróżnić i wątpię, czy ktokolwiek w kancelarii byłby w stanie to zrobić. Pruski kodeks karny i regionalna suwerenność prawna. W dodatku połowa po niemiecku.

- Wiedział więcej, niż mówił; to chce pan powiedzieć?

- Nie, nie to - odparł Meadows. - I niech pan nie wkłada słów w moje usta. Ktoś się nim posłużył, to miałem na myśli; dysponował pokazną wiedzą, której przez długi czas nie mógł spożytkować. I nagle uruchomił ją.

Meadowes podsumował:

- Jeśli chodzi o siedem-zero-siedem, nie było mowy o zniszczeniu: należało je raczej wysłać do Londynu, żeby tam je magazynowano, ale wszystko trzeba było przeczytać i przedłożyć, jak i inne akta. Przez ostatnie kilka tygodni bardzo się w to zaangażował. Mówiłem już panu, że niewiele mówił. Ale odkąd wszedł w ustawy, stał się jeszcze większym milczkiem. Trafił na ślad.

- Kiedy to było?

Notatnik Turnera miał z tyłu kalendarzyk, otworzył go teraz.

- Trzy tygodnie temu. Zagłębiał się coraz bardziej. Nadal był wesoły, wie pan, nadal przynosił dziewczynom krzesła albo pomagał im nosić paczki. Ale coś go dopadło i to coś, co wiele dla niego znaczyło. Nadal był ciekawski. Nic by go z tego nie uleczyło: musiał dokładnie wiedzieć, co każde z nas robi. Ale był też jakiś wyciszony, coraz bardziej zamyślony, coraz poważniejszy. Wreszcie w poniedziałek, w ostatni poniedziałek, zmienił się całkowicie.

- Od dziś to będzie tydzień - powiedział Turner. - Piątego.

- Zaledwie siedem dni. Tylko tyle? Mój Boże. - Zza drzwi doszedł ich nagle zapach gorącego wosku i stłumiony łomot wielkiej pieczęci przybijanej do pakietu. - To poczta na drugą po południu, teraz ją przygotowują - zamruczał bez związku i spojrzał na srebrny zegarek kieszonkowy. - Według planu ma być na dole o dwunastej trzydzieści.

- Jeśli pan chce, przyjdę po lunchu.

- Wolałbym raczej skończyć z panem przed obiadem - powiedział Meadows. - Jeśli nie ma pan nic przeciw temu. - Schował zegarek. - Gdzie on jest? Wie pan? Co się z nim stało? Uciekł do Rosji, tak?

- Pan tak myśli?

- Mógł uciec dokądkolwiek. Był inny niż my. Próbował, ale raczej taki jak pan pod pewnymi względami. Przewrotny. Ciągłe zajęty, ciągle robił coś na opak. Nic nie było proste, myślę, że na tym polegał jego problem. Za dużo dzieciństwa. Albo żadnego. A to wychodzi na jedno. Wolę, jak ludzie dojrzewają powoli.

- Niech mi pan opowie o ostatnim poniedziałku. Zmienił się, ale jak?

- Zmienił się na lepsze. Otrząsnął się. Ślad się urwał. Uśmiechał się, kiedy wchodziłem, był naprawdę szczęśliwy. Johnny Slings i Yalerie zauważyli to samo co ja. Pracowaliśmy oczywiście pełną parą; byłem tu przez część soboty i całą niedzielę. Inni przychodzili i wychodzili.

- A Leo?

- On też był zajęty, bez dwóch zdań, ale nie widywaliśmy go często w pobliżu. Godzinka tu na górze, trzy godzinki na dole...

- Gdzie na dole?

- W swoim pokoju. Czasem tak robił. Brał kilka teczek na dół, żeby nad nimi popracować. Tam było spokojniej. „Chcę go ogrzać - mówił. - To mój stary pokój, Arthurze, i nie chcę, żeby zarósł kurzem”.

- Zabierał tecki na dół? - zapytał bardzo cicho Turner.

- Potem poszedł do kościoła. To zabrało mu część niedzieli. Grał na organach.

- Nawiasem mówiąc, od jak dawna to robił?

- Od lat To było jego ubezpieczenie - powiedział Meadows z lekkim śmiechem. - Żeby uczynić się niezastąpionym.

- A w poniedziałek był szczęśliwy.

- Spokojny. Nie znajduję na to innego słowa. „Podoba mi się tutaj, Arthurze - powiedział. - Chcę, żebyś o tym wiedział”. Usiadł i zabrał się do pracy.

- I tak już było, dopóki nie zniknął?

- Mniej więcej.

- Co pan ma na myśli, mówiąc „mniej więcej”?

- Cóż, była awantura. W środę. We wtorek było wszystko w porządku, a w środę przyłapałem go na tym. - Złożył ręce na kolanach i patrzył na nie z pochyloną głową. - Próbował zajrzeć do zielonej teczki. Z najwyższym stopniem tajności. - Nerwowym ruchem dotknął głowy. - Zawsze był ciekawy, mówiłem panu. Niektórzy ludzie tacy są nie mogą się powstrzymać. Nieważne, co to było. Gdybym położył list od matki na swoim własnym biurku, jestem pewien, że Leo by go przeczytał. Zawsze myślał, że ludzie spiskują przeciwko niemu. To nas doprowadzało do szału: zaglądał wszędzie. Do teczek, szaf, wszędzie. Kiedyś przez tydzień przyjmował pocztę. Było jej mnóstwo na dole, w pomieszczeniu z workami pocztowymi. Z początku nic mnie to nie obchodziło, ale kiedy mu powiedziałem, żeby przestał, oburzył się i w końcu machnął ręką. - Rozłożył ręce, jakby szukając odpowiedzi. - W marcu przyszły z Londynu jakieś papiery dotyczące handlu - specjalne wytyczne dla wydziału ekonomicznego co do nowych zasad i planowania. Przyłapałem go z całą paczką papierów na biurku. „Słuchaj - powiedziałem. - Nie umiesz czytać? Te listy są tylko za pokwitowaniem, nie dla ciebie”. Nie powiedział ani słowa, ale naprawdę był bardzo zły. „Myślałem, że mogę się zajmować wszystkim!” Miałem wrażenie, że mnie uderzył. „No to

źle myślałeś - odparłem. To było w marcu. Musiało minąć kilka dni, zanim obaj się uspokoiliśmy.

- Boże, miej nas w opiece - powiedział cicho Turner.

- A potem ta zielona teczka. Zielone teczki są rzadkością. Ja nie wiem, co w nich jest, Johnny nie wie, Yalene też nie wie. Taka teczka leży w pudle na depesze. Jego ekscelencja ma jeden klucz, Bradfield drugi, czasem daje go de Lisle'owi. Pudło musi wracać na noc do skarbcza. Wpisuje sieje i wypisuje, i tylko ja mogę się tym zajmować. W środę w porze obiadowej Leo był tu sam; Johnny i ja poszliśmy do stołówki.

- Często zostawał w porze obiadu, prawda?

- Tak, zwykle tak robił. Lubił spokój.

- W porządku.

- W stołówce była wielka kolejka, a ja nie cierpię kolejek, więc powiedziałem Johnny'emu: „Zostań, a ja troszkę popracuję i wrócę za godzinę”. No i zjawilem się w biurze niespodziewanie. Po prostu wszedłem. Hartinga nie było, a skarbiec stał otwarty. Był w środku, stał z zielonym pudłem na depesze.

- Jak to: stał?

- Po prostu trzymał je w rękach. Patrzył na zamek, o ile pamiętam. Z ciekawością. Uśmiechnął się, kiedy mnie zobaczył, był spokojny. Zwykle jest bardzo drażliwy. Mówiłem panu. „Arthurze - powiedział. - Przyłapałeś mnie, odkryłeś moją wstydliwą tajemnicę”. A ja na to: „Co ty, do diabła, chcesz zrobić? Popatrz, co trzymasz w rękach!” „Znasz mnie” - mówi. - Szukałem jakichś siedem-zero-siedem, nie widziałeś ich gdzieś tu? Z marca i lutego pięćdziesiątego ósmego”.

- I co dalej?

- Powiedziałem, że go zastrzelę. A co miałem zrobić? Powiedziałem, że złożę meldunek Bradfieldowi. Byłem po prostu wściekły.

- Ale pan tego nie zrobił.

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie zrozumiałby pan - odparł po chwili Meadows. - Pan pewnie myśli, że jestem przygłupi, wiem. To były urodziny Myry, mieliśmy imprezę w klubie. Leo miał próbę chóru i raut.

- Raut? Gdzie?

- Nie powiedział.

- W jego kalendarzu niczego nie ma.

- To nie moja sprawa.

- Niech pan mówi dalej.

- Obiecał, że wpadnie wieczorem i da jej prezent. To miała być suszarka do włosów, wybraliśmy ją razem. - Znów pokręcił głową. - Jak mam to wyjaśnić? Powiedziałem już panu: czułem się za niego odpowiedzialny. To

był taki typ faceta. Pan czyja mogliśmy go uciszyć jednym pstryknięciem, gdyby nam na tym zależało.

Turner patrzył na niego z niedowierzaniem,

- I wie pan, chodziło jeszcze o to - spojrzał Turnerowi prosto w oczy - ze gdybym powiedział Bradfieldowi, to byłby koniec. Leo byłby załatwiony. Nie miał dokąd pójść, prawda? Niech pan to zrozumie. Teraz mówię, że mam nadzieję, że uciekł do Moskwy, bo nigdzie indziej nie miałby czego szukać.

- Pan go podejrzewał?

- Tak, sądzę, że tak. Myślę, że gdzieś w głębi duszy podejrzewałem go. To zrobiła ze mnie Warszawa. Chciałem, żeby Myra tam została, z tym jej studentem. W porządku, namówili go do tego, zmusili, żeby ją uwiódł. Ale przecież powiedział, że się z nią ożeni, prawda? Ze względu na dziecko. Kochałem to dziecko bardziej, niż można wyrazić. To właśnie mi zabraliście. Jej też. Nie powinien pan tego robić, dobrze pan wie.

Był wdzięczny za hałas ruch uliczny, za każdy dźwięk, który wypełniał ten przekłety stalowy zbiornik i tłumił oskarżycielskie echo niskiego głosu Meadowesa.

- A w czwartek pudło znikło?

Meadowes wzruszył ramionami.

- Zwrócono je nam z góry w połowie dnia. Pokwitowałem odbiór włas norecznie i zostawiłem je w skarbcu. A w piątek go nie było. To wszystko.

Przerwał.

- Powinienem być zgłosić to od razu. Powinienem pobiec do Bradfielda w piątek po południu, kiedy to zauważyłem. Nie zrobiłem tego. Przespałem się z tym. Rozmyślałem o tym przez całą sobotę. Piłowałem Córka, rzuciłem się na Johnny'ego Slingo, zrobiłem im piekło. Byłem wściekły, ale nie chciałem robić dodatkowego zamieszania. Straciliśmy wiele rzeczy podczas tego kryzysu. Ludzie zaczęli mieć lepkie palce. Ktoś zwędził nasz wózek, nie wiem kto: domyślam się, że jeden z urzędników ataszatu wojskowego. Ktoś inny ukradł krzesło obrotowe. I maszynę do pisania z długim wałkiem; notatniki, nawet kubki ze sklepów NAAF1. Ale to były drobiazgi. Pomyślałem, że akta mógł zabrać jeden z użytkowników: de Lisie, sekretariat...

- Czy pytał pan Hartinga?

- Jego przecież już nie było.

Turner wrócił do rutynowego przesłuchania.

- Nosił teczkę, prawda?

- Tak.

- Pozwalano mu ją tutaj przynosić?

- Przynosił kanapki i termos.

(

- Więc pozwalano mu?
 - Tak.
 - Czy miał tę teczkę w czwartek?
 - Chyba tak. Tak, musiał mieć.
 - Czy była na tyle duża, żeby można w niej było wynieść pudło na depesze?
 - Tak.
 - Czy w czwartek jadł lunch tutaj, na miejscu?
 - Wyszedł około dwunastej.
 - I wrócił?
 - Mówiłem panu: czwartek to szczególny dzień. Dzień konferencji. To jakaś pozostałość z jego dawnego zajęcia. Chodzi do jednego z ministerstw, w Bad Godesberg. Coś z zaległymi roszczeniami. Wydaje mi się, że w ostatni czwartek był umówiony na lunch, a potem szedł na spotkanie.
 - Czy zawsze chodził na te spotkania? Co czwartek?
 - Odkąd przyszedł do archiwum.
 - Miał klucz, prawda?
 - Po co? Klucz do czego?
- Turner poczuł, że jest na niepewnym gruncie.
- Żeby móc wchodzić i wychodzić z archiwum. Albo znał kombinację.
- Meadowes roześmiał się.
- Tylko ja i szef kancelarii wiemy jak tu wejść i wyjść, i nikt poza tym.
- Są trzy kombinacje i pół tuzina zapadek antywłamaniowych i jeszcze skarbic. Ani Slingo, ani de Lisie nie wiedzą. Tylko my dwaj.
- Turner szybko zapisywał.
- Niech pan powie, co jeszcze zginęło - powiedział w końcu.

Meadowes otworzył szufladę biurka i wyciągnął listę. Poruszał się sprawnie i nadszpiewanie pewnie.

- Bradfield nie powiedział panu?
- Nie.

Meadowes wręczył mu listę.

- Może pan to zatrzymać. Czterdzieści trzy pozycje. Same akta z zielonego pudła, wszystkie znikły od marca.

- Odkąd złapał ślad.
- Ich klasyfikacja waha się od „poufne” do „ściśle tajne”; ale większość jest po prostu „tajna”. Są to akta dotyczące organizacji, konferencji, osób i dwie te czki z traktatami. Dotyczą tematyki: od demontażu koncernów chemicznych w Zagłębiu Ruhry w czterdziestym siódmym po protokoły z nieoficjalnych rozmów angielsko-niemieckich, prowadzonych na szczeblu nieoficjalnym w ciągu ostatnich trzech lat. Plus akta zielone, rozmowy oficjalne i nieoficjalne.

- Bradfield mi mówił.

- To jak fragmenty układanki... tak pomyślałem na samym początku... Rozmyślałem o tym godzinami. Nie spałem. Od czasu do czasu... - prze-rwał. - Od czasu do czasu wydawało mi się, że wpadłem na jakiś pomysł, że złożyłem jakiś obraz, fragment obrazu... Nie ma jasnego obrazu i nie ma racjonalnego wyjaśnienia. Niektóre z akt zostały opisane przez Leo jako prze-znaczone dla innych pracowników; niektóre mają napis „zakwalifikowane do zniszczenia”, większość po prostu zaginęła. Nie można tego wcześniej stwierdzić. Po prostu się ich nie widzi, to niemożliwe. Dopóki ktoś nie po-prosi o jakieś akta, nie wiadomo, czy znajdują się na miejscu.

- A listy? Brakuje też listów.

- Tak - odparł niechętnie Meadows. - Brakuje nam trzydziestu trzech przychodzących listów.

- Nie zostały wpisane do rejestru? Po prostu leżały sobie i każdy mógł je wziąć? O czym traktowały? Nie zapisał pan ich.

- Nie wiadomo. Taka jest prawda. To listy z niemieckich ministerstw. Znamy sygnatury, bo w pomieszczeniu pocztowym wpisano je do księgi. Nie dotarły do archiwum.

- Ale pan sprawdzał odnośniki?

Meadowes odpowiedział z niechęcią:

- Brakujące listy wchodzą w skład zaginionych akt. Sygnatury są takie same. Tylko tyle możemy powiedzieć. Ponieważ są niemieckich ministerstw, Bradfield zarządził, żebyśmy nie prosili o duplikaty, dopóki nie zakończą się rozmowy w Brukseli: żeby nie zaczęli podejrzewać czegoś w związku z nieobecnością Hartinga.

Turner włożył czarny notes do kieszeni, wstał i podszedł do zakratowa-nego okna. Dotykał zamków, sprawdzał wytrzymałość drucianej siatki.

- Miał coś w sobie. Był kimś szczególnym. Coś sprawiało, że się na niego patrzyło.

Z autostrady doszło ich zawodzenie sygnału karetki i rozplynęło się w od-dali.

- Był kimś szczególnym - powtórzył Turner. - Przez cały czas pan tak mówi. Leo to, Leo tamto. Rozumiał go pan. Wie pan, że tak było. Dlaczego?

- Nic takiego nie mówiłem.

- A co to były za plotki? Co takiego o nim mówili, że pan się przestraszył? Był czymś chłoptasiem? Coś dla Johnny'ego Slinga, na stare lata? Obracał się wśród pedałów i stąd całe to mizdrzenie się?

Meadowes pokręcił głową.

- Stracił pan żądło - powiedział. - Już mnie pan nie nastraszy. Znam pana od najgorszej strony. Tu nie Warszawa. On nie był z takich. Ja nie je stem dzieckiem, a Johnny nie jest homoseksualistą.

Turner nie spuszczał z niego wzroku.

- Ale coś pan słyszał. Coś pan wie. Obserwował go pan, wiem, że tak było. Patrzył pan na niego przez pokój; jak staje, jak sięga po teczki. Wykonywał najgłupszą robotę w całym archiwum, a pan mówi o nim, jakby był ambasadorem. Tu był bałagan, sam pan tak powiedział. Wszyscy, poza Leo, polowali na teczki, przygotowywali akta, robili wpisy, łączyli dokumentację, wszyscy stawali na głowach, żeby wszystko szło gładko podczas kryzysu. A co robił Leo? Leo pracował przy niszczeniu akt. Bez potrzeby. Sam pan tak powiedział. Więc co takiego w nim jest? Dlaczego go pan obserwował?

- Marzyciel z pana. Niczego pan nie widzi po prostu. Ale gdyby pan przypadkiem miał rację, nie powiedziałbym panu tego nawet na łożu śmierci.

Kartka na pokoju szyfrantów głosiła: *Wracam kwadrans po drugiej. W nagłych przypadkach dzwonić pod 333*. Zastukał do drzwi Bradfielda i złapał za klamkę; były zamknięte. Podeszedł do balustrady i gniewnie spojrział w dół. W recepcji młody strażnik czytał uczoną książkę na tematy techniczne. Na jednej z otwartych stron widać było wykresy. W przeszkolonej poczekalni ghański charge d'affaires gapił się w zamyśleniu na zdjęcie przedstawiające brzeg i Clyde z lotu ptaka.

r- Wszyscy są na lunchu, stary - szepnął ktoś za nim. - Żaden Hun nie zakłóca nam spokoju aż do trzeciej. Rozejm. Przedstawienie trwa dalej. - Lisia postać stała między gaśnicami.

- Crabbe - przedstawił się - Mickie Crabbe - jakby samo nazwisko tłumaczyło wszystko. - Peter de Lisie zaraz wróci. Był w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych ratować kobiety i dzieci. Rawley posłał po niego, żeby pana nakarmił.

- Chcę wysłać telegram. Gdzie jest pokój trzy-trzydzieści trzy?

- To pokój wypoczynkowy strażników, stary. Poszli w kimono po cafej tej wrzawie. Ciężkie czasy. Jeśli to coś pilnego, może poczekać, jeśli coś ważnego, to i tak za późno. - Mówiąc to, Crabbe prowadził go wymarłym korytarzem jak zniedołężniały dworzanin oświecający drogę panu, żeby trafił do łóżka. Przechodząc obok windy, Turner zatrzymał się i spojrział na nią raz jeszcze. Była zamknięta na kłódkę, a na kartce napisano *zepsuta*.

To dwie różne sprawy, powiedział sobie, o co tu się martwić, na litość boską? Bonn to nie Warszawa. Warszawa była sto lat temu. Bonn jest dzisiaj. Trzeba zrobić, co jest do zrobienia i jechać dalej. Przypomniał sobie rokokowy salonik w warszawskiej ambasadzie, pociemniały od kurzu żyrandol i Myrę Meadows, samotną na idiotycznej kanapie.

- Następnym razem, jak wyjedziesz na placówkę do kraju za żelazną kurtyną- krzyczał Turner - ostrożniej sobie dobieraj kochanków, do cholery!

Niech jej powiedzą, że wyjeżdżam z tego kraju, pomyślał. Przyjechałem tu, żeby znaleźć zdrajcę. Dorodnego zdrajcę z zakrwawionymi zębami, zdrajcę w starym stylu.

No, Leo, ja i ty jesteśmy jednej krwi: ludzie podziemia to właśnie my. Będę cię ścigał po kanałach; to dlatego tak rozkosznie pachnę. Osiadł na nas brud tego świata, i na tobie, i na mnie. Ja ścigam ciebie, ty ścigasz mnie, a każdy z nas ściga sam siebie.

7 De

Lisie

Klub amerykański nie był tak dobrze strzeżony jak ambasada. - To nie jest wykwinna restauracja - objaśnił de Lisie, przedstawiając dokumenty żołnierzowi przy drzwiach - ale mają tu wspaniały basen.

Zamówił stolik przy oknie z widokiem na Ren. Odświeżeni po kąpieli w basenie, pili martini i obserwowali wielkie brązowe helikoptery kołyszące się w locie ku lądowiskom w górze rzeki. Niektóre oznakowane były czerwonymi krzyżami, inne nie miały żadnych znaków. Od czasu do czasu białe statki pasażerskie przemykały przez mgłę, wioząc ściśnięte grupki pasażerów ku ziemi Nibelungów; warkot ich silników unosił się za nimi jak słaby odgłos grzmotu. Gdy przepływała wycieczka uczniów, usłyszeli dźwięki pieśni o Lorelei, wyciskane z akordeonu, którym akompaniował boski, choć niezbyt równy chór. Siedem wzgórz Kftnigswinter było teraz znacznie bliżej, ale mgła przesłaniała ich zarys.

De Lisie, z wystudiowaną rezerwą, wskazał Petersberg, regularny leśny stożek zwieńczony prostokątem hotelu. Neville Chamberlain zatrzymał się tam w latach trzydziestych.

- To było wtedy, gdy zdradziliśmy Czechosłowację. Miałem na myśli - po raz pierwszy.

Po wojnie była tu siedziba alianckiej wysokiej komisji; nie tak dawno królowa korzystała z tego hotelu podczas wizyty państwowej. Po prawej stronie od wzgórza leżał Drachenfels, gdzie Zygfryd zabił smoka i wykapał się w jego magicznej krwi.

- Gdzie jest dom Hartinga?

~. Nie widać go stąd - odparł cicho de Lisie i nie wskazał już niczego. - Stoi u stóp Petersbergu. Harting mieszka, można by tak rzec, w cieniu Chamberlaina - i skierował rozmowę na bardziej ogólne tematy.

- Sądzę, że kłopot z odgrywaniem roli strażaka z centrali polega na tym, że zbyt często zjawiacie się, gdy pożar już wygasł. Tak to jest?

- Często tutaj przychodził?

- Mniejsze ambasady urządzają tutaj przyjęcia; jeśli ich salony nie są wystarczająco duże. Tak, bywał tu dość często.

I znów stał się małomówny i ostrożny, chociaż sala była prawie pusta. Tylko w rogu, niedaleko wejścia, przy otoczonym szklanymi panelami barze, siedziała grupa korespondentów zagranicznych. Gestykulowali, pili, żuli jak koniki morskie odprawiające jakiś swój rytuał.

- Czy w całej Ameryce jest tak jak tu? - zapytał de Lisie - Czy gorzej? - Rozejrzył się powoli. - Ale to jednak daje jakieś poczucie ogromu. I optymizmu. Na tym polega kłopot z Amerykanami, prawda? Całe to skupienie na przyszłości. To jest niebezpieczne, bo stają się destruktywni wobec teraźniejszości. Milej jest patrzeć wstecz, zawsze tak uważałem. Nie widzę żadnej nadziei w przyszłości, i to daje mi poczucie wolności. I opiekuńczości: stajemy się dla siebie życzliwsi w celi skazańców, prawda? Nie bierz mnie zbyt serio, dobrze?

- Gdybyś chciał wziąć akta z kancelarii późno w nocy, co byś zrobił?

- Wyciągnąłbym z łóżka Meadowesa.

- Albo Bradfielda?

- Ale by dopiero było. Rawley zna kombinacje zamków, ale wyjawi je tylko w ostateczności. Na przykład jak Meadowes wpadnie pod autobus, Rawley może nadal mieć dostęp do papierów. Musiałeś mieć trudny ranek - dodał z troską-gadasz bez sensu.

-, A co ty byś zrobił?

- Och, wyjąłbym akta po południu.

- Chociaż pracujesz w nocy?

- Jeśli archiwum jest otwarte, zgodnie z procedurą kryzysową, to nie ma problemu. Jeśli jest zamknięte, cóż, większość z nas ma sejfy i kasety ogniotrwałe, w których wolno przechować rzeczy przez noc.

- Harting nie miał czegoś takiego.

- Czy od tej chwili moglibyśmy po prostu mówić „on”?

- Więc gdzie on by pracował? Gdyby wieczorem wyciągnął kilka teczek i pracował do późna: co by zrobił?

- Myślę, że zabrałby je do swojego pokoju, a wychodząc, oddał strażnikom kancelarii. Gdyby nie pracowałby w archiwum. Straż ma sejf.

- I strażnik pokwitowałby odbiór?

- O, rany, tak. Nie jesteśmy aż tak nieodpowiedzialni.

- Więc mógłbym to sprawdzić w nocnej księżdzie straży?
- Mógłbyś,
- Wyszedł, nie mówiąc Strażnikowi do widzenia.
- O, rany - powiedział de Lisie, najwyraźniej zaskoczony. - Chcesz powiedzieć, że zabrał je do domu?
- Jaki miał samochód?
- Malucha.
- Obaj zamilkli.
- Czy mógł jeszcze gdzieś pracować, w specjalnej czytelni, w skarbcu na parterze?
- Nie mógł - odparł stanowczo de Lisie. - Słuchaj, może napijesz się jeszcze raz tego samego i troszkę ostudzisz mózg?
- Wzwał kelnera.
- Po prostu spędziłem koszmarną godzinę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych z tymi ludźmi bez twarzy od Siebkrona.
- Co robiliście?
- Oplakiwaliśmy biedną panią Eich. To była makabra. I coś bardzo dziwnego - dodał. - Wiedziałaś, że plazmę krwi dostarcza się w puszkach? W ministerstwie mówią, że chcą zgromadzić trochę tych puszek w stołówce ambasady, na wszelki wypadek. To najbardziej Orwellowska bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałem, Rawley się wścieknął. Uważa, że już teraz posunęli się za daleko. Jak widać, żaden z nas nie należy do odpowiedniej grupy: jedna krew dla wszystkich. Coś mi się zdaje, że wszystko zmierza ku równości. Rawley mocno się zdenerwował na Siebkrona.
- Dlaczego?
- Chodzi o te jego starania o biednych Brytyjczyków. W porządku, Karfeld jest koszmarnie antybrytyjski i przeciwny Wspólnemu Rynkowi. Bruksela jest bardzo ważna, a stanowisko brytyjskie podnieca nastroje nacjonalistyczne i rozwściecza Ruch, a piątkowy wiec był bardzo niepokojący i wszyscy jesteśmy zdenerwowani. Zgadza się z tym. 1 w Hanowerze wydarzyły się rzeczy paskudne. Ale mimo to nie zasługujemy na aż tyle uwagi. Najpierw godzina policyjna, potem ochrona osobista, teraz te nieszczęsne samochody. Myślę, że narzuca się nam celowo. - Sięgnął w stronę Turnera i wziął w szczupłą kobiecą dłoń ogromne menu. - Co sądzisz o ostrygach? Czyż tego nie jada się w dobrym towarzystwie? Mają je tutaj przez cały rok. Myślę, że sprowadzają je z Portugalii albo skądś tam.
- Nigdy nie próbowałem ostryg - powiedział Turner nieco napastliwie.
- Wiec musisz wziąć tuzin, żeby wyrobić sobie o nich zdanie - odparł niedbale de Lisie i napił się martini. - Jak to miło spotkać kogoś z zewnątrz. Chyba tego nie zrozumiesz.
- Rząd barek spływał z biegiem rzeki.

- Niepokojące jest, że wszystkie te środki ostrożności nie są chyba podejmowane dla naszego dobra. Niemcy nagle schowali rogi, jakbyśmy z rozmysłem zachowywali się prowokacyjnie; jakbyśmy to my urządzali demonstrację. Prawie z nami nie gadają. Całkowite zamrożenie stosunków. Tak. Tak mi się właśnie zdaje - dokończył myśl. - Traktują nas, jakbyśmy byli wrogo nastawieni. Co jest podwójnie frustrujące, skoro nam chodzi o to, żeby nas kochano.

- Miał raut w piątek wieczór - powiedział nagle Turner.

- Doprawdy?

- Ale nie ma tego w jego kalendarzu.

- Głupiec - rozejrział się, ale nikt nie nadchodził. - Gdzie jest ten kelner?

- Gdzie był Bradfield w piątek wieczór?

- Zamknij się - odparł rzeczowo de Lisie. - Nie podoba mi się to. No i cały ten Siebkron - mówił jakby nigdy nic. - Cóż, wszyscy wiemy, że jest przebiegły; wszyscy wiemy, że gra w coś z koalicją i wszyscy wiemy, że ma aspiracje polityczne. Wiemy też, że w najbliższy piątek będzie się musiał uporać z potwornie trudnym problemem policyjnym i że całe mnóstwo jego wrogów tylko czeka, żeby powiedzieć, że źle to załatwił. Świetnie... - kiwnął głową w stronę rzeki, jakby w jakiś sposób wplątana była w jego problemy. - Więc po co spędza sześć godzin przy łożu biednej Fraulein Eich? Co jest fascynującego w przyglądaniu się czymś śmieciom? I po co stawiać wartowników przy każdej chałupce wynajmowanej przez Brytyjczyków? Ma obsesję na naszym punkcie, przysięgam, że tak jest; jest gorszy od Karfelda.

- Kto to jest Siebkron? Co on robi?

- Och, jakieś mętne wody. W pewnym sensie obsługuje twoją działkę. Przepraszam, nie powinienem tak mówić. - Zaczerwienił się naprawdę zażenowany i tylko przybycie kelnera uratowało sytuację. Kelner był młodym chłopcem i de Lisie zwracał się do niego z nadmierną uprzejmością, pytając go o opinię w sprawach pozostających daleko poza jego kompetencjami, zdając się na jego osąd przy wyborze wina mozelskiego i dopytując się drobiazgowo o jakość mięsa.

- W Bonn mówią - powiedział, gdy znów byli sami - że jeśli Siebkron jest twoim przyjacielem, to już nie potrzebujesz wrogów. Ludwig to miejsowy gatunek. Zawsze komuś chce pomóc. Nieustannie powtarza, że nie chce, żeby któryś z nas zginął. I właśnie dlatego jest takiprzerażający: sprawia, że to staje się prawdopodobne. Łatwo zapomnieć, że Bonn to wprawdzie demokracja, ale przeraźliwie brakuje jej demokratów. - Zamilkł. - Kłopot z datami - odezwał się wreszcie - polega na tym, że dzielą czas na przedziały. Od trzynastego do dziewiętego do czterdziestego piątego. Od czterdziestego piątego do pięćdziesiątego. Bonn nie jest ani przedwojenne, ani wojenne, ani nawet po-

wojenne. To tylko małe miasteczko Niemczech. Niedaje się bardziej pokroić niż Ren. Toczy swój nurt, czy jak tam jest w tej pieśni. A mgła wysysa kolory.

Zarumienił się nagle, zdjął nakrętkę z buteleczki z tabasco i poświęcił się umieszczaniu po kropelce sosu na każdej ostrzydze.

- Wszyscy przepraszamy za Bonn. Po tym poznaje się tubylców. Żałuję, że nie kolekcjonuję modeli pociągów - kontynuował pogodnie. - Chciałbym móc poświęcić więcej czasu błahostkom. Masz jakieś hobby?

- Brakuje mi czasu - powiedział Turner.

- Oficjalnie kieruje czymś, co się nazywa komitetem do spraw współpracy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych; sadzę, że sam wymyślił tę nazwę. Raz go zapytałem: współpracy z kim, Ludwigu? Uznał to za świetny dowcip. Jest w naszym wieku. Pokolenie frontowe minus pięć; chyba jest trochę zły, że nie załapał się na wojnę. Flirtuje też z CIA, ale tutaj to symbol statusu. Jego podstawowym zajęciem jest poznawanie Karfelda. Kiedy ktoś ma ochotę spiskować z Ruchem, Ludwig Siebkron mu w tym dopomoże. To dziwaczna praca - przyznał, widząc wyraz twarzy Turnera. - Ale Ludwig rozkoszuje się tym. Niewidzialny rząd: jak on to lubi. Czwarta władza. Weimar odpowiadałby mu najbardziej. A w ogóle musisz wiedzieć, że wszelkie podziały są tutaj bardzo sztuczne.

Korespondenci zagraniczni, jakby pod wpływem wspólnego pragnienia, opuścili bar i popłynęli szeroka wstęgą do stojącego pośrodku stołu, który dla nich przygotowano. Ogromny mężczyzna, który dostrzegł de Lisle'a, schesał na jedno oko kosmyk czarnych włosów i wyciągnął rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. De Lisie, w odpowiedzi, uniósł kieliszek.

- To Sam Allerton - powiedział cicho. - Świnia. Na czym skończyłem? Sztuczne podziały. Tak. One są dla nas utrapieniem. Ciągłe to samo: w tym szarym świecie szukamy gorączkowo absolutu. Przeciw Francuzom, za Francuzami, komuniści, antykomuniści. To jawny nonsens, ale ulegamy mu za każdym razem. To dlatego tak omyliliśmy się co do Karfelda. Tak koszmar nie się omyliliśmy. Spieraliśmy się o definicje, a powinniśmy rozmawiać o faktach. Bonn poszłoby na szubienicę, rozprawiając o grubości liny, na której zawisnie. Nie wiem, jak określasz Karfelda; ale kto wie, jak to zrobić? Niemiecki Poujade? Rewolucja klasy średniej? Jeśli tak, to jesteśmy prze grani, bo w Niemczech wszyscy są klasą średnią. Jak w Ameryce: niechęć nie równi. Nie chcą być równi, bo i kto by chciał? Po prostu tacy są. Jedna krew.

Kelner przyniósł wino i de Lisie naciskał na Turnera, żeby go skosztował.

- Jestem pewien, że masz mniej zepsute podniebienie niż ja.

Turner odmówił, więc sam ze znanostwem wziął kieliszek.

- Klasa - powiedział z wdzięcznością do kelnera. - Bardzo dobre. Można do niego zastosować wszystkie te nazwy dla wszystkich objawów. Zupełnie jak w psychiatrii: znajdzie się. Karfeld jest izolacjonistą, szowinistą, pacyfiistą, rewanzystą. I chce umowy handlowej z Rosją. Jest postępowy, co przemawia do starych Niemców, i reakcyjny, co z kolei przemawia do młodych Niemców. Młodzi są tu niezwykle purytańscy. Wcale nie chcą dobrej koniunktury; domagają się łuków, strzał i Barbarossy. - Wskazał znużonym ruchem w stronę siedmiu wzgórz. - Chcą to wszystko przybrać w nowoczesne szaty. Nie ma się co dziwić, że starzy są hedonistami. Ale młodzi... - przerwał. - Młodzi - powiedział z najgłębszym niesmakiem - odkryli najokrutniejszą z prawd: że najskuteczniejszym sposobem ukarania ich rodziców jest naśladowanie ich. Karfeld jest dla studentów adoptowanym dorosłym... przepraszam. To mój konik. Powiedz mi, kiedy mam się zamknąć.

Turner zdawał się nie słuchać. Gapił się na policjantów, którzy stali w równych odstępach wzdłuż chodnika. Jeden z nich znalazł dinghy, przycumowaną do brzegu, i szamotał się z płachtą, wywijając ją jak skakanką.

- Z Londynu ciągle nas pytają: kim są jego zwolennicy? Skąd ma pieniądze? Zdefiniujcie to. Zdefiniujcie tamto. Co ja mam im powiedzieć? „To zwyczajni ludzie - napisałem kiedyś - tradycyjnie najtrudniejsza do określenia klasa społeczna”. Byli zachwyceni tą odpowiedzią, dopóki nie dotarła do wydziału badań naukowych. „Rozczarowani - sprecyzowałem - sieroty zmarłej demokracji, ofiary rządu koalicyjnego”. Socjaliści, którzy myślą, że sprzedano ich konserwatystom, anty socjaliści, którzy myślą, że sprzedano ich czerwonym. Ludzie, którzy są zbyt inteligentni, żeby w ogóle głosować. Karfeld to *ten*, który zagarnia ich wszystkich. A jak można zdefiniować na stroje? Boże, ależ oni są tępi. Nie dostajemy już instrukcji, tylko pytania. Powiedziałem im: „Z pewnością macie coś podobnego w Anglii? To jest wszędzie ostatnim krzykiem mody”. W końcu, nikt nie podejrzewał światowego spisku w Paryżu: po co szukacie go tutaj? Nastroje... ignorancja... nuda. - Pochylił się w stronę Turnera. - Głosowałeś kiedyś? Jestem pewien, że tak. Jak to jest? Czuleś się odmieniony? Czy to było jak msza? Odszedłeś, gardząc wszystkimi? - De Lisie zjadł następną ostrygę. - Czasem mam wrażenie, że Londyn został zbombardowany. Czy to jest odpowiedź? A ciebie tu przystali, żebyśmy się rozweselili. Może tylko Bonn zostało. Co za przeraźliwa myśl. Świat na wygnaniu. Tacy jednak jesteśmy. Ten świat zamieszkują wygnańcy.

- Dlaczego Karfeld nienawidzi Brytyjczyków? - zapytał Turner. Myślami błędził daleko.

- To, przynajmniej, jest jedną z nierozwiązanych zagadek naszego życia. Wszyscy biedziliśmy się nad tym w kancelarii. Rozmawialiśmy na ten temat, czytaliśmy na ten temat, kłóciliśmy się na ten temat. Nikt nie zna odpo-

wiedzi. - Wzruszył ramionami. - Kto w dzisiejszych dniach wierzy w motywację, szczególnie w motywację polityka? Owszem, próbowaliśmy to definiować: może coś mu kiedyś zrobiliśmy. Może on nam coś zrobił. Mówią, że wrażenia z dzieciństwa zostają najdłużej. Jesteś żonaty?

- Co to ma do rzeczy?

- Ojej - powiedział z zachwytem de Lisie -jesteś taki szorstki.

- Skąd Karfeld ma pieniądze?

- Jest przemysłowcem w branży chemicznej; prowadzi wielką fabrykę pod Essen. Istnieje taka teoria, że Brytyjczycy dali mu popalić za władz okupacyjnych, rozebrali fabrykę i zniszczyli interes. Nie wiem, ile w tym jest prawdy. Próbowaliśmy to zbadać, ale mamy za mało materiałów, a Rawley zabronił nam wypytywać się na zewnątrz, i słusznie. Bóg wie - powiedział i lekko się wzdrygnął - co Siebkron by o nas pomyślał, gdybyśmy rozpoczęli tę grę. Gazety piszą po prostu, że nas nienawidzi, jakby to nie wymagało wyjaśnień. Może mają rację.

- Co jest w jego aktach?

- Wszystko do przewidzenia. Ukończył studia przed wojną, zmobilizowany do saperów. Front rosyjski, gdzie służył jako specjalista od wysadzania w powietrze; ranny pod Stalingradem, ale udało mu się wydostać. Rozczarowanie czasem pokoju. Twarda walka i powolna odbudowa. Wszystko bardzo romantyczne. Upadek ducha, powolna odnowa. Sajak zwykle nudne plotki, że był ciotką Himmlera albo kimś w tym rodzaju. Nikt nie przykłada już do nich wagi; to obecnie sygnał, że włączasz się w bońską politykę i Niemcy ze Wschodu wyciągają przeciw tobie najbardziej niesamowite zarzuty.

- i nigdy nic w tym nie ma?

- Zawsze coś jest, i zawsze za mało. Tak czy inaczej, na nikim poza nami nie robi wrażenia, więc po co sobie zawracać głowę? Twierdzi, że stopniowo włączył się do polityki: mówi o latach snu i latach, gdy się przebudził. Posługuje się nieco mesjanistyczną frazeologią, przynajmniej wtedy, gdy mówi o sobie.

- Spotkałeś go kiedyś?

- Dobry Boże, nie. Po prostu o nim czytałem. Słuchałem w radiu. Na pewien sposób jest bardzo obecny w naszym życiu.

Błede oczy Turnera znów skierowały się na Petersberg; słońce opadające między wzgórzami świeciło prosto w okna szarego hotelu. Jedno ze wzgórz było wygryzione jak kamieniołom; małe maszyny, białe od kurzu, ruszały się u jego podnóża.

- To mu trzeba przyznać, że w ciągu sześciu miesięcy zmienił całą scenę polityczną. Kadre, organizację, żargon. Przed Karfeldem większość z nich to były oszołomy: artyści, wędrowni kaznodzieje, wychowankowie Hitlera, i inni tacy. Teraz to patrycjusze, ludzie wykształceni. Żadnych hord z podwiniętymi

rękawami, mowy nie ma; żadnych socjalistycznych bredni, nie licząc studentów. Jest bardzo sprytny, że ich toleruje. Wie, jak cienka jest linia graniczna między pacyfistą, który rzuca się na policjanta, a policjantem, który rzuca się na pacyfistę. Ale dla większości z nas ważne jest to, że Barbarossa nosi czystą koszulę i ma doktorat z inżynierii chemicznej. Herr doktor Barbarossa tó moda na dziś. Dla ekonomistów, historyków, statystyków... a przede wszystkim, rzecz jasną prawników. Prawnicy to niemieccy guru, zawsze nimi byli; a wiesz, jak sanielogiczni. Ale politycy nie są ani trochę godni szacunku. Karfeldowi za bardzo kojarzą się z reprezentowaniem cudzych interesów. Karfeld nie chce, żeby ktokolwiek go reprezentował, wykluczone. Władza bez reguł oto ostatni krzyk mody. Prawo do tego, żeby wiedzieć lepiej, prawo do nieodpowiedzialności. Zrozum, to jest koniec, a nie początek - rzekł z przekonaniem zupełnie niepasującym do jego letargicznej pozy. - I my, i Niemcy mamy demokrację i nikt nas za to nie podziwia. To jak z goleniem. Nikt nie dziękuje za to, że się golisz, i nikt nie podziękuje za demokrację. Demokracja była możliwa w systemie klasowym: była to pobłażliwość ze strony uprzywilejowanych. My nie mieliśmy już na to czasu: rozbłysk światła między feudalizmem a automatyzacją już przeminął. Co zostało? Wyborcy odcięci od parlamentu, parlament odcięty od rządu i rząd odcięty od wszystkich. Rządy przez milczenie, to dobre. Rządy przez alienację. Nie muszę ci tego mówić; to właśnie wytwór brytyjski.

Przerwał, oczekując, że Turner się włączy, ale Turner nadal zatopiony był we własnych myślach. Dziennikarze przy długim stole klócili się. Któryś zagroził, że uderzy drugiego; trzeci obiecał, że weźmie ich obu za głowy i stuknie jedną o drugą.

- Nie wiem, czego bronię. Ani co reprezentuję; kto to zresztą wie? „Dzientelmen, który kłamie dla dobra swojego kraju” - mówili nam, mrugając okiem w Londynie. „Z ochotą-ja na to - ale najpierw powiedzcie mi, jaką prawdę mam ukryć”. Nie mieli najmniejszego pojęcia. Poza murami ministerstwa naiwny świat śni, że mamy księgę oprawną w złoto z napisem POLITYKA na okładce... Boże, gdyby tylko wiedzieli. - Dokończył pić wino. - A może ty wiesz? Wymaga się ode mnie, żebym osiągnął największą szybkość przy minimum tarcia. Jaką największą szybkość? Może powinniśmy odejść? Może potrzebujemy Karfelda? Obawiam się jednak, że prawie byśmy go nie zauważyli. Przeciwnieństwem miłości nie jest nienawiść, tylko apatia. Apatia to tutaj nasz chleb codzienny. Histeryczna apatia. Napij się jeszcze tego mozelskiego.

- Myślisz - zapytał Turner z wzrokiem nadal utkwionym we wzgórze - że Siebkron wie już o Hartingu? Czy to ich wrogo nastawi? Czy to sprawi, że zaczną się nami szczególnie interesować?

- Później - powiedział po cichu de Lisie. - Nie przy dzieciach, jeśli pozwolisz.

Słońce opadło za rzekę, oświetlając jajak wielki złoty ptak rozpościerający skrzydła nad całą doliną, migotało beztroskimi, wiosennymi plamkami na powierzchni wody. De Lisie polecił kelnerowi przynieść dwie „najsympatyczniejsze” brandy do ogrodu przy kortach i ruszył, zgrabnie wymijając puste stoły, do bocznego wyjścia. Dziennikarze, siedzący pośrodku sali, zamilkli; sposepniali od alkoholu opadli na skórzane fotele i bez wdzięku oczekiwali na bodziec, jaki przynieść im mogła następna katastrofa polityczna.

- Biedaczysko - powiedział, gdy już wyszli na świeże powietrze. - Ależ cię wynudziłem. Zawsze się tak dzieje, kiedy gdzieś przyjedziesz? Chyba wszyscy stajemy się wylewni wobec człowieka z zewnątrz, prawda? I wszyscy kończymy jako mali Karfeldowie? Czy tak? Patriotyczni anarchiści z klas średnich? Jakież to musi być dla ciebie koszmarnie drętwe.

- Muszę zobaczyć jego dom - powiedział Turner. - Muszę go przeszu-
kać.

- Wybij to sobie z głowy - odparł stanowczo de Lisie. - Ludwig Siebkron kazał go opikietować.

Była trzecia; białe słońce wyłoniło się zza chmur. Siedzieli w ogrodzie pod płazowymi parasolami, popijali brandy i patrzyli, jak roześmiane córki dyplomatów grają w koszykówkę na mokrej, czerwonej glinie kortów tenisowych.

- Podejrzewam, że czarnym charakterem jest Praszko - oświadczył de Lisie. - Od dawna mieliśmy go na liście płac, ale obraził się na nas. - Ziewnął. - W swoim czasie był niebezpieczny; pirat polityczny. Żaden spisek się nie obywał bez niego. Spotkałem się z nim parę razy; nadal ma ansę do Anglików. Jak wszyscy nawróceni, wzdycha do dawnych przyjaciół. Ostatnio jest z wolnymi demokratami, a może Rawley mówił ci o tym? To miejsce, gdzie kończą przegrani, mają tam parę przedziwnych stworzeń.

- Ale był waszym przyjacielem.

- Jesteś naiwny - powiedział ospale de Lisie. - Jak Leo. Można znać człowieka przez całe życie i nie zaprzyjaźnić się z nim. Albo widzieć go przez pięć minut i zostać jego przyjacielem aż po grób. Czy Praszko jest taki ważny?

- Jest wszystkim, co mam - powiedział Turner. - Tylko od niego mogę podjąć trop. Jest jedyną - o ile wiem - osobą spoza ambasady, którą znał Harting. Miał być drużbą na jego weselu.

- Wesele? Leo? - de Lisie podskoczył na krześle. Jego opanowanie zniknęło.

- Dawno temu był zaręczony z kobietą o nazwisku Margaret Aickman. Poznali się chyba w czasach, gdy Leo nie pracował dla ambasady.

De Lisie opadł na pparcie z wyraźną ulgą.

- Jeśli myślisz o tyrry, żeby zwrócić się do Praschki... - powiedział.
- Nie myślę, nie martw się. - Upił łyk brandy. - Ale ktoś dał cynk Leo. Ktoś to zrobił. Leo oszalał. Wiedział, że grunt pali mu się pod nogami, i zabrał wszystko, na czym mógł położyć rękę. Listy, akta... a gdy wreszcie uciekł, nawet nie pomyślał o napisaniu podania o urlop.
- Rawley nie wyraziłby zgody; nie w tej sytuacji.
- Urlop ze względów rodzinnych... na pewno by go dostał, to była pierwsza rzecz, o której pomyślał Bradfield.
- Myślisz, że zwędził też wózek?

Turner nie odpowiedział.

- Pewnie wziął sobie na pamiątkę mój śliczny wentylatorek. Na pewno przyda mu się w Moskwie. - De Lisie rozparł się jeszcze bardziej. Niebo było zupełnie niebieskie, a słońce prażyło mocno, jak przez szybę. - Będę musiał kupić sobie nowy.

- Ktoś dał mu cynk - uparcie powtórzył Turner. - To jedyne wyjaśnienie. Wpadł w panikę. To dlatego pomyślałem o Praschce: miał lewicową przeszłość. Towarzysz podróży, tak go nazwał Rawley. On i Leo byli starymi kumplami, nawet wojnę spędzili razem w Anglii - popatrzył w niebo.

- O, już montujesz teorię - mruknął de Lisie. - Już słyszę, jak tyka.

- Wrócili do Niemiec w czterdziestym piątym; trochę służyli w wojsku, potem się rozeszli. Poszli różnymi drogami: Leo został Brytyjczykiem i zajął się tym zadaniem, Praschko został Niemcem i wmieszał się w niemiecką politykę. Byli użyteczną parą, tak zwanymi agentami długoterminowymi. Może obaj uczestniczyli w tej samej grze... zwerbowani przez tę samą osobę, już w Anglii, kiedy Rosja była sojusznikiem. Stopniowo ograniczyli kontakty. To rutynowe działania. Przyjaźń naraża na niebezpieczeństwo... zaczęłyby się kłopoty, gdyby skojarzono ich nazwiska, ale oni podtrzymują kontakty, w tajemnicy. Pewnego dnia Praschko dostaje wiadomość. Kilka tygodni temu. Ni z tego, ni z owego. Dostaje ją bońską pocztą pantoflową, z której jesteście tacy dumni: Siebkron chwycił trop. Wyszła jakaś stara sprawa, ktoś nagadał, zdradzono nas. A może ścigali tylko Leo. Pakuj manatki, mówi, zabieraj, co możesz i pryskaj.

- Jakież ty musisz mieć wstrętny rozum - rzekł obojętnie de Lisie. - Okropny, pomysłowy rozum.

- Problem polega na tym, że to nie tak wyglądało.

- Doprawdy? Na pewno nie. Cieszę się, że to widzisz. Leo nie wpadłby w panikę, jest inny. Bardzo się kontroluje. I choć to brzmi głupio, kochał nas. Należał do nas, Alanie, nie do nich. Niewiele oczekiwał od życia. Był jak koń roboczy. Tak właśnie o nim myślałem, gdy siedział na parterze, w swoim boksie. Nawet kiedy przychodził na piętro, wydawało się, że przynosił ze

sobą trochę smutku. Choć ludzie uważali go za wesołego. Wesołego ekstrawertyka...

- Nikt, z kim rozmawiałem, nie uważał go za wesołego człowieka.

De Lisie odwrócił głowę i popatrzył na Turnera z autentycznym zainteresowaniem.

- Naprawdę? Cóż za przerażająca myśl. Każdy z nas myślał, że to inny się śmieje. Jak błazny w tragedii. To naprawdę straszne - powiedział.

- No dobrze - zgodził się Turner. - Nie był romantykiem. Ale mógł nim być za młodu, prawda?

- Mógł.

- Potem zasnął... jego sumienie zasnęło. Chodzi mi o to...

- Aha.

- Aż Karfeld go obudził - nowy nacjonalizm... stary wróg... Obudził go z hukiem. „Hola, cóż to się dzieje?” Zobaczył, że wszystko wraca. Mówił ludziom: historia się powtarza.

- Czy to naprawdę Marks powiedział: „Historia się powtarza, za pierwszym razem jest tragedią, za drugim tylko komedią?” To zbyt dowcipne jak na Niemca. Choć przyznam, że Karfeld czyni komunizm okropnie kuszącym.

- Jaki on był? - zapytał Turner. - Jaki on był naprawdę?

- Leo? Boże, a jakież jest ktokolwiek z nas?

- Ty go znałeś. Ja nie.

~ Nie przesłuchuj mnie, dobrze? - powiedział de Lisie i nie do końca był to żart. - Niech mnie diabli, jak postawię ci lunch, jeśli mnie zdemaskujesz.

- Czy Bradfield go lubił?

- A kogóż Bradfield lubi?

- ' Miał na niego oko?

- Na jego pracę na pewno tak, jeśli to było coś istotnego. Rawley to zawodowiec.

- Jest też katolikiem, prawda?

- Cholera - oświadczył de Lisie z niespodziewaną gwałtownością. - Co za koszmarnie rzeczy wygadujesz. Nie wolno ci szufladkować ludzi w taki sposób, nic z tego nie będzie. W życiu nie jest tak, że z jednej strony stoją kowboje, a z drugiej czerwonoskórzy. A na pewno nie jest tak w życiu dyplomatów. Jeśli sądzisz, że takie jest życie, to lepiej sam przejdź na stronę wroga. - Mówiąc to, odrzucił do tyłu głowę, zamknął oczy i pozwolił, żeby słońce ukoilo mu nerwy. - Poza tym - dodał, szybko wróciwszy do równowagi - to właśnie to ci się nie podoba w Leo, prawda? Uciekł i związał się z jakąś głupią wiarą. - Jeszcze raz zapadł w pełne zadowolenia milczenie^ - Widzę Leo w szczególny sposób - powiedział wreszcie. - Zanotuj to sobie w swoim notatniczku. Ciekawe, co z tego wyciągniesz? Cudowne zimowe popołudnie.

Wyszedłem z jakiejś nudnej niemieckiej konferencji. Było w pół do piątej i nie miałem nic do roboty, więc wybrałem się na przejażdżkę na wzgórze za Godesbergiem. Słońce, mróz, trochę śniegu, trochę wiatru... tak sobie wyobrażam wniebowstąpienie. Nagle patrzę: Leo. Bez wątplenia, z całą pewnością, na pewno Leo, okutany po uszy w kożuszek, w koszmarnym kapelusiku, takim, jakie noszą członkowie Ruchu. Stał na skraju boiska do piłki nożnej, patrzył, jak kilku chłopaków kopie piłkę i palił jedno z tych swoich małych cygar, na które wszyscy narzekali.

- Sam?

- Zupełnie sam. Pomyślałem, żeby się zatrzymać, ale nie zrobiłem tego. Nie widziałem jego samochodu, a był o całe mile od zamieszkałych miejsc. I nagle pomyślałem, nie: nie zatrzymuj się, on jest w kościele. Patrzy na dzieciństwo, którego nigdy nie miał.

- Lubieś go, prawda?

De Lisie już miał odpowiedzieć, bo pytanie nie zbiło go z pantałyku, ale przerwał mu niespodziewany przybysz.

- Hej. Nowy fagas? - Głos był niewyraźny i chrypliwy. Człowiek, który wypowiedział te słowa, stał w słońcu i Turner musiał zmrużyć oczy, żeby cokolwiek dostrzec; wreszcie rozpoznał chwiejny zarys i czarne rozczochrane włosy angielskiego dziennikarza, który pozdrawiał ich przy lunchu. Wskazywał na Turnera, ale pytanie, sądząc po tym, w którą stronę zwrócił głowę, skierowane było do de Lisle'a.

- Kto jest - zapytał - alfons czy szpieg?

- Kim wolisz być, Alanie? - zapytał radośnie de Lisie, ale Turner odmówił odpowiedzi. - Alan Turner, Sam Allerton - przedstawił ich zupełnie niezakłopotany. - Sam reprezentuje mnóstwo gazet, prawda, Sam? Jest potężny. Co nie znaczy, że ta potęga go cokolwiek obchodzi. Dziennikarzom to jest obojętne.

Allerton nadal gapił się na Turnera.

- Skąd przyjechał?

- Z miasta Londynu - powiedział de Lisie.

- A z której części miasta Londynu?

- Rolnictwo i Rybołówstwo.

- Kłamca.

- No dobrze, Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Nie domyśliłeś się?

- Na długo przyjechał?

- Tylko z wizytacją.

- Na długo?

- Wiesz, jakie są te wizytacje.

- Wiem, jakie są te jego wizytacje - powiedział Allerton. - To pies gończy. - Jego martwe, żółte oczy wreszcie go rozpoznały: ciężkie buciory, tropikalny garnitur, obojętna twarz i blade, twarde spojrzenie.

-.. Belgrad - powiedział wreszcie. - To tam. Pewien facet z ambasady pieprzył kobietę-szpiega i dał się sfotografować. Musieliśmy to wyciszyć* bo ambasador nie dałby nam więcej porto. Turner od bezpieczeństwa* to on. Chłopak Bevina. Miałaś robotę w Warszawie, prawda? To też pamiętam. To była spieprzona robota, co? Jakaś dziewczyna usiłowała się zabić. Za ostro do niej podszedłeś. To też musieliśmy zatuszować.

- Spadaj, Sam - powiedział de Lisie.

Allerton zaczął się śmiać. Były to koszmarnie dźwięki, ponure i chorobliwe; i rzeczywiście, zdawały się sprawiać mu ból, bo gdy usiadł, przerwał je serią niskich, bluźnierczych jęków. Jego czarna, tłusta czupryna trzęsła się jak źle dopasowana peruka, brzuch, zwisający nad paskiem drżał niepewnie.

- No, Peter, co tam u Luddiego Siebkrona? Chce, żebyśmy byli cali i zdrowi? Chce uratować imperium?

Turner i de Lisie bez słowa wstali i poszli przez trawnik w stronę parkingu.

- A przy okazji, słyszeliście najnowsze wieści?! - zawołał za nimi Allerton.

- Jakie wieści?

- Chłopaki, niczego nie wiecie, co? Federalny minister spraw zagranicznych właśnie wybrał się do Moskwy. Rozmowy na wysokim szczeblu w sprawie sowiecko-niemieckiego traktatu handlowego. Przyłączają się do RWPG i podpisują Układ Warszawski. Wszystko, żeby ugłaskać Karfelda i wypiąć się na Brukselę. Wielka Brytania wypada z gry, Rosja wchodzi. Rappallo bez agresji. Co o tym myślicie?

- Myślmy, że jesteś cholernym kłamcą- powiedział de Lisie.

- Och, jak to milutko pomarzyć - odparł Allerton celowo używając homoseksualnej sepleniącej manieri. - Ale nie mów mi, że to się nie stanie, kochasiu, bo tak będzie pewnego dnia. Pewnego dnia to zrobią. Będą musieli. Walnąć mamuszkę w twarz. Znaleźć tatuśka dla ojczyzny. To już nie będzie Zachód, prawda? A co to będzie? - Podniósł głos, bo szli dalej. - To jest to, czego wy, głupie fagasy, nie rozumiecie! W całych Niemczech tylko Karfeld mówi prawdę: zimna wojna skończyła się dla wszystkich z wyjątkiem pierdolonych dyplomatów! - Ostatni strzał oddał, gdy zamykali drzwi. - Nic nie szkodzi, kochasie - usłyszeli jego słowa. - Możemy spać spokojnie, skoro Turner tu jest.

Mały sportowy samochód sunął powoli higienicznym pasażem handlowym amerykańskiej kolonii. Kościelny dzwon przez megafon celebrował światło słońca. Na stopniach nowoanglikańskiego kościoła panna młoda i pan młody stali w błyskach aparatów fotograficznych. Wjechali na Koblenzstrasse i hałas uderzył w nich jak wichura. Nad głowami elektroniczne wskaźniki

błyskały teoretycznymi obliczeniami szybkości. Fotografii Karfelda przybyło. Dwa mercedesy z egipskimi znakami na tablicach rejestracyjnych przemknęły obok nich, zajechały drogę i zniknęły.

- Ta winda - odezwał się nagle Turner. - W ambasadzie. Od jak dawna jest nieczynna?

- Boże, skąd mam wiedzieć? Chyba od połowy kwietnia.

- Jesteś tego pewien?

- Myślisz o wózku? Który także zniknął w połowie kwietnia?

- Dobry jesteś - powiedział Turner. - Naprawdę dobry.

- A ty popełnisz kolosalny błąd, jeśli myślisz, że kiedykolwiek byłeś specjalistą - odparł de Lisie z tą samą nieprzewidywalną siłą, którą Turner odkrył w nim wcześniej. - Po prostu nie mogę sobie ciebie wyobrazić w białym kitlu, i tyle; niech ci się nie wydaje, że wszyscy tu jesteśmy obiektami badań laboratoryjnych. - Skreślił gwałtownie, by uniknąć zderzenia z ciężarówką i natychmiast uniósł się za nimi wrzask zmotoryzowanej furii. - Uratowałem ci życie, choć pewnie tego nie zauważyłeś. - Uśmiechnął się. - Przepraszam. Siebkron gra mi na nerwach, to wszystko.

- Zapisał w swoim dzienniku P. - powiedział nagle Turner. - Po Bożym Narodzeniu: spotkać się z P. Zjeść obiad z P. Potem już ani razu. To mógł być Prashko.

- Mógł.

- Jakie ministerstwa są tutaj, w Bad Godesberg?

- Budownictwa, Nauki, Zdrowia. Tylko te trzy, o ile wiem.

- Co czwartek po południu wybierał się tu na konferencję. W którym z nich?

- Nie wydaje mi się, żeby przyjeżdżał na jakąkolwiek konferencję - odparł ostrożnie de Lisie. - Przynajmniej nie ostatnio.

- Co masz na myśli?

- Tylko to.

- Naprawdę?

- Kto ci powiedział, że przyjeżdżał?

- Meadows. A Meadows dowiedział się o tym od Leo, a Leo powiedział, że to regularne cotygodniowe spotkania i że ma pozwolenie od Bradfielda. Coś związanego z roszczeniami.

- O mój Boże - powiedział łagodnie de Lisie. Zjechał na lewe pasmo obok drapieżnie połyskującego białego porsche.

- Co znaczy to „o mój Boże”?

- Nie wiem. Pewnie nie to, co sobie myślisz. Nie było konferencji, w której Leo mógłby wziąć udział. Nie w Bad Godesberg i nigdzie indziej też nie; ani w czwartki, ani w inne dni. To prawda, że przed nastaniem Rawleya brał udział w konferencjach niskiego szczebla w ministerstwie budownictwa. Oma-

wiali tam prywatne kontrakty na renowację niemieckich domów, uszkodzonych podczas alianckich manewrów. Leo zatwierdzał ich propozycje.

- Zanim nastął Rawley?
- Tak.
- Co było później? Konferencje skończyły się? Jak reszta jego prac?
- Mniej więcej.

Zamiast skrócić w prawo, do wjazdu do ambasady, de Lisie skrzył w lewo, żeby zrobić jeszcze jedno okrążenie.

- Co to znaczy „mniej więcej”?
- Rawley z tym skończył.
- Z konferencjami?
- Mówiłem ci: to działo się automatycznie. Można to było załatwić korespondencyjnie.

Turner był prawie zrozpaczony.

- Dlaczego się ze mną drażnisz? O co chodzi? Skończył z tymi konferencjami czy nie? Jaką rolę w nich odgrywał?

- Uważaj - ostrzegł go Leo, odrywając rękę od kierownicy i podnosząc ją w górę. - Nie popędzaj mnie. Rawley wysłał mnie zamiast niego. Nie podobało mu się, że ambasada jest reprezentowana przez kogoś takiego jak Leo.

- Kogoś takiego...

- Przez zatrudnionego na czas określony. To wszystko! Przez zatrudnionego na czas określony bez pełnego statusu. Uznał to za rzecz niewłaściwą i wysłał mnie na jego miejsce. Potem Leo już nigdy się do mnie nie odezwał. Myślał, że intrygowałem przeciwko niemu. Wystarczy. Już mnie więcej o nic nie pytaj. - Znów przejeżdżali obok stacji Aral, jechali na północ. Pracownik rozpoznał samochód i radośnie zamachał do de Lisie'a. - Ty mierzysz wszystko swojamiarką. Nie mam zamiaru rozmawiać z tobą o Bradfieldzie, skoro tyranizujesz mnie tak, że aż robisz się czerwony na twarzy. Jest moim kolegą, moim zwierzchnikiem i...

- I twoim przyjacielem! Chryste, wybac: kogo tu reprezentujesz? Siebie, czy cholernych podatników? Ja ci powiem kogo: klub, swój klub. Cholerne Ministerstwo Spraw Zagranicznych i gdybyś zobaczył, jak Bradfield stoi na moście westminsterskim i sprzedaje akta to popatrzyłbyś w drugą stronę.

Turner nie krzyczał. To spokój dodawał siły jego słowom.

- Chce mi się rzygać, jak na ciebie patrzę. Jak patrzę na was wszystkich. Na ten cały kurewski cyrk. Żaden z was nie dałby złamanego szeląga za Leo, kiedy z wami był. Był dla was głównym, co? Żadnych pleców, żadnego dzie ciństwa, nic. Wyrzucić go na drugą stronę rzeki, żeby go nikt nie zobaczył! Upchnąć w katakumbach razem z niemieckim personelem! Wart jest drinka, ale niewart obiadu! I co się dzieje? Nawiewa i zabiera ze sobą na nowy początek połowę waszych tajemnic i nagle czujecie się winni i czerwienicie się jak

dziewice, co nie chcą rozmawiać z obcym. Wszyscy: ty, Meadowes, Bradford. Wiesz, jak się tutaj wkręcił, jak ich wszystkich nabrał; jak kradł i oszukiwał. Wiesz coś więcej: jakaś przyjaźń, jakiś romans, coś co uczyniło go dla ciebie kimś szczególnym, kimś interesującym. Żył w swoim świecie, a żaden z was nie chce nazwać tego świata po imieniu. Co to było? Kto to był? Dokąd, do diabła, chodził w czwartkowe popołudnia, jeśli nie chodził do ministerstwa? Kto go prowadził? Kto go osłaniał? Kto dawał mu rozkazy i pieniądze, kto wyciskał z niego informacje? Kto trzymał go za rękę? Na litość boską, on jest szpiegiem! Wsadził łapę do kasy! A kiedyście to odkryli, wszyscy stanęliście po jego stronie!

- Nie - odparł de Lisie. Podjeżdżali do bramy; policjanci zbiegli się wokół, pukali w szyby. Dał im poczekać. - Źle to rozumiałeś. Ty i Leo tworzyście na swój sposób zespół. Jesteście po drugiej stronie drutu. Obaj. Na tym polega twój problem. Bez względu na definicje, bez względu na etykiety. To dlatego znalazłeś się w próżni.

Wjechali na parking i de Lisie podjechał pod stołówkę, gdzie rano Turner stał i patrzył na pola.

- Muszę zobaczyć jego dom - powiedział Turner. - Muszę.

Obaj patrzyli przed siebie, przez przednią szybę.

- Wiedziałem, że mnie o to poprosisz.

- W porządku, zapomnij.

- Dlaczego? Nie mam wątpliwości, że i tak tam pójdziesz. Prędzej czy później.

Wysiedli i szli wolno po asfalcie. Gońcy leżeli na trawniku, ich motocykle stały wokół masztu. Geranium uszykowane jak wojsko iskrzyło się wzdłuż krawężników.

- Uwielbiał wojsko - powiedział de Lisie, gdy wchodzili po schodach.

- Naprawdę uwielbiał.

Stanęli, żeby pokazać przepustki sierżantowi o twarzy łasicy, a Turner odwrócił się i popatrzył na autostradę.

- Patrz! - powiedział nagle. - To ta parka, która przyczepiła się do nas na lotnisku.

Czarny opel włókł się po pasie jezdni z ograniczeniem prędkości, z przodu siedziało dwóch mężczyzn. Turner ze swojego punktu obserwacyjnego z łatwością rozpoznawał błyski rzucane w słońcu przez światła odbłaskowe.

- Ludwig Siebkron zabrał nas na lunch - powiedział de Lisie z drwiącym uśmiechem - a teraz przyprowadził do domu. Mówiłem ci: niech ci się nie zdaje, że jesteś specjalistą.

- Gdzie byłeś w piątkowy wieczór?

- W drewnianej szopie - warknął de Lisie. - Czekałem, żeby zamordować lady Ann i zabrać jej bezcenne brylanty.

Pokój szyfrantów znów był otwarty. Cork leżał na składanym łóżku, a obok niego, na podłodze, leżała książeczka z karaibskimi bungalowami. Na biurku w pokoju obok leżała błękitna koperta z nadrukiem ambasady zaadresowana do Szanownego Pana Alana Turnera. Jego nazwisko napisane było na maszynie; styl był sztywny i raczej niezdamy. Jest kilka rzeczy, stwierdzał autor listu, o których pan Turner chciałby może się dowiedzieć w związku ze sprawą, która sprowadziła go do Bonn. Gdyby mu to odpowiadało, pisał dalej autor, to może zechciałby przyjść na kieliszek sherry pod podany wyżej adres o wpół do siódmej. Adres był w Bad Godesbergu, a autorem była panna Jenny Pargiter z wydziału prasy i informacji, aktualnie przydzielona do kancelarii. Podpisała się odręcznie, a pod spodem napisała nazwisko na maszynie, żeby było wiadomo, o kogo chodzi; P było dość duże, pomyślał Turner, a kiedy otwierał błękitny kalendarzyk Leo, pozwolił sobie na rzadki i cokolwiek zagadkowy uśmiech wyrażający niecierpliwość. P jak Praschko; P jak Pargiter. I P było na okładce kalendarzyka. No, dalej, Leo, popatrzmy na te twoje wstydlive tajemnice.

8 Jenny

Pargiter

Zakładam - Jenny Pargiter zaczęła wygłaszać przygotowane oświadczenie - że jest pan przygotowany do zajmowania się delikatnymi sprawami. Sherry stało pomiędzy nimi na pokrytym szkłem stoliku. Mieszkanie było ciemne i brzydkie; wiktoriańskie wiklinowe krzesła, niemieckie ciężkie zasłony. Na ścianach pokoju jadalnego wisiały reprodukcje Consta-ble'a.

- Jak lekarz, uznaje pan pewne zasady tajemnicy zawodowej.
- Och, oczywiście - powiedział Turner.
- Na porannym zebraniu personelu kancelarii wspomniano, że prowadzi pan śledztwo w sprawie zniknięcia Leo Hartinga. Ostrzeżono nas, żeby o tym nie rozmawiać, nawet we własnym gronie.
- Ma pani prawo rozmawiać o tym ze mną - powiedział Turner.
- Bez wątpienia. Ale, oczywiście, chciałabym, żeby mi powiedziano, jak daleko mogę się posunąć w kwestii zaufania. Jaki, na przykład, jest związek między wami a wydziałem personalnym?
- To zależy od rodzaju informacji.

Uniosła kieliszek z sherry do poziomu oczu, jakby oceniała jego zawartość. Była to poza, która miała ukazać jej wyrobienie i otwartość umysłu.

- Zakładając, że ktoś - zakładając, że ja byłam nieroztropna w kwestiach osobistych.

- To zależy, z kim była pani nieroztropna - odparł Turner, a Jenny Pargiter nagle się zaczerwieniła.

- Wcale nie miałam tego na myśli.

- Niech pani posłucha - powiedział, Turner przyglądając się jej - jeśli powie mi pani w zaufaniu, że zostawiła plik akt w autobusie, to będę musiał przekazać szczegóły wydziałowi personalnemu. Jeśli powie mi pani, że spotykała się pani od czasu do czasu z chłopakiem, to od tego nie zemdleję. Zasadniczo - powiedział, przesuwając w jej stronę swój kieliszek, żeby go ponownie napełniła - wydział personalny nie chce wiedzieć o naszym istnieniu. - Zachowywał się niedbale, jakby cała sprawa niewiele go obchodziła. Siedział spokojnie, wypełniając cały fotel.

- Jest jeszcze kwestia ochrony innych ludzi, osób trzecich, które nie bardzo mogą mówić we własnym imieniu.

- Jest jeszcze kwestia bezpieczeństwa - powiedział Turner. - Gdyby pani nie uważała jej za istotną, to nie poprosiłaby pani o spotkanie ze mną. Wszystko zależy od pani. Ja nie mogę dać pani żadnych gwarancji.

Zapaliła papierosa ostrymi, kanciastymi ruchami. Nie była brzydką dziewczyną, ale ubierała się albo za młodo, albo za staro na swój wiek, więc bez względu na to, ile Turner miał lat, nie była jego rówieśniczką.

- Przyjmuję to - powiedziała i przez chwilę patrzyła na niego ponuro, jakby oceniając, ile Turner może wytrzymać. - Zle pan jednak zrozumiał powód, dla którego poprosiłam pana, żeby pan tu zajrzał. Oto on. Skoro z pewnością opowiedziano panu wszelkiego rodzaju plotki o mnie i Hartingu, pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli usłyszysz pan prawdę ode mnie.

Turner odstawił kieliszek i otworzył notatnik.

- Przybyłam tutaj tuż przed Bożym Narodzeniem z Londynu - powiedziała Jenny Pargiter. - Przedtem byłam w Dżakarcie. Wróciłam do Londynu z zamiarem zamążpójścia. Może czytał pan o moich zaręczynach?

- Obawiam się, że to przeoczyłem - powiedział Turner.

- Osoba, z którą byłam zaręczona, w ostatniej chwili uznała, że nie pasujemy do siebie. To była odważna decyzja. Potem wysłano mnie do Bonn. Zналиśmy się od wielu lat; na uniwersytecie studiowaliśmy te same przedmioty, a ja zawsze uważałam, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Tamta osoba uznała, że jest inaczej. Cóż, po to są zaręczyny. Jestem z tego zresztą zadowolona. Nikt nie musi mi współczuć.

- Przybyła tu pani na Boże Narodzenie?

- Ptośfcm, żeby tu być w czasie świąt. W poprzednich latach zawsze spędzaliśmy święta razem. Chyba, że byłam w Dżakarcie* rzecz jasna, ta .. separacja w tamtej chwili była dla mnie bolesna. Bardzo chciałam złagodzić poczucie straty pobyt w nowym miejscu.

- Jasne.

- Jako samotna kobieta w ambasadzie byłam wręcz zarzucana zaproszeniami na święta. Prawie wszyscy w kancelarii prosili, żebym spędziła z nimi Boże Narodzenie. Bradfieldowie, Crabbe'owie, Jacksonowie, Gavestonowie; wszyscy mnie zapraszali. Zostałam zaproszona również przez MeadoWesów. Bez wątpienia spotkał się pan już z Arthurem Meadowsesem.

- Tak.

- Meadows jest wdowcem i mieszka z córką, Myrą. Właściwie jest B 3, chociaż już nie używamy tej gradacji urzędowej. Byłam bardzo wzruszona, że zostałam zaproszona przez członka niższego personelu.

Miała lekki akcent, raczej prowincjonalny, i mimo że starała się go ukryć, zdradzał ją na każdym kroku.

- W Dżakarcie od zawsze było to tradycją. Bardziej się brataliśmy. W większej ambasadzie, takiej jak w Bonn, ludzie mają skłonność do pozostawiania w swoich grupach. Nie sugeruję, że powinna nastąpić całkowita asymilacja: nawet uznałabym to za coś złego. Grupa A na przykład ma inne gusta, a także zainteresowania intelektualne niż grupa B. Chodzi mi o to, że w Bonn te podziały są zbyt sztywne i jest ich zbyt wiele. A obcuje z A, a B z B nawet wewnątrz różnych wydziałów: gospodarczy, attaché, kancelaria; wszyscy tworzą kliki. Uważam, że to niewłaściwe. Życzy pan sobie jeszcze sherry?

- Dziękuję.

- Więc przyjąłm zaproszenie Meadowsesa. Drugim gościem był Harting. Spędziliśmy miły dzień, zostaliśmy do wieczora, a potem wyszliśmy. Myra Meadows wychodziła - ona wcześniej była bardzo chora, wie pan; miała romans w Warszawie, o ile się nie mylę, z niepożądanym krajowcem i o mały włos nie skończyło się to tragedią. Osobiście jestem przeciwna takim przedwczesnym małżeństwom. Myra Meadows szła na prywatkę młodzieżową, a sam Meadows był zaproszony do Corków, więc nie było mowy o tym, żebyśmy zostali. Kiedy wychodziliśmy, Harting zaproponował spacer. Znał jedno miejsce niedaleko; byłoby miło podjechać tam i trochę przejść się na świeżym powietrzu po całym tym jedzeniu i picciu. Bardzo lubię wszelkie ćwiczenia fizyczne. Przeszliśmy się, a potem on zaproponował, żebym wróciła do niego na kolację. Bardzo nalegał.

Patrzyła na niego. Koniuszki palców miała złączone.

- Pomyślałam, że nie byłoby ładnie odmawiać. To była jedna z tych trudnych dla kobiet decyzji. Chętnie położyłabym się wcześniej spać, ale nie chciałam go urazić. W końcu to było Boże Narodzenie, a on podczas spaceru

zachowywał się bez zarzutu. Z drugiej strony, muszę przyznać, że wcześniej bardzo rzadko się z nim widywałam, W końcu zgodziłam się, ale powiedziałam, że nie chcę za późno wracać do domu. Przyjął ten warunek i pojechałam za nim do Kónigswinter własnym samochodem. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziłam, że przygotował wszystko na moje przyjęcie. Stół zastawiony był dla dwojga. Udało mu się nawet namówić palacza, żeby przyszedł i rozpałił ogień. Po kolacji powiedział mi, że mnie kocha. - Mocno zaciągnęła się papierosem. Mówiła bardzo rzeczowym tonem; o niektórych sprawach trzeba tak mówić. - Powiedział mi, że w całym swoim życiu nie doświadczył czegoś takiego. Od pierwszego dnia, gdy pojawiłam się na spotkaniu w kancelarii, postradał zmysły. Wskazał na światła barek na rzece. „Stoję w oknie sypialni - powiedział - i patrzę na nie przez całą noc. Co rano widzę, jak wstaje świt nad rzeką”. To było w związku z jego obsesją na moim punkcie. Oniemiałam.

- Co pani powiedziała?

- Nie miałam szansy cokolwiek powiedzieć. Chciał dać mi prezent. Jeśli nawet nigdy więcej mnie nie zobaczy, chce mi dać ten prezent bożonarodzeniowy jako symbol swojej miłości. Zniknął w pokoju obok i wrócił z paczką z przypiętą karteczką: „Mojej miłości”. Oczywiście, byłam kompletnie oszłomiona. „Nie mogę tego przyjąć - powiedziałam. - Odmawiam. Nie mogę pozwolić, żebyś mi dawał różne rzeczy. To stawia mnie na przegranej pozycji”. Wyjaśniłam mu, że choć pod wieloma względami jest całkowicie Anglikiem, to pod tym względem Anglicy zachowują się inaczej. Na kontynencie jest całkowicie dopuszczalne, żeby brać kobietę szturmem, ale w Anglii zaloty trwają długo i są pełne różnych zabiegów. Najpierw chcemy się na wzajem poznać, porównać nasze poglądy. Była też różnica wieku. Musiałam brać pod uwagę swoją karierę. Nie wiedziałam, co zrobić - powiedziała bezradnie. Rzeczowość zniknęła z jej głosu: była bezradna i żalсна. - On powtarzał, że w końcu to Boże Narodzenie, że powinnam o tym myśleć jak o zwyczajnym podarku pod choinkę.

- Co było w paczce?

- Suszarka do włosów. Powiedział, że ponad wszystko podziwia moje włosy. Patrzył, jak co rano odbija się w nich światło. Rozumie pan, podczas spotkań w kancelarii. Mówił zapewne przenośnie; mieliśmy tu koszmarną zimę. - Zaczerpnęła tchu. - Musiało go to kosztować dwadzieścia funtów. Nikt, nawet mój były narzeczony w czasie, gdy byliśmy ze sobą bardzo blisko, nie dał mi niczego równie kosztownego.

Wykonała następny rytuał z pudełkiem papierosów, wyciągnęła rękę, nagle ją zatrzymała, wyszukała papierosa, jakby to była czekoladka, nie ten, tylko tamten, zapaliła mocno marszcząc brwi.

- Usiedliśmy, a on nastawił płytę. Obawiam się, że nie jestem muzykalna, ale pomyślałam, że muzyka go rozerwie. Było mi go bardzo żal i nie

chciałam zostawić go w takim stanie. Po prostu wpatrywał się we mnie. Nie wiedziałam, gdzie odwrócić wzrok. Wreszcie podszedł i próbował mnie objąć, a ja powiedziałam, że muszę iść do domu. Odprowadził mnie do samochodu. Zachowywał się bardzo poprawnie. Na szczęście mieliśmy jeszcze dwa dni świąt. Miałam czas, żeby postanowić, co zrobić. Pod koniec świąt podjęłam decyzję. Napisałam do niego list i oddałam prezent. Uznałam, że nic innego mi nie pozostało. Przyszłam wcześniej i zostawiłam paczkę strażnikom kancelarii. W liście wyjaśniłam, że bardzo poważnie myślałam o wszystkim, co mi powiedział, i doszłam do wniosku, że nigdy nie będę w stanie zrewanżować mu się uczuciem. Dlatego byłoby błędem z mojej strony dawać mu zachętę, a ponieważ jesteśmy kolegami i będziemy się często widywać, uznałam za roztropne powiedzieć mu to natychmiast, zanim...

- Zanim co?

- Zanim zaczną się plotki - powiedziała z nagłą pasją. - Nie słyszałam ich. Można nawet nie wiedzieć, że krąży o człowieku jakaś paskudna historyjka.

- A jaka historyjka krąży o pani?

- Bóg jeden wie - powiedziała z goryczą. - Bóg wie.

- Któremu ze strażników zostawiła pani paczkę?

- Walterowi, młodszemu. Synowi Macmullena.

- Czy opowiedział o tym innym?

- Specjalnie go poprosiłam, żeby uznał tę sprawę za poufną.

- Myślę, że musiało to na nim zrobić wrażenie - powiedział Turner.

Wpatrywała się w niego ze złością, jej twarz poczerwieśniała z zażenowania.

- W porządku. Więc dała mu pani paczkę. Co z nią zrobił?

- Tamtego dnia pojawił się na zebraniu kancelarii i życzył mi miłego dnia, jakby nic się nie stało. Uśmiechnęłam się do niego i tyle. Był bladej, ale dzielny... smutny, ale opanowany. Uznałam, że najgorsze za nami... Na szczęście miał właśnie zacząć nową pracę w archiwum kancelarii i miałam nadzieję, że to zajmie jego myśli. Przez parę tygodni prawie z nim nie rozmawiałam. Widywałam go albo w ambasadzie, albo podczas spotkań towarzyskich i wydawał się całkiem zadowolony z życia. Nie czynił żadnych aluzji do naszej wigilii ani do suszarki do włosów. Czasami, podczas koktajli, podchodził i stał blisko mnie, a ja wiedziałam... zależało mu na mojej bliskości. Czasem miałam świadomość, że na mnie patrzy. Kobieta potrafi rozpoznać takie rzeczy; wiedziałam, że nie porzucił do końca nadziei. Miał swój sposób, żeby przyciągać mój wzrok. Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam. Nadal nie dawałam mu znaków zachęty. Taką decyzję podjęłam i bez względu na to, jak bardzo chciałabym, żeby ulżyć mu w cierpieniu, wiedziałam, że dalsze zwodzenie go jest pozbawione sensu. Byłam też pewna, że coś równie nagłego i irracjonalnego szybko przeminie.

- I przeminęło?
- Kontynuowaliśmy tę grę jakieś dwa tygodnie. Zaczęła mnie irytować. Zaczęło być tak, że nie mogłam pójść na party, przyjmując zaproszenia, żeby go nie zobaczyć. Przestał się nawet ze mną witać. Po prostu patrzył. Gdziekolwiek poszłam, jego oczy szły za mną... Są bardzo ciemne. Pełne wyrazu. Ciemnobrażowe, uległe... w końcu zaczęłam się bać wychodzić. Obawiam się, że na tym etapie sama miałam jakieś niegodne myśli. Zastanawiałam się, czy czytuje moją pocztę.

- Wiedziała pani o tym?

- Wszyscy mamy swoje przegródki w archiwum. Na telegramy i listy. Wszyscy w archiwum biorą udział w sortowaniu przychodzących dokumentów. Tutaj, jak i w Anglii, jest zwyczaj, że zaproszenia przysyła się niezaklejone. Mogłby bez problemu do nich zaglądać.

- Dlaczego te myśli były niegodne?

- Bo to była nieprawda, dlatego - odparła. - Zapytałam go wprost, a on zapewnił mnie, że to wszystko nieprawda.

- Rozumiem.

Zaczęła mówić jeszcze bardziej pedagogicznym głosem; jej ton był rzeczowy, nie pozostawiał miejsca na domysły.

- Nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. To nie leżało w jego naturze, nawet mu przez myśl nie przeszło. Zapewnił kategorycznie, że mnie nie... śledzi. Takiego zwrotu użyłam; i natychmiast go pożałowałam. Nie mogę pojąć, jak mogłam wpaść na tak śmieszna metaforę. Jest zupełnie inaczej, powiedział, on po prostu prowadzi normalne życie towarzyskie; jeśli mi to przeszkadza, on to zmieni, albo przestanie przyjmować zaproszenia, dopóki nie powiem, że już może. W najmniejszym stopniu nie chciał być dla mnie ciężarem.

- Więc potem znów byliście przyjaciółmi, prawda?

Patrzył, jak dobiera nie te słowa, co trzeba, jak dziwacznie balansuje na granicy prawdy i równie dziwacznie się wycofuje.

- Od dwudziestego trzeciego stycznia nie odezwał się do mnie ani razu - wyrzuciła z siebie. Nawet w tym słabym świetle Turner zobaczył, jak łyzy spływają jej szorstkich policzkach, jak opuszcza głowę i szybko zakrywa łyzy ręką.

- Nie mogłam tak dalej. Przez cały czas o nim myślałam.

Turner podniósł się, otworzył drzwiczki barku i napełnił szklaneczkę do połowy whisky.

- Proszę - powiedział łagodnie. - To będzie pani smakować; niech pani wypije i przestanie udawać.

- To przepracowanie. - Wzięła szklanę. - Bradfield nigdy nie odpoczywa. Nie lubi kobiet. Nienawidzi ich. Chce nas wszystkie zrównać z ziemią.

- Teraz niech mi pani opowie, co się stało dwudziestego trzeciego stycznia.

Siedziała bokiem na krześle, plecami do niego, nie panowała już nad głosem.

- Ignorował mnie. Udawał, że jest zatopiony w pracy. Szłam do archiwum zabrać swoje papiery, a on nawet nie podnosił wzroku. Nie patrzył na mnie. Już nigdy. Nigdy nie był bardziej zajęty pracą - wystarczyło tylko popatrzeć na niego podczas zebrania kancelarii, żeby to zrozumieć. Serce miał puste. Z natury był leniwy. Robota szła mu łatwo. Ale gdy tylko słyszał, że nadchodzę, pracował, jakby jego życie od tego zależało. Patrzył na mnie i nie widział, nawet gdy go pozdrawiałam. Nawet gdy szłam prosto na niego korytarzem, było tak samo. Nie istniałam. Myślałam, że oszaleję. To nie było w porządku. W końcu on jest tylko kategorią B, wie pan, i nie jest zatrudniony na stałe; właściwie jest niczym. Nic nie znaczy, wystarczy posłuchać, co się o nim mówi... Tani, tak się mówi. Bystry, ale całkowicie pomylony. - Na chwilę się zapomniała. - Pisałam do niego listy. Dzwoniłam pod jego numer w Königswinter.

- Wszyscy wiedzieli, prawda? Pani zrobiła z siebie widowisko. Co?

- Przede wszystkim on uganiał się za mną... osaczał mnie wyznaniem miłości... jak jakiś żigolak. Rzecz jasna, zachowałam na tyle zdrowego rozsądku, żeby to przejrzeć, niech się pan nie martwi. Jemu się wydaje, że kim on jest?

Leżała w poprzek fotela, głowę schowała w zgięciu łokcia, ramiona podrygiwały jej w rytm szlochu.

- Musi mi pani powiedzieć - rzekł Turner. Stał nad nią, z ręką na jej ramieniu. - Proszę posłuchać. Musi mi pani powiedzieć, co się stało w końcu stycznia. To było coś ważnego, prawda? Coś, o co poprosił, żeby pani dla niego zrobiła. Coś związanego z polityką. Coś szczególnego, czego pani się boi. Najpierw się do pani zalecał. Pracował nad panią, wziął panią z zaskoczenia. .. potem dostał to, czego chciał; coś bardzo prostego, do czego sam nie byłby w stanie dotrzeć. A kiedy to miał, nie chciał już pani znać.

Znów szloch.

- Powiedziała mu pani coś, co chciał wiedzieć; wyświadczyła mu pani przysługę, która pozwoliła mu utrzymać się na powierzchni. W porządku, nie jest pani wyjątkiem. Wiele osób zrobiło to w ten czy inny sposób. Więc co to było? - ukląkł obok niej. - Co to było aż tak nieroztropnego? Czy w grę wchodzi osoba trzecia? Niech pani powie! To było coś, co wystraszyło panią śmiertelnie! Niech pani powie, co to było!

- O, Boże, pożyczyłam mu klucze - powiedziała.

- Szybko.

- Klucze urzędnika pełniącego dyżur. Cały pęk. Przyszedł do mnie i błagał mnie... nie, nie błagał. Nie.

Siedziała wyprostowana z pobielającą twarzą. Turner ponownie napełnił jej szklankę i włożył jej w dłoń.

- Miałam dyżur. Nocny dyżur. W czwartek, dwudziestego trzeciego stycznia. Leo nie był dopuszczony do pełnienia dyżurów. Są rzeczy, których za trudnieni na czas określony nie mogą zobaczyć: specjalne instrukcje... plany awaryjne. Musiałam uporać się z całą stertą telegramów; było chyba w pół do ósmej, może ósma. Wychodziłam z pokoju szyfrantów... właśnie szłam do archiwum i zobaczyłam, że tam stoi. Jakby czekał. Uśmiechał się. „Jenny - powiedział - Jaka miła niespodzianka”. Byłam taka szczęśliwa.

Znów szloch.

- Byłam taka szczęśliwa. Tęskniłam, aż znów się do mnie odezwie. Czekał na mnie, wiedziałam, że czekał; udawał, że to przypadek. I powiedziałam do niego: „Leo”. Nigdy wcześniej nie zwracałam się tak do niego. Cóż za rozkoszna niespodzianka, powtarzał przez cały czas. Czy mógłby zaprosić mnie na kolację? Przypomniałam mu, na wypadek, gdyby zapomniał, że je stem na dyżurze. To go nie zniechęciło. Jaka szkoda, a co myślę o jutrzejszym wieczorze? Albo o weekendzie? Zadzwoń do mnie w sobotę rano, może być? Będzie doskonale, powiedziałam, podoba mi się ten pomysł. A może najpierw poszlibyśmy na spacer, na wzgórze, na boisko? Byłam taka szczęśliwa, nadal miałam w rękach telegramy, cały plik, więc powiedziałam, że oddam je Arthurowi Meadowesowi. Chciał je wziąć ode mnie, ale powiedziałam że nie, dam sobie radę, wszystko w porządku. Właśnie się odwracałam... chciałam pójść pierwsza, rozumie pan, nie chciałam, żeby to on ode mnie odszedł. Właśnie miałam pójść, a on powiedział: „Jenny, słuchaj, tak przy okazji...” Wie pan, jak on mówi. „Zdarzyła się śmieszna sprawa, chór siedzi na dole i nikt nie może otworzyć drzwi do sali zebrania. Ktoś je zamknął, nie możemy znaleźć kluczy i zastanawialiśmy się, czy ty ich nie masz”. To wyglądało trochę dziwnie; przede wszystkim nie rozumiałam, dlaczego ktoś miałby zamykać te drzwi. Więc powiedziałam, że zejść na dół i je otworzę; muszę tylko oddać parę telegramów do rozłożenia w przegródkach. Chodzi o to, że on wiedział, że ja mam klucze; urzędnik pełniący dyżur ma zapasowe klucze do wszystkich pokojów w ambasadzie. „Nie zawracaj sobie głowy schodzeniem - powiedział. - Daj mi tylko klucz, a jako zrobię za ciebie. To nie zajmie nawet dwóch minut”. Zobaczył, że się waham.

Zamknęła oczy.

- Był taki malutki - wybuchła. - Tak łatwo było go zranić. Już go oskarżyłam o otwieranie moich listów. Kochałam go... Przysięgam, nigdy nikogo nie kochałam... - Stopniowo płacz ucichł.

- Więc dała mu pani klucze? Cały pęk? Klucze do pokojów, do sejfów...

- Klucze do wszystkich biurków i szaf stalowych; do drzwi frontowych i tylnych drzwi budynku i klucz do wyłączenia alarmów w archiwum kancelarii.

- Klucze do windy?
- Wtedy winda nie była zablokowana... kraty nie były opuszczone...
Zrobili to w następnym weekend.
- Jak długo je miał?
- Pięć minut. Może mniej. To niezbyt długo, prawda? - Złapała go za ramię błagalnym gestem. - Niech pan powie, że to niezbyt długo.
- Żeby zrobić odciski? Mógł zrobić pięćdziesiąt odcisków, jeśli wiedział, o co mu chodzi.
- Musiałby mieć wosk albo plastelinę, albo coś takiego: pytałam. Sprawdziłam.
- Miał je przygotowane w swoim pokoju - odparł obojętnie Turner. - Na parterze. Niech się pani nie niepokoi - dodał łagodnie. - Może po prostu wypuścił członków chóru. Niech pani nie da się ponieść wyobraźni.
- Przestała płakać. Mówiła spokojnym głosem:
- To nie był wieczór prób chóru. Próby chóru są w piątki. To był czwartek.
- Pani to odkryła, prawda? Pytała pani straż kancelarii?
- Ja już wtedy wiedziałam! Wiedziałam o tym, gdy wręczałam mu klucze! Wmawiałam sobie, że nie wiedziałam, ale wiedziałam. Ale musiałam mu zaufać. To był akt oddania. Nie rozumie pan? Akt oddania, akt miłości. Czy można oczekiwać, że mężczyzna to zrozumie?
- A potem, jak pani już dała klucze - powiedział Turner, wstając - już pani nie chciał, prawda?
- Tacy są wszyscy mężczyźni, prawda?
- Zadzwoił do pani w sobotę?
- Pan wie, że nie. - Nadal zakrywała twarz przedramieniem. Zamknął notes. - Czy pani mnie słyszy?
- Tak.
- Czy kiedykolwiek napomykał wobec pani o pewnej kobiecie, niejaki Margaret Aickman? Był z nią zaręczony. Ona również знаła Harry'ego Praszkę.
- Nie.
- I o żadnej innej kobiecie?
- Nie.
- Czy kiedykolwiek mówił o polityce?
- Nie.
- Czy kiedykolwiek dał pani powody do przypuszczeń, że jest osobą o silnych skłonnościach lewicowych?
- Nie.
- Czy kiedykolwiek widziała go pani w towarzystwie podejrzanych osób?
- Nie.

- Czy mówił o swoim dzieciństwie? O swoim wuju? Wuju; który mieszkał w Hampstead. Komuniście, który go wychowywał?
- Nie.
- Wujek Otto?
- Nie.
- Czy kiedykolwiek wspominał o Praschce? No, wspominał? Czy kiedykolwiek wspominał Praschkę, słyszy mnie pani?
- Powiedział, że Praschko to jedyny przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miał. - Znowu przerwała, a on czekał.
- Czy wspominał o sprawach politycznych związanych z Praschką?
- Nie.
- Czy mówił, że nadal są przyjaciółmi?
- Pokręciła głową.
- W ostatni czwartek ktoś jadł kolację w towarzystwie Hartinga. Na dzień przedtem, jak uciekł. U Maternusa. Czy to była pani?
- Mówiłam panu! Przysięgam!
- Czy to pani?
- Nie!
- Zapisał, że to pani. Napisane jest P. Tak panią zapisywał w innych przypadkach.
- To nie byłam ja!
- Więc to był Praschko, prawda?
- Skąd mam wiedzieć?
- Bo miała pani z nim romans! Pani powiedziała mi tylko połowę prawdy, resztę zataiła! Sypiała pani z nim aż do dnia, kiedy odszedł!
- To nieprawda!
- Dlaczego Bradfield go chronił? Nienawidził go serdecznie: dlaczego tak się nim opiekował? Dawał mu zajęcia? Trzymał go na liście płac?
- Proszę, niech pan już idzie - powiedziała. - Niech pan idzie i nie wraca.
- Dlaczego?!
- Wyprostowała się.
- Niech pan się wynosi - powiedziała.
- Pani jadła z nim kolację w piątek wieczór. W ten wieczór, kiedy odszedł. Sypiała pani z nim i nie chce się pani do tego przyznać!
- Nie!
- Pytał panią o zieloną teczkę! Zmusił panią, żeby przyniosła mu pani pudło z depeszami!
- Nie! Nie! Niech pan stąd idzie!
- Potrzebuję taksówki.
- Czekał, a ona telefonowała.
- *Sofort* - powiedziała. - *Sofort*, przyjeżdżajcie i zabierajcie go stąd.

!Stał przy drzwiach...

- Co pan z nim zrobi, jak pan go znajdzie? - zapytała tym martwym głosem, który następuje po wybuchu.

- To nie moja sprawa.

- Panu jest wszystko jedno?

- Nigdy go nie znajdziemy, więc o co chodzi?

- To po co go szukać?

- A dlaczego nie? Tak upływa nasze życie, nieprawdaż? Na szukaniu ludzi, których nigdy nie znajdujemy.

Podszedł powoli do drzwi wyjściowych. Z innego mieszkania docierał gwar przyjęcia. Obok niego przeszła grupa bardzo pijanych Arabów. Ściągali płaszcze i krzyczeli. Czekał na schodkach. Po drugiej stronie rzeki wąskie światła Petersbergu Chamberlaina wisiały w ciepłym mroku jak naszyjnik. Dokładnie naprzeciwko niego stał nowy blok. Wydawał się być zbudowany od dachu i obudowywany w dół. Pomyślał, że widział go już wcześniej z innej perspektywy. Wiadukt kolejowy rozsiadł się okrakiem nad końcem alei. Przejechał po nim z łoskotem ekspres, widział podróżnych napychających się jedzeniem.

- Ambasada - powiedział. - Ambasada brytyjska.

- *Englische Botschaft?*

- Nie angielska. Brytyjska. Spiesz mi się.

Kierowca zaklął, zaczął coś wykrzykiwać o dyplomatach. Jechali bardzo szybko i raz o mało nie zderzyli się z tramwajem.

- Nie może pan jechać szybciej, do cholery?

Zażądał rachunku. Kierowca trzymał gumowy stempel i podkładkę w schowku na rękawiczki, rąbnął w papier tak mocno, że aż go zmiażdżył. Ambasada wyglądała jak statek, wszystkie jej okna buchały światłem.

Czarne figury poruszały się w holu powolnym tanecznym ruchem, jakby w sali balowej. Parking był pełen. Wyrzuci rachunek. Lumley nie aprobuje wydatków na taksówki. To nowa zasada obowiązująca od ostatnich cięć budżetowych. Nie miał z kogo ściągnąć tych pieniędzy. Nie licząc Hartinga, którego długi rosły.

Panna Peate powiedziała, że Bradfield jest na konferencji. Jeszcze dziś prawdopodobnie poleci do Brukseli razem z ambasadorem. Odłożyła papiery i bawiła się niebieską skórzaną paletą, z której brała nazwiska i umieszczała je w kolejności wokół stołu. Jednocześnie mówiła tak, jakby do jej obowiązków należało frustrowanie go. A de Lisie pojechał do Bundestagu, przysłuchuje się debacie na temat ustaw o stanie wyjątkowym.

- Chcę zobaczyć klucze dyżurnego.

- Obawiam się, że może pan je dostać tylko za zgodą pana Bradfielda.

Walczył z nią i to było to, czego chciała. Zwyciężył ją i tego też chciała. Dała mu pisemne upoważnienie podpisane przez sekcję administracyjną kontrasygnowane przez ministra. Zabrał ją do recepcji, gdzie służbę pełnił Macmullen. Macmullen był dużym, opanowanym mężczyzną, byłym sierżantem edynburskiej policji, a to, co słyszał na temat Turnera nie podobało mu się.

- I nocną księgę - powiedział Turner. - Proszę mi pokazać nocną księgę od stycznia.

- Proszę - powiedział Macmullen i stanął nad Turnerem, gdy ją przeglądał; na wszelki wypadek, żeby jej nie zabrał. Było wpół do ósmej i ambasada pustoszała.

- Do widzenia rano - szepnął przechodzący obok Mickie Crabbe. - Stary.

Nie było wpisów Hartinga.

- Wpisz mnie - powiedział Turner, popychając księgę przez kontuar. - Będę tu przez całą noc.

Tak jak Leo, pomyślał.

9 Czwartek jako

podejrzany

Kluczy było około pięćdziesięciu i tylko kilka miało etykiety. Stał na parterze, tak jak stawał Leo, w cieniu kolumny, gapiąc się na drzwi do pokoju szyfrantów. Była mniej więcej wpół do ósmej, godzina Leo, i wyobraził sobie jak Jenny Pargiter wychodzi z plikiem papierów w ręku. Korytarz był teraz bardzo hałaśliwy, a stalowa kurtyna na drzwiach pokoju szyfrantów unosiła się i opadała jak gilotyna przed dziewczynami z archiwum przynoszącymi i wynoszącymi telegramy; ale tamten czwartkowy wieczór był cichy, kryzys dopiero wzbierał. Leo odezwał się do niej tu, gdzie teraz stał Turner. Spojrzał na zegarek, potem na klucze i pomyślał: pięć minut. Co on by zrobił? Hałas był ogłuszający, gorszy niż za dnia; nie tylko głosy, ale i łomot maszyn głosify, że świat wkroczył w okres kryzysu. Ale tamta noc była spokojna, a Leo był stworzeniem żyjącym ciszą, stworzeniem, które czekało tutaj, żeby schwytać ofiarę i zniszczyć ją. W ciągu pięciu minut.

Przeszedł do samego końca korytarzem, spojrzął w studnię klatki schodowej i przyglądał się, jak wieczorna zmiana maszynistek znika w ciemności - rozbitkowie z płonącego statku chroniący się w zbawiennej nocy. Jego

zachowanie musiało być energiczne, ale i nonszalanckie, bo Jenny obserwo-
wała go aż do tego miejsca. A Gaunt albo MacmuUen mogli go widzieć, jak
schodzi po schodach; energicznie, ale nie triumfalnie.

Stał w korytarzu. Jakież to ryzyko, pomyślał nagle, jaka to niebezpiecz-
na gra. Nieśli czarne teczki, szli dostojnym krokiem, jakby tu przyszedli, żeby
dokonać jakiejś operacji. Nosili szare szaliki zarzucone na wierzch płaszcza,
szerokie i płaskie jak rosyjskie koalicyjki przy mundurze. Cóż za ryzyko.
Mogła zmienić zdanie, mogła pobiec za nim; w ciągu paru minut mogła się
domyśleć, o ile od razu tego nie wiedziała, że Leo kłamie. Dowiedziałyby
się o tym w chwili, gdy podeszłyby do schodów i nie usłyszała śpiewu z po-
koju zebrań, nie zobaczyłyby śladu wpisów kilkunastu chórzystów w nocnej
księdze, kapeluszy i płaszczy na kołkach obok drzwi. Wiedziałyby, że Leo
Harting, uchodźca, człowiek spoza towarzystwa, nieudany kochanek i spec
od trzeciorzędnych spraw okłamał ją, żeby dostać klucze.

„Podarunek miłości, akt miłości: mężczyzna tego nie zrozumie”.

Zanim wszedł w korytarz, zatrzymał się i obejrzał windę. Pomalowane
na złoto drzwi były zablokowane; środkowy szklany panel był czarny, za-
kryty od środka. Dwa ciężkie stalowe pręty umocowano poziomo, żeby le-
piej ją zabezpieczyć.

- Odjak dawna jest nieczynna?
- Od Bremy, sir - powiedział MacmuUen.
- Kiedy była Brema?

- W styczniu, sir. W końcu stycznia. Urząd tak polecił, sir. Specjalnie
prysłałi w tej sprawie człowieka. Zabezpieczył piwnice i windę, sir. - Mac-
muUen informował go, jakby zeznawał przed śledczymi w Edynburgu, se-
riami krótkich słów, zaczerpując tchu między jednym a drugim zdaniem. -
Pracował przez cały weekend - dodał z nabożnym podziwem, bo też był
człowiekiem, który pobiła sobie, a praca łatwo go męczyła.

Powoli brnął w ciemnościach do pokoju Hartinga i myślał: te drzwi były
zamknięte, te światła wyłączone, te pokoje ciche. Czy księżyc świecił wtedy
przez kraty? A może tylko te nocne niebieskie światła płonące dla oszczęd-
nej Brytanii i tylko jego kroki odbijały się echem w krypcie?

Przeszły obok niego dwie dziewczyny, ubrane tak, jakby miało się zda-
rzyć jakieś niebezpieczeństwo. Jedna nosiła džinsy i popatrzyła na niego bez
skrępowania, oceniając jego wagę. Jezu, pomyślał, jeszcze trochę i rzucę się
na nie z łapami. Otworzył drzwi do pokoju Leo i stanął w ciemności. Co ty
sobie zamierzyłeś, mały złodziejaszku, pomyślał.

Błaznane pudełka. Błaznane pudełka na cygara byłyby w sam raz, wypeł-
nione utwardzalnym kitem. Plastelina dla dzieci z tego wielkiego Woolworth-
sa w Bad Godesberg byłyby w sam raz; trochę białego talku, żeby odcisk był wy-
raźny. Trzy ruchy kluczem, z tej strony, z tej strony, proste dźgnięcie w miękki

materiał, żeby skrzydełka były dobrze widoczne. Może nie pasować dokładnie, to zależy od jakości odcisku, ale dobry, miękki metal uformuje się w dziurce od klucza i dostosuje do przegródek... No, dalej Turner, jak mawiał sierżant, znalazłbyś to, gdyby było obrośnięte włosami. Więc już je miał. Pięćdziesiąt pudełek? Czy tylko jedno?

Tylko jeden klucz. Który? Która z grot Aladyna, która z tajnych komnat ukrywa sekrety tego starego angielskiego domu?

Harting, ty złodzieju. Zaczął od drzwi Hartinga, tylko żeby go rozzłościć, żeby nieobecny złodziej zrozumiał, że i z jego drzwiami można sobie poradzić i posuwał się dalej wzdłuż korytarza, wyszukując klucze pasujące do zamków i za każdym razem, gdy znajdował pasujący klucz, zdejmował go z kółka, wrzucał do kieszeni i myślał, i co to daje? Większość drzwi nie była nawet zamknięta, więc klucze były i tak bezużyteczne: pokoje herbarcierek, ubikacje, łazienki, pokoje socjalne, biura, pokój z apteczką cuchnący alkoholem i skrzynką przyłączeniową z przewodami elektrycznymi.

Numerek z mikrofonem? Złodzieju, jakie były twoje techniczne umiejętności? Sztuczki, sznury elektryczne, suszarki do włosów, jakieś drobiazgi: czy to wszystko nie było czasem milutką przykrywką, żeby przywlec tu jakiś zwariowany zestaw podsłuchowy? „Głupota” - powiedział na głos i z kilkunastoma kluczami obijającymi mu się już o biodro poszedł w górę po schodach, by wpaść prosto w ramiona osobistego sekretarza ambasadora grymaśnego człowieka, zadzierającego nosa, który promieniował pożyczonym blaskiem autorytetu swego pana.

- Jego ekscelencja wychodzi za minutę; streszczałbym się, gdybym był na pana miejscu - powiedział z mrozącą krew w żyłach beztroską. - Nie jest pańskim entuzjastą.

W większości korytarzy panował dzień. Sekcja handlowa celebrowała Szkocki Tydzień. Jasnioletowa pardwa udrapowana w tartan Campbellów wisiała obok zdjęcia królowej w góralskim stroju. Miniaturki szkockiej umieszczone w kołazu z tancerzami i dudami obramowane były listwami ze sklejki. Pod promiennymi hasłami nawołującymi, żeby kupować na Północy, bladzi urzędnicy zawzięcie pochylali się nad maszynami do dodawania i odejmowania. NIEPRZEKRACZALNY TERMIN BRUKSELA!, to ostrzegał jakiś plakat, ale maszyny zdawały się niewzruszone. Wspiął się o jedno piętro wyżej i znalazł się na terytorium attaches. Każdy z nich miał tam swoje małe ministerstwo i tytuł namalowany przez szablon na drzwiach.

- Czego pan tu, u diabła, szuka? - zapytał ostro sierżant, a Turner upomniął go, żeby wyparzył sobie język. Skądś dochodził wojskowy głos mójący się dzielnie z dyktowaniem. W hali maszyn dziewczyny siedziały żałośnie w szkolnych rzędach: dwie, niższe rangą, łagodnie karmiły ogromnych rozmiarów powielacz, a trzecia rozkładała kolorowe telegramy, jakby to była

cienka wyjściowa bielizna. Górowała nad nimi kobieta o niebieskawych włosach, siódmy krzyżyk na karku; siedziała na oddzielnym podium, sprawdzając kopie. Tylko ona, wyczuwając wroga, szybko podniosła wzrok i chwyciła wiatr w nozdrza. Tylne ściany wyłożone były kartkami na Boże Narodzenie od innych głównych maszynistek z innych placówek. Na niektórych były wielbłądy, na innych królewskie krzyże.

- Muszę przejść przez służbę - wymruczał, a jej wzrok mówił: „Przejdź sobie przez co chcesz, tylko nie przez moje dziewczyny”.

Mógłbym zabawić się zjedną. Na pewno nie możesz poświęcić jednej na szybki skok w bok do rajy? Harting, ty złodziejaszku.

Była dziesiąta. Odwiedził wszystkie pokoje, do których Harting uzyskał dostęp; nic mu to nie dało poza bólem głowy. Tego, czego szukał Harting, już tu nie było, albo było tak schowane, że musiałby szukać całymi tygodniami; albo było tak oczywiste, że aż niewidzialne. Poczul mdłości, które następują po napięciu, a przez głowę zaczęły mu galopować nieskoordynowane wspomnienia. Jeden, jedyny dzień. Od entuzjazmu do frustracji w ciągu jednego dnia. Z samolotu do biurka w gabinecie, wszystkie poszlaki i nic z tego; przeżyłem całe to cholerne życie i wystarczył jeden poniedziałek. Gapił się na pustą, znormalizowaną kartkę formularza telegramu, nie wiedząc, co ma napisać. Cork spał i maszyny stały cicho. Klucze leżały złożone w stosik przed nim. Jeden po drugim zaczął je nakładać na kółko. Zbierz to wszystko do kupy, myślał; skonstruuj coś. Nie pójdziesz do łóżka, dopóki nie będziesz przynajmniej wiedział, którym tropem masz pójść. Zadaniem intelektualisty, porykiwał jego profesor, ten stary pierdziel, jest uporządkowanie chaosu. Zdefiniowanie anarchii. To jest umysł pozbawiony systemu. Panie profesorze, a co to jest system pozbawiony umysłu? Wziął ołówek i leniwie narysował grafik dni tygodnia, każdy dzień podzielił na godziny. Otworzył niebieski notatnik. Ukształtuj na nowo fragmenty, zrób z wszystkich kawałków jeden kawałek. Ty go znajdziesz, a Shawn nie. Leo Harting, roszczenia i sprawy konsularne, złodzieju i myśliwy, upoluję cię.

- Nie wie pan przypadkiem czegoś na temat akcji? - zapytał Cork, który nagle się obudził.

- Nie, nie wiem.

- Moje pytanie, rozumie pan, jest takie - kontynuował, pocierając różowe oczy. - Jeśli na Wall Street jest krach i we Frankfurcie jest krach, i nie uda nam się stworzyć Wspólnego Rynku, to jak to wpłynie na szwedzką stal?

- Gdybym był na pańskim miejscu - powiedział Turner - odłożyłbym to na debet i zapomniał.

- Tyle, że ja mam taki zamiar - wyjaśniał Cork. - Jest kawałek ziemi na Karaibach...

- Zamknij się pan.

Konstruuuj. Spisz pomysły na tablicy i zobacz, co się z nimi dzieje. No, dalej Turner, jesteś filozofem, powiedz nam, jak się kręci świat. Na przykład, jaki to maleńki absolut włożylibyśmy w usta Hartinga? Fakty. Buduj, konstruuuj. Czy, poza wszystkim, mój drogi Turnerze, nie zarzuciłeś kontemplacyjnego życia naukowca na rzecz życia aktywnego urzędnika? Konstruuuj: spraw, żeby twoje teorie zaistniały w życiu, a de Lisie nazwie cię prawdziwym człowiekiem.

Najpierw poniedziałki. Poniedziałki sana zaproszenia zewnętrzne. Partty z bufetem są najlepsze, powiedział mu de Lisie na boku, podczas uroczystego obiadu; niwelują problemy z posadą. Poniedziałki są zarezerwowane na mecze na cudzym boisku. Anglia przeciw czarnuchom. Z dala od innego rodzaju niewolnictwa. Harting zasadniczo jest człowiekiem z drugiej półki. Urzędnikiem drugiej kategorii. Chodzi do ambasad z małymi salonikami. Druga liga grała zawsze w poniedziałki.

- .. a jeśli to będzie dziewczynka, myślę, że będzie nas stać na kolorową niańkę; może się zajmować jej nauką przynajmniej do poziomu zerówki.

- Nie może pan być cicho?

- Zakładając, że będą pieniądze - dodał Cork. - Jasne, że za nic ich nie dają.

- Pracuję, nie może pan zrozumieć?

Przynajmniej próbuję, dodał w myśli i jego umysł odplynął w inne regiony. Był z niską dziewczyną w korytarzu, jej pełne nieumalowane usta przechodziły niechętnie w puszysty naskórek; wyobrażał sobie to długie, szacujące spojrzenie na swoim powstającym brzuchu i usłyszał, jak śmieje się tak, jak śmiała się jego żona: Alan, kochanie, masz mnie wziąć, a nie walczyć ze mną. To jest rytm, to jest jak taniec, nie rozumiesz? A Tony to taki piękny tancerz, Alan, kochanie, będę trochę później wieczorem, a jutro mnie nie ma, gram mecz wyjazdowy z moim poniedziałkowym kochankiem. Alan, przestań. Przestań! Alan, proszę, nie bij mnie! Nigdy więcej go nie dotknę, przysięgam. Aż do wtorku.

Harting, ty złodzieju.

Wtorki były dla domowych rozrywek. Dom to wtorek; w domu są goście. Ułożył ich listę i pomyślał: to gorsze niż Blackheath. To gorsze niż jej cholerna matka walcząca o swój kawałek władzy; to gorsze niż Bournemouth i ciastko dla ministra; to gorsze niż czarne soboty w Yorkshire i wesela w czasie popołudniowej herbatki; to struktura zwyczajowa. Yandelungowie (Holendrzy)... Canardsowie (Kanadyjczycy)... Obutusowie (z Ghany)... Cortezani (Włosi)... Allertonowie, Crabbes'owie, a raz, oczywiście, Bradfieldowie;

u tej szczęśliwej bandy bywało się nie mniej niż czterdzieści osiem razy: Obutusowie plus sześć... Allertonowie plus dwa... Bradfieldowie raz. Poświęcałeś im całą uwagę, prawda? „Rozumiem, że osiągnął tu pewien standard”. Szampan z ziemniakami i sałatką tamtego wieczoru. Jaja siewki opłacane przez rosyjskich podatników. Przerwała mu żona: kochanie, dlaczego nie wyjdziemy dziś wieczór? Państwu Willoughby nie sprawi to kłopotu, wiedzą, że nie znoszą gotowania, a Tony uwielbia włoską kuchnię. Och, jasne, jasne, wszystko, żeby zadowolić Tony'ego.

- A jeśli to jest chłopiec - powiedział Cork - wezmę to na siebie. Muszą tu być jakieś szkoły dla chłopców, nawet w takim kraju. Chodzi mi o to, że tu jest raj, prawda, szczególnie dla nauczycieli.

Środy to opieka społeczna. Wieczory ping-ponga. Wieczory śpiewów. Kantyna podoficerska. „Niech pan sobie czegoś doda do tego dżinu i whisky, panie Turner, tylko, żeby złamać smak. Chłopaki mówią o panu jedno, sir, i jestem pewien, że pan nie będzie miał nic przeciwko temu, żebym to powtórzył, przecież to Boże Narodzenie. Mówią: pan Turner - zawsze dodają to »pan«, sir, a nie o każdym tak mówią - pan Turner jest twardy, jest stanowczy. Ale pan Turner jest sprawiedliwy. No i, sir, co do mojego urlopu...”

Noc klubu. Noc na wgrzanie się o cal albo dwa głębiej w mięso ambasady; wróć, mała dziewczynko, tylko zdejmij te dżinsy. Wieczór zarezerwowany na sprawy urzędowe. Studiował szczegółowo umówione spotkania i myślał: muszę przyznać, że napracowałeś się, żeby zdobyć te swoje tajemnice. Naprawdę nabiegałeś się za nimi, prawda? Szkockie Tańce, Klub Kręglarzy, Klub Motorowy, Komitet Sportów. Lepszy jesteś ode mnie, chłopcze: ty naprawdę wierzyłeś. Naprawdę dążyłeś do celu, prawda? Przejąłeś piłkę i przebiłeś się przez nich, złodziejaszku.

Czyli zostają-bo weekendy nie mają żadnych zapisków poza notatkami o ogrodnictwie i kilkoma wyjazdami do Hanoweru - czyli zostają czwartki.

Podejrzane czwartki.

Narysuj kwadracik wokół czwartku, zatelefonuj do Adlera i dowiedz się, kiedy zamykają. Nie zamykają. Narysuj jeszcze jeden kwadracik wokół tego kwadraciku, cztery centymetry na cztery i przyozdób marginesy między nimi wijącymi się wężykami; spraw, żeby ich rozdwojone języczki sugestywnie lizały słodkie gotyckie załamania litery T i czekaj, aż pulsowanie skołatanej głowy przybierze formę pobudzającego werbla maszyny szyfrowej. A rezultat?

Cisza. Cholerna cisza.

Rezultatem jest czwartek otulony seksualną tajemnicą, omamiony abstynencją. Czwartek otoczony skrupulatnymi notatkami wypisanymi nabrzmiałym, nudnym pismem człowieka, który nie ma nic do roboty i mnóstwo czasu, żeby go zapelnąć. *Pamiętaj o młynku do kawy Mary Crabbe*, czcigodny burmistrz rodzinnego miasta Turnera w Yorkshire upominał jego szczęśliwego

biografia; pamiętaj, żeby zmielić Mary Crabbe> złodziejaszku. *Porozmawiaj z Arthulem o urodzinach Myry*, podszeptał życzliwie z boku pan Crail, duchowny, znany w całym Yorkshire z bezmyślności swoich kazań; *Stół szwedzki Angielsko-Niemieckiego Stowarzyszenia Przyjaciół Wolnego Miasta Hamburga, Obiady Subskrypcyjne dla Międzynarodowego Stowarzyszenia Pań, Stroje Wszystkich Narodów, 1500 DM, w tym wino*, ogłaszał mistrz ceremonii, nadymając wielkie litery tak, że nie starczało dla nich miejsca między liniami stronicy. I zapamiętaj, żeby zniszczyć karierę Jenny Pargiter. I emeryturę Meadowesa. I Gaunta? I Bradfielda? I kogo jeszcze? Myrę Meadowes? Harting, ty wrakarzu.

- Nie mógłby pan wyłączyć tego cholerstwa?
- Chciałbym - odparł Cork. - Coś przesyłają. Niech mnie pan nie pyta co. Dla Bradfielda, do rąk własnych, odszyfrować osobiście. Następne idzie dla Bradfielda, do rąk własnych... to muszą być te jego cholerne urodziny.
- Raczej pogrzeb - mruknął Turner i wrócił do notatnika.

Ale w czwartki Harting naprawdę miał coś do roboty, coś istotnego; coś, czego jeszcze nie da się zrozumieć. Coś, o czym nie mówił. Coś pilnego i konstruktywnego; coś tajnego. Coś, co sprawiało, że wszystkie inne dni warte były przeżycia, coś, w co się wierzy. W czwartki Leo Harting dotyka rąbka; i trzyma język za zębami. Nawet nie notował cotygodniowego kłamstwa. Tylko ostatni czwartek miał wpis, który głosił: *Maternus. O pierwszej. P.* Reszta była równie obojętna, równie niewinna i równie odkrywca, co małe dziewice w korytarzu parteru.

Albo równie winna.

Całe życie Hartinga koncentrowało się na tym dniu. Żył od czwartku do czwartku tak, jak inni żyją z roku na rok. Jakiego typu to były spotkania, Hartinga i jego mistrza? Co to był za związek po tylu latach współpracy? Gdzie się spotykali? Gdzie rozpakowywał te teczki i listy i bez tchu recytował zdobyte wiadomości? W pokoju na wieży, w willi pokrytej łupkowym dachem? W miękkiej płóciennej pościeli u boku miękkiej jedwabistej dziewczyny, której dzinsy wisiały na słupku łóżka? Pod mostem, gdy przejeżdżał pociąg? Czy w sypiącej się ambasadzie z pokrytym kurzem żyrandolem i starym Meadowesem opierającym małą dłoń na poślacanej sofie? W ślicznej barokowej sypialni hotelu Godesberg? W szarym bloku nowego osiedla? W nieśmiałym parterowym domku z nazwą wykutą w żelazie i witrażem w drzwiach? Starał się wyobrazić sobie to wszystko, Hartinga i jego mistrza, jak ukradkiem, ale pewni siebie szepczą sobie dowcipy i szeptem się śmieją. Proszę: oto jest szept „sprzedawcy pornosów; trudno mi się z tym rozstać”. „Lubisz po bożemu, co?” „Cóż, fantazje są mile”, seplenił AHerton. Czy siedzieli nad butelką wina i od niechcenia planowali następny atak na cytadelę,

a tymczasem w tle pstrykał aparat fotograficzny, a pomocnik łagodnie przesuwiał papiery? Zrób mi to jeszcze raz, kochanie, ale łagodnie, jak Tony. Nie jesteś pewny siebie, kochany, nie przeczytałeś podręczników i nie nauczyłeś się części karabinu.

A może to był pośpieszny podryw? Spotkanie w bocznej uliczce, gorączkowa wymiana, gdy jechali alejkami i modlili się do Boga, żeby nie było żadnego wypadku? Albo na szczycie wzgórza? Przy boisku piłkarskim, gdzie Harting nosił kapelusik i szary uniform Ruchu?

Cork telefonował do panny Peate, nutka respektu zagościła w jego głosie:

- Siedemset grup z Waszyngtonu. Londyn, proszę przekazać i odszyfrować samemu, lepiej, żebyś go teraz uprzedziła: będzie musiał zostać całą noc. Słuchaj, moja droga, nie obchodzi mnie, czy on teraz konferuje z królową. To jest najwyższy priorytet, a moja praca polega na tym, żeby go o tym powiadomić, toteż jeśli ty tego nie zrobisz, ja to zrobię. Uff, co za suka.

- Miło mi, że tak pan myśli - powiedział Turner, przybierając jeden ze swoich rzadkich uśmiechów.

- Myślę, że to ona jest tam kapitanem zespołu.

- Anglia przeciw reszcie świata - zgodził się Turner i obaj parsknęli śmiechem.

Więc czy to było z Praschką, ten obiad w Maternusie? Jeśli tak, to Praschko raczej nie mógł być jego stałym kontaktem, bo Harting nie dodałby charakterystycznej litery P, żeby go nie zdradzić; i nie poszedłby otwarcie na obiad z Praschką po tylu kłopotach z zerwaniem tej znajomości. A może to był jakiś pośrednik, jakiś łącznik między Praschką a Hartingiem? A może w tym dniu zawiódł system? Turner, trzymaj się jednej myśli, trzymaj się zdrowego rozsądku, bo brak rozsądku będzie twoim upadkiem! Uporządkuj chaos. Czy P było znakiem, że Praschko chce się z nim widzieć osobiście, żeby na przykład ostrzec go, że Siebkron wpadł na jego trop? Żeby rozkazać mu - to była szansa - żeby rozkazać wykradzenie za wszelką cenę zielonej teczki, zanim ucieknie?

Czwartek.

Podniósł klucze i zsunął je łagodnie z palca. Czwartek był na spotkania... dzień napięcia... dzień, gdy go ostrzeżono... dzień przed ucieczką... dzień cotygodniowych raportów i odbierania raportów... dzień, w którym wziął klucze od Pargiter.

Czy naprawdę spał z tą Pargiter? Są pewne ofiary, generale Slobodowicz, których nawet Leo Harting nie złożyłby w służbie dla Matki Rosji.

Te bezużyteczne klucze. Co on chciał dzięki nim uzyskać? Dostęp do pułda na depesze? Bzdura. Zachowałyby procedury; Meadows nawet go poinformował co do nich. Wiedziałyby doskonale, że na kółku, które nosi pełniący

dyżur urzędnik, nie ma zapasowych kluczy do pudła na depesze. Więc wejście do samego archiwum? Znów bzdura. Na pierwszy rzut oka zorientowałby się, że archiwum zamykane jest na lepsze zamki niż te, do których są klucze.

Więc o który klucz mu chodziło?

Na którym kluczu tak desperacko mu zależało, że naraził całą swoją karierę szpiega, żeby zrobić jego kopię? Którego klucza tak potrzebował, że aż umizgał się do Jenny Pargiter i ryzykował dezaprobatę ze strony ambasady - a wywołał ją naprawdę, jeśli wierzyć Meadowsowi i Gauntowi. Który to klucz? Klucz do windy, żeby móc przeszmyglować na zewnątrz teczki, wrzucić je do jakiegoś schowka na wyższym piętrze i wynosić pojedynczo, w dowolnym czasie, we własnej teczce? Czy po to zwinął wózek?

Pojawiły się fantastyczne wizje. Zobaczył małą postać Hartinga pędzącego ciemnym korytarzem, pchającego przed sobą wózek do otwartej windy, zobaczył piramidę pudeł z aktami podrygującą na górnej półce wózka, a na dolnej były przypadkowe produkty uboczne: artykuły piśmienne, pieczęć, kalendarzyki, maszyna do pisania z długim wałkiem z hali maszyn... Zobaczył minibus czekający przy bocznym wejściu i bezimiennego mistrza pana Hartinga trzymającego drzwi i mówiącego: „Pieprzyć to”, w uczniowskim stylu w tej samej chwili, gdy weszła panna Peate, żeby wziąć telegramy, a westchnienie panny Peate było oświadczeniem seksualnej abstynencji.

- Będzie też chciał książkę szyfrów-uprzedził ją Cork.
- Przecież świetnie zna procedury dekodowania.
- Słuchaj, co tam się dzieje w Brukseli? - zapytał Turner.
- Plotki.
- Jakie?
- Gdyby chcieli, żeby pan o tym wiedział, nie korzystaliby z procedury „do rąk własnych”, prawda?
- Nie zna pani Londynu - powiedział Turner.

Gdy wychodziła, udało się jej nawet krokiem -tym angielskim, w stylu nie dotykaj, bo seks jest dobry dla klas niższych - wyrazić szczególną pogardę dla Turnera i jego pracy.

- Mógłbym ją zamordować - powiedział poufnym głosem Cork - pode rznąłbym to jej paskudne gardło. Nawet przez chwilę bym nie żałował. Jest tu od trzech lat i uśmiechnęła się tylko raz, gdy Stary miał stłuczkę w swoim rolls-roysie.

To był absurd. Wiedział, że to absurd. Szpiegzy kalibru Hartinga nie kradną; zapisują, zapamiętują, fotografują; szpiegzy kalibru Hartinga posłu-

gują się łapówką i kalkulacją, nie działają na zasadzie impulsu: Zacierają ślady i trwają, żeby znów oszukać, następnego dnia.

I nie opowiadają oczywistych łgarstw.

Nie mówią Jenny Pargiter, że próba chóru odbywa się w czwartki, skoro w ciągu pięciu minut można sprawdzić, że w piątki. Nie mówią Meadowesowi, że uczestniczą w konferencjach w Bad Godesberg, skoro zarówno Bradford, jak i de Lisie wiedzą, że tak nie jest; i nie robią tak przez dwa lata, albo i dłużej. Nie biorą wyciągu płac i diet, zanim uciekną, bo to jest sygnał dla każdego, kto byłby zainteresowany; nie ryzykują zaciekawienia Gaunta, żeby popracować do późna w nocy.

Popracować, ale gdzie?

Potrzebował prywatności. Chciał nocami robić to, czego nie mógł robić za dnia. Co to takiego? Używał aparatu fotograficznego w jakimś odległym pokoju, w którym ukrył akta, gdzie mógł za sobą przekręcić klucz? Tam, gdzie był wózek? Tam, gdzie była maszyna do pisania? A może ich zniknięcie, jak przypuszczał Meadowes, naprawdę nie miało związku z Hartingiem? Na tym etapie była tylko jedna odpowiedź: Harting w ciągu dnia ukrywał akta w jakimś schowku, fotografował je w nocy, gdy był sam, i zwracał je następnego dnia rano... Tyle, że ich nie zwrócił. Więc po co je ukradł?

Szpieg nie kradnie. Zasada numer jeden. Każda ambasada, po odkryciu straty, może zmienić plany, zmienić albo odwołać traktaty, podjąć kilkanaście różnych działań profilaktycznych, żeby zminimalizować szkodę. Najlepsza dziewczyna to ta, której nie miałeś. Najbardziej efektywne oszustwo to takie, które pozostaje niewykryte. Więc po co kraść? Powód był już oczywisty. Harting działał w pośpiechu. Chociaż jego działania wydawały się wyrachowane na wszystkich było odcisnięte piętno człowieka ścigającego się z czasem. Po co ten pośpiech? Jaki był nieprzekraczalny termin?

Powoli, Alan, powoli; bądź jak Tony, Alan, śliczny, powolny, gibki, rytmiczny, znawca anatomii, przyjacielski Tony Willoughby, świetnie znany w najlepszych klubach, słynący ze swoich technik kopulacyjnych.

- Naprawdę, najpierw wolałbym mieć chłopca - powiedział Cork. - Problem w tym, że jak już masz to za sobą, możesz rozszerzyć działalność. Rozumie pan, nie jestem zwolennikiem wielkiej rodziny. Chyba, że rozwiąże się problem służącej. A tak przy okazji, jest pan żonaty? Och kurczę, przepraszam, że pytam.

Przypuśćmy przez moment, że ta zażarta prywatna wycieczka w głąb archiwum była rezultatem uśpionych sympatii komunistycznych, rozbudzonych przez wydarzenia ostatniej jesieni; przypuśćmy, że to nim powodowało. Zatem, ku jakiemu celowi skierowana była jego wściekłość? Chodzi o nieprzekraczalny termin wyznaczony przez jakiegoś zachłannego mistrza? Pierwszy stopień łatwo wydedukować: Karfeld wzrósł w potęgę w październiku.

Od tego czasu popularna partia nacjonalistyczna stała się rzeczywistością; nawet jeśli rząd nacjonalistyczny nie był możliwy. Harting rozmyśla. Widzi twarz Karfelda na każdym parkanie, słyszy znane slogany. „On jest naprawdę zaproszeniem do komunizmu”, powiedział de Lisie...

Przebudzenie jest powolne i niechętne, stare powiązania i sympatie leżą głęboko i powoli wychodzą na wierzch. Potem moment decyzji, punkt zwrotny. Albo na własną rękę, albo pod wpływem perswazji Praszki, postanawia zdradzić. Prashko namawia: zielona teczka. Wydobądź zieloną teczkę, a przysłużysz się naszej sprawie... Wydobądź zieloną teczkę przed dniem podjęcia decyzji w Brukseli... Zawartość tej teczki, powiedział Bradfield, może skompromitować nasze stanowisko w Brukseli...

A może go szantażowano? Może o to chodziło w tym wyścigu? Czy musiał wybierać między zaspokojeniem zachłanności mistrza a narażeniem się na kompromitację? Czy było coś, na przykład, związanego z incydentem w Kolonii, coś, co świadczyło na jego niekorzyść: jakaś kobieta, jakieś dawno zapomniane kanty? Czy zdefraudował pieniądze Armii Renu? Wyprzedawał bezcłową whisky i papierosy? Zabrnął w stosunki homoseksualne? Czy uległ jednej z tych kilkunastu klasycznych pokus, które stanowią podstawowy pokarm szpiegostwa dyplomatycznego? Dziewczynno, natychmiast zostaw te dzinsy.

Ale to nie leżało w jego charakterze. De Lisie miał rację: to musiał być poryw, coś, co spowodowało, że działania Hartinga wykroczyły poza granicę instynktu samozachowawczego; agresja, bezwzględność, zapal, nieskończenie bardziej pozytywne niż niechętna uległość człowieka działającego pod wpływem groźby. W tym podziemnym świecie, który Turner teraz badał, Harting nie był sługą, lecz panem. Nie był wysłany, ale mianowany; nie był uciśnionym, ale uciskającym, myśliwym, prześladowcą. I znowu coś wspólnego pomiędzy Turnerem a Hartingiem. Ale ofiara Turnera nie miała imienia. Ślady, którymi podążał, do pewnego momentu były wyraźne. Potem nikły w nadreńskiej mgle. A najbardziej gmatwało sprawę to, że choć Harting polował w samotności, pomyślał Turner, to nie chciał patronatu...

Czy Harting szantażował Bradfielda?

Turner zadał to pytanie nagle, prostując się w krześle. Czy to stanowiło wyjaśnienie niechętnej ochrony udzielanej mu przez Bradfielda? Czy dlatego znalazł mu pracę w archiwum, pozwalał bez wyjaśnień znikać w czwartkowe popołudnia, włóczyć się po korytarzach z teczką?

Spojrzał raz jeszcze do kalendarzyka i pomyślał: kwestia podstawowych zasad. Madame, proszę pokazać temu zmęczonemu uczniakowi swoje podstawowe zasady, nauczyć go części, przeczytać książkę zachowaną w strzępach... to była rada twojego profesora, a kimże ty jesteś, żebyś lekceważył rady profesora? Nie pytaj, dlaczego Chrystus urodził się w Boże Narodze-

nie, pytaj, czy urodził się w ogóle. Jeśli Bóg dał nam inteligencję, to dał nam również umiejętność przenikania swojej prostoty, drogi Turnerze. Więc dlaczego właśnie czwartki? Dlaczego popołudnia? Dlaczego stałe zebrania? Bez względu na to, jak dalece Harting był zdesperowany, dlaczego spotykał się ze swoją wtyczką w świetle dnia, w godzinach pracy, w Godesbergu, kiedy jego nieobecność w ambasadzie musiała być okupiona kłamstwem? To absurd. Bzdura, Tumer. Harting mógł się spotykać ze swoim kontaktem o dowolnej porze. Wieczorem w Kónigswinter, na lesistych zboczach Petersbergu Chamberlaina, w Kolonii, w Koblencji, w Luksemburgu albo za hollenderską granicą w weekendy, kiedy nie musiał przedstawiać nikomu żadnej wymówki, prawdziwej czy nieprawdziwej. Rzucił ołówek i zaklął na głos.

- Jakiś problem? - zapytał Cork. Maszynierka dziko jazgotała, Cork doglądał jej jak głodnego dziecka.

- Nic takiego, na co nie pomogłaby modlitwa - powiedział Turner, przypominając sobie coś, co tamtego ranka powiedział do Gaunta.

- Jeśli chce pan wysłać telegram - przestrzegł go Cork, nie odrywając się od zajęć - to niech się pan lepiej pospieszy.

Przesuwał się szybko od jednej do drugiej maszyny pociągając za papier i pokręta, jakby jego zadanie polegało na utrzymywaniu tego wszystkiego w ciągłym ruchu.

- W Brukseli bomba poszła w górę. Istnieje groźba, że Hunowie wycofają się, jeśli nie zmienimy naszej stawki w funduszu rolnym. Haliday-Pride mówi, że jego zdaniem to pretekst. Za pół godziny będę odbierał rezerwacje na czerwiec, jeśli to pójdzie w takim tempie.

- Jakiego rodzaju pretekst?

Cork odczytał na głos:

- Wygodna furtka, żeby opuścić Brukselę, do czasu, aż sytuacja w Republice Federalnej się ustakuje.

Ziewając, Turner odepchnął na bok formularze telegramów.

- Wyślę to jutro.

- Już jest jutro - cicho powiedział Cork.

Gdybym palił, zapaliłbym jedno z twoich cygar, pomyślał; gdybym nie dostał jednego z nich, wypaliłbym jakieś inne cygaro. Wiedział, że jego teza początku do końca jest błędna.

Nic nie działało, nic się nie zązębiało, nic nie wyjaśniało tej energii, nic nie było zrozumiałe samo przez się. Splótł łańcuch, w którym żadne ogniwo nie łączyło się z innymi. Trzymał głowę w rękach, pozwolił furii wydostać się na wolność i patrzył, jak stają w groteskowo zwolnionych ruchach

przed jęgo zmęczoną wyobraźnią: Prashko, pozbawiony twarzy mistrz szpiegostwa kontrolujący z otoczonego immunitetem stanowiska parlamentarzysty siatkę agentów, zwerbowanych wśród uchodźców; Siebkron, samolubny strażnik bezpieczeństwa publicznego, podejrzewający ambasadę o udział w wielkiej zdradzie na rzecz Rosji, na zmianę pilnujący i prześladowający tych, których uważał za winnych. Bradfield, rygorystyczny, arystokratyczny intelektualista, nienawidzący i chroniący szpiegów, nieprzenikniony z całą tą swoją nieczystą wiedzą, nadzorca kluczy do archiwum, do windy i pudła z depeszami, który za chwilę zniknie w Brukseli po całonocnym czuwaniu w biurze; cudzołożna Jenny Pargiter, której czyn już zdołał splamić jej dobre imię w oczach całej ambasady, zmuszona złudną namiętnością do znacznie bardziej złowrogiego występkę; Meadows, zaślepiony ojcowską miłością do małego Hartinga, z obawą załadowującego ostatnie z czterdziestu teczek na wózek; de Lisie, etyczny dziwak, walczący o prawo Hartinga do zdradzania przyjaciół. Każde z nich, powiększone i zniekształcone, patrzyło na niego, tańczyło, skręcało się i znikało przed szyderczymi wątpliwościami Turnera. Te same fakty, które zaledwie kilka godzin wcześniej doprowadziły go na skraj odkrycia, teraz rzucały go z powrotem w gęszcz wątpliwości.

Ale jak inaczej, powiedział sobie, gdy zamykał swoje rzeczy w stalowej szafce i wychodził, pozostawiając Córkę skrzeczącym maszynom; jak inaczej, zapytałby duchowny, łamiąc ciasto na talerzyku swoją miękką, wielką ręką, jak inaczej mnożą się marzenia, jak inaczej wykuwa się wiedza, a chrześcijaństwo triumfuje, jeśli nie przez zwątpienie? Z pewnością, droga pani Turner, wątpienie jest największym darem, jaki Pan dał tym, którym trzeba wiary. Wyszedł na korytarz, czując mdłości i zawroty głowy, i zadał sobie jeszcze raz pytanie: jakie tajemnice trzymane są w tej magicznej zielonej tezcze? I kto u diabła mi o tym powie: mnie, Turnerowi, zatrudnionemu na czas określony?

Mgła wstawała nad polem i toczyła się ku drodze jak para. Jezdnie błyszczwały pod wilgotnymi szarymi chmurami, koła pojazdów mlaskały w grubej pokrywie wilgoci. Powrót do szarości, pomyślał ze znużeniem. Dziś żadnych polowań. Żaden aniołek nie ulegnie starej, nieowłosionej małpie. Żadnych absolutów na końcu ścieżki; niczego, co uczyniłoby ze mnie zdrajcę.

Nocny portier w Adlerze popatrzył na niego uprzejmie.

- Zabawił się pan? - zapytał, wręczając mu klucze.
- Nie za bardzo.
- Trzeba jechać do Kolonii. Tam jest jak w Paryżu.

Smoking de Lisle'a leżał starannie ułożony na fotelu, a do rękawa przyczepiona była koperta. Butelka whisky ze sklepów NAAFI stała na stole. *Jeśli chcesz zerknąć okiem na tę posiadłość* - przeczytał Turner - *zabiorę cię w środę rano o piątej*. Postscriptum życzyło mu miłego pobytu u Bradfieldów, była w nim też żartobliwa prośba, żeby nie pochlapał klap zupą pomodoro-

wą, bo de Lisie nie chce, żeby źle odczytywano jego przekonania polityczne; szczególnie, dodawał, że można się spodziewać Herr Ludwiga Siebkrona z federalnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Turner wykapał się, wziął szklankę i do połowy napenił ją whisky. Dlaczego de Lisie ustąpił? Ze współczucia dla zagubionej duszy? Boże, zbaw nas. A skoro to już koniec głupich pytań, dlaczego zaproszono go na spotkanie, w którym weźmie udział Siebkron? Poszedł do łóżka i przedrzemał do popołudnia, śnił o Boumemouth i kłujących drzewach iglastych rosnących wzdłuż nagich klifów w Branksome, i usłyszał, jak żona mówi pakując rzeczy dzieci do walizki: „Ja znajdę swoją drogę, ty znajdziesz swoją i zobaczymy, kto pierwszy dostanie się do nieba”. I usłyszał, jak Jenny Pargiter znów płacze, bez ustanku, wzywa litości w tym pustym świecie. Nie przejmuj się, Arthurze, pomyślał, nie zbliżę się do Myry, nawet gdyby moje życie od tego zależało.

10

Kultur u Bradfieldów

Powinien im pan tego zabronić, Siebkron - oświadczył nieostroźnie Herr Saab głosem ciężkim od burgunda. - To cholerne zwariowane głupki, Siebkron. Turki. - Saab przegadał i przepił ich wszystkich. Tylko jego żona, blondyneczka nieznanego pochodzenia, o słodkim, na wpół obnażonym biuście, rzucała mu pełne podziwu spojrzenia. Pozostali goście, inwalidzi niezdolni do odwetu, siedzieli umierając pod prysznicem nudy tryskającym z ust Herr Saaba. Za nimi dwaj węgierscy służący przesuwali się jak pielęgniarki wzdłuż łóżek, a powiedziano im - Turner w to nie wątpił - że Herr Ludwig Siebkron zasłużył na więcej uwagi niż wszyscy inni pacjenci wzięci razem do kupy. I potrzebował jej. Z jego bladych, powiększonych oczu wyciekły już prawie wszystkie krople życia; białe dłonie miał złożone jak serwetki obok talerza, a całym apatycznym zachowaniem dawał do zrozumienia, że trzeba go obrócić.

Cztery srebrne lichtarze, 1729, roboty Paula de Lameriego, na ośmiokątnej podstawie, wedle słów ojca Bradfielda, całkiem przyzwoicie ocechowane, łączyły Hazel Bradfield z jej mężem jak linia diamentów ciągnąca się wzdłuż długiego stołu. Turner siedział pośrodku, pomiędzy drugim a trzecim lichtarzem, zakuty w żelazne okowy smokingu de Lisle'a. Nawet koszula była na niego za mała. Główny portier wynalazł ją dla niego w Bad Godesbergu za

wyższacę niż kiedykolwiek w życiu zapłacił za koszulę, a teraz dławiła go w tych miejscach, gdzie wykrochmałony kołnierzyk wpijał się w skórę szyi.

- Już zjeżdżają się z wiosek. Na tym cholernym rynku będą mieli dwa naście tysięcy ludzi. I wiesz, co budują? *Schaffott*. - Angielski jeszcze raz go pokonał. - Co to, u diabła, jest „*Schaffott*”? - zapytał całe towarzystwo.

Siebkron poruszył się, jakby zaproponowano mu wodę.

- Szafot - mruknął, a umierające oczy przeniosły się w stronę Turnera, zabłysły i zgasły.

- Angielski Siebkrona jest fantastyczny! - wrzasnął uszczęśliwiony Saab. - Siebkron marzy o Palmerstonie za dnia, a po zmierzchu o Bismarcku. Teraz jest wieczór, rozumiecie: jest w połowie drogi!

Siebkron usłyszał diagnozę i wcale go to nie ucieszyło.

- Szafot. Mam nadzieję, że może powiesz na nim tego przekłętego faceta. Siebkron, jesteś dla niego zbyt łaskawy. - Wzniósł kieliszek do Bradfielda i wygłosił długi toast, ciężki od niechcianych komplementów.

- Karl-Heinz też fantastycznie mówi po angielsku - powiedziała blondyneczka. - Jesteś zbyt skromny, Karl-Heinz. Twój angielski jest równie dobry, jak Herr Siebkrona.

Między jej piersiami, głęboko w dole, Turner dostrzegł błysk czegoś białego. Chusteczka? List? Frau Saab nie zwracała uwagi na Siebkrona; nie zależało jej na żadnym mężczyźnie, którego cnoty wychwalane były ponad cnoty jej męża. Jej wtęret przeciął wątek. I raz jeszcze rozmowa leżała jak latawiec na ziemi, a przez chwilę nawet jej mąż nie miał w sobie tyle wiatru, żeby pomóc mu się wzbić.

- Mówi pan, zabronić mu. - Siebkron uniósł miękką ręką srebrną tarkę do gałki muszkatołowej i ostrożnie obracał ją w świetle świec, szukając charakterystycznych skaz. Talerz stojący przed nim wylizany był do czysta, koci, niedzielny talerzyk.

Siebkron był nadąsanym, bladym mężczyzną, starannie wygolonym, nie starszym od Turnera. Miał w sobie coś z hotelarza, z człowieka, którzy przywykli do chodzenia po cudzych dywanach. Rysy miał miękkie, ale nieustępliwe, wargi rozdzielały się, by wykonać jedną funkcję, zamykały, by wykonać inną. Jego słowa nie były pomocą, ale wyzwaniem, częścią cichego przesłuchania i tylko zmęczenie albo głęboka, zimna choroba serca powstrzymywały go, żeby przeprowadzić je na głos.

- *Ja*. Niech pan mu zabroni - mówił Saab, przechylając się przez stół, żeby dotrzeć do słuchaczy. - Niech pan mu zabroni mityngów, marszy, tego wszystkiego. Jak komuniści, znają się tylko na tej cholernej robocie. Siebkron, *Sie warenja auch in Hanover*! Siebkron też tam był: dlaczego im tego nie zabronił? To są dzikie bestie. Urosli w siłę, *Nicht wahr, Siebkron*. Mój Boże, i ja mam swoje doświadczenia. - Saab był starszym mężczyzną, dzien-

nikarzem, który pracował w kilku gazetach w swoim czasie, ale większość z nich zniknęła od czasu wojny. Nikt nie miał wątpliwości, jakiego to rodzaju doświadczenia miał Herr Saab. - Ale nigdy nie żywiłem nienawiści do Anglików. Siebkron, może pan to potwierdzić. *Das können Sie ja bestätigen.* Przez dwadzieścia lat pisałem o tej zwariowanej republice. Byłem krytyczny - czasami cholernie krytyczny - ale nigdy nie byłem źle nastawiony do Anglików. Co to, to nie - zakończył, wypowiadając ostatnie słowa w sposób, który natychmiast rzucał cień podejrzania na całą wypowiedź.

- Karl-Heinz niesamowicie popiera Anglików - powiedziała blondyneczka. - Je po angielsku, pije po angielsku. - Westchnęła, jakby reszta jego czynności była również w angielskim stylu. Jadła dużo i trochę jedzenia miała w ustach, gdy to mówiła, a w małych rączkach trzymała inne rzeczy, które też była gotowa zjeść.

- Jesteśmy pańskimi dłużnikami - powiedział Bradfield z wymuszoną wesołością. - Niech pan tak trzyma, Karl-Heinz.

Przyjechał z Brukseli pół godziny wcześniej i przez cały czas nie spuszczał z oka Siebkrona.

Pani Vandelung, żona holenderskiego radcy, ciałniej opatulila szalem pełne ramiona.

- Co roku jeździmy do Anglii - powiedziała z zadowoleniem, a propos właściwie niczego. - Nasza córka uczy się w szkole w Anglii, nasz syn uczy się w szkole w Anglii... - nie mogła się zatrzymać. Wszystko, co kochała, cenila albo posiadała, miało angielski charakter. Jej mąż, wysuszony marynarz, dotknął pięknego nadgarstka Hazel Bradfield i kiwał głową z zapalem.

- Zawsze - wyszeptał, jakby to było przyrzeczenie. Hazel Bradfield, budząc się z marzeń, uśmiechnęła się do niego nieco uroczyście, a jej wzrok spoczął z pewnym dystansem na jego ręce, którą nadal trzymał na jej dłoni.

- Cóż, Bernhardzie - powiedziała łagodnie - jesteś taki miły dziś wieczór. Sprawiasz, że kobiety są o mnie zazdrosne. - To nie był wesoły żarcik. W jej głosie tkwiło żądętko; może i była jedną z kilku córek, pomyślał Turner, łapiąc jej gniewne spojrzenie, gdy Saab podjął swój monolog, ale nie znaczyło to, że jest łaskawa dla swoich brzydszych siostrzyc.

Czy siedzę na miejscu Leo, zastanawiał się. Jem porcję dla Leo? Ale Leo we wtorki zostawał u siebie w domu... a poza tym, Hartinga tutaj nie dopuszczano, przypomniał sobie, wznosząc kieliszek, by odpowiedzieć na toast Saaba, ale nie wypił wina.

Przedmiotem perory Saaba, o dziwo, nadal byli Brytyjczycy. Wzbogacił tylko wywód o elementy autobiograficzne, dotyczące niewygód związanych z bombardowaniami:

- Wiecie, co się mówi o Hamburgu? Pytanie: jaka jest różnica między Anglikiem a Hamburgczykiem? Odpowiedź: Hamburgczyk mówi po niemiecku.

Wiecie, co mówili w tych piwnicach? Dzięki Bogu, że to brytyjskie bomby! Bradfield, /ras/f/ Nigdy więcej.

- W samej rzeczy, nigdy więcej - odparł Bradfield i zmęczonym gestem odpowiedział na toast w niemieckim stylu, patrząc na Saaba znad brzegu kieliszka. Wypił i spojrzął raz jeszcze.

- Bradfield, ty to jesteś gość. Twój przodek walczył pod Waterloo, a twoja żona jest piękna jak królowa. Jesteś najlepszym gościem w całej ambasadzie brytyjskiej i nie zapraszasz cholernych Amerykanów, i nie zapraszasz cholernych Francuzów. Jesteś porządny facet. Francuzi to sukinsyny - zakończył ku przerażeniu wszystkich, po czym nastąpiła chwila pełnego zaniepokojenia milczenia.

- Karl-Heinz, chyba to nie było zbyt lojalne - powiedziała Hazel. Z tej strony stołu rozległ się śmiech, którego źródłem była starsza hrabina zaproszona w ostatniej chwili, żeby Alan Turner miał partnerkę. Niepożądany snop światła elektrycznego rozbłysnął nad towarzystwem, a z kuchni wmaszerowali Węgrzy jak poranna zmiana warty i uprzątnęli butelki oraz porcelanę, nie zwracając na nikogo uwagi.

Saab pochylał się jeszcze bardziej nad stołem i pokazał dużym, niezbyt czystym palcem na gościa honorowego.

- Widzisz go, tego faceta, Ludwiga Siebkrona, to cholerny dziwak. Wszyscy w korpusie prasowym go podziwiamy, bo nigdy, do cholery, nie udaje się nam go dopaść, a w dziennikarstwie podziwiamy tylko to, czego nie możemy mieć. A wiecie, dlaczego nie możemy dopaść Siebkrona?

To pytanie bardzo rozbawiło Saaba. Rozejrzał się uszczęśliwiony wokół stołu, jego ciemna twarz błyszczała z zadowolenia.

- Bo jest tak cholernie zajęty ze swoim przyjacielem i... *Kumpan*. - Strzelił w zdenerwowaniu palcami. - *Kumpan* - powtórzył. - *Kumpan*?

- Kompan do butelki - zaproponował Siebkron. Saab patrzył na niego bez przekonania, zaskoczony pomocą z tak nieoczekiwanej strony.

- Kompan do butelki - wymruczał. - Klaus Karfeld - i zamilkł.

- Karl-Heinz, musisz zapamiętać *Kumpan* - powiedziała łagodnie jego żona, a on skinął głową i uśmiechnął się do niej mężnie.

- Przybył pan, żeby się do nas przyłączyć, panie Turner? - zapytał Siebkron, zwracając się do tarki do gałki muszkatołowej. Nagle wszystkie światła skupiły się na Turnerze, a Siebkron, cudem powstały z łoża boleści, przeprowadzał trudną operację w ramach prywatnej praktyki.

- Na kilka dni - powiedział Turner. Publiczność powoli chwytała, o co chodzi, toteż przez chwilę obu mężczyzn połączyła tajna komunika, podczas gdy inni prowadzili dalej swoje własne sprawy. Bradfield zaangażował się

w zdawkową rozmowę z Vandelungiem; Turner uchwycił słowa o Wietnamie. Saab, który wrócił na pole walki, podjął temat i przechwycił go.

- Jankesi będą walczyli w Sajgonie- oświadczył- ale nie będą walczyli w Berlinie. Trochę szkoda, że nie zbudowali muru berlińskiego w Sajgonie. - Mówił teraz głośniej i bardziej zaczepnie, ale Turner słyszał te słowa jakby z ciemności, spoza nieruchomego spojrzenia Siebkrona. -Nagle Jankesi zaczęli wariować na punkcie samostanowienia. Dlaczego nie wypróbują tego troszeczkę w Niemczech Wschodnich? Wszyscy walczą za sprawę cholernych Murzynów. Wszyscy walczą o cholerną dżunglę. Może szkoda, że nie nosimy piórek. - Wydawało się, że zaczepia Vandelunga, ale bez rezultatu; szara skóra starego Holendra była gładka jak trumna i nic nie mogłoby z niej wykiełkować. - Może szkoda, że nie mamy palm w Berlinie. - Słysząc było, jak przerwał, żeby się napić. - Wietnam to gówno. Ale przynajmniej tym razem nie będą mogli powiedzieć, że to my zaczęliśmy - dodał z wyraźną nutką rozczulenia nad sobą.

- Wojna jest straszna - jęknęła hrabina. - Straciliśmy wszystko. - Ale zaczęła mówić już po tym, jak kurtyna poszła w górę. Herr Ludwig Siebkron odłożył srebrną tarkę do gałki muszkatołowej, żeby podkreślić swój zamiar.

- Skąd pan przyjechał, panie Turner?

- Z Yorkshire. - Cisza. - Wojnę spędziłem w Bournemouth.

- Herr Siebkron miał na myśli wydział - powiedział rzeczowo Bradfield.

- Z Ministerstwa Spraw Zagranicznych - odparł Turner. - Tak jak wszyscy - i spojrzał na niego przez stół. Białe oczy Siebkrona nie wyrażały ani podziwu, ani potępienia, czekały na moment, w którym będzie można wprowadzić skalpel.

- A czy wolno pana zapytać, który wydział Ministerstwa Spraw Zagranicznych ma zaszczyt korzystać z jego służb?

- Wydział badań naukowych.

- Jest także świetnym alpinistą - wtrącił z daleka Bradfield, a blondyneczka wydała ostry okrzyk seksualnej rozkoszy. - *Die Berge* - Kącikiem oka Turner spostrzegł, że porcelanową rączką dotknęła ramiączka sukienki, jakby ogarnięta entuzjazmem chciała ją z siebie zdjąć.

- Karl-Heinz...

- W przyszłym roku - ciężki głos Saaba zapewniał ją szeptem. - W przyszłym roku pojedziemy w góry. - A Siebkron uśmiechnął się do Turnera, jakby to był dowcip, który obaj zrozumieli.

- Ale teraz jest pan w dolinie, pani Turner. Zatrzymał się pan w Bonn?

- W Godesbergu.

- W hotelu?
- Adler, pokój numer dziesięć.
- A jakiego rodzaju badania, jeśli można spytać, prowadzi się z hotelu Adler, pokój numer dziesięć?

- Ludwig, stary - wtrącił się Bradfield. Jego żartobliwy ton nie był tym razem całkiem bez troski. - Na pewno rozpoznasz szpiega na oko. Alan to nasza Mata Hari. Rozmawia z rządem w swojej sypialni.

Śmiech, na co wskazywał wyraz twarzy Siebkrona, nie trwa wiecznie; czekał, aż przygaśnie.

- Alan - powtórzył spokojnie. - Alan Turner z Yorkshire, pracujący w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w wydziale badań naukowych, zamieszkujący w hotelu Adler, wybitny alpinista. Musi mi pan wybaczyć moją ciekawość, panie Turner. Wszyscy tutaj, w Bonn, zrobiliśmy się nerwowi. A jeśli chodzi o moje grzechy, to zostałem obarczony misją fizycznej ochrony ambasady brytyjskiej. To naturalne, że interesuję się ludźmi, których ochraniam. Nie wątpię, że pańska obecność tutaj została zameldowana wydziałowi personalnemu? Chyba tego nie widziałem w biuletynie.

- Wpisaliśmy go jako technika - powiedział Bradfield, najwyraźniej zirytowany tym, że przesłuchuje się go w obecności jego własnych gości.

- Jakież to praktyczne - powiedział Siebkron. - Znacznie łatwiejsze niż badania. On dokonuje badań, ale ty wpisałeś go jako technika. Z drugiej jednak strony, wszyscy wasi technicy zajmują się badaniami. To idealnie proste rozwiązanie. Ale pańskie badania mają jakiś cel praktyczny, panie Turner? Statystyka?

- To ogólne badania.

- Badania ogólne. Bardzo wszechstronne obowiązki. Długo tu pan zostanie?

- Jakiś tydzień. Może dłużej. To zależy od tego, jak długo potrwa projekt.

- Projekt badawczy? Ach. Więc jest jakiś projekt. Z początku wyobrażałem sobie, że pan kogoś zastępuje. Ewana Waldebere'a na przykład; on zajmował się badaniami handlu, prawda, Bradfield? Albo Petera McCree-dy'ego, w sprawach rozwoju naukowego. Albo Hartinga: nie zastępuje pan, na przykład, Leo Hartinga? Jaka szkoda, że wyjechał. Jeden z waszych najstarszych i najcenniejszych współpracowników.

- Och, Harting! - Pani Vandelung usłyszała nazwisko i od razu stało się jasne, że ma wyrobione zdanie. - Wiecie, co mówią? Ten Harting upił się kiedyś w Kolonii. Dostał napadu szału. - Bardzo jej zależało, żeby utrzymać ich zainteresowanie. - Przez cały tydzień nosi anielskie skrzydła, gra na organach i śpiewa jak chrześcijanin, ale w weekendy jeździ do Kolonii i bije się z Niemcami. Zupełnie jak doktor Jekyll i mister Hyde, mówię wam! -

Roześmiała się pobłaźliwie. - Och. Szelma z niego. Rawley, jestem pewna, że pamiętasz Andre de Hooga. On to wszystko usłyszał od tutejszej policji: Harting urządził wielką rozróbę w Kolonii. W klubie nocnym. To wszystko miało związek z jakąś kobietką. Tak, on jest bardzo tajemniczy, mówię wam. A teraz nie mamy nikogo, żeby grał na organach. Siebkron powtórzył swoje pytanie.

- Nikogo nie zastępuję - odparł Turner i usłyszał głos Hazel Bradfield, dochodzący z lewej strony. Był to głos opanowany ale wibrujący od gniewu.

- Pani Vandelung, pani wie, jakie my, Anglicy, mamy dziwne zwyczaje. Powinnyśmy zostawić w spokoju mężczyzn samym sobie.

Kobiety niechętnie odeszły. Mała Frau Saab, zrozpaczona, że musi opuścić męża, pocałowała go w szyję i zmusiła, żeby przyrzekł, że będzie trzeźwy. Hrabina powiedziała, że w Niemczech po posiłku powinno się napić koniaku: to pomaga na trawienie. Tylko Frau Siebkron wyszła bez narzekań; była spokojną, wyobcowaną piękną, która na początku swojego małżeństwa nauczyła się, że nie warto protestować.

Bradfield stał przy kredensie z karafkami i srebrnymi podkładkami pod kieliszki; Węgrzy przynieśli kawę w dzbanku Hestera Batemana i postawili w majestacie po tej stronie stołu, gdzie zasiadała Hazel. Mały Vandelung zatopił się we wspomnieniach; stał przy weneckim oknie, patrzył w dół ciemnego trawnika na światła Bad Godesbergu.

- Teraz napijemy się porto - zapewnił ich wszystkich Saab. - Bradfield dostarcza nam zawsze fantastycznych przeżyć. - Wybrał Turnera. - Pijałem tu już porto starsze od mojego ojca. Co będziemy pili dziś wieczór, Bradfield? Cockburna? Może da nam Crufta. Bradfield zna wszystkie odmiany. *Ein nchtiger Kenner*. Siebkron, jak jest „*Kertner " auf Englischl*

- Koneser.

- To po francusku! - Saab był oburzony. - Anglicy nie mają słowa na „*Kenner*”! Bradfield! Telegram! Jeszcze dziś! *SofortanIhreMajestañ* Osobiście, ściśle tajne, dla cholery królowej. Wszyscy koneserzy są zabronieni. Dozwala się tylko kennerów! Jest pan żonaty, panie Turner?

Bradfield, który usiadł na miejscu Hazel, podał w lewą stronę porto.

- Nie - odparł Turner, a słowo to zabrzmiałoby twardo dla każdego, kto zechciałby wsłuchać się w jego ton. Ale Saab słyszał tylko siebie.

- Zwariował! Anglicy muszą się rozmnażać! Zrobić mnóstwo niemowląt. Tworzyć kulturę. Anglia, Niemcy i Skandynawia! Do diabła z Francuzami, do diabła z Amerykanami, do diabła z Afrykanami. *Klein-Europa*, rozumie mnie pan, Turner? - Uniósł zaciśniętą pięść. - Twardzi i dzielni. Wszystko, co potrafi mówić i myśleć. Nie jestem taki wariat. *Kultur*. Wiecie, co to

znaczy, *Kultur!* -Napil się. - Fantastyczne! - krzyknął. - Najlepsze ze wszystkiego! Numer jeden. - Podniósł kieliszek do światła świecy. - Najlepsze porto, jakie kiedykolwiek piłem. Można zobaczyć krew w sercu. Bradfield, co to jest? Na pewno Cockbum, ale on mi zawsze zaprzecza.

Bradfield zawahał się, to był prawdziwy dylemat. Najpierw zwrócił wzrok na kieliszek Saaba, potem na karafki, potem znów na jego kieliszek.

- Jestem zachwycony, że doceniłeś to, Karl-Heinz - powiedział. - Są dżę jednak, że to, co pijesz, to madera.

Yandelung, stojąc przy oknie weneckim, zaczął się śmiać. Był to skrzeczający, szyderyczy śmiech, trwający dłuższą chwilę. Całe jego ciało drgało, wznosząc się i zapadając w rytm porykiwania, wydostającego się z jego płuc.

- No cóż, Saab - powiedział wreszcie, podchodząc powoli do stołu. - Może przywieziesz troszkę swojej *Kultur* także do Niderlandów.

Znów zaczął się śmiać, jak uczeń, zakrywając kościstą dłonią usta, żeby ukryć ubytki, a Turnerowi bardzo się zrobiło żal Saaba i w ogóle nie zwracał uwagi na Yandelunga.

Siebkron nie pił porto.

- Byłeś dziś w Brukseli, mam nadzieję, że to udana podróż, Bradfield? Słyszałem, że znów pojawiły się trudności. Przykro mi. Koledzy mówili, że Nowa Zelandia prezentuje sobą poważny problem.

- Owce! - krzyknął Saab. - Kto będzie jadał owce? Anglicy postawili tam swoje cholerne farmy i teraz nikt nie chce jeść owiec.

Głos Bradfielda był pełen zastanowienia.

- W Brukseli nie podniesiono żadnych nowych problemów. Kwestia Nowej Zelandii i Funduszu Rolnego omawiana jest od lat. To nie są problemy, których przyjaciele nie mogliby rozwiązać.

- Dobrzy przyjaciele. Miejmy nadzieję, że masz rację. Miejmy nadzieję, że przyjaźń jest mocna, a przeciwności małe. Miejmy nadzieję. - Siebkron znów spojrzał na Turnera. - A więc Hartinga nie ma - zauważył, składając płasko dłonie, jak do modlitwy. - Taka strata dla naszej społeczności. Szczególnie dla kościoła. -I patrząc prosto w oczy Turnerowi dodał: - Koledzy mówili mi, że zna pan Sama Allertona, wybitnego dziennikarza brytyjskiego. Wydaje mi się, że dziś pan z nim rozmawiał.

Yandelung nalał sobie kieliszek madery i smakował go ostentacyjnie. Saab, ponury, pociemniały na twarzy, patrzył to na jednego, to na drugiego nieco zawadiackim wzrokiem.

- Ludwigu, cóż za niezwykły pomysł. Cóż miałeś na myśli mówiąc: „Hartinga nie ma”? Jest na urlopie. Nie rozumiem skąd się wzięły wszystkie te głupie plotki. Biedne chłopisko, jego jedyna zbrodnia jest taka, że nie po-

wiedział o tym pastorowi. - Sztuczny śmiech Bradfieida był swego rodzaju aktem odwagi. - Urlop ze względów rodzinnych. Nigdy, Ludwigu, nie interpretowałeś błędnie swoich informacji.

- Widzi pan, panie Turner, mam tu straszne trudności. Jestem odpowiedzialny za porządek publiczny podczas demonstracji. Jestem odpowiedzialny przed swoim ministrem, i choć zakres moich obowiązków jest skromny, ale to jednak odpowiedzialność.

Jego skromność była wręcz świątobliwa.

- W piątek spodziewamy się demonstracji. Obawiam się, że wśród pewnych grup pozostających w mniejszości, Anglicy nie są obecnie zbyt popularni. Proszę uwierzyć, że nie chcę, żeby komuś coś się stało, komukolwiek. Będę ich chronił. Ale biedny pan Bradfield jest często tak przepracowany, że nic mi nie mówi. - Przerwał i rzucił tylko jedno spojrzenie Bradfieldowi. - No cóż, nie oskarżam Bradfieida, że mi o panu nie powiedział. A dlaczego właściwie miałyby powiedzieć? - Białe ręce rozłączyły się w geście ustępowstwa. - Jest wiele małych spraw, a nawet jedna, dwie duże, o których mi nie powiedział. Bo po cóż miałyby mówić? To nie szłoby w parze z jego powołaniem dyplomaty. Mam rację, panie Turner?

- To nie moja sprawa.

- Ale moja. Pozwólcie, że wyjaśnię, co się właściwie dzieje. Moi koledzy są spostrzegawczymi ludźmi. Rozglądają się, liczą głowy i widzą, że kogoś brakuje. Wszczynają śledztwo, wypytywają służących, może i przyjaciół, i dowiadują się, że ten ktoś zniknął. Natychmiast zaczynam się o niego niepokoić. Tacy są moi koledzy. Moi koledzy to ludzie współczujący. Nie lubią, żeby ktoś gdzieś się zawieruszył. Cóż może być bardziej ludzkiego? Są jak chłopcy, po prostu jak chłopcy. Harting wyjechał do Anglii?

Ostatnie pytanie zadał bezpośrednio Turnerowi, ale Bradfield wziął odpowiedzialność na siebie, a Turner pobłogosławił go za to w duchu.

- Ma kłopoty rodzinne. Nie możemy o nich mówić publicznie. Nie chcę wyklądać na stół czyjegoś życia prywatnego tylko dlatego, żebyś mógł uzupełnić swoje teczki.

- To doskonała zasada. Taka, którą wszyscy powinniśmy się kierować. Słyszysz pan, panie Turner? Jego głos stał się wyraźnie stanowczy. - Po co panu to papierowe polowanie? Jaki ma sens?

- Dlaczego tak troszczysz się o Hartinga - zapytał Bradfield, jakby to był dowcip, który go znużył. - Jestem zdumiony, że w ogóle wiesz o jego istnieniu. Chodźmy, napijemy się kawy, dobrze?

Wstał, ale Siebkron pozostał na swoim miejscu.

- Ależ oczywiście, że wiemy o jego istnieniu - oświadczył. - Podziwiamy jego pracę. Bardzo ją podziwiamy. W wydziale takim jak mój, pomysłowość pana Hartinga znajduje wielu admirałów. Moi koledzy ciągle o nim mówią.

- O czym tak mówicie? - Bradfield poczerwieniał z gniewu. — O co tu chodzi? Jaka praca?

- Zadał się z Rosjanami, wie pñn - wyjaśnił Siebkron Turnerowi. -W Berlinie. To było dawno temu, ale jestem pewien, że wiele się od nich nauczył, jak pan sądzi, panie Turner? Trochę techniki, a może też trochę ideologii? I ten ich uścisk. Rosjanie nigdy nie odpuszczają.

Bradfield postawił dwie karafki na tacy i stał w drzwiach czekając, aż przejdą do salonu.

- Co to była za praca? - zapytał szorstko Turner, gdy Siebkron niechętnie podniósł się z krzesła.

- Badania naukowe. Po prostu ogólne badania naukowe, panie Turner. Takie, jak pańskie. Miło pomyśleć, że pan i Harting macie wspólne zainteresowania. W rzeczy samej, to właśnie dlatego zapytałem, czy go pan zastąpi. Moi koledzy wywnioskowali ze słów pana Allertona, że pan i Harting macie wiele cech wspólnych.

Hazel Bradfield zaniepokojona podniosła wzrok, gdy weszli, wymieniła wymowne spojrzenia z mężem. Jej cztery znajome siedziały na jednej kanapie. Pani Yandelung zajęta haftowaniem; pani Siebkron w kościelnej czerni, z rękami na podolku, patrzyła zafascynowana w ogień na kominku. Hrabina, której kazano bawić nieutytułowane towarzystwo, pocieszała się, popijając z ponurą miną wielką porcję brandy. Jej chciwa twarz oświetlona była małymi czerwonymi punktami jak maki na polu bitwy. Tylko mała Frau Saab ze świeżo upudrowanym biustem, uśmiechnęła się, widząc jak wchodzą.

Byli okłapnięci, śmiertelnie znudzeni.

- Bernhardzie - powiedziała Hazel Bradfield, poklepując poduszkę koło siebie. - Chodź i usiądź przy mnie. Uważam, że tego wieczoru jesteś szczególnie miły. - Starszy mężczyzna, z lisim uśmiechem, posłusznie zajął wskazane miejsce. - A teraz masz mi opowiedzieć wszystkie te okropieństwa, których mogę się spodziewać w piątek. - Grała zepsutą piękność i szło jej to dobrze, ale w jej głosie był ukryty cień niepokoju, którego nawet dzięki na ukom Bradfielda nie potrafiła do końca stłumić.

Siebkron siedział przy osobnym stoliku jak człowiek podróżujący lepszą klasą. Bradfield odezwał się do jego żony. Nie, nie była w Brukseli; rzadko wyjeżdża z mężem.

- Ależ trzeba nalegać! - oświadczył i zaraz zaczął opisywać swój ulubiony hotel w Brukseli. Amigo, należy się zatrzymywać w Amigo; jest tam najlepsza obsługa, jaką kiedykolwiek spotkał. Frau Siebkron nie interesuje się wielkimi hotelami, wakacje spędza w Szwarzwaldzie; jej dzieci lubią to najbardziej. Tak, Bradfield sam uwielbia Szwarzwald; ma bliskich przyjaciół w Dornstetten.

Turner słuchał z niechętnym podziwem niewyczerpanego potoku tówni-rzyskiego gadulstwa. Bradfield nie spodziewał się z niczyjej strony pomocy. Oczy miał ciemne ze zmęczenia, ale rozmowa była tak rzeńska, tak zaangażowana w sprawy innych i tak bezcelowa, jakby był na wakacjach.

- No, dalej, Bernhardzie; jesteś stary i mądry jak sowa, a mnie nikt niczego nie mówi. Jestem tylko *Hausfrau*, wymaga się ode mnie, żebym prze*glądała „Vogue” i robiła przez cały dzień kanapki.

- Znasz to powiedzenie - odparł Vandelung. - Co się jeszcze musi wydarzyć w Bonn, żeby wreszcie coś się wydarzyło? Nie mogą zrobić niczego, czego byśmy już wcześniej nie widzieli.

- Mogą mi stratować różę - zauważyła Hazel, zapalając papierosa. - Mogą porwać mi w nocy męża. Całodzienne wyprawy do Brukseli, doprawdy! To przecież absurd. I spójrz tylko, co zrobili w Hanowerze. Jesteś w stanie sobie wyobrazić, co się stanie, jak wybiją te szyby? Ile czasu będę walczyć z tym głupim wydziałem obsługi! Będziemy tutaj siedzieli w płaszczach, zanim dojdą do tego, kto ma za to zapłacić. Nie jest dobrze, naprawdę. Dzięki Bogu, mamy pana Turnera, żeby nas obronił. - Mówiła, to patrząc na Turnera, a jej wzrok był niepokojący i dociekliwy. - Frau Saab, czy pani mąż też jeździ ostatnio w te wszystkie miejsca? Jestem pewna, że dziennikarze są lepszymi mężami niż dyplomaci.

- On jest bardzo wierny. - Blondyneczka zacerwieniła się i zafrasowała.

- Miała na myśli, że jestem lojalny. - Saab pocałował ją w rękę z uczuciem.

Otworzyła małą torebkę i wyciągnęła puderniczkę, z której zaczęła wyjmować jeden za drugim złociste płatki.

- Jutro mija rok, jak się pobraliśmy. To takie piękne.

- *Du bist noch schöner!* - krzyknął Saab i rozmowa przekształciła się w chaotyczną wymianę informacji na temat domowych i finansowych problemów gospodarstwa Saabów. Tak, kupili kawał ziemi niedaleko Oberwinter. Karl-Heinz kupił go w ubiegłym roku, na zaręczyny, a wartość ziemi już zdążyła wzrosnąć o cztery marki za *Quadratmeter*.

- Karl-Heinz, jak się mówi „*Quadratmeter*”?

- Tak samo - zapewnił ją Saab - metr kwadratowy - i spojrzał wilkiem na Turnera, na wypadek, gdyby ośmielił się zaprzeczyć.

Nagle Frau Saab zaczęła mówić i nikt już nie był w stanie jej powstrzymać. Całe jej małe życie rozpostarło się przed nimi jak orientalny kobierzec, upstrzony nadziejami i rozczarowaniami; kolorek, który pojawił się na jej ślicznych policzkach pozostał tam jak ciepły rumieniec seksualnego sukcesu.

Mieli nadzieję, że Karl-Heinz obejmie bońskie *Biiro* swojej gazety, że zostanie szefem korespondentów z Bonn: na to liczyli. Jego pensja wzrosłaby o kolejny tysiąc i osiągnąłby przyzwoite stanowisko. I co się stało? Gazeta mianowała *den Flitzdorf*, a Flitzdorf to po prostu gówniarz, bez doświadczenia, i w ogóle

nic, i całkowity homoseksualista, a Karl-Heinz, który pracuje już osiemnaście lat dla tej gazety i ma tyle kontaktów, został numerem dwa i musi sobie dorażać, pisując dla tych wszystkich kamieniowców.

- Brukowców - powiedział małż, ale tym razem całkowicie go zignorowała.

Cóż, gdy to się stało, odbyli długą rozmowę i postanowili, że przeprowadzą jednak swoje plany budowlane, chociaż *Hypothek* była przerażająca; ale ledwie wpłacili pieniądze do *Makler*, gdy stała się straszna rzecz: do Oberwinter przyjechali Afrykanie. To było koszmarnie. Karl-Heinz zawsze był bardzo ostry w stosunku do Afrykanów, ale teraz to oni zajęli sąsiednią działkę i zaczęli budować *Residenz* dla jednego ze swoich ambasadorów i dwa razy w tygodniu przyjeżdżali, wspinali się na cegły jak małpy i krzyczeli, że ma być inaczej; i zaraz tam będą mieli całą kolonię z cadillacami i dziećmi, i muzyką przez całą noc, a co do niej, to będzie całkiem sama, kiedy Karl-Heinz będzie pracował do późna i już założyli specjalne bolce w drzwi tak, żeby nie została...

- Mówią fantastyczne rzeczy! - wykrzyknął Saab na tyle głośno, żeby Siebkron i Bradfield odwrócili się i spojrzeli na niego ostro; bo obaj odeszli do okna i mruzczyli coś cicho. - Ale my nie dostaliśmy niczego do picia!

- Karl-Heinz, stary, zupełnie cię opuściliśmy. - Bradfeld rzucił ostatnie słowo Siebkronowi i poszedł po jedną z karafek stojących na srebrnej tacy.

- Kto jeszcze wypiłby kieliszek przed snem?

Vandelung chciał się do nich przyłączyć, ale żona mu zabroniła.

- I bardzo uważaj - ostrzegła młodą Frau Saab koszmarnie głośnym scenicznym szeptem - bo dostanie ataku serca. Tyle jedzenia, picia i krzyku; to działa na serce. A jeszcze trudna do zaspokojenia młoda żona - dodała z zadowoleniem. - Można od tego umrzeć.

Frau Vandelung złapała mocno swojego małego, szarego męża za nadgarstek i wyprowadziła go do holu. W tej samej chwili Hazel Bradfield usiadła na opuszczonym krześle.

- Panie Turner - powiedziała cicho - jest sprawa, w której pan mi może pomóc. Mogę panu zabrać chwilę?

Byli w oranżerii. Rośliny w doniczkach stały na parapetach, obok nich leżały rakiety do tenisa; dziecięcy traktor, pogo i wiązka tyczek ogrodowych zajmowały kamienną podłogę. W powietrzu unosił się tajemniczy zapach miodu.

- O ile wiem, prowadzi pan śledztwo w sprawie Hartinga - powiedziała. Mówiła głosem rzeczowym i władczym; była teraz prawdziwą żoną Bradfielda.

- Doprawdy?

- Rawley zamartwia się na śmierć. Jestem pewna, że w tle tego wszystkiego stoi Leo Harting.

- Rozumiem.

- Nie sypia i nawet nie chce o tym porozmawiać. Przez ostatnie trzy dni prawie się do mnie nie odezwał. Nawet wiadomości dla mnie przesyła przez innych ludzi. Odciął się całkowicie od wszystkiego poza swoją pracą. Jest na skraj załamania.

- Nie widzę tego.
- Tak się składa, że to mój mąż.
- Ma szczęście.
- Co Harting zabrał? - Jej oczy błyszczały gniewem czy też determinacją. - Co ukradł?

- Dlaczego pani sądzi, że coś ukradł?
- Niech pan słucha. To ja, nie pan, odpowiadam za pomyślność mojego męża. Mam prawo wiedzieć, czy Rawley ma kłopoty; niech pan powie, co Harting zrobił. Niech pan powie, gdzie on jest. Wszyscy o tym szepczą, wszyscy. Ta śmieszna historia o Kolonii, ciekawość Siebkrona; dlaczego właśnie ja nie wiem, co się dzieje?

- I ja się nad tym zastanawiam - odparł Turner.

Miał wrażenie, że chce go uderzyć i gdyby to zrobiła, oddałby jej. Była piękna, ale koniuszki warg opadły jej z gniewu i wściekłości jak u rozpieszczonego dziecka, a w jej głosie i zachowaniu było coś koszmarnie znajomego.

- Niech pan wyjdzie. Niech mnie pan zostawi.

- Nie obchodzi mnie, kim pani jest. Jeśli chce pani poznać tajemnice urzędowe, to może pani, do cholery, udać się do ich źródła - powiedział Turner i czekał, że znów się na niego rozżołości.

Tymczasem ona prześlizgnęła się obok niego, wpadła do holu i pobiegła na górę. Przez chwilę został tam, gdzie był, w stosie zabawek dla dzieci i dorosłych, w płataninie wudek, zestawów do krykieta i w całym tym codziennym, nieekonomicznym wyposażeniu świata, którego nie znał. Wrócił, nadal zatopiony w myślach, do salonu. Gdy wszedł, Bradfield i Siebkron, stojący ramię w ramię przy weneckim oknie, odwrócili się na jego widok jak jeden mąż i zaczęli mu się bacznie przyglądać - obiektowi wspólnej pogardy.

Była północ. Hrabina, pijana i całkowicie niema, została załadowana do taksówki. Siebkron poszedł; pożegnał się tylko z Bradfieldami. Jego żona musiała pójść razem z nim, chociaż Turner nie zauważył jej odejścia; poduszka, na której siedziała, miała jeszcze lekkie wgłębienie. Vandellungowie także sobie poszli. Teraz, w pięcioro, siedzieli przy kominku w stanie depresji po przyjęciu. Saabowie siedzieli na kanapie, trzymając się za ręce, patrzyli w przygarajce węgle, Bradfield, teraz cichy, pociągał rozcieńczoną whisky; a Hazel, w długiej spódnicy z zielonego tweedu, skulona w fotelu jak syrena, bawiła się z kotem, świadomie naśladowując osiemnastowieczny styl. Choć spoglądała

na Turnera z rzadka, nie siliła się na ignorowanie go; od czasu do czasu kierowała nawet do niego jakąś uwagę. Komiwojażer okazał się impertynentem, ale Hazel Bradfield nie uczyni mu tej uprzejmości, żeby zmieniać swoje zwyczaje.

- Hanower był fantastyczny - mruknął Saab.

- Och, daj spokój, Karl-Heinz - poprosiła Hazel. - Słyszałam już o tym tyle, że zapamiętam wszystko do końca życia.

- Dlaczego uciekli? - sam sobie zadał pytanie. - Siebkron też tam był. Uciekli. Biegli tak, że buty pogubili, sprzed tej biblioteki. Dlaczego to zrobili? Wszyscy naraz: *alles aufeinmal*.

- Siebkron też mi zadawał to pytanie - powiedział Bradfield w chwili zmęczenia i szczerości. - Dlaczego biegli? Jeśli ktokolwiek powinien to wiedzieć, to właśnie on: był przy Eich w szpitalu, mnie tam nie było. Słyszał to, co powiedziała, ja nie. Co za diabeł go męczy. W kółko to samo: „To, co się stało w Hanowerze, nie może się powtórzyć w Bonn”. Pewnie, że nie może, ale zdaje się, że on mnie uważa za winnego. Nigdy go nie widziałem w takim stanie.

- Ty? - Hazel Bradfield powiedziała to z nieukrywaną pogardą. - A dlaczego miał cię pytać? Ciebie tam nawet nie było.

- Mimo wszystko mnie pytał - odparł Bradfield i wstał. Chwila była tak nabrzmiała, że Turner zaczął się zastanawiać nad jakością ich związku. - Mimo wszystko mnie pytał. - Odstawił pustą szklankę na półkę niskiego kredensu. - Czy ci się to podoba, czy nie, pytał mnie raz za razem: „Dlaczego biegli?” Tak jak teraz zapytał Karl-Heinz. „Co ich do tego zmusiło, że biegli? Co w tej bibliotece tak ich przyciągało?” Wszystko, co mogłem powiedzieć, to fakt, że biblioteka była brytyjska, a wiemy, co Karfeld sądzi o Brytyjczykach. No, Karl-Heinz, musimy położyć młodzież do łóżka.

- I szare autobusy - mruknął Saab. - Czytałeś, co napisali o autobusach ochrony? Były szare, Bradfield, szare!

- Czy to coś znaczy?

- O tak, Bradfield. Około tysiąca lat temu było cholernie znaczące.

- Obawiam się, że nie rozumiem - stwierdził Bradfield ze zmęczonym uśmiechem.

- Jak zwykle - powiedziała jego żona; nikt nie przyjął tego za żart.

Stali w holu. Z dwójga Węgrów pozostała tylko dziewczyna.

- Byleś dla mnie cholernie dobry, Bradfield - powiedział smutno Saab, gdy się zegnali. - Może za dużo gadałem. *Nichtwahr, Marlene*: mówiłem za dużo. Ale nie ufam temu, Siebkronowi. Jestem starą świnią, rozumiesz? Ale Siebkron to młoda świnią. Uważaj!

- Dlaczego nie powinienem mu ufać?

- Bo on nigdy nie zadaje pytania, jeśli nie zna odpowiedzi. - Po tej enigmatycznej replice Karl-Heinz gorączkowo ucałował dłoń gospodyni i wyszedł w ciemność podtrzymywany ramieniem pełnej poświęcenia żony.

Turner usiadł z tyłu, a Saab prowadził bardzo powoli lewą stroną drogi. Żona spała mu na ramieniu, jedną rączką nadal drapiąc z czułością czarne futro ozdabiające kark męża.

- Dlaczego biegli w tym Hanowerze? - powtórzył Saab, przemykając się radośnie między nadjeżdżającymi samochodami - dlaczego ci cholerni durnie biegli?

W Adlerze Turner poprosił o poranną kawę o wpół do piątej, a portier przyjął to z pełnym zrozumienia uśmiechem, jakby uważał, że o tej godzinie wstaje każdy Anglik.

Kiedy położył się do łóżka, jego umysł odseparował się od niesmacznego i dziwnego wypytywania, na które pozwolił sobie Herr Ludwig Siebkron i zajął się miłszą postacią Hazel Bradfield. To było zadziwiające, stwierdził zasypiając, że kobieta tak piękna, godna pożądania i inteligentna, tolerowała niezmierną nudę dyplomatycznego życia w Bonn. Jeśli ulubieniec arystokracji Anthony Willoughby kiedykolwiek spojrział na nią, pomyślał Turner, to skąd się wziął Bradfield? I dlaczego - ten chór śpiewał mu do snu tak samo, jak wcześniej trzymał go na nogach przez cały długi, pełen napięcia, nużący wieczór - dlaczego, do diabła, został tam zaproszony?

I kto go zaprosił?

„Muszę pana zaprosić na kolację we wtorek”, powiedział Bradfield: nie obciążaj mnie winą za to, co się stanie.

A, Bradfield, słyszałem! Słyszałem, jak poddajesz się presji; po raz pierwszy wyczułem w tobie słabość; zrobiłem krok w twoją stronę, zobaczyłem nóż w twoich plecach i usłyszałem, jak mówisz moim głosem. Hazel, ty suko; Siebkron, ty świnię; Harting, ty złodzieju: jeśli takie masz zdanie na temat życia, pedał de Lisie chichotał mu głupkowato do ucha, to dlaczego sam nie zdradzisz? Bóg umarł. Nie można tego mieć na oba sposoby, to byłoby zbyt staroświeckie...

Nastawił budzik na czwartą i zdawało mu się, że zaraz potem zadzwonił.

11

Kónigswinter

Było jeszcze ciemno, gdy de Lisie przyjechał po niego i Turner musiał prosić nocnego portiera, żeby otworzył drzwi hotelu. Ulica była zimna, nieprzyjazna i pusta; mgła nachodziła niespodziewanymi plamami.

- Będziemy musieli pojechać dłuższą drogą przez most. Prom nie chodzi o tej godzinie. - Jego maniery graniczyły z arogancją.

Wjechali na pasmo autostrady. Po obu stronach nowe bloki zbudowane z kafli i zbrojonego szkła wyrastały jak chwasty z leżącego odłogiem pola, zwieńczone lampami małych dźwigów. Przejechali obok ambasady. Ciemność wisiała nad mokrym betonem jak dym po bitwie. Flaga zwisała bezwładnie z masztu, samotny kwiat na żołnierskiej mogile. Pod bezbarwnym światłem frontowego portyku, dzielnie ze sobą walczyły lew i jednorożec, ich profile zamazane były nakładającymi się warstwami czerwieni i złota. Na ugorze dwa chybotliwe słupki bramki pochylały się pijacko w półmroku.

- W Brukseli robi się gorąco - zauważył de Lisie tonem zapowiadającym, że nastąpią szczegóły. Na przednim dziedzińcu było zaparkowanych kilkanaście samochodów, biały jaguar Bradfielda stał w prywatnej zatoczce.

- Dla nas czy przeciw nam?

- A jak myślisz? Poprosiliśmy o osobne rozmowy z Niemcami; Francuzi zrobili to samo. Nie to, żeby ich chcieli; bawią się w przeciąganie liny.

- Kto wygrywa?

De Lisie nie odpowiedział.

Opustoszałe miasto zawisło w różowej nieziemskiej poświacie, jaka spowija wszystkie miasta na godzinę przed świtem. Ulice były puste i mokre, domy brudne jak stare mundury. Przy łuku uniwersytetu trzech policjanci ustawiali uliczkę z zapór. Zatrzymali ich. Ponuro obeszli mały samochód, spisali numery, sprawdzili zawieszenie, stając na tylnym zderzaku, zajrzeli przez zamgloną przednią szybę i popatrzyli na ściśniętych w środku mężczyzn.

- Co mówili? - zapytał Turner, gdy pojechali dalej.

- Uważajcie na drogę jednokierunkową. - Skręcił w lewo, jadąc za niebieskimi strzałkami. - Dokąd, u diabła, nas zaprowadzą?

Elektryczny wóz czyścił rynsztoki; dwóch następnych policjantów w płaszczach z zielonej skóry i wygiętych szpiczastych czapkach podejrzliwie patrzyło, jak nadjeżdżają. Na wystawie młoda dziewczyna dopasowywała strój plażowy do manekina. Trzymała za plastikowe ramię i naciągała na nie rękaw. Nosiła buty z grubego filcu i powłóczyła nogami jak więzień. Byli na placu przed dworcem. Czarne transparenty rozciągały się nad jezdnią i wzdłuż dworca: ZAPRASZAMY DO KLAUSA KARFELDA! Z MYŚLIWSKIM POZDROWIENIEM, KLAUS!, KARFELD, WALCZYSZ O NASZĄ GODNOŚĆ!. Fotografia, większa od wszystkich, które do tej pory Turner widział, widniała na wielkim nowym billboardzie. *FREITAG!* - głosił podpis, piątek. Reflektory oświetlały brzegi planszy, pozostawiając twarz w ciemności.

- Dziś przybywają. Tilsit, Meyer-Lothringen i Karfeld. Przyjeżdżają z Hanoweru, żeby przygotować grunt.

- A Ludwig Siebkron odgrywa rolę gospodarza.

Jechali wzdłuż linii tramwajowych, ciągle kierując się wskazaniem znaków drogowych. Trasa prowadziła ich w lewo i znów w prawo. Przejechali pod most-

kiem, zawrócili, wjechali na jeszcze jeden plac, zatrzymali się pod zaimprovizowanymi światłami ulicznymi i nagle obaj nachylili się w ciasnych fotelach, patrząc w zadziwieniu na łagodne wzniesienie Rynku ciągnące się do ratusza.

Bezpośrednio przed nimi stały w liniach puste stoiska, jak łóżka w baraku koszarowym. Za przegrodami domy z piernika wystawiały wyszczerbione szczyty w stronę pojaśniałego nieba. Ale de Lisie i Turner patrzyli na wzgórze, na samotny różowoszary budynek dominujący nad całym placem. Oparto o niego drabiny; balkon przystrojony był czarnym materiałem; przed domem, na ulicy, parkowało stado mercedesów. Po lewej stronie, przed apteką, zalane światłem z kilkunastu punktów, jak zarys średniowiecznej wieży oblężniczej wznosiło się rusztowanie. Jego szczyt sięgał okien mansardowych przyległego budynku: wielkie nogi, nagie jak korzenie wyrosłe w ciemności, rozkraczały się obscenicznie nad własnym czarnym cieniem. Robotnicy kłębili się już u podstawy rusztowania. Turner słyszał wrzące echo młotów i zawodzenie pił elektrycznych. Stos drewna powoli wznosił się w górę na cichym wielokrążku.

- Dlaczego flagi są w połowie masztów?
- Żałoba. To taka sztuczka. Opłakują honor narodowy.

Przejechali przez długi most.

- Tu jest lepiej - powiedział de Lisie z cichym, pełnym satysfakcji chrząknięciem i opuścił kołnierz, jakby wjechali do cieplejszego kraju.

Prowadził bardzo szybko. Przejechali przez jedno osiedle, potem przez drugie. Wkrótce wyjechali za miasto i podążali nową drogą, ciągnącą się wzdłuż wschodniego brzegu rzeki. Po prawej skaliste wzgórze Godesbergu, podzielone na warstwy przez mgłę, stało ponuro nad śpiącym miastem. Mięli winnicę. Bruzdy widniejące w tajemniczym mroku były jak zygzakowate szwy ułożone na pięciolinii. Nad winnicą las siedmiu wzgórz; nad lasem ruiny zamków i gotyckie imitacje średniowiecznych budowli, czerniejące na tle nieba. Zjechali z głównej drogi i dalej pojechali krótką alejką prowadzącą prosto do esplanady wysadzonej drzewami, wzdłuż której stały niezapalone lampy. Niżej płynął Ren, parujący i zamglony.

- Następna w lewo - powiedział lakonicznie de Lisie. - Powiedz, czy ktoś stoi na straży.

Przed nimi pojawił się duży biały dom. Okna na parterze zakrywały okiennice, brama frontowa była otwarta. Turner wyszedł z samochodu i przeszedł kawałek chodnikiem. Podniósł kamień i cisnął mocno i celnie w boczną ścianę domu. Dźwięk rozszedł się krętym echem po wodzie i wzwyż, aż po czarne zbocza Petersbergu. Patrzyli w mgłę, czekali na okrzyk albo kroki. Nic się nie zdarzyło.

- Zaparkuj przy drodze i wróć - powiedział Turner.
- Myślę, że tylko zaparkuję. Ile czasu potrzebujesz?

* Znasz ten dom. Wróć i pomóż mi.

- To nie jest mój zwyczaj. Przepraszam. Nie mam nic przeciw temu, żeby cię tu podrzucić, ale nie wejść.

- Więc po co mnie przywiozłeś?

De Lisie nie odpowiedział.

- Nie pobrudź sobie paluszków.

Trzymając się skraju trawnika, Turner poszedł podjazdem w stronę domu. Nawet przy tym świetle wyczuł zmysł porządku, znany mu z biura Hartinga. Długi trawnik był bardzo schludny, grządki róż starannie utrzymane i wypielonę, róże otoczone murawą - każda z osobna - oznaczone metalowymi tabliczkami. Przy drzwiach kuchennych, w betonowym ogrodzeniu, stały trzy pojemniki na śmieci, ponumerowane i opatrzone licencjami, zgodnie z miejscowym i przepisami. Już miał włożyć klucz, gdy usłyszał kroki.

To na pewno były kroki. Podwójny rytm, zamazany, ale na pewno wywołany przez człowieka, pięta opadająca na żwir, a zaraz za nią palce. Ostrożne kroki, wstrzymywane w połowie, jak wiadomość wysłana i odwołana, ale ponad wszelką wątpliwość były to kroki.

- Peter? - Znów zmienił zdanie, pomyślał. Ma miękkie serce. - Peter!

Nadal nie było odpowiedzi.

- Peter, to ty? - Nachylił się, szybko podniósł pustą butelkę z drewnianej skrzynki stojącej obok i czekał, nasłuchiwał najlżejszych dźwięków. Usłyszał pianie koguta na siedmiu wzgórzach. Słyszał rozpryski na rozmokłej ziemi, jak szelest sosnowych igieł w lesie; słyszał szum małych fal na brzegu rzeki; słyszał odległe pulsowanie Renu, jak obroty jakiejś niesamowitej maszyny, jeden ton składający się z wielu, rozszczepiający się i łączący poszum niewidocznych wód; słyszał pomruk niewidocznych barek, wystrzał nagle spuszczanej kotwicy; słyszał płacz, jakby na wrzosowisku zawodziło zagubione bydło, gdy echo samotnej syreny odbijało się od powierzchni urwiska. Ale nie słyszał innych kroków ani uspokajającego głosu de Lisle'a. Przekręcił klucz i mocno popchnął drzwi. Znów stanął bez ruchu i nasłuchiwał, ścisnął butelkę w dłoni, aż przyjemnie zatęchły zapach cygar doszedł do jego nozdrzy.

Czekał, aż wzrok przyzwyczai się do zimnego mroku pokoju. Stopniowo docierały do niego nowe dźwięki. Najpierw, od strony kredensu dobiegł go brzęk szkła; z holu trzeszczenie drewna; w piwnicy ktoś ciągnął puste pudło po betonowej podłodze; zadzwonił gong, jeden ton, władczy i wyraźny; a teraz zewsząd narastał szum, niejasny, ale bardzo bliski, naciskał na niego, z każdą minutą głośniejszy, jakby budynek został uderzony płasko trzymaną dłonią i trząśnięty od ciosu. Pobiegł do holu, wpadł do jadalni, włączył świat-

ło i dziko rozejrzał się wokół siebie, przygarbiony* z butelką zaciśniętą w wielkiej dłoni.

- Harting! - krzyknął. - Harting? - Usłyszał szuranie stóp i pchnął drzwi w przepierzeniu.

- Harting! - zawołał jeszcze raz, ale jedyną odpowiedzią było opadanie sadzy w otwartym palenisku i trzask niedomkniętej okiennicy o tynk na zewnątrz. Podszedł do okna i spojrzął na rzekę. Z drugiego brzegu amerykańska ambasada, oświetlona jak elektrownia, rzuciła przez mgłę żółte smugi światła penetrujące głęboko wody Renu. Wreszcie rozpoznał naturę swojego dręczyciela: łańcuch sześciu barek, powiewając flagami, błyskając światłami radarów błyszczącymi w górze jak błękitne gwiazdy przybite do masztów, pospiesznie krył się we mgle. Gdy zniknął ostatni statek, dziwna domowa orkiestra odłożyła swoje instrumenty. Szkło przestało brzęczeć, schody skrzypieć, sadza opadać, ściany drzeć. Dom znów się uspokoił, zamyślony, choć jeszcze niepewny, czekał na następny atak.

Turner odstawił butelkę na parapet, wyprostował się i przeszedł po pokojach. Był to byle jaki, podobny do koszar dom, zbudowany dla pułkownika za pieniądze z reparacji, w czasach, gdy wysoka komisja stacjonowała na Petersbergu; jeden z całej kolonii, powiedział de Lisie, ale kolonia nigdy nie została ukończona, bo tymczasem okupacja dobiegła kresu i projekt zarzucono. Dom z odrzutów dla odrzuconego. Miał jasną i ciemną stronę w zależności od tego, czy pokoje wyglądały na rzekę czy na Petersberg; tynk był chropawy i nadawał się raczej na ściany zewnętrzne. Meble nieokreślone, jakby ktoś nie był pewien, do jakiego stopnia prestiżu Harting jest upoważniony. Jedyńm punktem oparcia był gramofon. Sznury ciągnęły się od niego we wszystkie strony, a głośniki po obu stronach kominka umocowano na osiach, żeby mocje ustawiać pod właściwym kątem.

Stół był zastawiony na dwie osoby.

W środku tańczyły w kółku cztery porcelanowe cherubinki. Wiosna ściagała Lato, Lato wymykało się Jesieni, a wszystkie poganiała Zima. Po obu stronach leżała zastawa. Nowe świece, zapalki, butelka burgunda, nieotwarta, w koszyku na wino; pęk róż więdnący w srebrnej misce. Na wszystkim leżała cienka warstwa kurzu.

Szybko zrobił wpis w notatniku i przeszedł do kuchni. Była urządzona jak z magazynu dla kobiet. Nigdy w życiu nie widział tylu drobiazgów. Miksery, krajalnice, tostery, otwieracze. Na kontuarze leżała plastikowa taca i resztki śniadania dla jednej osoby. Podniósł przykrywkę imbryka. Herbata ziołowa,

jaskrawoczerwona. Fusy zostały w filiżance, plamiły łyżeczkę. Druga filiżanka leżała do góry dnem na suszarce. Radio tranzystorowe, podobne do tego, które widział w ambasadzie, stało na lodówce. Jeszcze raz sprawdził, na jaką długość fali jest nastawione i podszedł do drzwi. Nasłuchiwał, potem zaczął otwierać szafki, wyciągał puszki i butelki, zaglądał do środka. Co jakiś czas zapisywał, co znalazł. W lodówce na półce stały w rzędzie półlitrowe kartony mleka ze sklepów N AAFI. Wyjął miskę z pasztetem i ostrożnie powąchał, oceniając świeżość. Na białym talerzu leżały, jeden na drugim, steki. Mięso położone było ząbkami czosnku. Przygotował je na czwartkowy wieczór, pomyślał. W czwartek wieczór nadal nie wiedział, że w piątek zdradzi.

Korytarz na piętrze wyłożono chodnikami z włókna kokosowego. Sosnowe meble były bardzo chybotałe. Wyciągał jeden po drugim garnitury, wkładał rękę do kieszeni, a potem odrzucał je na bok, jakby były zbędne. Ich krój, podobnie jak styl domu, był wojskowy; marynarki wcięte w pasie, z małymi kieszonkami w połowie boku, po prawej stronie; spodnie zwężały się ku dołowi i nie miały mankietów. Co jakiś czas, podczas przeszukiwania, wyciągał chusteczkę, kawałek papieru albo ogryzek ołówka, oglądał je, czasem coś notował, zanim odrzucił garnitur na bok i sięgnął po następny z chybotałej szafy. Dom znów się trząsał. Skądś - tym razem wydawało się, że z głębi domu - dochodziło szczęknięcie metalu, jakby hamował pociąg towarowy, wznosiło się z piętrowa na piętro. Ledwie zamarło, usłyszał następne kroki. Rzucił garnitur i skoczył ku oknu. Znów je usłyszał. Dwa razy. Dwa razy usłyszał mocne stukanie butów. Odsunął okiennicę, wychylił się w mrok i spojrzal na podjazd.

- Peter?

Czy to ciemność się poruszyła, czy człowiek? Zostawił w holu włączone światła, które rzucały na podjazd szachownicę cieni. Nie było wiatru, który mógłby poruszać bukami. Więc człowiek? Człowiek biegnący pod oknami? Człowiek, którego cień mignął na żwirze?

- Peter?

Nic. Ani samochodu, ani straży. Sąsiednie domy nadal były ciemne. Nad nim, na górze Chamberlaina, powoli budził się świt. Zamknął okno.

Pracował teraz szybciej. W drugiej szafie stawiał czoło następnym kilku garniturom. Lekkomyślnie zdjął je z wieszaków, przeszukał i odrzucił; i wtedy jego siódmy zmysł ostrzegł go: powoli. Natrafił na garnitur z ciemnoniebieskiej gabardyny, garnitur letni, ale bardzo przypominający wizytowy, bardziej wymięty niż pozostałe i trzymany z dala od nich, jakby czekał na pralnię albo na kolejną okazję do włożenia. Zważył go ostrożnie w rękę. Położył na łóżku, obmacał kieszenie i wyciągnął brązową, starannie złożoną koper-

tę. Brązową kopertę z napisem URZĘDOWE, taką, jakich używa się w urzędach skarbowych. Na zewnątrz nie było innych napisów, a koperta była zaklejo-^{na}na, a później rozdarta. W kopercie był klucz: yale, matowooolwianego koloru, nie nowy, ale zużyty ze starości albo od częstego używania, długi, staroświecki, skomplikowany klucz do głębokich i skomplikowanych zamków, zupełnie inny niż klucze z pęku dyżurnego urzędnika. Klucz do pudła z depeszami? Włożył go z powrotem do koperty, a kopertę pomiędzy kartki swojego notatnika i starannie sprawdził pozostałe kieszenie. Trzy wykałaczki, jedna z brudem na koniuszku, jakby używano jej do czyszczenia paznokci. Pestki oliwek. Trochę drobnych, cztery marki osiemdziesiąt w małych nominałach. I rachunek za drinki, niedatowany, z hotelu w Remagen.

Wreszcie wyszedł z gabinetu. Był to nędzny pokój wypełniony kartonami whisky i żywności w puszkach. Deska do prasowania stała obok okna z okiennicami. Na starym stole do gry w karty, w niezwykłym dla Hartinga nieładzie, leżały stopy katalogów, prospektów handlowych i list z cenami dla korpusu dyplomatycznego. Mały notatnik zawierał spis towarów, do których nabycia Harting najwyraźniej się zobowiązał. Turner przejrzał spis i wsadził do kieszeni. Błazniane pudełka z holenderskimi cygarami znajdowały się w drewnianej skrzynce; musiało być ich jakieś dwanaście tuzinów, albo i więcej.

Oszklona biblioteczka była zamknięta. Turner ukucnął i przypatrzył się tytułom, wstał, znów zaczął nasłuchiwać, potem przyniósł śrubokręt z kuchni i jednym mocnym ruchem wbił go w drewno tak, że mosiądz zamka przeszedł jak kość przez mięso. Drzwiczki otworzyły się. Pierwsze kilka książek było niemieckich, przedwojennych, ciężko oprawnych, złożonych. Nie był w stanie zrozumieć dokładnie wszystkich tytułów, ale niektórych się domyślił: Stundingera *Leipziger Kommentar zum Strafgesetzbuch*; *Yerwaltungsrecht* i czyjś autorstwa *Ustawa o przedawnieniu*. Na każdej było wypisane nazwisko Leo Harting, jak na szafce na ubrania, a raz trafił na drukowany emblemat - berlińskiego niedźwiedzia - z napisem w kolczastym gotyku, bardzo cienkim na zagięciach, grubym na brzegach: *FUR MEINEN GELIEBTEN SOHN LEO*. Na niższej półce był groch z kapustą; kodeks zachowania dla brytyjskich oficerów w Niemczech, niemieckie tanie wydawnictwo o flagach Nadrenii i rozmówki angielsko-niemieckie wydane w Berlinie przed wojną, pokryte notatkami i zniszczone od częstego używania. Sięgnął do tyłu i wyciągnął garść wąskich, oprawnych w materiał biuletynów komisji kontrolnej w Niemczech za lata 1949-1951; niektórych tomów brakowało. Otworzył pierwszy tom, grzbiet trzasnął, czuć było unoszący się kurz. *Śledczy Oddział Polowy Nr 78 w Hanowerze* głosił napis wypisany wprawnym urzędniczym pismem, bardzo cienkim na zagięciach, grubym na brzegach, czarnym atramentem, który miały do dyspozycji tylko agendy rządowe. Cienka

linia przekreślała napis i zastępował go inny: *Oddział Dochodzeniowy Nr 6 w Eremie*. Pod spodem znów (bo Brema też była wykreślona) przeczytał słowa¹ *Własność Departamentu Generalnego Prokuratora Wojskowego. Mönchengladbach*, a pod spodem, *Komisja Amnestyjna, Hanower. Tylko na miejscu*. Otwierał na chybił trafił strony i nagle jego uwagę przykuło sprawozdanie z działań berlińskiego mostu powietrznego. Sól należy podwieszać pod skrzydłami samolotu i pod żadnym pozorem nie przewozić jej wewnątrz kadłuba... transport benzyny zwiększa ryzyko przy lądowaniach i startach... uważa się za bardziej pożądane, ze względu na morale transportowanie węgla i ziarna niż gotowego chleba... ziemniaki w proszku zamiast świeżych pozwolą zaoszczędzić dziennie siedemset dwadzieścia ton racji dla ludności cywilnej . **Zafascynowany powoli przewracał poźółkłe stronicę, zatrzymując wzrok na znajomych jakoś zdaniach.** Pierwsze spotkanie alianckiej Wysokiej Komisji odbyło się 21 września w Petersbergu, niedaleko Bonn... Niemieckie biuro turystyczne miało być otwarte w Nowym Jorku... Festiwale w Bayreuth i Oberammergau mają być wznowione tak szybko, jak tylko czas na to pozwoli... **Zerknął na spis protokołów z zebrań Wysokiej Komisji:** Rozważano metody służące poszerzeniu możliwości i kompetencji Republiki Federalnej Niemiec na polu aktywności zagranicznej i gospodarczej... Zdefiniowano, w oparciu o status okupacyjny, szersze uprawnienia dla niemieckiej republiki federacyjnej na polu handlu zagranicznego... Zezwolono na bezpośrednie niemieckie uczestnictwo w dwóch następnych organizacjach międzynarodowych...

Następny tom sam się otworzył na stronie opisującej zwolnienie niemieckich jeńców, zatrzymanych wedle pewnych kategorii prawnych. Ponownie coś go zmusiło do przeczytania tego fragmentu: Trzy miliony Niemców jest obecnie w niewoli... mają się lepiej niż pozostający na wolności... alianci stanęli wobec niemożliwości oddzielenia ziarna od plew... Operacja Szufla ma służyć wysłaniu ich do kopalń. Operacja „Jęczmień” - do żniw... **Jeden fragment był wyraźnie zaznaczony z boku niebieskim długopisem: 31 maja 1948 jako akt laski ogłoszono amnestię dla wszystkich członków SS, zwalniającą ich od procedur związanych z Artykułem 69, z wyjątkiem tych, którzy służyli jako strażnicy w obozach koncentracyjnych.** Słowa „akt laski” zostały podkreślone, a atrament wyglądał na świeży.

Gdy wszystko już sprawdził, złapał za grzbiety i jednym silnym ruchem zerwał je, jakby wyrwał skrzydła ptakowi; odwrócił to, co zostało i potrząsał, szukając ukrytych przedmiotów; potem wstał i podeszedł do drzwi.

Znów rozległo się szczykanie, tym razem znacznie głośniejsze. Stał bez mchu z przechylną głową. Jego wyblakłe oczy na próżno przeszukiwały mrok: usłyszał niski gwizd, długi, monotony, donośny i posępny, cierpliwie zwołujący, łagodnie perswadujący, lamentujący jak potępiona dusza. Wiatr się wzmógł, to na pewno był wiatr. Znów usłyszał okiennicę trzaskającą o mur, ale przecież na pewno okiennica była zamknięta? To był wiatr, wiatr poranny nadchodzący z doliny rzeki. Silny wiatr, bo schody zaczęły skrzypieć coraz mocniej, wedle własnej skali, jak liny okrętowe, gdy żagle wypełniają się wiatrem; a szkło, szkło w jadalni, dzwoniło absurdalnie; znacznie głośniej niż poprzednio.

- Pośpiesz się - szepnął Turner. Mówił do siebie.

Wyciągnął szuflady z biurka. Nie były zamknięte. Niektóre były puste. Żarówki, bezpieczniki, igły i nici; skarpetki, zapasowe mankiety do koszul; nieoprawna reprodukcja galeonu pod pełnymi żaglami. Odwrócił ją i przeczytał: *Kochanemu Leo od Margaret, Hanower 1949. Z wyrazami najgłębszego uczucia*. Krój pisma był wyraźnie kontynentalny. Złożył obraz byle jak i wsadził do kieszeni. Pod reprodukcją leżało pudełko. Było to kwadratowe, twarde pudełko, owinięte czarną jedwabną chusteczką, zapakowane jak paczka i zabezpieczone szpilkami. Wyciągnął szpilki i ostrożnie odwinął puszkę z matowego srebrzystego metalu; musiała być kiedyś pomalowana, bo metal miał nierówną teksturę powierzchni, wyczyszczonej jakimś cienkim narzędziem. Otworzył wieczko i zajrzał do środka, potem delikatnie, niemal z czcią, przełożył zawartość do chusteczki. Leżało przed nim pięć guzików. Miały około cała średnicy, były drewniane, ręcznej roboty, wykonane wedle tego samego wzoru, prymitywnie, ale z wielką troską. Miały po dwa otwory, duże, na bardzo grubą nić. Pod puszką leżał niemiecki podręcznik, własność bońskiej biblioteki, ostemplowany i zaopatrzony wpisem przez bibliotekarza. Nie bardzo rozumiał treść, ale wyglądało to na traktat o zastosowaniu gazów bojowych. Ostatni czytelnik wypożyczył książkę w lutym tego roku. Niektóre fragmenty były zaznaczone i opatrzone notatkami na marginesie: *Efekt toksyczny natychmiastowy... symptomy opóźnione przez zimno*. Turner usiadł, podparł głowę rękami, skierował światło na biurko i zaczął czytać z najwyższą koncentracją; tylko instynkt sprawił, że odwrócił się i spojrzął na wysoką postać stojącą w drzwiach.

Był to mocno już starszy mężczyzna. Ubrany w kombinezon i czapkę z daszkiem, jaką nosili niemieccy studenci i marynarze handlowi podczas pierwszej wojny światowej. Twarz miał ciemną od pyłu węglowego; zardzewiały pogrzebacz jak trójząb drżał w jego rękach; zaczerwienione, głupawe oczy mężczyzny zwrócone były w dół, na stos zbezczeszczonych książek. Wyglądał na bardzo rozzłoszczonego. Turner wstał powoli. Stary człowiek

nie poruszył się, ale pogrzebacz zatrząsł się gwałtownie, a biel zaciśniętych kostek u palców przebiła przez sadzę. Turner zrobił krok do przodu.

- Dzień dobry - powiedział.

Czarna ręka oderwała się od pręta i machinalnie uniosła do daszka czapki. Turner poszedł w kąt, gdzie stały pudła z whisky. Rozerwał pudło stojące na samej górze, wyciągnął butelkę i odkręcił zakrętkę. Stary człowiek coś bełkotał, kiwał głową i przez cały czas patrzył na książki.

- Masz - powiedział łagodnie Turner. - Napij się, proszę. - I podniósł butelkę na wysokość wzroku starego.

Ten apatycznie pozwolił, żeby żelazny pręt upadł, wziął butelkę i przytknął ją do cienkich warg, a Turner przebiegł obok niego do kuchni. Otworzył drzwi i z całej siły krzyknął.

- De Lisie!

Echo poniosło krzyk pustą ulicą i dalej, aż do rzeki.

- De Lisie!

Zanim zdążył wrócić do gabinetu, w oknach sąsiednich domów zaczęły zapalać się światła.

Turner otworzył okiennice, żeby wpuścić światło dnia. Stali teraz we trzech i dziwili się. Stary mrugał, patrząc na podarte książki, i trzymał kurczowo whisky w drżącej dłoni.

- Kto to jest?

- Palacz. Wszyscy ich mamy.

- Zapytaj go, kiedy ostatni raz widział Hartinga.

Stary nie odpowiedział natychmiast. Najpierw upił trochę whisky i podał butelkę de Lisle'owi, któremu jakby instynktownie ufał. De Lisie postawił ją na biurku obok jedwabnej chusteczki i spokojnie powtórzył pytanie Turnera. Stary patrzył to na jednego, to na drugiego, to na książki.

- Zapytaj go, kiedy ostatni raz widział Hartinga.

Wreszcie stary przemówił. Był to głos ponadczasowy: powolny, przeciągły, wieśniaczy, pomruk konfesjonału, płacziwy, choć zdyscyplinowany, głos człowieka niskiej kondycji, beznadziejnie szukającego uznania.

A to sięgał czarnymi palcami, żeby dotknąć zniszczonych książek, a to kiwał głową w kierunku rzeki, jakby w rzece właśnie mieszkał; przez gesty ciągle przebijało mruczenie, jakby dochodziło z innego źródła.

- Sprzedaje bilety na rejsy wycieczkowe - wyszeptał de Lisie. - Przychodzi o piątej po południu, wracając do domu i rano, w drodze do pracy. Dorzuca do Ognia pod kotłem, opróżnia kosze na śmieci i uprzęta puste butelki. Latem, zanim przyjadą autobusy z wycieczkowiczami, czyści łodzie.

- Zapytaj go jeszcze raz. Kiedy ostatni raz widział Hartinga? Masz - wyjął banknot pięćdziesięciomarkowy. - Pokaż mu to. Powiedz, że mu dam, jak powie to, co chce wiedzieć.

Stary zobaczył pieniądze i przyjrzał się Turnerowi dokładnie suchymi, zaczerwienionymi oczami. Twarz miał pobrużdżoną i bez wyrazu, kiedyś musiał głodować. Podtrzymywały jądlugie sznury pomarszczonej skóry, a sadza wbił się w nią jak barwnik w płótno. Turner złożył starannie banknot na pół i dodał go do pliku, wyjętego z kieszeni.

- Kiedy? - zapytał Turner. - *Wann?*

Stary ostrożnie zaczął składać słowa, jedno po drugim, targując się o każdy rodzajnik. Zdjął czapkę; brudna szczecina pokrywała brązową czaszkę.

- W piątek - przetłumaczył cicho de Lisie. Patrzył z roztargnieniem w okno. - Leo zapłacił mu w piątek po południu. Zaszedł do niego do domu i zapłacił mu przed drzwiami. Powiedział, że wybiera się w długą podróż.

- Dokąd?

- Nie powiedział dokąd.

- Kiedy wróci? Zapytaj go.

De Lisie przetłumaczył raz jeszcze, a Turner wychwycił znane sobie słowa: „*kommen... zurtick*”.

- Leo zapłacił mu za dwa miesiące. Mówi, że chce nam coś pokazać. Coś, co jest warte następne pięćdziesiąt marek.

Stary szybko przeniósł wzrok z jednego na drugiego, był przestraszony, ale czekał, długą ręką nerwowo szukał czegoś w płóciennym kombinezonie. Marynarski kombinezon, niekształtny i wypłowiały, zwisał z jego chudego ciała. Znalazł to, czego szukał, ostrożnie podwinął kołnier, i zdjął coś z szyi. Znow zaczął mruzczyć, ale szybciej niż wcześniej, nerwowo i potoczyć się.

- Znalazł to w sobotę rano w śmieciach.

Była to kabura z zielonego materiału, wojskowa, do pistoletu kaliber 3.8. Wewnątrz było napisane przez szablon HARTING LEO. Kabura była pusta.

- W koszu na śmieci, na samym wierzchu; pierwsza rzecz, którą zobaczył, gdy podniósł pokrywę. Nie pokazywał tego nikomu. Inni krzyczeli na niego i grozili, że skopiąmu twarz. Inni przypominali, co mu zrobili podczas wojny i mówili, że zrobią to jeszcze raz.

- Jacy inni? Kto?

- Czekał.

De Lisie podszedł do okna i wyjrzał obojętnie. Stary ciągle mówił.

- Mówi, że rozdawał ulotki antyhitlerowskie podczas wojny - przetłuma czył, ciągle patrząc przed siebie. - Przez pomyłkę. Myślał, że to normalne gazety, a inni złapali go i powiesili do góry nogami. To zdaje się są ci inni. Mówi, że najbardziej lubi Anglików. Mówi, że Harting był prawdziwym dżentelmenem. Mówi, że chciałby dostać także whisky. Leo zawsze dawał mu szkocką. 1 cygara.

Małe holenderskie cygara, takie, których nie można dostać w sklepach- Leo specjalnie po nie posyłał. A w ostatnie Boże Narodzenie dał jego żonie suszarkę do włosów. Chciałby też dostać pięćdziesiąt marek za kaburę - dodał, ale w tej chwili na podjazd zaczęły wjeżdżać samochody i pokoik wypełnił się podwójnym zawodzeniem policyjnych syren i podwójnym migotaniem niebieskiego światła. Usłyszeli krzyk i tupot nóg, a u okien zaczęły się zbierać zielone postacie celując z pistoletów w ich stronę. Drzwi otworzyły się, stanął w nich młody człowiek w skórzanej kurtce, z pistoletem w ręku. Palacz krzyczał, zawodził, czekał, aż go uderzą, a niebieskie światło migotało jak w dyskotecce.

- Nic nie rób - powiedział de Lisie. - Nie wykonuj żadnych poleceń.

Mówił coś do chłopca w skórzanej kurtce, podawał swoją czerwoną dyplomatyczną legitymację do sprawdzenia. Mówił cichym, ale pewnym głosem, głosem negocjatora, ani nonszalanckim, ani ustępliwym, pełnym autorytetu, z nutką urażonego przywileju. Twarz młodego detektywa była równie pusta jak twarz Siebkrona. Stopniowo de Lisie zyskiwał przewagę. W jego głosie zaczęło wzbierać oburzenie. Zadawał pytania, a chłopiec stawał się ustępliwym, nawet próbował unikać odpowiedzi. Stopniowo Turner uchwycił kierunek, w którym zdązał de Lisie. Wskazywał na notatnik Turnera, a potem na starego. Lista, mówił, sporządzają listę. Czy nie wolno dyplomatom zrobić listy? Muszą ocenić szkody, sprawdzić spis mebli należących do ambasady? To przecież naturalne, że robi się tak w czasie, gdy własności brytyjskiej grozi zniszczenie. Pan Harting udał się na długi urlop; trzeba było wydać pewne dyspozycje, zapłacić palaczowi pięćdziesiąt marek, które mu się należały... I od kiedy to, de Lisie chciałby wiedzieć, brytyjskim dyplomatom zabrania się wchodzić do mieszkań należących do brytyjskiej ambasady? Jakim prawem, życzył sobie wiedzieć de Lisie, cała ta zbrojna kawalkada narusza prywatność osób o statusie eksterytorialnym?

Wymieniano coraz więcej legitymacji, wzajemnie sprawdzano coraz więcej dokumentów; nazwiska i numery zostały wzajemnie spisane. Detektyw powiedział, że jest mu przykro, że czasy są niespokojne i przez dłuższy czas przyglądał się Turnerowi, jakby rozpoznawał kolegę. Niespokojne czasy czy nie, zdawał się mówić de Lisie, prawa dyplomatów muszą być respektowane. Im większe niebezpieczeństwo, tym bardziej potrzebny jest immunitet. Ucisnęli sobie ręce. Ktoś zasalutował. Zielone mundury rozproszyły się, niebieskie światła znikły, furgonetki odjechały. De Lisie znalazł trzy szklanki i do każdej nalał odrobinę whisky. Stary kwilił. Turner włożył guziki z powrotem do puszek, a puszkę do kieszeni razem z książeczką wojskową.

- To byli oni? - zapytał. - Czy to ci, którzy go przesłuchiwali?

- Mówi, że był ktoś taki, jak ten detektyw, ale trochę starszy. Bielszy, czyli z tych bogatszych. Myślę, że obaj wiemy, o kim mówi. A teraz lepiej sam to weź.

De Lisie wyjął kaburę spod brązowego płaszcza i rzucił ją w nastawione ręce Turnera.

Prom obwieszony był flagami federacji niemieckiej. Herb Konigswinter przybito do mostka. Policjanci tłoczyli się na dziobie. Mieli stalowe, kanciaste hełmy, blade i smutne twarze. Jak na swój młody wiek byli bardzo spokojni, ich gumowe buty nie stukały po stalowym pokładzie, a oni patrzyli na rzekę, jakby kazano im jęzapaamiętać. Turner stał oddzielnie, obserwował, jak załogą rzuca cumy. Zapamiętał wszystko bardzo dokładnie, bo był zmęczony i przestraszony, i dlatego że nadal było bardzo wcześnie: silną wibrację żelaznego pokładu, gdy samochody wjeżdżały z rampy i parły do przodu, żeby zająć najlepszą koję; ryk silników i szczęk łańcuchów, i krzyki ludzi podczas odcumowywania, przenikliwy dźwięk dzwonu zagłuszający cichnące bicie sygnaturzek miejskich kościołów, niechęć kierowców do mundurów, gdy wysiadali z samochodów i wyjmowali drobne z portmonetek ze świńskiej skóry, jakby należeli do tajnego stowarzyszenia i nie mogli przyznać się publicznie do tej znajomości; i pieszych, opalonych na brąz, i tych ubogich, patrzących pożądliwie na samochody, od których trzymano ich z daleka. Brzeg rzeki oddalał się; miasteczko odsuwało wieże za wzgórze jak w operowej scenografii. Powoli wchodzili na swój niezręczny kurs, płynęli z prądem wzdłuż długiego łuku, żeby uniknąć promu płynącego z przeciwnego brzegu. Teraz prawie stanęli, dryfując w dół rzeki, gdy „John F. Kennedy”, załadowany równymi piramidami miążkiego węgla, przepłynął tuż obok nich. Potem zakolysali się w jego kilwaterze, a kobiety na promie zaczęły krzyczeć z radości.

- Powiedział ci coś jeszcze. O jakiejś kobiecie. Słyszałem jak mówił „Frau” i „Auto”. Coś o kobiecie i o samochodzie.

- Wybacz, stary - odparł chłodno de Lisie. - To przez ten reński akcent. Czasem po prostu go nie rozumiem.

Turner patrzył na brzeg Konigswinter, osłaniając oczy dłonią w rękawiczce, bo nawet przy tej żalostnej wiosennej pogodzie światło pstro odbijało się od wody. Wreszcie zobaczy to, czego szukał, po obu stronach, jak dłonie w pancernej rękawicy wskazujące na siedem wzgórz Zygfrйда, uwieńczone wieżyczkami brązowe wille zbudowane za bogactwa Ruhry a między nimi plama bieli na tle drzew esplanady. To był dom Hartinga niknący za mgłą.

- Ścigam ducha - mruknął. - Cholerny cień.

- Twój własny - odezwał się de Lisie głosem pełnym niesmaku.

- No tak, tak.

- Zawiozę cię z powrotem do ambasady - mówił dalej de Lisie. - Tam musisz już poszukać sobie jakiegoś transportu.

- Po cholerę mnie tu przywiozłeś, skoro jesteś taki przewrażliwiony? - I nagle roześmiał się. - Oczywiście - powiedział. - Co za dureń ze mnie! Muszę się przespać! Bałeś się, że mogę znaleźć zieloną teczkę i pomyślałeś, że zaczekasz w odwodzie. Teczkę nieprzeznaczoną dla oczu zatrudnionych na czas określony. Chryste!

Cork właśnie usłyszał wiadomości z ósmej rano. Niemiecka delegacja wycofała się w nocy z obrad w Brukseli. Oficjalnie rząd federalny chciał „rozważyć pewne problemy techniczne, które nagromadziły się podczas dyskusji”. Nieoficjalnie, jak ujrzał to Cork, poszli na wagary. Obojętnie patrzył, jak kolorowy papier zacinając się, wychodzi spomiędzy wałków i wpada do koszyka na telegramy. Rozległo się pukanie i głupia głowa panny Peate pojawiła się w lekko uchylonych drzwiach. Pan Bradfield chce go widzieć natychmiast. Jej podłe oczka błyszczały ze szczęścia. Po raz ostatni - to miała na myśli. Kiedy szedł za nią korytarzem, spostrzegł należący do Córka prospekt przedstawiający działki na Bahamach i pomyślał: to może się przydać, gdy ze mną skończy.

12 I tam był Leo. W drugiej

klasie

Rozmawiałem już z Lumleyem. Wraca pan wieczorem. Wydział podróży zajmie się pańskimi biletami. - Biurko Bradfielda zarzucone było telegramami. -1 przeprosiłem w pańskim imieniu Siebkrona.

- Przeprosił pan?

Bradfield puścił klamkę u drzwi.

- Czy mam to panu przeliterować? Jest pan jak Harting czymś w rodzaju dzikusa politycznego. Jest pan tu na tymczasowych papierach dyplomatycznych; gdyby nie to, bez wątpienia znalazłby się pan w więzieniu. - Był błąd z gniewu. - Bóg jeden wie, co de Lisie sobie myślał, gdy to robił. Będę musiał porozmawiać z nim na osobności. Pan rozmyślnie nie podporządkował się moim zaleceniom; no cóż, wy tam, macie własny kodeks, jak sądzę, i ja jestem równie podejrzany, jak każdy inny.

- Pochlebia pan sobie.

- W tym przypadku jednak został pan podporządkowany mojej władzy, przez Lumleya, przez ambasadora i ze względu na potrzeby lokalnej sytuacji. Szczególnie zakazano panu dokonywać posunięć, które mogłyby mieć reperkusje poza ambasadą. Niech pan będzie cicho i posłucha mnie! Jednak zamiast wykazać minimalne zrozumienie dla tego, o co pana proszono, poszedł pan do domu Hartinga o piątej rano, wystraszył na śmierć jego służącego, zbudził sąsiadów, ryczał na de Lisle'a, a wreszcie ściągnął sobie na kark policję, co w ciągu kilku następnych godzin miejscowa społeczność rozpowszechni. Nie zadowolilo to pana, więc uczestniczył pan w głupim kłamstwie wobec

policii że dokonuje pan spisu inwentarza; wyobrażam sobie, że nawet Siebkron się uśmieje po rym, jak opisał pan swoją pracę zeszłego wieczoru.

- Coś jeszcze?

- Bardzo wiele, dzięki panu. Jeśli Siebkron o cokolwiek podejrzewał Hartinga, to pan dostarczył mu na to potwierdzenia. Sam pan widział, jak się do tego odnosi. Bóg jeden wie, co o nas myśli.

- Więc niech pan mu powie - zaproponował Turner. - Dlaczego nie? Niech pan mu ulży. Przecież on wie więcej od nas. Po co robić tajemnicę z czegoś, o czym oni wszyscy wiedzą? Są w trakcie pościgu. Najgorsze, co możemy zrobić, to przeszkodzić im.

- Ja nie pozwolę, żeby im powiedziano cokolwiek! Wszystko jest lepsze, wątpliwości, podejrzania, niż gdybyśmy przyznali, że pracownik naszego personelu dyplomatycznego od dwudziestu lat był na sowieckim żołdzie. Nie rozumie pan tego? Nie pozwolę, żeby im powiedziano cokolwiek! Niech myślą i robią co chcą, bez naszej współpracy mogą tylko snuć domysły.

To było wyznanie wiary. Siedział sztywno, jak wartownik strzegący narodowej świątyni.

- To wszystko?

- Wymaga się od was, żebyście pracowali w ukryciu. Wzywa się was, spodziewając się, że dotrzymacie tajemnicy. Mógłbym panu powiedzieć co nieco o pańskim zachowaniu tutaj, gdyby nie pokazał pan, że manieri nic dla pana nie znaczą. Dużo czasu zajmie uprzątnięcie bałaganu, który pan zostawił za sobą tej ambasadzie. Panu się wydaje, że do mnie nic nie dociera. Musiałem już ugłaskać Gaunta i Meadowsa; na pewną są i inni, których będę musiał uspokajać.

- Lepiej pojedę po południu - zaproponował Turner. Nie spuszczał wzroku z twarzy Bradfielda. - Sknociłem, co? Przepraszam. Przykro mi, że nie jest pan zadowolony z obsługi. Napiszę i przeproszę; Lumley lubi, jak to robię. Taki list to bułka z masłem. Więc ja to zrobię. Napiszę. - Westchnął. - Taki już ze mnie Jonasz. Najlepsze, co można ze mną zrobić, to wypluć. Byłem dla pana bolesnym przeżyciem. Nie lubi się pan pozbywać ludzi, co? Lepiej dać im kontrakt.

- Co pan sugeruje?

- Że ma pan cholernie dobry powód, żeby nalegać na utrzymanie dyskrecji! Powiedziałem Lumleyowi -to był dowcip - zapytałem go, rozumie pan, czy chce teczkę, czy człowieka? A pan, jakie ma zamiary? Chwileczkę! Ledwie pan mu dał pracę, a już pan nie chciał o nim słyszeć. Gdyby teraz przynieśli jego trupa, nie mógłby pan mniej się o niego troszczyć: poklepałby pan kieszenie, czy nie ma tam jakichś papierów i życzyłby mu pan szczęścia!

Zupełnie bez związku zwrócił uwagę na buty Bradfielda. Były ręcznej roboty i wypolerowane na odcień czarnego mahoni, co potrafią osiągnąć tylko służący, albo ludzie, którzy się z nimi wychowali.

- O co partu, do diabła, chodzi?

- Nie wiem, kto panem kieruje: nie obchodzi mnie to. Inaczej pomyślałbym, że to Siebkron, sądząc z tego, jak się pan przed nim płaszczy. Dlaczego zaprosił pan nas obu wczoraj wieczorem, skoro tak cholernie się pan martwi, żeby go nie urazić? Jaki był tego cel? A może on kazał panu to zrobić? Niech pan jeszcze nie odpowiada. Teraz moja kolej. Pan był protektorem Hartinga, zdaje pan sobie z tego sprawę? To widać z daleka, a ja napiszę o tym raport gruby na dwa metry, jak tylko dotrę do Londynu. Pan odnowił jego kontrakt, prawda? Chociaż pan nim gardził. Ale pan nie dał mu po prostu pracy; pan ją mu stworzył. Wiedział pan cholernie dobrze, że Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie obchodzi program niszczenia dokumentów. I wcale bym się nie zdziwił, gdyby cały ten przegląd osobowy też mieli w nosie. Ale pan udawał, że jest inaczej; pan to stworzył dla niego. I niech mi pan nie mówi, że zrobił to pan ze współczucia dla człowieka, który nie należy do towarzystwa.

- Cokolwiek to wtedy było, teraz wypłowiło do cna - zauważył Bradfield, z nutką konsternacji albo pogardy dla siebie samego.

- Więc tak to było z tymi czwartkowymi zebraniem?

Na twarzy Bradfielda pojawił się wyraz bólu.

- Mój Boże, pan jest nie do zniesienia - powiedział i był to bardziej jego osobisty sąd niż zamierzona zniewaga.

- Te czwartkowe konferencje, których nigdy nie było! To pan odebrał Hartingowi prawo do występowania na tych konferencjach; to pan przekazał to zadanie de Lisle'owi. Ale Harting nadal wychodził w czwartki wieczorami, jakby nigdy nic. Czy powstrzymał pan go? Podejrzewam, że pan nawet wie, dokąd chodził. - Podniósł klucz, który znalazł w garniturze Hartinga. - Bo jest takie specjalne miejsce. Kryjówka. A może mówię panu o sprawach, które pan już zna. Z kim się tam spotykał? Może to też pan wie? Myślałem, że to był Praschko, dopóki nie przypomniałem sobie, że to pan podsunął mi ten pomysł, pan osobiście. Więc zacząłem być cholernie ostrożny z tym Praszka.

Turner nachylał się nad biurkiem, krzycząc w stronę opuszczonej głowy Bradfielda:

- A co do Siebkrona, to on też rozwija całą cholerną siatkę. Dziesiątki agentów, o ile wiem, Harting był zaledwie małym ogniwem w łańcuchu. Pan nie jest w stanie kontrolować tego, co Siebkron wie, a czego nie wie... to jest rzeczywistość, a nie z dyplomacją. - Pokazał palcem okno i zamazane kontury wzgórz za rzeką. - Oni tam prowadzą interesy! Kręcą się, rozmawiają przyjaciółmi, robią wycieczki, wyszli z lasu, wiedzą, jak ten świat wygląda!

- Niewiele trzeba, żeby człowiek inteligentny to pojął - powiedział Bradfield.

- I to mam zamiar powiedzieć Lumleyowi, jak tylko wrócę. Harting nie pracował sam! Miał patrona i nadzorcę, a z tego wszystkiego, co wiem, była to jedna i ta sama osoba. Leo Harting był ulubieńcem Rawleya Bradfielda!

Bradfield stał, twarz miał ściągniętą z gniewu.

- Niech pan mówi Lumleyowi, co pan chce - szepnął - ale niech się pan stąd wynosi i nie wraca! - I właśnie wtedy Mickie Crabbe wystawił swoją czerwoną, guzowatą głowę zza drzwi do sekretariatu panny Peate.

Wyglądał na zdumionego i nieco oburzonego, absurdalnie przygryzał imbirowe wąsy.

- Rawley, słuchaj - powiedział i powtórzył, jakby zaczął od niewłaściwej oktawy. - Przepraszam, że tak wpadam, Rawley. Próbowałem przez drzwi w korytarzu, ale były zamknięte. Przepraszam, Rawley. Chodzi o Leo. Resz tę wyrzucił z siebie w pośpiechu. - Właśnie go widziałem, przy dworcu. Pił sobie piwko, cholera.

- Streszczaj się - powiedział Bradfield.

- Wyświadczam przysługę Peterowi de Lisie. To wszystko - zaczął obronnym tonem Crabbe. Turner wychwycił zapach alkoholu w jego oddechu, mieszający się z zapachem miętówek. - Peter miał pojechać do Bundestagu. Debata o ustawodawstwie stanu wyjątkowego, widać, że ważna sprawa, drugi dzień, więc poprosił mnie, żebym ubezpieczał wiec na dworcu. Liderzy Ruchu przyjeżdżają z Hanoweru. Obserwuj przyjazdy, patrz, kto się pojawił. Często pracuje dorywczo dla Petera - dodał przepraszająco. - Okazało się, że to show burmistrza. Prasa, telewizja, reflektory, masy samochodów ustawionych wzdłuż ulicy - spojrzał nerwowo na Bradfielda - tam, gdzie są postoje taksówek, Rawley, wiesz. I tłumy. Wszyscy śpiewają i machają tymi czarnymi flagami. Trochę muzyki. - Pokręcił głowę w całkiem prywatnym zadziwieniu. - Ten plac jest wytapetowany hasłami.

- I widziałeś Leo? - zapytał Turner. - W tłumie?

- Tak jakby.

- Co to znaczy?

- Cóż, tylko tył jego głowy. Głowę i ramiona. Tylko przez chwilę. Nie było czasu, żeby go złapać - zniknął.

Turner schwytał go w wielkie kamienne dłonie.

- Mówiłeś, że pił piwo!

- Puść go - powiedział Bradfield.

- Hej, spokojnie! - Przez chwilę Crabbe wyglądał nieomal dziko. - Widziałem go później, jak show się już skończył. Twarzą w twarz.

Turner puścił go.

- Pociąg nadjechał i wszyscy zaczęli głośno wiwatować i przepychać się, żeby rzucić okiem na Karfelda. Po bokach nawet trochę się pobili, ale tam byli głównie dziennikarze. Gnojki - dodał z iskierką prawdziwego gniewu. - Ten gnojek Sam Allerton był tam też, nawiasem mówiąc. To pewnie on zaczął.

- Na litość boską! - krzyknął Turner, a Crabbe spojrział na niego karcąco.
- Najpierw wyszł Meyer-Lothringeri - policja odgrodziła dla niego przejście - potem Tilsit, potem Halbach i wszyscy krzyczeli. Beatlesi - powiedział bez związku. - To były głównie dzieci, długowłosa studenteria, przechylali się przez barierki, próbowali dotknąć tych facetów. Karfeld się nie pojawił. Jakiś gość obok mnie powiedział, że niusiał wyjść z drugiej strony, przejściem podziemnym, żeby uniknąć tłumu. Podobno nie lubi, jak ludzie podchodzą za blisko; to dlatego wszędzie buduje te cholerne przegrody. Więc połowa tłumu pobiegła, żeby go poszukać. A reszta została, na wszelki wypadek i przez megafon ogłoszono, że możemy iść do domu, bo Karfeld jest jeszcze w Hanowerze. A ja pomyślałem: co za szczęście dla Bonn. - Uśmiechnął się. - Co?

Nikt się nie odezwał.

- Dziennikarze byli wściekli, a ja pomyślałem, że zadzwonię do Rawleya, żeby mu powiedzieć, że Karfeld się nie pojawił, Londyn lubi trzymać rękę na pulsie, rozumie pan, Karfelda. - To było do Turnera. - Lubię mieć go na oku, żeby nie gadał z obcymi. - Podjął na nowo watek. - Tam jest poczta całodobowa obok hali i właśnie wychodziłem, kiedy przyszło mi do głowy, że powinienem napić się kawy, żeby pozbierać myśli i przypadkiem zerknąłem przez oszklone drzwi do poczekalni. Jest tuż obok. Restauracja po jednej stronie, poczekalnia po drugiej. Jest tam też rodzaj bufetu z paroma miejscami siedzącymi. To znaczy, można usiąść, ale nie pić - wyjaśnił, jakby mówił o szczególnym rodzaju dziwactwa. - Po lewej pierwsza klasa, a po prawej druga, w obu są oszklone drzwi.

- Na litość boską! - jęknął Turner.

- I tam był Leo. W drugiej klasie. Przy stole. Nosił trenz, taki wojskowy. Był w nie najlepszym stanie.

- Pijany?

- Nie wiem. Ale co to mogło być, o ósmej rano. - Popatrzył niewinnie. - Wykończony i, hm, nie taki szykowny, nie taki jak zwykle, szyk-dryg: wszystko zniknęło. - I dodał głupawo: - To każdemu *t* nas może się zdarzyć.

- Nie rozmawiałeś z nim?

- Nie, wielkie dzięki. Wiem, jaki jest, jak ma taki nastrój. Okrążyłem go szerokim łukiem i wróciłem, i powiedziałem Rawleyowi.

- Czy miał coś ze sobą - zapytał szybko Bradfield - jakąś teczkę? Cokolwiek, w czym można nosić papiery?

- Nic z tych rzeczy - mruknął Crabbe. - Przykro mi, stary.

Stali w ciszy, wszyscy trzej, a Crabbe łypał to na jednego, to na drugiego.

- Dobrze się spisałeś - mruknął wreszcie Bradfield. - W porządku, Crabbe.

- Dobrze?! - krzyknął Turner. - Popelnił cholerne głupstwo! Leo nie jest pod kwarantanną. Dlaczego z nim nie porozmawiał, dlaczego nie przy-

włókł go tu za kołnierz, dlaczego z nim nie porozmawiał? Boże Wszechmogący, wy chyba obaj śpicie! Dobrze? Do tej pory już się ulotni; to była nasza ostatnia szansa! Prawdopodobnie czekał na ostatni kontakt; przygotowali go do wywiezienia! Czy ktoś z nim był? - Jednym pociągnięciem otworzył drzwi.

- Pytałem, czy ktoś z nim był? No, dalej!

- Dzieciak - odparł Crabbe. - Mała dziewczynka.

- Co takiego?

- Sześć-, siedmioletnie, czyjeś dziecko. Rozmawiał z nią.

- Poznał cię?

- Wątpię. Wydawało się, że patrzy na mnie nie widząc.

Turner złapał jego płaszcz z wieszaka.

- Wolałbym nie - powiedział Crabbe. - Przepraszam.

- I pan! Na co jeszcze czekacie? No, dalej!

Bradfield nie poruszył się.

- Na litość boską!

- Ja zostaję. Crabbe ma samochód. Niech pana zabierze. Musiała już minąć prawie godzina, od chwili kiedy go widział, albo mu się wydawało, że widzi, w tym tłumie. Do tej pory już go tam nie ma. Nie mam ochoty marnować czasu. - Zignorował zaskoczone spojrzenie Turnera i mówił dalej: - Ambasador właśnie mnie prosił, żebym nie opuszczał budynku. Czekamy na wieści z Brukseli, mogą nadejść w każdej chwili; bardzo prawdopodobne, że będzie chciał zadzwonić do kanclerza.

- Co wy sobie myślicie? Ze to trójstronna konferencja? Facet siedzi tam z teczką pełną tajemnic! Nic dziwnego, że wygląda na chorego. Co z wami? Chcecie, żeby Siebkron znalazł go, zanim my go znajdziemy? Chcecie, żeby złapano go na gorącym uczynku?

-- Już panu mówiłem: tajemnice to nie relikwie. Oczywiście, wolelibyśmy, żeby nie wyszły na światło dzienne. W porównaniu z tym, co mam tu do zrobienia...

- To są właśnie te tajemnice, prawda? A co z tą cholerną zieloną teczką?

Bradfield zawahał się.

- Ja nie mam nad nim władzy! - krzyknął Turner. - Nawet nie wiem, jak wygląda! Co mam zrobić, jak go zobaczyć? Powiedzieć, że pan chce zamienić z nim słówko? Pan jest jego szefem, prawda? Chce pan, żeby Ludwig Siebkron znalazł go pierwszy? - Łzy napłynęły mu do oczu. Jego głos brzmiał błagalnie. - Bradfield!

- Był całkiem sam - wymamrotał Crabbe, nie patrząc na Bradfielda - sam, samusieńki, stary. I dzieciak. Jestem tego pewien.

Bradfield spojrzał na Crabbe'a, a potem na Turnera i jeszcze raz na jego twarzy odmalowały się osobiste troski.

- Prawda - powiedział wreszcie niechętnie -jestem jego zwierzchnikiem. Jestem odpowiedzialny. Lepiej, żebym tam był. - Starannie zamknął drzwi zewnętrzne, zostawił wiadomość pannie Peate, że ma go zastąpić Gavestón i zszedł schodami.

Wzdłuż korytarza, jak czerwoni strażnicy, stały nowe gaśnice, dopiero co przywiezione z Londynu. Na półpiętrze partia stalowych łóżek czekała na montaż. Wózek na akta załadowany był szarymi kocami. W korytarzu dwóch mężczyzn stojących na dwóch drabinach, wznosiło stalowy ekran. Gaunt patrzył na nich ze zdumieniem, gdy z Crabbe'em na czele wyszli przez oszklone drzwi na parking. Bradfield prowadził z arogancją, która zaskoczyła Turnera. Śmigali na żółtych światłach, trzymali się lewej strony, żeby skrócić w ulicę prowadzącą do dworca. Na punkcie kontroli ruchu ledwie raczyli się zatrzymać; zarówno on, jak i Crabbe trzymali swoje czerwone legitymacje w pogotowiu, za szybą. Wjechali na mokry bruk, zarzucało nimi na szynach tramwajowych, a Bradfield zablokował kierownicę, czekając cierpliwie, aż samochód się opamięta. Zbliżyli się do skrzyżowania ze znakiem nakazującym ustąpienie pierwszeństwa przejazdu i przejechali je, umykając spod kół nadjeżdżającego autobusu. Samochodów pojawiało się coraz mniej, ulice zapchane były ludźmi.

Niektórzy nieśli transparenty, inni nosili szare, gabardynowe płaszcze przeciwdeszczowe i czarne kapelusze - mundury zwolenników Ruchu. Ustępowali niechętnie, marszcząc się gniewnie na widok tablic rejestracyjnych i błyszczącego zagranicznego lakieru. Bradfield nie naciskał klaksonu ani nie zmieniał biegów, ale pozwalał, żeby podeszli, a potem wymijali go. Raz zahamował, gdy zobaczył starszego mężczyznę, głuchego, albo pijanego; raz jakiś chłopiec uderzył gołą dłonią w dach, a Bradfield pobladł i zeszywniał. Na schodach leżało konfetti, kolumny pokryte były hasłami. Jakiś taksówkarz ryczał, jakby ktoś go uderzył. Zaparkowali na postoju taksówek.

- Na lewo! - krzyknął Crabbe do Turnera biegnącego przed nim. Wysokie wejście prowadziło do holu głównego.

- Idź w lewo - usłyszał powtórnie Turner.

Trzy barierki prowadziły na peron; trzej bileterzy siedzieli w oszklonych klatkach. Napisy w trzech językach ostrzegały, że nie wolno prosić ich o przysługę. Grupa szepczących księży spojrzała na niego nieprzychylnie: pośpiech, mówił ich wzrok, to nie jest cnota chrześcijańska. Blondynka o brązowej twarzy prześlizgnęła się niebezpiecznie blisko niego. Niosła plecak i stare narty, zobaczył, jak drży jej pulower.

- Siedział właśnie tutaj - wyszeptał Crabbe, ale Turner już zdążył otworzyć szeroko szklane drzwi i stanął pośrodku restauracji. Wytężał wzrok, pa-

trząc po kolei na każdy stolik poprzez kłęby dymu z papierosów. Megafon wyszczekał informację o przesiadce w Kolonii.

- Nie ma go - powiedział Crabbe. - Drań się ulotnił.

Dym wisiał wszędzie w powietrzu, krążył w świetle długich neonówek, kłębił się w ciemnych rogach. Czuć było piwem, wędzoną szynką i środkami dezynfekcyjnymi; odległy kontuar, biały od kafelków, lśnił jak lodowa ściana we mgle. Przy sześcianie z brązowego drewna siedziała jakaś biedna rodzina w podróży; kobiety były stare i ubrane na czarno, walizki miały obwiązane sznurkiem, mężczyźni czytali greckie gazety. Przy stojącym osobno stoliku mała dziewczynka toczyła podkładkę pod piwo w stronę pijaka i na ten właśnie stolik wskazywał Crabbe.

- Widzisz, tam, gdzie jest ten dzieciak. On tam pił pilznera.

Nie zważając na pijaka i dziecko, Turner podniósł szklanki i obejrzał je bez sensu. W popielniczce leżały niedopałki trzech cygar. Jeden z nich nadal lekko się żarzył. Dziecko patrzyło, jak nachyla się i szuka czegoś na podłodze i podnosi się z pustymi rękami; patrzyło, jak chodzi od stolika do stolika, wpatrując się w twarze, łapiąc za barki, zaglądając za gazety, dotykając ramion.

- Czy to on?! - ryknął. Samotny ksiądz czytał w kacie „Bildzeitung”, obok niego, ukrywając się w cieniu, Cygan o smagłej twarzy jadł pieczone kasztany z torebki.

- Nie.

- Ten?

- Przykro mi, stary - powiedział Crabbe, już mocno zdenerwowany - Nie masz szczęścia. Odpręż się.

Przy witrażowym oknie dwóch żołnierzy grało w szachy. Jakiś brodaty mężczyzna wykonywał gesty, jakby jadł, ale przed nim nie stało jedzenie. Na peron wjeżdżał pociąg i naczynia stołowe zaczęły wibrować. Crabbe zawałał kelnerkę. Zawisł nad nią, szeptał, trzymając rękę na jej ramieniu. Pokręciła głową.

- Spróbujemy z tamtą- powiedział, gdy Turner dołączył do nich. Przeszli razem przez salę i następna kobieta kiwnęła głową, dumna, że zapamiętała i opowiedziała swoją historię. Wskazując na dziecko, opowiadała o *der kleine Herr*, małym panu, a czasem, po prostu, o *der Kleine*, jakby słowo „pan” było ukłonem pod adresem pytających, a nie pod adresem Hartinga.

- Był tu jeszcze parę minut temu - powiedział Crabbe z pewną konsternacją. - Przynajmniej tak twierdzi.

- Wyszedł sam?

- Nie widziała.

- Zrobił na niej jakieś wrażenie?

- Uspokój się. Ona nie wygląda na myślicielkę, stary. Uważaj, żeby nie zwiwała.

- Co sprawiło, że wyszedł? Czy kogoś zobaczył? Czy ktoś dawał mu znaki od drzwi?

- Przeciągasz strunę, stary. Nie widziała, jak wychodził. Nie niepokoił jej. Płacił za każde zamówienie, jakby w każdej chwili miał wyjść. Złapać pociąg. Wyszedł, żeby obejrzeć wiwaty, kiedy przyjechały chłopaki, potem wrócił, wypalił jeszcze jedno cygaro i wypił jeszcze jedno piwo.

- Więc o co chodzi? Dlaczego się tak krzywisz?

- Bo to cholernie dziwne - wymamrotał Crabbe, marszcząc twarz.

- Co jest cholernie dziwne?

- Był tu całą noc. Sam. Pił, ale się nie upił. Część tego czasu spędził na zabawie z dzieckiem. Greckim dzieckiem. To podobało mu się najbardziej: dziecko. - Dał kobiecie monetę, a ona podziękowała mu zdawkowo.

- No, tośmy go nie znaleźli - oświadczył Crabbe. - Mały kłótniwy gnojek. Rzuci się na każdego, kiedy mu odbije.

- Skąd wiesz?

Crabbe zmarszczył się, jakby wspominał coś nieprzyjemnego.

- Szkoda, że go nie widziałeś tamtej nocy w Kolonii - wymruczał, ciągle patrząc za kelnerką. - Jezus!

- W czasie tej bójki? Byłeś tam?

- Mówię ci - powiedział Crabbe z przekonaniem. - Kiedy chłopaka poniesie, to lepiej go unikać. Patrz - wyciągnął rękę. Na dłoni leżał drewniany guzik, taki sam, jak te z odrapanego pudełka w Königswinter. - Zabrała to z jego stolika - powiedział. - Pomyślała, że może tego potrzebować. Schowała to na wypadek, gdyby wrócił, rozumiesz.

Bradfield powoli wszedł przez drzwi. Twarz miał spiętą, ale bez wyrazu.

- Zdaje się, że go tu nie ma.

Nikt się nie odezwał.

- Nadal twierdzisz, że go widziałeś?

- Nie ma możliwości pomyłki, stary. Przykro mi.

- Cóż, myślę, że musimy ci uwierzyć. Proponuję, żebyśmy wracali do ambasady. - Spojrzał na Turnera. - Chyba że pan woli zostać. Na wypadek, gdyby miał pan jeszcze jakąś teorię do sprawdzenia. - Rozejrzał się po bufe cie. Wszystkie głowy zwrócone były w ich stronę. Chromowana maszyna za barem buchała parą, ale nikt się nią nie zajmował. Ani jedna ręka nie drgnęła. - Tak czy inaczej, zdaje się, że zostawił pan tu swój ślad. - Wracając powoli do samochodu, Bradfield dodał: - Może pan wrócić do ambasady, żeby zabrać swoje rzeczy, ale musi pan wyjść przed obiadem. Jeśli ma pan jakieś dokumenty, niech je pan zostawi Corkowi, a my je panu prześlemy w torbie. O siódmej jest lot. Jeśli nie będzie dla pana miejsca, niech pan wsiądzie w pociąg, ale niech pan wyjedzie.

Czekali, kiedy Bradfield rozmawiał z policjantem i pokazywał mu swoją czerwoną legitymację. Jego niemiecki brzmiał bardzo angielsko, ale gramatyka była bezbłędna. Policjant kiwnął głową, zasalutował i wtedy poszli. Powoli wrócili do ambasady, mijając zmierzający donikąd tłum ludzi o ponurych twarzach.

- Dziwne miejsce, jak na Leo - mruknął Crabbe, ale Turner dotykał palcami metalowego klucza, który trzymał w kieszeni, w kopercie służbowej, i nadal zastanawiał się, przy całej świadomości porażki, czyje drzwi on otwiera.

13

Ciężar bycia świnią

Siedział w pokoju szyfrantów, nadal w płaszczu, pakował bezużyteczne strofea swojego śledztwa, kaburę wojskową, złożone druki, grawerowany nóż do papieru od Margaret Aickman, oprawny na niebiesko kalendarz dla radców i powyżej, notatniczek z wykazem zniżek dla dyplomatów i porysowane metalowe pudełko z pięcioma drewnianymi guzikami; teraz dodał jeszcze szósty guzik i trzy niedopałki cygar.

- Nie szkodzi! - powiedział uprzejmie Cork. - Znajdzie się.

- Jasne. To równie pewne, jak inwestycje i marzenia o Karaibach. Leo, ulubieniec wszystkich. Powracający syn marnotrawny, Leo. Wszyscy kochamy Leo, chociaż poderżnął nam gardło.

- Niech pan zwróci uwagę, że dużo zmyślał. - Cork siedział na łóżku w samej koszuli i wkładał buty. Nosił metalowe ściągacze powyżej łokci i jego koszula wyglądała jak z reklamy w metrze. Z korytarza nie dochodził żaden dźwięk. - To był właśnie cały on. Spokojny, ale gnojek.

Maszyna zaczęła trzeszczeć i Cork zmarszczył się i spojrział z wyrzutem.

- Pochlebstwa - mówił. - To potrafił. To była po prostu magia. Mógł opowiedzieć całkiem nieprawdopodobną historyjkę, a człowiek w to wierzył.

Włożył dokumenty do papierowej torby na odpadki. Naklejka na niej głosiła **TAJNE. NISZCZYĆ TYLKO W OBECNOŚCI DWÓCH UPOWAŻNIONYCH ŚWIADKÓW.**

- Chcę, żeby to zapieczętowano i wysłano Lumleyowi - powiedział Turner, a Cork wypisał kwit i opatrzył go podpisem.

- Pamiętam, jak go spotkałem po raz pierwszy - powiedział wesołym głosem, który Turnerowi kojarzył się ze stypą. - Byłem zielony. Naprawdę

zielony. Pół roku wcześniej się ożeniłem. Gdybym się nie skapował, co on za jeden, to bym...

- To byś się go radził co do inwestycji. To byś pożyczał mu książki z kodami, żeby sobie poczytał w łóżku. -Zawinął torbę i spiął ją spinaczami

- Nie książki kodów. Janet. Czytałby jej w łóżku. - Cork uśmiechnął się radośnie. - Kurka wodna! Nie uwierzyłby pan. Chodźmy. Pora na lunch.

Turner po raz ostatni brutalnie zacisnął ramiona zszywacza.

- Czy jest de Lisie?

- Wątpię. Londyn przysłał wytyczne długie na metr. Wszystkie ręce na pokład. Dyplomaci zwierają szyki. - Roześmiał się. - Powinni wyjść na ulicę z czarnymi flagami. Pikietować deputowanych. Ostre zażalenia na wszystkich poziomach. Nie zostawić kamienia na kamieniu. A oni zwracają się o następną pożyczkę. Czasem nie wiem, skąd Szwaby mają takie pomysły. Wie pan, co mi raz Leo powiedział? „Coś ci powiem, Bill, zaliczymy wielkie zwycięstwo dyplomatyczne. Pójdziemy do Bundestagu i zaproponujemy im milion funciaków. Tylko ty i ja. Chyba zemdleją”. Wie pan co, on miał rację.

Turner wykręcił numer de Lisle'a, ale nie było odpowiedzi.

- Powiedz mu, że dzwoniłem, żeby się pożegnać, żeby się do córka i nagle zmienił zdanie. - Albo nie kłopotz się tym.

Zadzwoił do wydziału podróży i zapytał o swój bilet. Wszystko w porządku, zapewnili go; pan Bradfield osobiście się tym zajął i bilet czeka na niego na biurku. Cork wziął płaszcz.

- Lepiej zadeszuj do Lumleya i podaj mu mój czas przylotu.

- Chyba to już zrobiono - odparł Cork i prawie się zaczerwienił.

- Wielkie dzięki. - Turner stał przy drzwiach i patrzył na pokój, jakby nigdy już nie miał go oglądać. - Mam nadzieję, że z dzieckiem będzie wszystko w porządku. Mam nadzieję, że zrealizujesz swoje marzenia. Mam nadzieję, że wszyscy zrealizują swoje marzenia. Mam nadzieję, że dostaną to, czego szukają.

- Niech pan posłucha, trzeba myśleć tak - powiedział współczująco Cork - są rzeczy, których nigdy nie będzie się miało, prawda?

- Zgadza się.

- Chodzi mi o to, że nie da się wszystkiego ułożyć, wygładzić. W prawdziwym życiu to się nie udaje. Tak myślą tylko małe dziewczynki. To romantyka. Pan jest jak Leo: nie może pan zostawić sprawy niezakończonych. Wie pan już, co pan będzie robił dziś po południu? W amerykańskim kinie jest interesujący seans popołudniowy... Nie. To nie byłoby dla pana. Kupa wrzeszczących dzieciaków.

- Co miałeś na myśli mówiąc, że on nie mógł zostawić sprawy niezakończonych?

Cork chodził po pokoju, sprawdzał maszynerie, biurka i tajne torby na śmieci.

- Był mściwy. Kiedyś pokłócił się z Fredem Angerefn; Anger był z administracji. Mówili, że to trwało pięć lat, dopóki Freda nie przenieśli.

- O co poszło?

- O nic - podniósł kawałek papieru z podłogi i zaczął go czytać. - O słodką Fanny Adams. Fred ściał lipę w ogródku Leo, powiedział, że zagrażała płotu. I tak było. Fred mi powiedział: „Bill, to drzewo przewróciłoby się na jesieni”.

- Przywiązywał wagę do ziemi - powiedział Turner. - Chciał mieć swój własny kawałek. Nie podobało mu się, że jest w stanie zawieszenia.

- I wie pan, co zrobił Leo? Uplótl wieniec z liści. Przyniósł go do ambasady i przybił do drzwi Freda. Wielkimi, dwucalowymi gwoździami. Prawie go ukrzyżował. Niemiecki personel myślał, że Fred się wścieknie. Ale Leo się nie śmiał. On nie żartował; on to zrobił poważnie. Widzi pan, był gwałtowny. Dyplomaci nie zauważali tego. Dla nich był jak cukiereczek, cały w uśmiechach. [pomocny, nie mówię, że nie był pomocny. Mówię tylko, że Leo długo żywił urazę. I nie chciałbym, żeby to była uraza do mnie. Tylko o tym mówię.

- Zalecał się do twojej żony?

- Przerwałem to - powiedział Cork. - Widziałem, co się dzieje. To było podczas tańców na cele dobroczynne. Parę lat temu. Zaczął tam przychodzić. Nic zdrożnego. Chciał jej dać suszarkę do włosów i takie rzeczy. Spotkał się ze mną na wzgórzu. Powiedziałem mu: „Lepiej znajdź sobie jakieś inne włosy do suszenia”, tak powiedziałem. „Ona jest moja”. Ale nie można go za to winić, prawda? Wie pan, co mówi się o uchodźcach: tracą wszystko poza akcentem. Święta racja. Kłopot z Leo był taki, że chciał odzyskać wszystko. Więc myślę, że to było tak: wziął najlepszą część akt i uciekł z nimi. Opylił je temu, kto zaoferował najwyższą cenę. To nie może być więcej niż to, co my jesteśmy mu winni. - Zadowolony z oględzin zebrał swoje prospekty i podszedł do drzwi, gdzie stał Turner. - Pan jest z Północy, prawda? - zapytał. - Rozpoznałem to po pańskim głosie.

- Dobrze go znałeś?

- Leo? Nie, nie lepiej niż inni. Kupowałem to i owo, podawałem spodek albo mleko od czasu do czasu; składałem zamówienia u Holendra.

- U Holendra?

- To firma eksportowa dla dyplomatów. Z Amsterdamu. Najniższe ceny. Na wszystko: masło, mięso, radia, samochody, różności.

- Suszarki do włosów?

- Wszystko. Wypełnia się zamówienie, daje się je Leo i za tydzień jest towar. Wie pan co, myślę, że on coś z tego miał. Ale nigdy nie udało się go zagaić. Można było sprawdzać do upadłego i nigdy się nie doszło, z czego brał swoją część. Ale myślę, że to były te cholerne cygara. No, to

był naprawdę szok. Myślę, że wcale mu nie smakowały, palił je, bo były za darmo. I że się z nich naśmiewaliśmy. - Roześmiał się..*- A prawda jest taka, że nas ponabierał. Myślę, że pana też. No dobrze, będę się zmywał. Czolem.

- Mówiłeś o tym jak go pierwszy raz zobaczyłeś.

- Tak? O, rzeczywiście. - Znów się roześmiał. - Pan to chyba w byle co nie uwierzy. Mój pierwszy dzień: Mickie Crabbe wziął mnie z sobą tutaj. Szliśmy od pokoju do pokoju. „A tutaj - powiedział Mickie - tutaj jest jeszcze jeden port, do którego zawiniesz”, i zabrał mnie na dół, żebym spotkał się z Leo. „To jest Cork - mówi - Właśnie dołączył do nas w szyfrach”. Cork usiadł na obrotowym krześle przy drzwiach i rozparł się jak bogaty dyrektor, którym chciałby być. - „Może kieliszek sherry - mówi Leo. Wymagają od nas, żebyśmy tu byli o suchym pysku, ale Leo się tym nigdy nie przejmował; nie to, żeby sam pił, rozumie pan. „Musimy uczcić nowego kolegę. Cork, nie śpiewasz przypadkiem?” „Tylko w wannie” mówię i trochę się pośmieliśmy. Szukał ludzi do chóru: to zawsze robiło na nich wrażenie. Bardzo pobożny dżentelmen, ten pan Harting. „Może cygaro, Cork?” Nie, dziękuję. „Więc może peta?” Jeśli panu nie przeszkadza, panie Harting. No i rozsiedliśmy się, niczym dyplomaci, popijamy sobie sherry, a ja myślę. „No, z ciebie to musi tu być jakiś król”. Meble, mapy, dywan... wszystkie przywileje. Fred Anger sporo z tego wyczyścił, zanim wyjechał. Zwędził chyba połowę. Wyzwolił, jak mówimy. Jak za okupacji. „Co tam słychać w Londynie, Cork? - pyta Leo. - Wszystko po staremu, mam nadzieję?” Cholerny gnojek, mówił tak, żebym się odprężył. „A ten stary portier przy głównym wejściu nadal taki bezczelny dla ambasadorów, co Cork?” Naprawdę mu się udało. „A węgiel na kominku: nadal rozpalają ogień co rano, Cork?” „No cóż - mówię. - Jakoś się kręci, jak ze wszystkim”. Ot, taka gadka. „Bo wiesz- on na to - „dostałem list od Ewana Waldebere'a zaledwie kilka miesięcy temu i on pisze, że zakładają centralne ogrzewanie. A ten stary facet, który modlił się na stopniach Dziesiątki, nadal tam jest, Cork, rano i wieczór i odprawia te swoje modły? Chyba niewiele nam to pomogło, co?” - Mówię panu: prawie że zacząłem mówić do niego *sir*. Ewan Waldebere był wtedy szefem departamentu Zachodu, prawie Bogiem. No i znów zaczął o tym chórze i o Holendrze, i paru jeszcze sprawach przy okazji, i czy może być w czymś pomocny, a jak wyszliśmy na zewnątrz, ja patrzę na Mickiego Crabbe[^], a Mickie robi sobie jaja. „Leo?” - mówi - Leo? W życiu nie był w ministerstwie. Nawet w Anglii nie był od czterdziestego piątego”. - Cork przewrwał i pokręcił głową. - Ale - powiedział, śmiejąc się z rozczuleniem - nie może pan go za to winić, prawda? - Wstał. - I wszyscy przejrzelśmy go na wylot i mimo to wszyscy daliśmy się nabrać, prawda? Chodzi mi o Arthura i... no, o wszystkich. To jest tak, jak z moją willą- powiedział po prostu. -

Wiem, że jej nigdy nie będę miał, ale wierzę w to mimo wszystko. Rozumie pan, trzeba naprawdę... nie można żyć bez złudzeń. Nie tutaj.

Turner wyjął wielkie łapy z kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego. Najpierw spojrzął na Córka, potem na klucz trzymany w dłoni. Wydawał się rozdarty i niezdecydowany.

- Jaki jest numer do Mickiego Crabbe'a?

Cork patrzył z obawą, jak podnosił słuchawkę i wybierał numer.

- Nie spodziewają się po panu, że będzie go pan szukał - powiedział zaniepokojony. - Naprawdę, to im się nie spodoba.

- Ja go, do cholery, nie szukam, jestem umówiony na lunch z Crabbe'em, potem łapię wieczorny samolot i nic pod słońcem nie zatrzyma mnie nawet na godzinę dłużej w tym cyrku. - Trzasnął słuchawką i wyszedł z pokoju.

Drzwi do de Lisle'a były otwarte, ale nie było go za biurkiem. Napisał: *Wpadłem się pożegnać. Żegnam. Alan Turner.* Ręka trzęsła mu się ze złości i upokorzenia. W korytarzu grupki ludzi przechadzały się w świetle słonecznym, wszyscy szli zjeść kanapki albo do kantyny na obiad. Przy drzwiach stał roll-royce ambasadora; policyjna eskorta czekała cierpliwie. Gaunt szeptał coś do Meadowesa przy kontuarze w portierni i nagle ucichł, gdy zobaczył Turnera.

- Proszę - powiedział, wręczając mu kopertę. - To pański bilet. - Wyrzucił jego twarzy mowę: „Wracaj, skąd przyjechałeś.”

- Czekam na ciebie, stary - wyszeptał Crabbe ze swojego stałego miejsca w cieniu. - Widzisz.

Kelnerzy byli cisi i strasznie dyskretni. Crabbe poprosił o ślimaki, które jego zdaniem były tu bardzo dobre. Reprodukacja wisząca w maleńkiej wnęce przedstawiała pastuszków tańczących z nimfami, a była w tym lekka sugestia kosztownego grzechu.

- Byłeś z nim tamtej nocy w Kolonii. Tej nocy, gdy wplątał się w bójkę.

- Nadzwyczajne - powiedział Crabbe. - Naprawdę. Chcesz wody? - zapytał i nalał po troszku do szklanek, ale była to tylko łaża przelana w intencji trzeźwości. - Nie wiem, co w niego wstąpiło.

- Często z nim wychodziłeś?

Uśmiechnął się żałośnie i wypili.

- Słuchaj, to było pięć lat temu. Matka Mary była chora; Mary poleciała do Anglii, a ja zostałem słomianym wdowcem.

- Więc od czasu do czasu popłynąłeś sobie z Leo; piłeś i uganiałeś się za spódniczkami.

- Mniej więcej.

- W Kolonii?
- Spokojnie, stary - powiedział Crabbe. - Jesteś jak jakiś cholerny prawnik.

Znów się napił, wchłonął alkohol, ale wstrząs przyszedł z opóźnieniem, jak u słabego komedianta reagującego za późno.

- Chryste - powiedział. - Co za dzień. Chryste.
 - Nocne kluby w Kolonii są najlepsze, prawda?
 - Tego nie można mieć tutaj, stary - powiedział Crabbe, otrząsając się nerwowo. - Chyba, że chcesz mieć na karku połowę rządu. W Bonn trzeba być cholernie ostrożnym. - Bez wyraźnej potrzeby powtórzył: Cholernie ostrożnym. - Podrzucił głowę, jakby chciał potwierdzić to, co powiedział. - Kolonia to lepsze miejsce.
 - Lepsze dziewczyny?
 - Nic z tego, stary. Od lat.
 - Ale Leo uganiał się za nimi, prawda?
 - Lubił dziewczyny - powiedział Crabbe.
 - Więc pojechałeś tamtego wieczoru do Kolonii. Twoja żona była w Anglii, a ty poszedłeś się zabawić z Leo.
 - Po prostu siedzieliśmy przy stole. Piliśmy. - Dostosował gest do słowa. - Leo mówił o wojsku: pamiętasz starego tego a tego. Takie sprawy. Kochał armię. Naprawdę ją kochał. Powinien zostać w wojsku, tak uważam. Choć nie wzięliby go pewnie na stałą posadę. Według mnie potrzebna mu była dyscyplina. Prawdziwy z niego urwis. Jak ze mnie. Wszystko jest w porządku, póki się jest młodym. Dali mi w kość w Sherborne. Jak diabli. Głowa do basenu, a ci cholerni dyżurni dokładali mi. Wtedy było mi wszystko jedno. Myślałem, że takie jest życie. - Poklepał Turnera po ramieniu. - Stary - szepnął. - teraz ich nienawidzę. Nie wiedziałem, że to we mnie siedzi. Wszystko wyszło na wierzch. Wróciłbym i zastrzelił sukinsynów. Naprawdę.
 - Znałeś go, jak był w wojsku?
 - Nie.
 - Więc kogo wspominaliście?
 - Natknąłem się na niego w CCG. M5nchengladbach. Grupa Czwarta.
 - Był wtedy w Roszczeniach?
- Reakcja Crabbe'a na natarczywość Turnera. Zgodnie ze swoim nazwiskiem, zdawał się w jakiś tajemniczy sposób wciągać końcówki swego jestestwa pod ochronną skorupę i leżał bez ruchu, aż niebezpieczeństwo minęło. Pochylił głowę nad szklanką i trzymał ją tak, przygarbił ramiona i zerkał na Turnera czerwonymi zakatarzonymi oczami.
- Więc piliście i rozmawialiście.
 - Bardzo spokojnie. Czekaliśmy na kabaret. Lubię obejrzeć sobie dobry kabaret. - Zmienił temat i zaczął opowiadać jakąś niewiarygodną historijkę

o tym, jak próbował sił z jakąś dziewczyną we Frankfrtfcie przy okazji ostatniej konferencji Wolnych Demokratów:

- Fiasko - oświadczył z dumą. - Wspinała się na mnie jak jakaś cholerna małpa, a ja nic nie mogłem zrobić.

- Więc bójka zaczęła się po kabarecie?

- Przed. Grupka Hunów przy barze hałasowała; śpiewali. Leo obraził się. Zaczął piorunować ich wzrokiem. Wkurzał się. Nagle zażądał rachunku. „Zahlenr Właśnie tak. I cholernie głośno. Ja mu powiedziałem, „Hej stary, o co ci chodzi?” Zignorował mnie. „Ja nie chcę wychodzić - powiedziałem. - Chcę obejrzeć rewię cycków”. Nie zwrócił na mnie uwagi. Kelner przynosi rachunek, Leo podlicza, wkłada rękę do kieszeni i kładzie na talerzu guzik.

- Jaki to był guzik?

- Po prostu guzik. Taki, jak tamta dziewczynka znalazła na dworcu. Drewniany guzik z dziurkami. - Nadal był oburzony. - Nie płaci się rachunków guzikami. Prawda? Z początku pomyślałem, że to dowcip. Nawet się roześmiałem. „A gdzie się podziała reszta tej dziewczyny?” - mówię. Widzisz, myślałem, że on sobie żartuje. A on nie żartował.

- Mów dalej.

- „Proszę - powiedział -Niech pan zachowa resztę” i wstał spokojnie, jakby nigdy nic. „Chodźmy, Mickie, tu śmierdzi”. I wtedy się na niego rzucili. Jezu. To było fantastyczne. Nigdy nie myślałem, że ma tyle siły. Trzech już leży, jeden zaraz będzie leżał i wtedy ktoś rąbnął go butelką. Wszystkie ciosy dozwolone; jak w East Endzie. Potem go dopadli. Przebiegli go przez bar, do tyłu i zaczęli go obrabiać. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Nikt nie mówił ani słowa. System. Następna rzecz, której byliśmy świadomi to, że jesteśmy na ulicy. Leo stał na czworakach, a oni wyszli i dołożyli mu jeszcze na drogę, a ja wyrzygi wałem wnętrzości na chodnik.

- Byłeś zalany?

- Trzeźwy jak świnia, stary. Ale, widzisz, kopnęli mnie w żołądek.

- Ciebie?

Głowa zatrzęsała mu się straszliwie, opadła, jakby chciała Spotkać się ze szklanką:

- Próbowałem go ratować - wymamrotał. - Próbowałem zatrzymać tam tych facetów, kiedy uciekał. Problem w tym - dodał pociągając długi łyk whisky - że już nie jestem tym facetem, co dawniej. Prashko do tej pory już dał nogę. - Zachichotał. - Był w połowie drogi do drzwi, zanim guzik dotknął talerza. Zdaje się, że wiedział, co to jest. Nie winię go.

Turner zapytał, jakby chodziło o starego przyjaciela.

- A Prashko często wtedy przychodził?

- Stary, pierwszy raz go tam spotkałem. I ostatni. Zerwane stosunki. Nie winię go. Członek parlamentu i tak dalej. Źle wpłynęłoby na interesy.

- A co ty robiłeś?
- Jezu. Trzeba było ostrożnie się poruszać, stary. - Wzruszył ramionami. - Wisiało nade mną przeniesienie. Jakaś cholerna, zawszona dziura w buszu, albo gdzieś tam. Z Mary. Nie, dziękuję.
- Jak to się skończyło?
- Myślę, że Praszko był w dobrych stosunkach z Siebkronem. Gliniarze dostarczyli nas do ambasady. Strażnik zamówił nam taksówkę, pojechaliśmy do mnie i wezwaliśmy lekarza. Potem pojawił się Ewan Waldebere, był wiceministrem. Potem wielkim brudnym mercedesem przyjechał Siebkron. Bóg jeden wie, czego tam nie było. Siebkron maglował go. Siedział w moim salonie i maglował go bez końca. Nie przejmowałem się tym. Ale trzeba przyznać, że sprawa była poważna. Zakichany dyplomata rozbija się po nocnych klubach, atakuje obywateli. Wiele kantów do wygładzenia.
- Kelner przyniósł nerki gotowane w occie i winie.
- Boże - powiedział Crabbe. - Popatrz na to. Pyszności. Doskonałe po ślimakach.
- Co Leo powiedział Siebkronowi?
- Nic. Nie znasz Leo. Zamknięty to mało. Waldebere, ja, Siebkron: ani słowa nie powiedział żadnemu z nas. Zrozum, oni naprawdę się na niego rzucili. Waldebere wypiczył mu jakiś urlop: nowe zęby, szwy, Bóg wie co jeszcze. Niech mówi wszystkim, że to się stało podczas pływania w Jugosławii. Nurkował w płytkiej wodzie. Rozwalił sobie twarz.
- Jak myślisz, dlaczego tak się stało?
- Nie mam pojęcia, stary. Nie wybrałbym się z nim już nigdzie po tym. To byłoby zbyt niebezpieczne.
- Nic nie sądzisz o tej sprawie?
- Wybacz - odparł Crabbe. Przymglona siecią zmarszczek twarz zapadła się.
- Widziałeś kiedy ten klucz?
- Nie. - Uśmiechnął się. - Jeden z kluczy Leo, prawda? Kiedyś Leo był w stanie zwędzić wszystko. Uspokoił się teraz.
- Słyszałeś jakieś nazwiska z tym związane?
- Nadal wpatrywał się w klucz.
- Zapytaj Myry Meadowes.
- Dlaczego?
- Jest chętna. Miała już jedno dziecko. W Londynie. Mówią, że połowa kierowców zalicza ją co tydzień.
- Czy kiedykolwiek wspominał kobietę o nazwisku Aickman? Kogoś, z kim miał zamiar się ożenić?
- Crabbe przybrał zaskoczoną minę jak człowiek, który coś sobie przypomniał.

-. Aickman-powiedział. -Śmieszne. To jedna ze starej %iary. Z Berlina. Mówił o niej. Pracowali z Ruskimi. Była jedną z tych łączniczek. Berlin, Hamburg, cały ten kram. Wyszywała dla niego te cholerne poduszki. Tro-skliwość i opieka.

- Co on robił z Rosjanami - zapytał Turner po chwili. - Co to była za praca?

- Czterostronne, dwustronne porozumienia... Berlin żyje własnym ży-ciem. To inny świat, szczególnie w tamtych dniach. Wyspa. Szczególny ro-dzaj wyspy. ~ Potrzęsnał głową. - Ale dodał: - Nie dla niego wszystkie te komunistyczne frykasy. To nie jego parafia. Za mądry na taką zabawę.

- A ta Aickman?

- Panna Brandt, panna Etling i panna Aickman.

- Kto to?

- Trzy laseczki. W Berlinie. Przyjechał z nimi z Anglii. Leo mówił, że śliczne jak z obrazka. Nigdy nie widział takich dziewczyn. Ja nigdy ich nie widziałem. Były emigrantkami wracającymi do Niemiec, żeby dołączyć do sił okupacyjnych. Tak samo jak Leo. Siedział na walizkach na lotnisku Croy-don, czekał na samolot, a te trzy laleczki podeszły w mundurach, machając ogonkami. Panna Aickman, panna Brandt i panna Etling. Były przydzielone do tego samego oddziału. Od tej chwili nigdy już nie oglądał się za siebie. On i Prashko, i jeszcze jeden facet. Wszyscy wyjechali z Anglii w czter-dziestym piątym. Z tymi laleczkami. Ułożyli o tym piosenkę: panna Aick-man, panna Etling i panna Brandt... pijacką piosenkę, taką tam rymowan-kę. Śpiewali ją tamtej nocy. W samochodzie, szczęśliwi jak dzieci. Jezu!

Zaśpiewał kawałek.

- Aickman była dziewczyną Leo. Jego pierwszą dziewczyną. Zawsze będzie do niej wracał, tak powiedział. „Nie będzie drugiej takiej, jak ta pierw-sza - to jego słowa. - Wszystkie inne to imitacja". Wiesz, jak rozmawiają Hunowie. Skubańcy tacy są wrażliwi.

- Co się z nią stało?

- Nie wiem, stary. Wypaliła się. One wszystkie takie są, nie? Postarzała się. Pomarszczyła. Hop-siup. - Kawałek nerki spadł mu z widelca i sos pry^-snał na krawat.

- Dlaczego się z nią nie ożenił?

- Poszła inną drogą, stary.

- Jaką inną drogą?

- Mówił, że nie podobało jej się, że został Anglikiem. Chciała, żeby znów stał się Hunem i spojrział rzeczywistości w twarz. Metafizyczna.

- Może zniknął, bo jej szuka.

- Zawsze mówił, że zrobi to pewnego dnia. „Piłem z paru wodopojów, Mickie - mawiał. - Ale nie będzie drugiej takiej dziewczyny, jak Aickman".

Wszyscy tak przecież mówimy, prawda? Utonął w mozelskim winie, jakby to była ucieczka.

- Doprawdy?

- A przy okazji, jesteś żonaty, stary? Unikaj tego. - Pokręcił głową. - Byłoby w porządku, gdybym dawał sobie radę w sypialni. Ale nie mogę. To mój problem. Nie daję rady. - Zachichotał. - Ożeń się, jak będziesz miał pięćdziesiąt pięć lat. Dobrze ci radzę. Z maleńką, szesnastoletnią laleczką. Takie nie wiedzą, co tracą.

- Praszko tam był? W Berlinie? Z Rosjanami i Aickman?

- To były konie z tej samej stadniny.

- Co jeszcze mówił ci o Praszce?

- Że był wtedy komuchem. Nic poza tym.

- Aickman też?

- Możliwe, stary. Nie mówił mi o tym.

- A Harting?

- Nie, Leo nie, stary. Jeśli chodzi o politykę, to miał to gdzieś. Nie obchodziła go. Pstrąg - wyszeptał. - Chciałbym teraz zjeść pstrąga. Nereczki są dopiero na drugim miejscu. Gdyby miało dojść do tajnego głosowania.

Przez resztę posiłku ciągle wracał do tego dowcipu. Tylko raz wspominał o Leo, kiedy Turner zapytał go, czy często z nim przebywał w ciągu ostatnich miesięcy.

- Ani trochę - szepnął Crabbe.

- Dlaczego?

- Chodził jakiś zasepiony, stary. Widać to było. Myślał, żeby znów komuś przyłożyć. Mała, kłótniwa bestyjka - powiedział, obnażając zęby w nagłym skurczu alkoholika. - Znów by zaczął rozkładać te guziki.

Wrócił do Adlera o czwartej; był nieźle pijany. Winda była zajęta, więc poszedł schodami. To jest to, pomyślał. To jest ten wesoły koniec. Będzie pić przez całe popołudnie i będzie pić na pokładzie samolotu. Jak się powiedzie, to zanim zdoła zobaczyć się z Lumleyem, nie będzie w stanie powiedzieć słowa. Sposób Crabbe'a: ślimaki, nereczki, pstrąg i szkocka, i nie wychylaj się, bo możesz oberwać. Kiedy dotarł na swoje piętro, zauważył z roz-targnieniem, że ktoś zablokował windę teczką i pomyślał, że to portier poszedł po resztę czyjegoś bagażu do pokoju. Jesteśmy jedynymi szczęśliwymi ludźmi w tym miejscu, pomyślał. Wyjeżdżamy. Próbował otworzyć drzwi do swojego numeru, ale zamek był zaklinowany; siłował się z kluczem, ale zamek nie ustępował. Szybko odstąpił, gdy usłyszał kroki, ale nie miał szansy. Ktoś otworzył drzwi od środka. Przelotnie zobaczył bladą, okrągłą twarz i jasne włosy starannie zaczesane do tyłu, niskie czoło zmarszczone ze strachu, zo-

baczył ścieg na skórze zbliżający się do niego w zwolnionym tempie i zadał sobie pytanie, czy ściegi przecinają skórę na głowie tak samo jak skórę na twarzy. Poczul, jak dostaje mdłości i żołądek skurczył mu się, a drewniana pałka uderzyła go pod kolanami; usłyszał łagodny głos chirurga wołający do niego z ciemności, gdy ciepła trawa yorkshirskich dolin kłuła jego twarz. Usłyszał szyderczy głos Tony'ego Willoughby'ego, gładki jak aksamit, przylepny jak kochanek, zobaczył, jak jego ręce pianisty przesuwają się po jej białych biodrach i usłyszał muzykę Leo skomlącą do Boga z każdego tabernakulum z jego własnego dzieciństwa. Poczul zapach dymu holenderskich cygar i znów usłyszał głos Willoughby'ego proponujący mu suszarkę do włosów: jestem zatrudniony tylko na czas określony. Alan, stary, mamy dziesięcioprocentową zniżkę dla przyjaciół rodziny. Znów poczul ból, łomotanie i zobaczył czarny mokry granit sierocińca w Bournemouth i teleskop na Wzgórzu Konstytucji. „Jeśli jest coś, czego naprawdę nienawidzę - zauważył Lumley - to cynik w poszukiwaniu Boga”. Była chwila strasznego bólu, gdy kopnęli go w kroczę, a gdy ból zaczął powoli ustępować, zobaczył dziewczynę odchodzącą od niego, dryfującą w czarnych uliczkach jego własnej buntowniczej samotności. Słyszał wrzask Myry Meadows, gdy ją niszczył, kłamstwo za kłamstwo, wrzask, gdy ją zabierali od jej polskiego kochanka i wrzask, gdy rozdzielali ją z dzieckiem; i myślał, że może to on sam krzyczy, aż spostrzegł ręcznik, który wepchnęli mu do ust. Poczul, jak coś zimnego i żelaznego mocno uderza go w tył głowy i przywiera jak bryła lodu, usłyszał trzaśnięcie drzwiami i wiedział, że został sam; zobaczył cały ten przekłety poczet okłamanych i porzuconych; słyszał głupawy głos anglikańskiego biskupa chwającego Boga i wojnę i zasnął. Był w trumnie, gładkiej zimnej trumnie. Na marmurowej płycie o wypolerowanych powierzchniach z chromowym błyskiem na końcu tunelu. Słyszał, jak de Lisie pomrukuje do niego uprzejmie i pochlipywanie Jenny Pargiter, takie samo, jak zawođenje wszystkich kobiet, które zostawił; słyszał ojcowski ton Meadowsa nakłaniającego go do wyrozumiałości i radosne pogwizdywanie beztroskich ludzi. Potem Meadows i Pargiter wymknęli się, odeszli do innych pogrzebów, a został tylko de Lisie i tylko jego głos dawał jakąkolwiek pociechę.

- Chłopie drogi - mówił, patrząc z zaciekawieniem w dół. - Wpadłem, żeby powiedzieć ci do widzenia, ale jeśli masz zamiar wziąć kąpiel, to mógłbyś przynajmniej zdjąć ten koszmarny garnitur.

- Czy to czwartek?

De Lisie wziął ściereczkę i zmoczył ją pod kranem z zimną wodą.

- Środa. Środa jak zawsze. Pora koktajli.

Nachylił się i zaczął delikatnie zmywać krew z jego twarzy.

- Gdzie jest to boisko do piłki nożnej? Tam, gdzie go widziałeś. Tam, gdzie zabrał ze sobą Pargiter. Powiedz, jak tam się dostać.

- Nie ruszaj się. I nie gadaj, bo pobudzisz sąsiadów.

Delikatnymi ruchami usuwał zakrzepniętą krew. Turner uwolnił prawą rękę i ostrożnie pogrzebał w kieszeni marynarki, szukając klucza. Ciągle tam był.

- Widziałeś to kiedyś?

- Nie. Nie widziałem. I nie byłem w szklarni o trzeciej nad ranem. Ale jak to jest, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych - powiedział wstając, żeby krytycznym okiem ocenić swoje dzieło - wysłała byka, żeby złapał matadora. Nie będziesz miał mi za złe, jeśli odbiorę swoją marynarkę od smokingu?

- Dlaczego Bradfield zaprosił mnie na obiad? Żeby spotkał się z Siebkronem. Dlaczego zaprosił mnie we wtorek?

- Z braterskich uczuć; co jeszcze?

- Co jest w tym pudle na depesze, że Bradfield tak się wystraszył?

- Jadowite węże.

- Tym kluczem można je otworzyć?

- Nie.

De Lisie usiadł na brzegu wanny.

- Nie powinieneś tego robić - powiedział. - Wiem, co mi powiesz; ktoś musi sobie pobrudzić ręce. Tylko nie oczekuj ode mnie, że będę zadowolony, że to ty. Po prostu nie jesteś pierwszy z brzegu; na tym polega twój problem. Zostaw to ludziom, którzy urodzili się z klapkami na oczach - jego szare, czule oczy przyćmione były troską. - To absurd - oświadczył. - Lu dzie co dzień padają pod ciężarem bycia świętymi. Ty łamiesz się pod ciężarem bycia świnią.

- Dlaczego nie uciekłeś? Dlaczego się tu kręci?

- Będą cię o to jutro pytać.

Turner leżał wyciągnięty na długiej kanapie de Lisie'a. W rękę trzymał whisky, a twarz pokrywał mu żółty środek antyseptyczny z wielkiej apteczki de Lisie'a. Płócienna torba stała w kącie. De Lisie siedział przy klawikordzie, nie grał, tylko głaskał klawisze. Był to osiemnastowieczny instrument z drzewa atlasowego o wierzchu wypłowiałym od tropikalnego słońca.

- Wszędzie to z sobą zabierasz?

- Kiedyś miałem skrzypce. Rozpadły się w L«(opoldville. Klej się rozpuścił. Niesamowicie trudno - zauważył drwiąco - prowadzić życie kulturalne, kiedy klej się rozpuszcza.

- Jeśli Leo jest tak cholernie sprytny, to dlaczego nie wyjechał?

- Może woli być tutaj. Muszę przyznać, że pierwszy raz się z tym spotykam.

- A jeśli oni sątak cholernie sprytni, to dlaczego go nie zabrali?
- Może nie wiedzą, że chodzi samopas.
- Co powiedziałaś?
- Powiedziałem, że może nie wiedzą, że uciekł. Marny ze mnie szpieg, ale jestem człowiekiem i znam Leo. Jest przewrotny. Nie mogę sobie ani przez chwilę wyobrazić, że robił dokładnie to, co mu polecili. Jeśli są jacyś „oni”, w co wątpię. On z natury nie jest niewolnikiem.
- Przez cały czas usiłuję wepchnąć go w jakąś formę. I nic nie pasuje - powiedział Turner.

De Lisie nacisnął palcem kilka klawiszy.

- Powiedz, jakim chcesz go widzieć? Jako biały czy czarny charakter? Czy wolisz po prostu zachować wolność naukowca? Czegoś przecież chcesz, prawda? Bo coś jest lepsze niż nic. Jesteś jak ci nieznośni studenci: nie możesz ścierpieć próżni.

Turner zamknął oczy i zatopił się w myślach.

- Sądzę, że nie żyje - mruknął de Lisie. - To byłoby makabryczne.
- Dziś rano nie był martwy - powiedział Turner.
- A ty nie chcesz, żeby wisiał w próżni. To cię drażni. Chcesz, żeby wylądował albo wystartował. Dla ciebie nie ma półcieni, co? Przypuszczam, że na tym polega zabawa z szukaniem ekstremistów: szukasz ich przekonań, czy tak?
- On nadal ucieka - mówił Turner. - Przed kim ucieka? Przed nami czy przed nimi?

- Może działa na własną rękę.

- Z pięćdziesięcioma skradzionymi pudłami akt? Chyba żartujesz.

De Lisie przyjrzał się dokładnie Turnerowi znad klawikordu.

- Uzupełniacie się. Patrzę na ciebie i myślę o Leo. Jesteś Sasem. Wielkie ręce, wielkie stopy, wielkie serce i ten uroczy rozum zmagający się z ideałami. Z Leo jest całkiem inaczej. To aktor. Nosi nasze ubrania, używa naszego języka, ale jest okiełznany tylko w połowie. Naprawdę wydaje mi się, że jestem po twojej stronie: ty i ja stanowimy publiczność tego koncertu. - Zamknął klawikord. - To my spoglądamy, sięgamy i cofamy się. W każdym z nas jest Leo, ale zazwyczaj nie dożywa dwudziestki.

- A kim ty jesteś?

- Ja? Czasem, niechętnie, dyrygentem. - Wstał, zamknął starannie klawiaturę małym mosiężnym kluczykiem na łańcuszku. - Nawet nie potrafię zagrać kawałka - powiedział, poklepując wyblakłe wieko palcami. - Powtarzam sobie, że zrobię to pewnego dnia; wezmę lekcje albo zajrzę do książki. Ale tak naprawdę niewiele mnie to obchodzi: przyzwyczaiłem się do życia na pół gwizdka. Jak większość z nas.

- Jutro jest czwartek - powiedział Turner. - Jeśli nie wiedzą, że zdradził, to będą czekać, aż się zjawi, prawda?

- Myślę, że tak. - De Lisie ziewnął. - Ale skoro tak, to wiedząc dokąd pójść, prawda, kimkolwiek są? A ty nie wiesz. To minus dla ciebie.

- Może niekoniecznie.

- O.

- Przynajmniej wiemy, gdzie ty go widziałeś tamtego czwartkowego popołudnia, kiedy miał być w ministerstwie? W tym samym miejscu, gdzie zaprowadził Pargiter. To chyba jest jego obszar łowiecki.

De Lisie stał bez ruchu, w rękę nadal trzymał łańcuszek od klucza.

- Myślę, że nie powinienem cię namawiać, żebyś nie szedł?

- Nie powinienes.

- A prosić? Działasz wbrew instrukcjom Bradfielda.

- I co z tego?

- I jesteś chory. W porządku. Idź i poszukaj swojej nieokiełznanej połowy. A jeśli już znajdziesz tę teczkę, spodziewamy się, że zwrócisz ją nie otwartą.

I to, zupełnie niespodziewanie, zabrzmiało jak rozkaz.

14 Czwartkowe

dziecko

P5goda na płaskowyżu była okradziona z innych pór roku i z innych miejsc. Marcowy wiatr śpiewał w drutach, pochylał szorstką trawę i bił w ścianę lasu zajęgo plecami; a gdyby jakaś zwariowana ciotunia zasadziła w piaszczystej ziemi wiecznie zielone araukarie, Turner mógłby pobiec ścieżką i złapać trolejbus na Borriemouth Square. To był listopadowy przymrozek otulający lodem łodygi paproci; to było zimno, które ukryło się przed wiatrem i jak arktyczna woda, objęło mu kostki; to był mróz z kamiennej szczeliny w północnym stoku, kiedy tylko strach zmusza ręce do pracy, a życie jest tym cenniejsze, bo sieje wygrało. Ostatnie promienie oksfordzkiego słońca bohatercko dogorywały na pustym boisku; a niebo było jak yorkshirski jesienny wieczór, czarny, kłębiący się, obrębiony brudem. Podmuchy wiatru przyginały drzewa wyjęte z dzieciństwa, z dzieciństwa Mickiego Crabbe'a, pochylonego nad kurkami w łazience, a kiedy powiew zamierał, czekały w bezruchu, z wygiętym grzbietem, aż nadejdzie następny.

Skaleczenia na twarzy piekły przenikliwie, blade oczy rozjaśniał bezsenny ból. Czekał, patrzył w dół wzgórza. Daleko, po prawej stronie leżała

rzeka i wiatr choć raz ją uciszył, barki nawoływały się na próżno. W jego stronę powoli wspinał się jakiś samochód; czarny mercedes, rejestracja kowieńska, kobieta za kierownicą; nie zwolnił przejeżdżając. Po drugiej stronie drutu stała nowa szatnia z kłódką i zamkniętymi okiennicami. Na dachu usiadł gawron, wiatr mierzwił mu pióra. Renault, numery dyplomatyczne, kobieta za kierownicą, jeden mężczyzna jako pasażer: Turner zapisał numer w czarnym notatniku. Pismo miał niewyrobite i dziecięce, litery wychodziły mu nienaturalnie. Musiał jednak oddać napastnikom, bo dwie kostki prawej dłoni miał brzydko pokaleczone, jakby uderzył w otwarte usta i trafił na czyjeś zęby przednie. Charakter pisma Hartinga był ładny, zaokrąglony, ale pismo Turnera było duże, wyraźne, zapowiadające konfrontację.

- Obaj jesteście mąciicielami, ty i Leo - powiedział ostatniej nocy de Lisie, kiedy siedzieli w głębokich fotelach. - Bonn jest nieruchome, ale wy jesteście mąciicielami... Walczycie przeciwko sobie, ale jest tak, że to wy obaj jesteście przeciwko nam... Przeciwnieństwem miłości nie jest nienawiść, lecz apatia... Musisz pogodzić się z apatią.

- Na litość boską-jęknął Turner.

- Tu wysiadasz - powiedział de Lisie, otwierając mu drzwi samochodu.

- Jeśli nie wrócisz do jutra rana, zawiadomię straż przybrzeżną.

W Bad Godesbergu kupił klucz nastawny z ciężką główką, leżał jak ciężarek na jego biodrze. Bus volkswagen, ciemnoszary, rejestracja SU, pełen dzieci, zatrzymał się przy szatni. Hałas dotarł do niego nagle, hałas stada ptaków szybujących na wietrze, nierówny chór śmiechów i narzekań. Ktoś zagwizdał. Słońce stało nisko, świeciło jak pochodnia w korytarzu. Szatnia połknęła ich.

- Nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś - krzyknął zrozpaczony de Lisie - zbudował swój charakter z samych wad.

• Szybko cofnął się za drzewo. Opel rekord; dwóch mężczyzn. Bońska rejestracja. Klucz uwierał go podczas pisania. Mężczyźni nosili kapelusze i płaszcze i zawodowo nie mieli wyrazu twarzy. Boczne szyby były z przydymionego szkła. Samochód pojechał dalej, ale w spacerowym tempie. Zobaczył, jak ich puste twarze odwróciły się ku niemu, bliźniacze księżycy w sztucznej ciemności. To były wasze zęby? Pomyślał. Czy to w wasze zęby uderzyłem? Nie rozróżniam was. Przez cały czas jadąc pod górę, nie przekraczali dwudziestu kilometrów na godzinę. Przejechała furgonetka, a za nią dwie ciężarówki. Gdzieś dzwonił kurant; a może to dzwonek szkolny? A może Anioł Pański, a może brudne owce w dolinie, a może dzwon promu na rzece? Nigdy więcej już tego nie usłyszy; ale nie ma takiej prawdy, której nie można by potwierdzić, jak powiedziałby pan Crail. Nie, chłopcze, grzechy innych ludzi są ofiarą złożoną Bogu. Twoją ofiarą. Gawron odleciał z dachu. Słońce zaszło. W polu widzenia pojawił się mały citroen. *Dewc chevatcc*, brudny jak mgła, z pogiętym błotnikiem, z nieczytelną tablicą rejestracyjną, z kierownicą ukrytym w cieniu,

z przednim światłem zapalającym się i gasnącym i z klaksonem ryczącym jak na polowaniu. Opel zniknął. Pospieszcie się księżycy, bo przegapicie jego nadejście. Koła chwieją się jak zwiczniete kończyny, gdy samochodzik zjeżdża z drogi i podskakując w zamrzniętych błotnistych koleinach na wykładanej drewnem dróżce, zbliża się do niego, a zadarty kuper kiwa się nad tylną osią. Słyszy grzmot muzyki tanecznej, gdy otwierają się drzwi, w ustach ma sucho od pigulek, a skaleczenia na twarzy są jak ekran z gałązek. Pewnego dnia, gdy świat będzie wolny, zapewnia go jego rozgorączkowany umysł, chmury wybuchną, gdy zderzą się ze sobą, a aniołowie Pańscy, oszołomieni widokiem świata, spadną na dół. Po cichu wrzucił klucz z powrotem kieszeni.

Stała tyłem, o niecałe dziesięć metrów od niego, nie zważała zupełnie na wiatr ani na dzieci, które wypadły teraz na boisko.

Patrzyła w dół wzgórze. Silnik nadal pracował, wstrząsając samochodem. Wycieraczka szorowała niepotrzebnie po brudnej szybie. Przez godzinę prawie się nie ruszała.

Przez godzinę czekała w orientalnym bezruchu, wypatrując tego, kto nie nadchodził. Stała jak pomnik, urosła, gdy ogarnęły ją ciemności.

,> Wiatr szarpał jej płaszcz. Raz podniosła dłoń, żeby odgarnąć zabłąkane kosmyki włosów i raz podeszła do końca wykładanej drewnem dróżki, żeby popatrzeć na dolinę rzeki w stronę Königswinter; potem powoli wróciła, zatopiona w myślach, a Turner padł na kolana za drzewami, modląc się, żeby cień go osłonił,

“ Jej cierpliwość się skończyła. Hałaśliwie wsiadła do samochodu, zapaliła?, papierosa i nacisnęła klakson otwartą dłonią. Dzieci zapomniały o grze i Uśmiechnęły się, słysząc szorstkie warknięcie wyczerpanego akumulatora. Wróciła cisza.

; Wycieraczka zatrzymała się, ale silnik nadal pracował, dodawała obrotów, żeby podkreślić ogrzewanie. Okna podchodziły mgłą. Otworzyła torebkę, wyjęła z niej lusterko i pomadkę do ust.

Siedziała oparta o siedzenie, z zamkniętymi oczami, słuchała muzyki, jedną ręką delikatnie wybijając rytm na kierownicy. Usłyszała samochód, otworzyła drzwi i wyjrzała, ale to był tylko czarny opel rekord zjeżdżający powoli ze wzgórze i chociaż oba księżycy skierowane były ku niej, nie wzbudziło to w niej żadnego zainteresowania.

Boisko było puste. W szatni zamknięto okiennice. Włączyła lampkę nad głową i spojrzała na zegarek. Pierwsze światła zapalały się w dolinie, a rzeka skryła się pod niską powłoką wieczornej mgły. Turner ciężkim krokiem wszedł na ścieżkę i otworzył szeroko drzwi pod strony siedzenia pasażera.

- 'Czekamy na kogoś? - zapytał i usiadł obok niej, szybko zamykając drzwi, tak że światelko znów zgasło. Wyłączył radio.

- Myślałam, że już wyjechałeś - powiedziała ostro. - Myślałam, że mój mąż się ciebie pozbył. - Opanował ją strach, gniew, upokorzenie. - Sledziłeś mnie przez cały czas! Czaiłeś się w krzakach jak szpicel! Jak śmiałeś? Ty wulgarny, cholerny człowieczku! - Podniosła zaciśniętą pięść i chyba się zawahała, gdy zobaczyła w jakim stanie jest jego twarz, ale to nie miało wielkiego znaczenia, bo jednocześnie Turner uderzył ją tak mocno w usta, że głowa odleciała jej w bok i uderzyła z trzaskiem w słupek. Otworzył drzwi, obszedł samochód, wyciągnął ją i jeszcze raz uderzył otwartą dłonią.

- Idziemy na spacer - powiedział. -I porozmawiamy o twoim wulgarnym cholernym kochanku.

Poprowadził ją wyłożoną drewnem dróżką aż na szczyt wzgórza. Szła niechętnie, oburącz trzymała go za ramię, popłakując po cichu.

Patrzyli w dół, na Ren. Wiatr osłabł. Nad nimi świeciły już pierwsze gwiazdy, dryfując po niebie jak iskierki fosforu po łagodnie falującym morzu. Wzdłuż rzeki seriami zapalały się światła, przygasały w momencie narodzin, a potem cudownie wracały do życia, rosnąc do rozmiarów małych ognisk, rozniecanych czarną nocną bryzą. Docierały do nich tylko odgłosy rzeki; sapanie barek i dziecinne dzwoneczki zegarów wybijających kwarty. Dolatywał ich zgniły zapach samego Renu, czuli jego chłodny oddech na dłoniach i policzkach.

- To się zaczęło jak wyzwanie.

Stała obok niego patrząc w dolinę, ramionami obejmowała ciało, jakby trzymała ręcznik.

- On już więcej nie przyjdzie. Ja wiem.

- Dlaczego nie przyjdzie?

- Leo nigdy nie mówi niczego bez celu. - Zapaliła papierosa. - Bo nigdy nie przestanie szukać, dlatego.

- Czego szukać?

- A czego my wszyscy szukamy? Rodziców, dzieci, kobiety. - Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz. -No, dalej - powiedziała wyzywająco. - Pytaj o resztę.

Turner czekał.

- Kiedy doszło między nami do zbliżenia, to chcesz wiedzieć? Przespałabym się z nim natychmiast, gdyby o to poprosił, ale on nie mógł się do tego przekonać, bo jestem żonąRawleya, a on wiedział, że porządnych ludzi jest mało. Chodzi mi o to, że wiedział, że musi jakoś żyć. To był lizus, nie rozu miesz? - Przerwała. - Jestem idiotką, że ci to wszystko mówię.

- Byłabyś większą idiotką, gdybyś nic nie powiedziała. Masz poważne kłopoty - powiedział Turner. - Na wypadek, gdybyś o tym nie wiedziała.
- Byliśmy dwojgiem starych dziwek i zakochaliśmy się w sobie.

Siedziała na ławce, bawiąc się rękawiczkami.

- To było na raucie. Cholerny boński raut z panierowaną kaczką i koszmarnymi Niemcami. Ktoś kogoś witał. Ktoś się żegnał. Chyba to byli Amerykanie. Pan i pani Ktośtam Trzeci. Jakaś uczta na cześć dynastii. Przerażająco prowincjonalna. - Jej głos był szybki, pełen fałszywej pewności siebie, ale mimo wysiłków nie mogła pozbyć się nury z trudem zdobytej sprawności, którą Turner słyszał u wszystkich żon brytyjskich dyplomatów na całym świecie; głos do mówienia, gdy zapada cisza, gdy trzeba pokryć zażenowanie, ukryć obrazę; głos, który nie jest ani szczególnie wyrafinowany, ani szczególnie kulturalny, ale uparczywie trzymający się kursu. - Przyjechaliśmy prosto z Adenu i jesteśmy tu dokładnie od roku. Przedtem byliśmy w Pekinie, a teraz jesteśmy w Bonn. Od końca października: października Karfelda. Sytuacja zaczęła być wtedy gorąca. W Adeniu rzucono na nas bombę, w Pekinie obiegł nas tłum, a teraz mają nas spalić na Rynku. Biedny Rawley: zdaje się przyciągać upokorzenia. Był też jeńcem wojennym, wiesz? Powinna być taka nazwa: upokorzone pokolenie.

- Zakochałby się w tobie za to, co powiedziałaś - stwierdził Turner.

- Kocha mnie i bez tego - przerwała. - Śmieszne. Wcześniej wcale go nie zauważałam. Myślałam, że to taki nudnawy, malutki... pracownik kontraktowy. Afektowany człowieczek, który gra w kościele na organach i pali te śmierdzące cygara... Nic... Zero. A tamtego wieczoru, w chwili, gdy wszedł, gdy pojawił się w drzwiach, poczułam, że wybrał mnie i pomyślałam: „Uwaga. Nalot”. Podszedł prosto do mnie. „Cześć, Hazel”. Nigdy w życiu nie nazwał mnie wcześniej Hazel i pomyślałam: „Ty bezczelny łobuzie, będziesz musiał na to zapracować”.

- To ładnie z twojej strony, że podjęłaś ryzyko - powiedział Turner.

- Zaczęła opowiadać. Nie wiem, o czym, nigdy nie zwracałam uwagi na to, co mówi; w każdym razie nie bardziej niż on. Chyba o Karfeldzie. O zamieszkach. O całej tej wrzawie. Ale zauważyłam go. Po raz pierwszy. - Zamilkła. - I pomyślałam sobie: gdzie byłeś przez całe moje życie? To było tak, jakbym przeglądała stare wyciągi bankowe i spostrzegła, że mam kredyt zamiast debetu. On był żywy. - Roześmiała się. - Nie taki jak ty. Jesteś najbardziej martwym stworem, jakiego w życiu widziałam.

Turner uderzyłby ją znowu, gdyby nie to, że jej kpina była tak koszmarnie znajoma.

- Najpierw zauważało się napięcie. On się bardzo pilnował. Pilnował języka, zachowania... wszystko w nim było sztuczne. Miał się na baczności.

Przysłuchiwał się własnemu głosowi, jakby słuchał innej osoby, ustawiał właściwie kadencję, szeregował przysłówki, żeby stały we właściwych miejscach. Próbowała go umiejscowić: za kogo bym cię uważała, gdybym nie wiedziała, kim jesteś? Niemiec z Południowej Ameryki?... Argentyński przedstawiciel handlowy? Coś z tych rzeczy. Zlatynizowany Szwab, który nabrał ogłady. - Znow przerwała, zatopiła się we wspomnieniach. - Znał te aksamitne, niemieckie słówka i używał ich jako ozdobników, żeby wprowadzać równowagę w każdym zdaniu. Poprosiłam go, żeby opowiedział o sobie, o tym, gdzie mieszka, kto mu gotuje, jak spędza weekendy. Pamiętam też, że dawał mi jakieś rady. Rady dyplomatyczne: gdzie kupować tanie mięso. Holender mato, NAAFI co innego; masło z Economat, orzechy ze sklepu na zamówienie. Mówił jak kobieta. Wygłosił wykład o herbatach ziołowych: Niemcy są zwariowani na punkcie trawienia. Potem zaproponował, że sprzeda mi suszarkę do włosów. Z czego się śmiejesz? - zapytała z niespodziewaną wściekłością.

- Naprawdę się śmieję?

- Miał jakiś sposób na to, żeby dostawać zniżkę: dwadzieścia pięć procent, powiedział. Porównał wszystkie ceny, znał wszystkie modele.

- Przyjrzał się też twoim włosom.

Odwróciła się do niego:

- Trzymaj się swojego miejsca - parsknęła. - Nie dorastasz mu do pięt.

Znow ją uderzył, długim zamaszystym ciosem, mocno, w policzek.

- Ty draniu - powiedziała i pobladła w ciemnościach, drżąc z gniewu.

- Szybko, mów dalej.

Znowu zaczęła:

- Więc powiedziałam: tak. Miałam już dosyć tego wszystkiego. Rawley zaszył się w kącie z radcą francuskiej ambasady; wszyscy inni walczyli o jedzenie przy bufecie. Więc powiedziałam: tak, chciałabym mieć suszarkę do włosów. Z dwudziestopięcioprocentową zniżką. Obawiałam się, że nie mam przy sobie pieniędzy; czy mógłby wziąć czek? Z równym po wodzeniem mogłabym powiedzieć: tak, pójdę z tobą do łóżka. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam, jak się uśmiecha; z reguły nieczęsto się uśmiechał. Rozjaśniała się mu się cała twarz. Powiedziałam, żeby wziął sobie coś do jedzenia i patrzyłam za nim przez cały czas i myślałam, jak to będzie. Miał kaczy chód... „*Eiertanz*” mówią na to tutaj... Niemcy tłoczyli się przy barze, walczyli o szparagi, a on po prostu przemknął między nimi i wrócił z dwoma talerzami załadowanymi jedzeniem i nożami, i widelca mi sterczącymi z butonierki; uśmiechał się jak wariat. Mam brata o imieniu Andrew, który gra w rugby, stoi w młynie. Byli prawie nie do odróżnienia. Od tej chwili już się nie martwiłam. Jakiś okropny Kanadyjczyk usiłował mnie dorwać, żebyśmy wysłuchała wykładu o rolnictwie. Ci Kanadyjczycy to

ostatni ludzie, którzy jeszcze wierzą w to wszystko. Są jak Brytyjczycy w Indiach.

Usłyszała jakiś dźwięk, odwróciła głowę i spojrzała na ścieżkę. Pnie rysowały się czernią na tle horyzontu, wiatr opadł, nocna rosa zwilżyła ich ubrania.

- Nie przyjdzie. Sama to powiedziałaś. Mów dalej. Pośpiesz się.

- Siedzieliśmy na schodach i on znów zaczął mówić o sobie. Nie potrzebował zachęty. To po prostu szło samo... i było fascynujące. O powojennych Niemczech: „Tylko rzeki pozostały całe”. Nie rozróżniałam, kiedy tłumaczy z niemieckiego, kiedy idzie za własną wyobraźnią, a kiedy po prostu powtarza to, co kiedyś usłyszał. - Zawahała się i znów spojrzała na ścieżkę. - Jak kobiety po nocach budowały przy świetle lamp łukowych... podawały sobie kamienie, jakby gasiły pożar... Jak nauczył się spać w ciężarówce, z gaśnicą pod głowazamiast poduszki. Trochę się zgrywał, przekrzywił głowę na bok, krzywił usta, żeby pokazać jaki ma sztywny kark. Sypialniane zabawy. - Nagle wstała. - Wracam. Jeśli zobaczy pusty samochód, to ucieknie; jest nieufny jak kot.

Poszedł za nią do wykładanej drewnem dróżki, ale wzgórze było puste, jeśli nie liczyć opła rekorda zaparkowanego w zatoczce z wyłączonymi światłami.

- Wsiadaj do samochodu - powiedziała. - Nie zwracaj na nich uwagi.

Po raz pierwszy, przy świetle lampki sufitowej, zauważyła ślady na jego twarzy i gwałtownie nabrała powietrza.

- Kto to zrobił?

- Jemu też to zrobią, jeśli znajdą go pierwsi.

Leżała w fotelu z zamkniętymi oczami. Ktoś zerwał materiał z dachu. Zwiślał jak łachmany zebraka. Na podłodze leżała kierownica od dziecięcej zabawki z przymocowaną plastikową rurką, Turner odsunął ją nogą.

- Czasem sobie myślałam: jesteś nikim. Udajesz tylko, że żyjesz. Nie wolno tak myśleć o kochanku. Myślę, że był dobrym negocjatorem, był aktorem. Miotał się między różnymi światami: Niemcy i Anglia, Königswinter i Bonn, kościół i wyprzedaż z obniżką, pierwsze piętro i parter. Nie można stoczyć tyłu bitew naraz i zostać przy życiu. Czasem nas po prostu obsługiwał - po wiedziała. - Albo mnie. Jak kelner. Wszyscy byliśmy jego klientami. On nie żył, tylko walczył o przeżycie. Zawsze walczył o przeżycie i wygrywał. Aż do tej pory. - Zapaliła jeszcze jednego papierosa. W samochodzie było bardzo zimno. Spróbowała zapalić silnik i włączyć ogrzewanie, ale nie było zapłonu. - Rawley odszukał mnie i wyszliśmy jako ostatni. Pokłócił się o coś z Lesere'em i był zadowolony, że jego było na wierzchu. Leo i ja siedzieliśmy na schodach, piliśmy kawę, a Rawley po prostu podszedł i pocałował mnie w policzek. Co to było?

- Nic.
- Widziałam światło pod wzgórzem.
- To rower przejeżdżał drogę. Już go nie ma.
- Nienawidzę, jak całuje mnie publicznie; wie, że nie mogę go powstrzymać. Nigdy nie robi tego, gdy jesteśmy sami. „No, kochanie, czas na nas”. Leo wstał, kiedy zobaczył, że nadchodzi, ale Rawley nawet go nie zauważył. Zaprowadził mnie do Lesere'a. „To jest osoba, którą naprawdę powinieneś przeprosić - powiedział - przez cały wieczór siedziała samotnie na schodach”. Potem Rawley zatrzymał się, żeby wziąć płaszcz, a Leo już mu go podawał. - Uśmiechnęła się i był to uśmiech prawdziwej miłości, cieszyło ją to wspomnienie. - Wydawało się, że mnie nie widzi. Rawley odwrócił się do niego tyłem i włożył ręce w rękawy. Zobaczyłam, że Leo sztywnieją ręce, a palce się zaciskają. Byłam z tego zadowolona. Chciałam, żeby Rawley tak się zachował. Dałam się złapać. Następnego dnia zadzwoniłam do Mary Crabbe i i zapytałam ją o niego. Ot tak, dla żartu. „Zeszłej nocy poznałam nadzwyczajnego człowieczka - powiedziałam. - Mary się wściekła: - „Kochanie, to trucizna. Trzymaj się od niego z daleka. Kiedyś wyciągnął Mickiego do nocnego klubu i wpędził go w straszne tarapaty. Na szczęście, jego kontrakt wygasa w grudniu i będzie musiał wyjechać”. Spróbowałam z Sally Askew, jest bardzo poważna. Mało nie umarłam - roześmiała się, potem przyciągnęła podbródek do piersi, naśladując donośny głos żony ministra do spraw ekonomicznych: „To użyteczny kawaler, kiedy Hunów nie ma pod dostatkiem”. Często tak się zdarza, że więcej jest nas niż Niemców. Zbyt wielu dyplomatów ugania się za kilkoma Niemcami: takie jest Bonn. Zdaniem Sally problem polegał na tym, że Niemcy starej szkoły nie lubią takich jak Leo, więc ona i Aubrey, z niechęcią, ale musieli z niego zrezygnować. „On jest nieświadomie irytujący, moja droga, jeśli wiesz, co mam na myśli”. Byłam absolutnie podekscytowana. Odłożyłam słuchawkę, wpadłam do salonu i napisałam do niego długi list o niczym.

Jeszcze raz spróbowała uruchomić silnik, ale nawet nie zakasłał. Mocniej otuliła się płaszczem.

- No, Leo - szepnęła. - Przecież nie zawiedziesz prawdziwej przyjaciółki.

W czarnym opłu zapaliło się i zgasło światelko. Jak sygnał. Turner nie powiedział nic, ale jego palce lekko dotknęły klucza w kieszeni.

- List pensjonarki. Dziękuję, że był pan taki troskliwy. Przepraszam, że zabrałam panu czas i proszę pamiętać o suszarce do włosów. A potem długa wymyślona historyjka o tym, jak poszłam na zakupy do *Spanischer Garten*, a jakaś starsza pani upuściła monetę dwumarkową do skrzynki z pomarańczami i nikt jej nie mógł znaleźć, a ona powiedziała, że to zapłata, bo zostawiła ją

w sklepie. Osobiście zaniósłam list do ambasady i jeszcze tego samego popołudnia zadzwonił. Powiedział, że są dwa modele, ten droższy ma różne prędkości i nie potrzeba do niego trójnika.

- Transformatora.

- A jaki kolor? Powiedział, że trudno mu podjąć za mnie decyzję w sprawie szybkości i kolorów. Czy moglibyśmy spotkać się i omówić te sprawy? To był czwartek i spotkaliśmy się tutaj. Powiedział, że przychodzi tu co czwartek, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i popatrzeć na dzieci. Nie uwierzyłam mu, ale byłam bardzo szczęśliwa.

- Tylko tyle powiedział o tym miejscu?

- Raz powiedział, że samu winni czas.

- Kto?

- Ambasada. Coś, co Rawley mu zabrał i oddał komuś innemu. - Pokręciła głową z autentycznym podziwem. - Jest uparty jak osioł - oświadczyła. - „Oni są mi to winni - powiedział. - Więc sobie odbieram. W taki sposób podchodzę do życia”.

- Wspomniałaś, że nie mówił różnych rzeczy?

- Nie tych najmielszych.

Czekał.

- Po prostu spacerowaliśmy i patrzyliśmy na rzekę, a w drodze powrotnej trzymaliśmy się za ręce. A kiedy mieliśmy się rozstać, powiedział: „Zapomniałem pokazać ci suszarkę do włosów”, więc ja odpowiedziałam: „Jaka szkoda. Będziemy musieli spotkać się tutaj w następnym czwartek, prawda?” Był po prostu wstrząśnięty. -Jego głos również naśladowała: było to zarówno szydercze, jak i zaborcze, jakby nie zwracała uwagi na obecność Turnera. - „Moja droga pani...”, a ja powiedziałam: „Jak przyjedziesz za tydzień, pozwolę ci mówić do mnie Hazel”. Jestem dziwką- dodała. - Wiem, że tak o mnie myślisz.

- A potem?

- Spotykaliśmy się co czwartek. Tutaj. Parkował samochód na w dole, przy dróżce, a ja zostawiałam swój na drodze. Byliśmy kochankami, ale nie poszliśmy do łóżka. To było bardziej dojrzałe. Czasem coś mówił, czasem nie. Ciągłe pokazywał mi swój dom po drugiej stronie rzeki, jakby chciał mi go sprzedać. Przechodziliśmy dróżką z jednego wzgórza na drugie, żeby go zobaczyć. Czasem drażniłam się z nim: „Jesteś szatanem, który pokazuje mi swoje królestwo”, Nie przejmował się tym. I nigdy niczego nie zapominał. Był w nim ktoś, komu udało się przeżyć. Nie chciał, żebym mówiła o złości, bólu albo czymś takim. Znał to wszystko na wylot.

- A co do reszty?

Zobaczył, że pochyla głowę, a uśmiech znika jej z twarzy.

- Reszta była wózków Rawleya. W piątki. Leo był mściwy. Zawsze wiedział, kiedy Rawley wyjeżdża: sprawdzał to w wydziale podróży, w re-

zerwacjach. Mówił mi: w przyszłym tygodniu jest w Hanowerze... albo w Bremie.

- Po co Bradfield tam jeździł?

- O Boże. Wizytował konsulaty... Leo zadawał mi to samo pytanie: a skąd miałam to wiedzieć? Rawley nigdy mi nic nie mówi. Czasem myślałam, że jeździł za Karfeldem po Niemczech... zawsze jakoś bywał w tych miejscach, gdzie urządzono wiece.

- I wtedy to się zaczęło?

Wzruszyła ramionami.

- Tak. Wtedy się zaczęło. Jak tylko było to możliwe.

- Czy Bradfield o tym wiedział?

- O Boże. Wiedział? Nie wiedział? Jesteś gorszy od Niemców. To było coś pomiędzy. Chcesz, żeby ludzie jasno się przed tobą określali, prawda? Niektóre rzeczy nie dadzą się tak prosto powiedzieć. Niektórych rzeczy nie ma, dopóki ich się nie zdefiniuje. Rawley wie o tym lepiej niż ktokolwiek.

- Tłumaczysz wszystko na swoją korzyść - szepnęła Turner. - I przypomniał sobie, że trzy dni wcześniej powiedział *to* samo Bradfieldowi.

Patrzyła przed siebie przez szybę.

- Ile wari są ludzie? Dzieci, mężowie, kariery. Spadasz na dno, a oni mówią, że to ofiara. Jeśli przetrwasz, nazywają cię suką. Daj z siebie wszystko. W imię czego? Nie jestem Bogiem. Nie mogę wszystkich utrzymać na swoich ramionach. Żyję dla nich; a oni żyją dla kogoś innego. Wszyscy jesteśmy świętymi. Wszyscy jesteśmy głupcami. Dlaczego nie żyjemy sami dla siebie i dla odmiany tego właśnie nie nazwiemy służbą?

- Czy wiedział?

Złapał ją za ramię.

- Wiedział!

Łzy spływały jej po obu stronach nosa. Wytarła je.

- Rawley jest dyplomata - powiedziała w końcu. - Sztuka tego, co możliwe, oto cały Rawley. Ma wyznaczony cel. Sprawny umysł. „Nie gorączkujemy się. Nie nazywamy rzeczy po imieniu. Nie negocjujemy, skoro nie wiemy, co chcemy osiągnąć”. On nie jest... nie jest w stanie wściec się, nie on. Nie może poświęcić się dla czegokolwiek. Poza mną.

- Ale wiedział.

- Chyba tak - powiedziała zmęczonym głosem. - Nigdy go o to nie pytałam. Tak, wiedział.

- Bo kazałaś mu odnowić kontrakt. W grudniu. Wymusiłaś to.

- Tak. To było okropne. Po prostu koszmarnie. Ale trzeba było tak zrobić - powiedziała, jakby mówiła o jakiejś wyższej sprawie, której oboje są świadkami. - Albo odesłałby Leo.

- I tego właśnie Leo chciał. Dlatego cię poderwał.

- Rawley ożenił się ze mną dla pieniędzy. Dla tego, co mógł ze mnie wydobyć - powiedziała. - A on został ze mną z miłości. Czy to cię zadowala.

Turner nie odpowiedział.

- Nigdy nie ujął tego w słowa. Nie używał wielkich słów. „Potrzebny mi tylko rok. Jeszcze jeden rok, Hazel. Jeden rok, żeby cię kochać, jeden rok, żeby odzyskać to, co sami winni. Jeden rok, licząc od grudnia, i wtedy odejdę. Oni nie zdają sobie sprawy, jak bardzo mnie potrzebują”. Zaprosiłam go na drinka, wtedy kiedy był Rawley. To było dość wcześnie, jeszcze zanim zaczęły się plotki. *Byliśmy tylko we troje; kazałam JRawJeyowi wrócić wcześniej.* „Rawley, to jest Leo Harting, pracuje dla ciebie i gra na organach w kościele”. „Oczywiście, spotkaliśmy się już”, powiedział. Rozmawialiśmy o głupstwach. Wiosenne urlipy. Jak jest latem w Kónigswinter. „Pan Harting zaprosił nas na obiad - powiedziałam. - Czy nie jest uroczy?” W następnym tygodniu pojechaliśmy do Kónigswinter. Poczęstował nas smakołykami: herbatniki ratafiowymi ze słodyczami, chałwą z kawą. To wszystko.

- Jakie wszystko?

- O Boże, nie rozumiesz? Pokazałam mu! Pokazałam Rawleyowi, co ma mi kupić!

Zapadła cisza. Gawrony sterczały jak wartownicy na kołyszących się powoli gałęziach. Nie było już wiatru, który straszylby im pióra.

- Czy są jak konie? - zapytała. - Śpią na stojąco?

Odwrociła głowę, żeby na niego spojrzeć, ale Turner nie odpowiedział.

- Nienawidził ciszy - powiedziała sennie - przerażała go. Dlatego lubił muzykę i swój dom... bardzo hałaśliwy. Nawet zmarły nie mógłby tam za snąć. Tylko Leo.

Uśmiechnęła się do wspomnień.

- On w nim nie mieszkał, trzymał wartę. Jak na okręcie. Przez całą noc biegał w górę i w dół naprawiał to okno, to okiennicę, to coś jeszcze. Całe jego życie takie było. Skryte obawy, skryte wspomnienia; rzeczy, o których nigdy by nie opowiedział, ale chciał, żeby się o nich wiedziało. - Ziewnęła.

- Nie przyjdzie - powiedziała. - Ciemności też nienawidził.

- Gdzie on jest? - zapytał nagle Turner. - Co robi?

Nie odpowiedziała.

- Słuchaj, rozmawiał z tobą. W nocy pysznił się, opowiadał ci, jak sprawa, żeby świat działał na jego korzyść. Jaki jest sprytny, jakie rzeczy rozgrywa, ilu ludzi nabiera!

- Nie rozumiesz go. Zupełnie.

- Więc powiedz mi!

- Nie ma o czym mówić. Byliśmy bliskimi przyjaciółmi. To wszystko. On nadawał z innego świata.

- Z jakiego świata? Z cholernej Moskwy o walce o pokój?
- Wiedziałaś, że jesteś wulgarny. Chcesz, żeby wszystkie klocki pasowały, a kolory były wyraźne. Brakuje ci czegoś, żeby zaakceptować półtony.
- Mów.
- Patrzyła, jakby o nim już zapomniała.
- Jedźmy, na litość boską- powiedziała energicznie, jakby Turner kazał jej czekać.

Musiał długo pchać samochód dróżką, zanim zapalił. Kiedy zjeżdżali ze wzgórza, zobaczył, jak opel wytacza się z zatoczki i pospieszenie zajmuje stałą pozycję trzydzieści metrów za nimi. Jechała do Remagen, jednego z wielkich hoteli na brzegu rzeki prowadzonego przez starszą panią, która poklepała ją po ramieniu. „Gdzie jest nasz mały pan? - zapytała. - *Der noctte kleine Herr*, zawsze taki wesoły, co palił cygara i mówił taką świetną niemieczyzną”.

- Mówił z akcentem - wyjaśniła Turnerowi. - Z lekkim angielskim akcentem. Sam się tego nauczył.

Pokój widokowy był pusty, jeśli nie liczyć młodej parki w kącie. Dziewczyna miała długie blond włosy. Patrzyła na niego ze zdziwieniem, bo miał pokiereszowaną twarz. Od stolika przy oknie Turner zobaczył, jak opel parkuje przy esplanadzie pod nimi. Tablica rejestracyjna się zmieniła, ale księżycy były te same. Strasznie bolała go głowa. Nie wypił więcej niż połowę whisky, gdy zebrało mu się na wymioty. Poprosił o wodę. Starsza pani przyniosła butelkę miejscowej wody leczniczej i opowiedziała mu o niej wszystko. Używali jej podczas obu wojen, wyjaśniła, kiedy hotel był punktem pierwszej pomocy dla tych, którzy zostali ranni podczas prób przepłynięcia przez rzekę.

- Miał się tu ze mną spotkać w ostatni piątek - powiedziała. - I zabrać do domu na obiad. Rawley wyjeżdżał do Hanoweru. Leo wycofał się w ostatniej chwili.

- W czwartek po południu spóźnił się. Nie zwróciłam na to uwagi. Czasem w ogóle się nie pojawiał. Czasem pracował. To było co innego. Mniej więcej przez ostatni miesiąc. Zmienił się. Z początku myślałam, że ma inną kobietę. Zawsze wymykał się do różnych miejsc...

- Jakich miejsc?

- Raz do Berlina. Do Hamburga. Hanoweru. Stuttgartu. Jak Rawley. Tak przynajmniej mówił. Niezbyt mocno trzymał się prawdy. Nie to co ty.

- Spóźnił się w ostatni czwartek. Mów dalej!

- Jadł lunch z Praszka.

- W Maternusie - szepnęła Turner.

- Mieli dyskusję. To jeszcze jeden neologizm Leo. Tak jak strona bierna. Miała miejsce dyskusja. Nie powiedział o czym. Był czymś zajęty. Zasepiony.

Znam go dobrze, więc nie próbowałam go z tego wyciągnąć i tylko spacerowaliśmy. A oni nas obserwowali. A ja wiedziałam, że to już to.

- Jakie to?

- Ten rok, którego chciał. Znalazł to, czego szukał, a teraz nie wiedział, co z tym zrobić. - Wzruszyła ramionami. - Ja też coś znalazłam. Nigdy nie zdał sobie sprawy, że gdyby tylko kiwnął palcem, spakowałabym walizki i poszła za nim. - Patrzyła na rzekę. - Ani dzieci, ani mężowie, ani inne cholerne sprawy nie zatrzymałyby mnie. Gdyby mnie tylko chciał.

- A co on znalazł? - zapytał Turner.

- Nie wiem. Znalazł to i rozmawiał z Praszką, ale z Praszki nie było pożytku. Leo o tym wiedział, ale musiał pójść i sam się przekonać. Musiał się upewnić, że będzie działać sam.

- Skąd o tym wiesz? Co ci powiedział?

- Chyba mniej, niż mu się zdawało. Uznał, że jestem jego częścią i stąd to się brało. - Wzruszyła ramionami. - Byłam przyjacielem, a przyjaciele nie zadają pytań. Prawda?

- Mów dalej.

- „Rawley jedzie do Hanoweru” - powiedział. - „W piątek wieczór Rawley chce jechać do Hanoweru”. Więc Leo weźmie mnie na obiad do Königswinter. Specjalny obiad. Powiedziałam: „Żeby coś uczcić? Nie, nie, Hazel. Nie żeby uczcić”. Ale teraz wszystko już jest specjalne, a poza tym nie ma wiele czasu. Nie dostanie kolejnego kontraktu. Po tym grudniu nie zostanie na następny rok. Więc chyba możemy zjeść raz na jakiś czas dobry obiad? I popatrzył na mnie bardzo przebiegle i jeszcze raz przeszliśmy dokoła. Powiedział, że spotkamy się w Remagen. A potem dodał: „Hazel, czego, u diabła, Rawley szuka w Hanowerze? Na dwa dni przed wieczem?”

Umiała naśladować również miny Leo, zmarszczenie brwi, niemieckie marszczenie brwi, podkreślające przesadnie szczerłość, czym na pewno drażniła go, gdy byli razem.

- A czego tam szukał Rawley? - zapytał Turner.

- Niczego, jak się okazało. Nie pojechał. A Leo musiał o tym wiedzieć, bo się nie pojawił.

- Kiedy?

- Zadzwoił w piątek rano.

- Co powiedział? Dokładnie, co powiedział?

- Dokładnie powiedział, że dziś wieczór nie da rady. Nie podał przyczyny. W każdym razie prawdziwej. Jest mu strasznie przykro, ale coś musi zrobić. Bardzo pilnie. Mówił urzędowym tonem: „Niezmiernie mi przykro, Hazel”.

- To wszystko?

- Powiedziałam: „W porządku”. - Zachowywałam się nonszalancko, żeby zagłuszyć dramat. I jeszcze: „Życzę szczęścia”: - Wzruszyła ramionami. - Od tej pory nie miałam z nim kontaktu. Zniknął, a ja się martwiłam. Wydzwaniałam do niego do domu dzień i noc. Dlatego przyszedłeś na obiad. Myślałam, że coś wiesz. Ale nie wiedziałeś. Głupi by to poznał.

Blondynka wstała. Miała na sobie długi zamszowy kostium i musiała pociągnąć za materiał w kroczu, żeby wyprostować ostre załamania. Starsza pani wypisywała rachunek. Turner zwołał ją i poprosił jeszcze o wodę, a ona wyszła z pokoju, żeby ją przynieść.

- Widziałeś już ten klucz?

Niezdarnie wyjął go z koperty i położył przed nią na obrusie. Podniosła go i trzymała ostrożnie w dłoni.

- Skąd to masz?

- Z Kónigswinter. Był w niebieskim garniturze.

- Ten garnitur nosił w czwartki - powiedziała, przyglądając się kluczowi.

- Dałaś mu ten klucz, prawda? - zapytał, nie skrywając odrazy. - Klucz do domu?

- Być może tego właśnie bym mu nie dała - odparła po chwili. - To jest jedyna rzecz, której bym dla niego nie zrobiła.

- Mów.

- Myślę, że tego chciał od Pargiter. Ta suka Mary Crabbe powiedziała mi, że miał z nią romans. - Spojrzała w dół, na esplanadę, na czekającego opla, zaparkowanego w cieniu między lampami, potem za rzekę, na stronę Leo.

- Powiedział, że ambasada ma coś, co należy do niego. Coś z dalekiej przeszłości. „Oni są moimi dłużnikami, Hazel”. Nie powiedział, co to jest. Wspomnienia, powiedział. To miało związek z przeszłością, a ja mogłabym mu dać klucz, żeby mógł je zabrać. Powiedziałam mu: „Porozmawiaj z nimi. Zwróć się do Rawleya, jest ludzki”. „Nie - powiedział. - Rawley jest ostatnim człowiekiem na ziemi, do którego mógłbym się zwrócić. To nie jest nic cennego. Trzymają to pod kluczem i nawet nie wiedzą, że to mają. Chcesz mi przerwać. Nie rób tego. Po prostu posłuchaj. I tak mówię ci więcej, niż na to zasługujesz”.

Wypiła trochę whisky.

- To było jakoś za trzecim razem... u nas w domu. Leżał w łóżku i po prostu mówił o tym: „To nic złego - powiedział. - To nic politycznego, tylko coś, co mi się należy”. Gdyby był urzędnikiem dyżurnym, o nic by mnie nie prosił, ale jego nie dopuszczano do dyżurów. Jest pewien klucz, nie będzie im potrzebny, i tak nikt nie wie, ile ich jest. On musi mieć ten klucz. Rawley go fascynował. Uwielbiał jego garderobę. Wszystkie te dodatki džentelmena.

Uwielbiał na nie patrzeć. Czasem to ja byłem dla niego takim dodatkiem. Jako żona Rawleya. Spinki do mankietów, szkice Edwarda Leara... Chciał wiedzieć o wszystkim, na przykład, kto czyści jego buty, gdzie szyje sobie garnitury. Właśnie, gdy się ubierał, wtedy rozgrywał swoją kartę. Udawał, że pamięta o czym mówił przez całą noc. „Hazel, mogłabyś dać mi ten klucz. Kiedy Rawley pracuje do późna w nocy? Mogłabyś go zawołać, powiedzieć, że zostawiłaś coś w sali zebrań. To bardzo proste. Ten klucz nie jest taki jak inne. Łatwo go rozpoznać, Hazel". To jest ten klucz - stwierdziła stanowczo, wręczając go Turnerowi z powrotem. - „Jesteś sprytny - powiedziałam. - Znajdziesz jakiś sposób".

- To było przed Bożym Narodzeniem?

- Tak.

- Co za cholerny głupiec ze mnie - szepnęła Turner. - Jezu Chryste!

- Dlaczego? O co ci chodzi?

- O nic. - W oczach zalśnił mu sukces. - Na chwilę zapomniałem, że był złodziejem. Myślałem, że podrobił ten klucz, a on po prostu go ukradł. Oczywiście!

- Nie jest złodziejem! Jest dziesięć razy lepszym mężczyzną niż ty.

- Oczywiście. Oboje byliście bardzo podnośli. Już słyszałem te wszystkie bzdury, możesz mi wierzyć. Żyliście niezwykłym, tajemnym życiem, prawda? Byliście artystami, a Rawley to nieszczęsny, przyziemny rzemieślnik. Oboje mieliście dusze, słyszeliście głosy; Rawley zbierał okruszki, bo cię kochał. I przez cały czas wszyscy śmiali się z Jenny Pargiter. Biedny gnojek - powiedział, wyglądając przez okno. - Biedny sukinsyn. Na pewno nigdy nie pokocham Bradfielda, ale teraz ma całą moją sympatię.

Położył drobne na stole i poszedł za nią po kamiennych schodach. Była wystraszona.

- Pewnie nigdy ci nie wspomniał o Margaret Aickman? Miał się z nią ożenić. Była jedyną kobietą jaką kochał.

- Nigdy nikogo nie kochał poza mną.

- Ale nie wspomniał o niej? Widzisz, wspominał o niej innym. Wszystkim, poza tobą. To ona była jego wielką miłością!

- Nie wierzę, nigdy w to nie uwierzę!

Z rozmachem otworzył drzwi samochodu i nachylił się nad nią.

- Dobrze się czujesz, prawda? On cię kochał. Cały ten pieprzony świat może pograć się w wojnie, bylebyś ty miała tego swojego małego chłopczyka!

- Przy mnie był sobą. Ja to sprawiałam. I teraz jest sobą bez względu na to, co robi. To był nasz czas i nie pozwolę, żebyś coś zniszczył; ty ani ktokolwiek inny. On mnie znalazł.

- I co jeszcze znalazł?

Niespodziewanie samochód zapalił.

- Znalazł mnie, a cokolwiek znalazł tam na dole, była to cząstka tego, co przywracało go życiu.

- Na dole? Gdzie na dole? Dokąd poszedł? Powiedz! Ty coś wiesz! Co ci powiedział?

Odjechała powoli, nie oglądając się, esplanadą w stronę nocy i światełek.

Opel wyjechał, żeby ją śledzić. Turner pozwolił mu przejechać, potem przebiegł przez ulicę i wskoczył do taksówki.

Parking ambasady był przepełniony, straż przy bramie wzmocniono. Rolls-royce ambasadora znów czekał przy wejściu, jak starożytny statek, który miał wywieźć go prosto w burzę. Turner biegł w górę po schodach w rozwianym płaszczu przeciwdeszczowym, a w rękę trzymał klucz.

15

Rupieciarnia

Dwóch posłańców królowej stało przy kontuarze. Ich czarne skórzane torby dwisały na pułkowych bluzach jak uprzęż spadochronowa.

- Kto jest urzędnikiem dyżurnym? - warknął Turner.

- Myślałem, że pan już wyjechał - powiedział Gaunt. - O siódmej, wczoraj...

Rozległo się trzeszczenie skóry, posłańcy pospiesznie ustępowali mu miejsca.

- Chcę dostać klucze.

Gaunt dostrzegł skaleczenia na twarzy Turnera i szeroko otworzył oczy.

- Dzwon po urzędnika dyżurnego. - Turner podniósł słuchawkę i podał mu ją przez kontuar. - Powiedz mu, żeby zszedł z kluczami. Już!

Gaunt zaprotestował. Korytarz lekko się poruszył i zamarł. Turner słyszał jego głupie walijskie beczenie, na pół skargę, na pół pochlebstwo. Złapał go mocno za ramię i wciągnął w ciemny korytarz.

- Jeśli nie zrobisz tego, co ci każę, postaram się, żeby cię oddelegowali na jakieś zadupie do końca życia.

- Kluczy nie zabrano, mówię panu.

- Gdzie one są?

- Mam je tutaj. W sejfie. Ale panu ich nie wolno wziąć bez podpisu, wie pan o tym bardzo dobrze!

- Nie sami potrzebne. Chcę, żebyś je policzył, to wszystko. Licz te cholerne klucze!

Posłańcy, ostentacyjnie dyskretni, rozmawiali półgłosem, ale głos Turnera przebił się jak siekiera:

- Ile powinno ich być?

- Czterdzieści siedem.

Gaunt wezwał młodszego strażnika, otworzył sejf wbudowany w załom ściany i wyciągnął znajomy pęk mosiężnych kluczy. Posłańców zmogła ciekawość, patrzyli, jak kwadratowe górnicze paluchy odliczały klucz po kluczu jak krążki liczydła. Przeliczył je raz, przeliczył po raz drugi i wręczył je chłopcu, który przeliczył je ponownie.

- No i?

- Czterdzieści sześć - powiedział niechętnie Gaunt. - Nie ma wątpliwości.

- Czterdzieści sześć - powtórzył chłopiec. - Jednego brakuje.

- Kiedy je liczono po raz ostatni?

- Trudno powiedzieć - mruknął Gaunt. - Są wydawane na całe tygodnie.

Turner pokazał palcem lśniąca nową kratę oddzielającą schody do piwnicy.

- Jak mógłbym się tam dostać?

- Mówiłem panu. Klucz ma Bradfield. To wejście prewencyjne. Strażnicy nie mają takich uprawnień.

- Więc jak tam wchodzi sprzątaczkę? A palacz?

- Do kotłowni jest teraz oddzielne wejście, tak jest od czasu Bremy. Kraty też wtedy założyli. Sprzątaczkę mogą korzystać z zewnętrznych schodów, ale nie zajdą dalej niż palacz, ze względów bezpieczeństwa. - Gaunt był naprawdę przerażony.

- Są schody przeciwpożarowe... winda towarowa.

- Tylko przy tylnej klatce schodowej, ale tam też jest zamknięte.

- A klucze?

- Bradfield je ma. Do windy też.

- Skąd prowadzą?

- Z najwyższego piętra.

- Obok portierni?

- I co z tego?

- Obok portierni czy nie?

- Pokaż mi!

Gaunt spojrział w dół, następnie na chłopca, potem na Turnera i znów na chłopca. Niechętnie włożył chłopcu klucze do ręki i nie mówiąc ani słowa posłańcom, szybko poprowadził Turnera schodami w górę.

Musiał już być dzień. Wszystkie światła były zapalone, drzwi pootwierane. Sekretarki, urzędnicy, dyplomaci biegali po korytarzu w swoich sprawach, nie zwracając na nich uwagi. Mowa była o Brukseli. Nazwa miasta brzmiała jak hasło. Była na ustach wszystkich, wystukiwały ją wszystkie maszynistki; bielą na napisach wymalowanych przez szablon, dzwoniła w każdym telefonie. Wspięli się jeszcze jedno piętro wyżej i weszli do krótkiego korytarza, w którym czuć było basen. Z lewej strony uderzył ich powiew świeżego powietrza. Na drzwiach widniał napis STRAŻNIK KANCELARII. MIESZKANIE PRYWATNE a pod nim tabliczka: PAN I PANI J. GAUNT, AMBASADA BRITYJSKA, BONN.

- Nie musimy tu wchodzić, prawda?

- To tutaj przychodził w odwiedziny? W piątkowe wieczory po próbie chóru? Tu?

Gaunt kiwnął głową.

- Co się działo, gdy wychodził? Odprowadzałeś go?

- Nie pozwalał mi. „Zostań tutaj chłopcze i oglądaj sobie telewizję, sam sobie poradzę”.

- A tu są drzwi na tylną klatkę schodową.

Pokazywał w lewą stronę, skąd dochodził powiew.

- Ale są zamknięte. Nietwierane od lat.

- To jedyna droga na klatkę?

- Prowadzi prosto do piwnicy. Mieli zamiar zrobić tu zsyp, ale skończyły się pieniądze i zbudowali schody.

Drzwi były solidne, z dwoma dużymi zamkami, których nikt nie ruszał od dłuższego czasu. Świecąc latarką-paluszkiem na nadproże, Turner delikatnie obmacał palcami drewnianą ramę, potem mocno chwycił za klamkę.

- Chodź tutaj. Jesteś jego rozmiarów. Ty spróbuj. Łap za klamkę. Nie naciskaj jej. Pchaj. Pchaj mocno.

Drzwi ustąpiły bezszelestnie.

Nagle powietrze zrobiło się zimne i stęchłe; amerykańskie powietrze, kiedy siada klimatyzacja. Stali na półpiętrze. Schody pod nimi były bardzo strome. Okienko wychodziło na pole Czerwonego Krzyża. Bezpośrednio poniżej, spod daszka komina stołówki, wydostawał się podświetlony dym i znikał w ciemności. Tynk łuszczył się wielkimi płatami. Słyszeli kapanie wody. Po drugiej stronie ramy drzwi drewno było równo odpiłowane. Zaczęli schodzić przy nikłym świetle latarki. Stopnie były z kamienia; wąski pasek

kokosowego chodnika biegł przez ich środek. Stary napis głosił: TĘDY DO KLUBU. WSZYSCY MILE WIDZIANI. Usłyszeli odgłos czajnika kołyszącego się na kółku i głos dziewczyny odczytującej fragment dyktowanego tekstu:

- Podczas gdy oficjalne oświadczenie rządu federalnego przedstawia powody wycofania się jako wynikłe za ledwie z przyczyn natury technicznej, to nawet najtrzeźwiejsi obserwatorzy... - Obaj instynktownie przystanęli, wstrzymali oddech i słuchali słów rozbrzmiewających w klatce schodowej.

- To wentylacja - wyszeptał Gaunt. - Przechodzi przewodami.

- Zamknij się.

Usłyszeli głos de Lisle'a. „Umiarkowani” - poprawił. - Umiarkowani będzie znacznie lepiej. Zmień trzeźwi na umiarkowani, dobrze, kochanie? Nie chcemy, żeby pomyśleli, że topimy nasze troski w alkoholu”.

Dziewczyna zachichotała.

Musieli dotrzeć już do parteru, bo przed nimi pojawiło się przejście w ceglany murze, a na linoleum leżały kawałki mokrego tynku. Prowizoryczna tablica ogłaszała dawne rozrywki: aktorzy z ambasady wystawiana gwiazdka *Rewizora* Gogola. W rezydencji odbędzie się wielkie przyjęcie dla dzieci ze Wspólnoty Brytyjskiej; nazwiska wraz ze szczegółową informacją dotyczącą wszelkich kwestii związanych z dietą należy składać w sekretariacie do dziesiątego grudnia. Był rok 1954, podpisał Harting.

Turner przez chwilę zmagał się ze swoim zmysłem czasu i miejsca i mało się nie zgubił. Znów usłyszał brzęk szkła, opadającą sadzę i skrzypienie olinowania. To samo wewnętrzne pulsowanie poniżej rejestru słyszalnego dźwięku.

- Co pan powiedział? - zapytał Gaunt.

- Nic.

Jak pijany poszedł w stronę najbliższego przejścia, w głowie czuł dziki łomot.

- Pań się źle czuje - powiedział Gaunt. - Kto to panu zrobił?

Znajdowali się w drugim pomieszczeniu, gdzie stała tylko stara tokarka podrdzewiała u podstawy. W przeciwległej ścianie były drzwi. Otworzył je i na chwilę stracił panowanie nad sobą, cofnął się z krótkim okrzykiem wstrętu, ale to były tylko pręty nowej kraty sięgającej od sufitu po podłogę, mokre kombinezony zwisające z drutów i wzory, które uczyniła wilgoć na betonie. Czuć było odór pralni i niespalonego do końca paliwa; ogień rzucał czerwony poblask na ceglana ścianę; światełka tańczyły na nowej stali. To nic strasznego, powiedział sobie, gdy ostrożnie szedł korytarem w stronę następnych drzwi, po prostu pociąg podczas wojny, zatłoczony przedział i wszyscy śpimy.

To były stalowe drzwi wbite w tynk, drzwi wodoszczelne, głęboko poniżej linii wody, pokryte rdzą przy ramie i nadprożu z napisem NIE WCHODZIC

wymalowanym dawno państwową, łuszczącą się farbą. Ściana po lewej stronie pomalowana była jakiś czas temu na biało, zauważył zadrapania tam, gdzie przejeżdżał wózek. Światło nad głową chronił druciany koszyk, kładący czarne cienia na jego twarzy. Walczył lekkomyślnie o odzyskanie przytomności. Izolowane rury wodociągowe biegnące pod sufitem sapały i bulgotały, a piec za żelazną kratą pluł białymi iskrami wywołującymi i gaszącymi cienie. Chryste, pomyślał: to wystarczy, do wprawienia w ruch „Queen Elisabeth”; a marnuje się na jedną, samotną fabrykę snów.

Musiał zmagać się z kluczem; ostro szarpnął za klamkę, zanim zamek się obrócił. Nagle klucz trzasnął jak patyk i usłyszeli, jak trzaśnięcie odbija się echem w odległych pomieszczeniach. Zatrzymaj mnie tutaj; o Boże, zatrzymaj mnie tutaj, pomyślał. Nie zmieniaj mojej natury ani mojego życia; nie zmieniaj miejsca ani nie przesuwaj ścieżki, którą podążam... Pod drzwiami musiało być trochę żwiru, bo zgrzytnęły i zatrzymały się, a Turner musiał je sforsować całym ciałem. Gaunt Walijczyk odstąpił, przyglądał się chciwie, ale nie śmiał ich dotknąć. W ciemności wymacał kontakt, potem pojawiło się ponure okno gęsto porośnięte pajęczyną i wystraszyło go, bo nienawidził więzienia. Było wysoko na ścianie, łukowate, jak piec do wypalania cegieł, zakratowane ze względów bezpieczeństwa. Przez najwyższą umieszczoną szybki zobaczył mokry żwir parking. Gdy tak stał patrząc i kłyszac się, światła samochodowe przesunęły się po omacku po suficie, jak reflektor więzienny szukający uciekinierów, a całe katakumby wypełniły się rykiem jeżdżącej maszyny. Na parapecie leżał wojskowy koc i Turner pomyślał: pamiętałeś o tym, żeby zaciemnić okno, pamiętałeś o dyżurach przeciwlotniczych w Londynie.

Znalazł przełącznik światła; był kopulasty jak kobieca pierś. Kiedy go nacisnął, huknął tak, jakby to był cios w jego własne ciało, a kurz podpłynął do niego po czarnym betonie.

- Nazywają to rupieciarnią- szepnął Gaunt.

Wózek stał we wnęce obok biurka. Akta na wierzchu, materiały piśmienne pod spodem, wszystkich rozmiarów, ładnie oznakowane, długie i krótkie koperty do wyboru, ułożone, żeby były w zasięgu ręki. Pośrodku biurka, obok lampki, równo ustawiona na filcowej podkładce i starannie przykryta szarą plastikową pokrywą, stała zaginiona maszyna do pisania z długim walkiem, a obok niej trzy czy cztery blaszane pudełka z holenderskimi cygarami. Na oddzielnym stoliku termos i sporo kubków z NAAFI; maszynka do robienia herbaty z zegarem; na podłodze dwukolorowy plastikowy wiatraczek elektryczny wycelowany w biurko, żeby usuwać niepożądane działanie wilgoci; na nowym krześle różowa poduszka wyszywana przez pannę Aickman. Wszystko to rozpoznał na pierwszy rzut oka, ze znużeniem, witał się szorstko z przedmiotami, jakby to byli starzy

przyjaciele, spojrzął dalej, na wielkie archiwum pod ścianami, od podłogi po sufit; na wąskie czarne akta z pokrytymi rdzawym nalotem tasiemkami, niektóre szare od pleśni, inne pomięte i wypaczone przez wilgoć, kolumna za kolumną, w czarnych mundurach, wyćwiczeni weterani czekający na powołanie.

Musiał zapytać, co to jest, bo Gaunt coś szeptał. Nie, nie ma pojęcia, co to jest. Nie. To nie jego miejsce. Nie. Były tu dłużej, niż ktokolwiek pamięta. Niektórzy twierdzą, że to akta prokuratury, to znaczy szefostwa prokuratury wojskowej, tak ludzie mówią i mówią jeszcze, że przyjechały z Minden na ciężarówkach i po prostu tu je składowano, bo było miejsce, dwadzieścia lat musiało już minąć, dwadzieścia lat, jak zakończono okupację mocarstw. Naprawdę tylko tyle może powiedzieć; jest tego pewien; tyle przypadkiem usłyszał od ludzi, przypadkiem obilo mu się o uszy, bo Gaunt nie jest plotkarzem, to jedno każdy o nim może powiedzieć. Ponad dwadzieścia lat temu... ciężarówki pojawiły się w pewien letni wieczór... Macmullen i ktoś jeszcze spędzili pół nocy, pomagając je rozładować... Oczywiście, w tamtych dniach uważano, że ambasada może ich potrzebować... Nie, nikt nie miał do nich dostępu, nie teraz, nie były potrzebne, bo i komu? Dawno temu jakiś dziwny urzędnik kancelarii mógł prosić o klucz i coś sprawdzał, ale to było dawno i Gaunt nie może tego pamiętać. Nikt tu na dół nie schodził od lat, chociaż tego Gaunt, oczywiście, nie może powiedzieć z całą pewnością; musi uważać na swoje słowa, kiedy rozmawia z Turnerem, teraz jest już tego pewien... Musieli przez jakiś czas trzymać klucz oddzielnie, a potem dodać go do pęku urzędnika dyżurnego... Ale jakiś czas temu, Gaunt nie mógł powiedzieć kiedy, słyszał jak o tym mówili; Markus, jeden z kierowców, już go nie ma, mówił, że to wcale nie są akta prokuratury, tylko akta brytyjskiego kontyngentu specjalistów... mówił natarczywym głosem, jak stara baba spod kościoła. Turner już go nie słuchał. Zobaczył mapę.

- Zwyczajna mapa, z napisami po polsku.

Była przypięta nad biurkiem, przypięta całkiem niedawno do mokrego tynku w miejscu, w którym przypina się zazwyczaj zdjęcia dzieci. Nie było na niej zaznaczonych ważniejszych miast, granic państwowych, skał, nie było ślicznych strzałek pokazujących wariacje magnetyczne: tylko miejsca, w których były obozy. Neuengamme i Belsen na północy, Dachau, Mauthausen na południu, na wschodzie Treblinka, Sobibór, Majdanek, Bełżec i Auschwitz; w środku Ravensbrück, Sachsenhausen, Kulmhof i Gross Rosen.

Sąmoimi dłużnikami, pomyślał nagle. Sąmoimi dłużnikami. Święty Boże, cóż ze mnie za głupiec, pospolity, niezdarny, zagubiony głupiec. Leo, złodziejaszku, przyszedłeś tu, żeby pobuszować w swoim własnym, koszmarnym dzieciństwie.

- Idź. Jeśli będę cię potrzebował, zawołam. -<• Turner patrzył na Gaunta niewidzącym wzrokiem, prawą rękę przyciskał do półki. - Nie mów nikomu. Bradfieldowi, de Lisle'owi, Crabbe'owi... nikomu, rozumiesz.

. - Nie powiem - odparł Gaunt.

- Mnie tu nie ma, nie istnieję. Nie przychodziłem wieczorem. Rozumiesz?

- Powinien pan pójść do doktora - powiedział Gaunt.

- Odpierdol się.

Odsunął krzesło, zrzucił poduszeczkę na podłogę i usiadł za biurkiem. Oparł podbródek na dłoni i czekał, aż pokój się uspokoi. Był sam. Sam jak Harting, żył jak Harting w pożyczonym czasie, polując jak Harting na zagubioną prawdę. Przy oknie był kurek. Napęłnił maszynkę do robienia herbaty i przekręcał kurki, aż zaczęła syczeć. Kiedy wracał do biurka, mało nie przewrócił się o zielone pudło. Miało rozmiary wąskiej teczki, ale było sztywne i kanciaste, zrobione z wzmocnionej sztucznej skóry używanej do pudełek na karty brydżowe i futerałów na strzelby. Tuż pod rączką widać było inicjały królowej, a rogi wzmocniono cienką stalą; zamki były wyłamane, a pudło puste. „To jest to, co robimy wszyscy, prawda? Szukamy czegoś, czego tu nie ma?”

Był sam, za towarzystwo miał tylko akta, odór wilgotnego gorąca od elektrycznego kominka, mdły powiew od elektrycznego wentylatora i marmotanie maszynki do herbaty. Zaczął powoli przewracać stronicę. Niektóre akta były stare, zdjęte z półek, w połowie po angielsku a w połowie spisane ostrymi gotyckim, literami, postrzępionymi jak drut kolczasty. Nazwiska wyróżniały się jak atleci, najpierw nazwisko rodowe, potem imię, z paroma tylko liniami od góry i pospiesznym podpisem u dołu, zezwalającym na odstawienie ich na półkę. Akta na wózku były nowe, a papier gruby i gładki. Kopie podpisane znajomymi nazwiskami. Były wśród nich teczki, spisy poczty wychodzącej i przychodzącej z podkreślonymi tytułami i zapisanymi marginesami.

Był sam, na początku podróży Hartinga, za całe towarzystwo miał tylko ślad jego obecności i ponure zrządzenie rur wodociągowych dobiegające z zewnątrz, z korytarza, jak szuranie chodaków na rusztowaniu. „Czy są jak konie?” - dopytywał się głos Hazel Bradfield. - Czy śpią na stojąco?” Był sam. „A cokolwiek było tam na dole, to stało się częścią tego, co przywracało go życiu”.

Meadowes spał. Nigdy by się do tego nie przyznał, a Cork, z litości, nigdy by nie pomyślał, żeby go o to oskarżyć. Zresztą formalnie rzecz biorąc, jak konie Hazel Bradfield, miał oczy szeroko otwarte. Spoczywał w pozycji

półleżącej w swoim miękkim fotelu bibliotecznym, w pozycji człowieka, który zasłużył sobie na odpoczynek. Odgłosy budzącego się dnia napływały przez otwarte okno.

- Przekazuję sprawy Billowi Sutcliffe'owi - powiedział Cork, głośno i rozmyślnie niedbale. - Chcesz czegoś ode mnie, zanim sobie pójdę? Parzymy sobie herbatę, jeśli miałbyś ochotę.

- Jest jak trzeba - odparł niewyraźnie Meadows, prostując się gwałtownie. - Za minutkę będzie w porządku.

Cork patrzył w dół, przez otwarte okno, na parking; dawał mu czas, żeby się pozbierał.

- Parzymy sobie herbatę, jeśli miałbyś ochotę - powtórzył. - Valerie nastawiła czajnik. - Trzymał w ręku teczkę z telegramami. - Od Bremy nie było takiej nocy. Gadanie, nic więcej. Słowa. Do czwartej nad ranem całkiem zapomnieli o względach bezpieczeństwa. Jego ekscelencja i sekretarz stanu gaworzyli sobie na ogólnej linii. Fantastyczne. Jakby chcieli to wszystko wywalić: kody, szyfry, całą tę cholerną orkiestrę.

- Oni sami są wywaleni - odparł Meadows bardziej do siebie niż do Córka i podszedł do okna. - Przez Leo.

Żaden świt nie wygląda złowieszczo. Ziemia jest panią samej siebie; krzyki, kolory i zapachy są zbyt pewne siebie, żeby się poddać naszym ponurackim złym przeczuciom. Nawet straż przy głównej bramie, podwojona od wieczora, miała kojący, przytulny wygląd. Poranne światło błyszczące w długich skórzanych płaszczach było miękkie i dziwnie nieszkodliwe; ich krok, gdy powoli krążyli wokół terenu ambasady - miarowy i przemyślany. W Corku przeważał optymizm.

- Myślę, że dziś może być ten dzień - powiedział. - Tatuś na obiedzie, jak to jest, Arthurze?

- Nie są aż tacy szybcy - odparł Meadows. - Nie ci najważniejsi. - I zaczęli liczyć samochody.

- Pełna chata - oświadczył Cork; i była to prawda. Białe jaguar Bradfielda, czerwony samochód sportowy de Lisle'a, mały wolseley Jenny Pargiter, wóz Gavestona z fotelikiem dla dziecka zamontowanym na siedzeniu dla pasażera, poobijana dwójka Jacksona; nawet zajeżdżony kapitan Crabbe'a, dwukrotnie osobiście skazany na banicję z parkingu przez ambasadora, przypełził ze względu na kryzys, wygięte błotniki sterczały na zewnątrz jak zakrzywione szpony.

- Rover wygląda nieźle - powiedział Cork. W pełnym szacunku milczeniu podziwiali dystygowane kształty rysujące się na tle płotu po drugiej stronie stołówki. Bliżej, tuż pod ręką, w oddzielnej zatoczce stał szary rolls, strzeżony przez kaprała.

- Widział go, prawda? - zapytał Meadows.

- Jasne. - Gork polizał palec, wybrał odpowiedni telegram z teczki, którą trzymał pod pachą i na głos, żartobliwym tonem, jakby czytał rymowanki dla dzieci, zaczął czytać sprawozdanie ambasadora z jego rozmowy z kanclerzem federalnym... - „Odparłem, że jako minister spraw zagranicznych ma pan bezgraniczne zaufanie do wielu zobowiązań powziętych do tej pory przez kanclerza wobec pana i jest pan pewien, że kanclerz nawet przez chwilę nie dopuszczał myśli o ustąpieniu przed naciskiem wywieranym przez hałaśliwe mniejszości. Przypomniałem mu także o nastawieniu Francuzów do kwestii zjednoczenia Niemiec. Przedstawiają ją oni nie tylko jako opartą na błędnych przesłankach, ale także na wskroś antyamerykańską, antyeuropejską, a przede wszystkim antyniemiecką...”

- Słuchaj - powiedział nagle Meadows. - Zamknij się i słuchaj.

- Co, u...

- Cicho bądź.

Z drugiego końca korytarza usłyszeli miarowy warkot jakby samochodu wspinającego się na wzgórze.

- To niemożliwe - powiedział krótko Cork. - Bradfield ma klucze, a on... - Usłyszeli szcęk składanej kraty i lekkie westchnienie hamulca hydraulicznego.

- To łózka! Więcej łózek. Otworzyli, żeby je wstawić. -Na potwierdzenie tej teorii rozległo się wyraźne brzęknięcie metalu o metal i skrzypienie sprężyn.

- Do niedzieli to miejsce będzie wyglądało jak arka Noego, mówię ci. Dzieciaki, dziewczyny, nawet ten cholerny niemiecki personel: to będzie istny Babilon. Albo raczej Sodoma i Gomora. A co się stanie, jeśli urodzi się, kiedy będą demonstrować? Przy moim szczęściu wszystko się może zdarzyć! Moje pierwsze dziecko: malutki Cork, urodzony w niewoli!

- Czytaj dalej. Posłuchamy reszty.

- „Kanclerz federalny przyjął do wiadomości brytyjskie zaniepokojenie, które uznał za niepotrzebne; zapewnił mnie, że skonsultuje się ze swoimi ministrami i zobaczy, co można zrobić, żeby przywrócić spokój. Zasugerowałem mu, że oświadczenie na temat takiej polityki byłoby bardzo przydatne: kanclerz jednak zwrócił uwagę, że powtarzanie osłabia efekt. W tym punkcie poprosił, żeby przekazać najlepsze życzenia panu jako sekretarzowi stanu i stało się jasne, że uważa rozmowę za zakończoną. Zapytałem go, czy rozważał zarezerwowanie nowych pokoi hotelowych w Brukseli, żeby położyć kres wynikłym z niedoinformowania spekulacjom, gdyż był pan osobiście zaniepokojony raportami, że niemiecka delegacja zapłaciła rachunki i odwołała rezerwacje. Kanclerz odpowiedział, że trzeba byłoby coś takiego zrobić”.

- Zero - powiedział z roztargnieniem Meadows.

- „Kancelarz zapytał potem o zdrowie królowej. Słyszał, że dopadła ją grypa. Powiedziałem, że sądzę, iż najgorsze już minęło, ale dowiem się do* kładnie i nie omieszkam go poinformować. Kancelarz wyraził nadzieję, że Jej Królewska Mość będzie uważała na swoje zdrowie; pora roku sprzyja komplikacjom. Odparłem, że wszyscy mamy nadzieję na to, że do poniedziałku pogoda się ustakuje, a on zechciał się roześmiać. Rozstaliśmy się w zgodzie". Cha, cha, cha. Pogawędzili sobie także o dzisiejszej demonstracji. Kancelarz powiedział, że nie powinniśmy się niepokoić. „Spotkanie - dodał Cork ziewając - zakończyło się zwyczajową wymianą komplementów o dwudziestą drugą dwadzieścia. Dla prasy wydano wspólny komunikat". Skądinąd, wydział gospodarczy idzie w górę, a wydział handlowy sumuje koszty popytu na funta. Albo na złoto, czy coś tam. A może załamanie? Kogo to obchodzi?

- Powinieneś zdać egzamin - powiedział Meadows. - Jesteś za bystry na swoją posadę.

- Zadowolę się bliźniakami - odparł Cork, a Valerie wniosła herbatę.

Meadowes właśnie podniósł kubek do ust, gdy usłyszał odgłos wózka i znajomy tryl skrzypiącego kółka. Valerie postawiła z brzękiem tacę i trochę herbaty wylało się z imbryka do cukiernicy. Miała na sobie zielony pulower, a Cork, który lubił na nią patrzeć, zauważył, gdy odwróciła się, żeby stanąć przodem do drzwi, że z boku szyi ma lekkie otarcie od wywinętego kołnierza. Cork zareagował szybciej niż pozostali, podał teczkę Meadowesowi, podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. To był ich własny wózek, załadowany czerwonymi i czarnymi teczkami, a pchał go Alan Turner. Był w samej koszuli, a pod oczami miał intensywne sińce. Jedną wargę miał przeciętą i niedbale opatrzoną. Nie ogolił się. Na szczycie stosu leżało pudło na depesze. Cork powiedział potem, że Turner wyglądał, jakby samodzielnie przepchał wózek przez linie nieprzyjaciela. Jedne za drugimi otwierały się za nim drzwi, gdy tak jechał korytarzem: Edna z sali maszynistek, Crabbe, Pargiter, de Lisie, Gaveston. Ich głowy pojawiały się jedna po drugiej, za nimi reszta ciała i nim dotarł do archiwum, odrzucił z trzaskiem stalowy blat kontuaru i popchnął niedbale wózek na środek pokoju, jedynymi drzwiami, które pozostały zamknięte, były drzwi Rawleya Bradfielda, szefa kancelarii.

- Zostawcie to tutaj. Nie dotykajcie, niczego nie dotykajcie.

Turner wyszedł na korytarz i bez pukania wszedł prosto do Bradfielda.

To wszystko kłamstwo

Myslałem, że pan już odjechał. - Jego głos był raczej zmęczony niż zaskoczony.

- Spóźniłem się na samolot. Nie powiedziała ci?
- Co zrobiłeś ze swoją twarzą?
- Siebkron wysłał chłopców, żeby przeszukali mój pokój. Szukali nowin o Hartingu. Przeszkodziłem im. - Usiadł. - To anglofile. Jak Karfeld.
- Sprawa Hartinga jest zamknięta. - Bradfield bardzo starannie odłożył na bok jakieś telegramy. - Wysłałem jego papiery do Londynu razem z listem szacującym szkody, jakie wyrządzono naszemu bezpieczeństwu. Resztą będziemy się zajmować na miejscu. Nie mam wątpliwości, że w stosownym czasie zostanie podjęta decyzja, czy poinformować naszych partnerów z NATO.

- Więc możesz odwołać swój list. I zapomnieć o szacowaniu.

- Brałem na ciebie poprawkę - wyrzucił z siebie Bradfield. - Różne poprawki. Na twoją podejrzaną profesję, twoją ignorancję w kwestiach dyplomacji i twoje niepospolite grubiaństwo. Twój pobyt tutaj sprawił nam same kłopoty, chyba zabiegasz o niepopularność. Dlaczego, do diabła, siedzisz jeszcze w Bonn, skoro powiedziałem ci, że masz wyjechać? Wpadasz tutaj półgoły. Nie wiesz, co się dzieje? To piątek! Dzień demonstracji, jeśli o tym nie pamiętasz.

Turner nie ruszał się, a w Bradfieldzie wreszcie gniew wziął górę nad zmęczeniem.

- Lumley mówił mi, że jest pan nieokrzesany, ale efektywny: jak do tej pory okazał się pan jedynie nieokrzesany. Wcale się nie dziwię, że spotkał się pan z przemocą: pan ją przyciąga. Ostrzegałem pana, że może pan narobić szkód; powiedziałem panu, jakie są przyczyny, dla których tutaj, na miejscu, zrezygnowaliśmy ze śledztwa; i patrzyłem przez palce na niepotrzebną brutalność, z jaką potraktował pan mój personel. Ale teraz mam dość. Ma pan zakaz wstępu do ambasady. Proszę się wynosić.

- Znalazłem akta - powiedział Turner. - Znalazłem wszystko. I wózek. I maszynę do pisania, i krzesło. I dwugrzejnikowy elektryczny kominek, i wien ty laterek de Lisle'a. - Mówił mało przekonującym głosem i patrzył tak, jakby widział te wszystkie przedmioty. - I filiżanki do herbaty, i całą resztę papierów, którą Leo zabrał i nie oddał Meadowsowi. Widzi pan, były adresowane do Leo. To były odpowiedzi na listy, które wysyłał. Prowadził tam na dole

całkiem spory wydział: oddzielną sekcję kancelarii. Tyle, że pan o tym nie wiedział. Odkrył prawdę o Karfeldzie i teraz oni go ścigają. - Lekko dotknął ręką policzka. - Ci ludzie, którzy mi to zrobili, teraz go ścigają. Ucieka, bo wie za dużo i zadawał zbyt wiele pytań. Chyba, że już go mają. Przepraszam, że pana zanudzam - dodał stanowczo - ale tak się sprawy mają. Chciałbym się kawy, jeśli pan pozwoli - Bradford nie ruszał się.

- A co z zieloną teczką?

- Nie ma jej. Tylko puste pudło.

- Zabrał ją?

- Nie wiem. Może to Praszko. Ja nie. - Pokręcił głową. - Przepraszam. Musi pan go znaleźć, zanim go zabiją. O tym właśnie mówię. Karfeld to oszust i morderca, a Harting ma na to dowody - Wreszcie podniósł głos. - Czy jasno się wyrażam?

Bradford patrzył na niego, czujny, ale nie przestraszony.

- Kiedy Harting zaczął go podejrzewać? - Turner zadał sobie pytanie. - Z początku nie chciał tego wiedzieć. Odwrócił się tyłem. Do wielu spraw odwracał się plecami, starał się nie pamiętać. Starał się nie zauważać. Trzymał się tak, jak my wszyscy, poddawał się dyscyplinie niemieszania się i nazywał to poświęceniem. Ogrodnictwo, chodzenie na przyjęcia. Szwindle. Przetrawianie. I niemieszanie się. Trzymać głowę nisko i pozwolić, żeby życie przeleciało nad nią. Aż do października, kiedy Karfeld wzrósł w siłę. Widzi pan, on znał Karfelda. I Karfeld był mu coś dłużny. A to miało znaczenie dla Leo.

- Co mu był dłużny?

- Niech pan zaczeka. Po kolei, krok po kroku zaczął się otwierać. Pozwolił sobie na uczucia. Karfeld go dręczył. Twarz Karfelda była wszędzie, tak jak teraz. Uśmiechnięta, nachmurzona, ostrzegająca... Jego nazwisko dzwoniło Leo w uszach: Karfeld to oszust, Karfeld to morderca. Karfeld to fałsz.

- O czym pan mówi? Niech pan nie będzie śmieszny.

- Leo przestało się to podobać: przestały mu się podobać kłamstwa, chciał prawdy. Męska menopauza. Brzydził się sobą... za to, czego nie zrobił, za grzechy zaniedbania... grzechy zaniechania. Do mdłości miał już dość swoich sztuczek, swojego życia. Przecież wszyscy znamy to uczucie, prawda? Więc i Leo je poznał. Do końca. Postanowił zdobyć to, co mu się należało: sprawiedliwość dla Karfelda. Rozumiesz, miał dobrą pamięć. Wiem, wiem, dziś to nie jest w modzie. Więc spiskował. Najpierw, żeby się dostać do archiwum, potem, żeby odnowić kontrakt, potem żeby zdobyć akta. Temu służył przegląd osobowy... stare akta, akta przeznaczone do zniszczenia... stare przypadki z rupieciarni. Chciał złożyć to wszystko w całość, i doprowadzić do wznowienia śledztwa...

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Jesteś chory. Proponuję, żebyś się położył. - Ręka Bradfielda powędrowała w stronę telefonu.

„- Najpierw postarał się o klucz, to było dość łatwe. Odlóż to! Zostaw telefon w spokoju!

Dłoń Bradfielda zawisła w powietrzu i opadła na suszkę.

- Potem zaczął pracę w rupieciarni, założył biuro, sporządził własne akta, robił kopie dokumentów, korespondował... prowadził sprawy. Kradł z archiwum to, czego potrzebowa. Był złodziejem; sam to powiedziałaś. Powinieneś o tym wiedzieć. - Przez chwilę głos Turnera był łagodny i pełen zrozumienia. - Kiedy odciałeś piwnicę? Po wydarzeniach w Bremie, prawda? W czasie weekendu? Wtedy wpadł w panikę. Jedyny raz. I ukradł wózek. Mówię o Karfeldzie. Słuchaj! O jego doktoracie, służbie wojskowej, ranie odniesionej pod Stalingradem, fabryce chemicznej...

- Te plotki krążą od miesięcy. Odkąd Karfeld stał się poważnym politykiem ciągle słyszeliśmy historie o jego przeszłości i za każdym razem skutecznie je odpierał. W Zachodnich Niemczech trudno znaleźć liczącego się polityka, którego by komuniści nie zniesławiali od czasu do czasu.

- Leo nie jest komunistą - powiedział Turner głęboko znużonym głosem. - Sam mi powiedziałaś: to dzikus. Przez lata trzymał się z dala od polityki, bo bał się tego, co może usłyszeć. Ja nie powtarzam plotek. Mówię o faktach: solidnych brytyjskich faktach. I tylko o nich. To wszystko jest w naszych brytyjskich aktach, zamknięte w naszej brytyjskiej piwnicy. To stąd czerpał wiedzę i nawet ty nie możesz już tego ukryć. - W jego tonie nie było ani triumfu, ani wrogości. - Informacje są teraz w archiwum, jeśli chcesz to sprawdzić. Razem z pustym pudłem. Są sprawy, których nie zrozumiałem, mój niemiecki nie jest zbyt dobry. Wydałem polecenie, żeby nikt tego nie dotykał. - Uśmiechnął się na myśl o tym i na wspomnienie niezręcznej sytuacji, w jakiej się znalazł. - A ty, do cholery, o mało nie wyrzuciłeś go za burtę, pewnie nieświadomie. Zabrał wózek na dół w dniu, w którym postawiono kraty i odcięto dostęp do windy. Bał się, że nie będzie mógł działać dalej; że zostanie odcięty od rupieciami. Do tej pory to była dziecięca zabawa. Musiał tylko wskoczyć do windy ze swoimi aktami - mógł wejść, dokąd chciał, rozumiesz; przegląd osobowy dawał mu do tego uprawnienia- i zabrać je prosto do piwnicy. Ale ty to przerwałeś, chociaż nawet nie wiedziałeś o tym; kraty zepsuły mu dojście. Więc upchał wszystko, czego mógł potrzebować, na wózek, przeczekał na dole cały weekend, aż robotnicy sobie poszli. Musiał wyłamać zamki w drzwiach do tylnej klatki schodowej, żeby się wydostać. Potem zdawał się na to, że Gaunt zaprosi go na najwyższe piętro. Oczywiście pod jakimś zupełnie niewinnym pretekstem. Wszyscy są niewinni, że się tak wyrażę. A ja przepraszam - dodał łaskawie. - Przepraszam za to, co panu powiedziałem. Myliłem się.

- Tb na pewno nie jest czas na przeprosiny - odparł Bradfield i zadzwonił po pannę Peate, żeby przyniosła kawę.

- Chcę panu to przedstawić tak, jak napisano w aktach - powiedział Turner. - Sprawa przeciwko Karfeldowi. Niech mi pan wyświadczy przysługę i nie przerywa. Obaj jesteśmy zmęczeni i nie mamy wiele czasu.

Bradfield położył kartkę niebieskiego papieru na bibule przed sobą; zawisło nad nią wieczne pióro. Panna Peate nalala kawę i wyszła. Jej mina, jedno, jedyne pełne niesmaku spojrzenie rzucone Turnerowi, wyrażała więcej niż słowa.

- Chcę panu opowiedzieć, co zebrał. Możemy to potem trochę podrażnąć.

- Zrobię, co w mojej mocy - powiedział Bradfield. Uśmiechnął się i przez chwilę wyglądał jak wspomnienie o innym człowieku.

- Jest pewna wieś niedaleko Dannenbergu, na granicy strefy. Nazywa się Hapstorf. Trzy chałupy na krzyż, leżące w zalesionej dolinie. A raczej było tak, bo w trzydziestym ósmym Niemcy zbudowali tam fabrykę. Nad rwącą rzeką stała tam stara papiernia, a obok chałupa tuż przy urwisku. Przerobili papiernię, a wzdłuż rzeki zbudowali laboratoria i zmienili wszystko w małą, ściśle tajną stację do badań nad pewnymi rodzajami gazów.

Upił trochę kawy i ugryzł kawałek herbatnika. Miało się wrażenie, że jedzenie sprawia mu ból, bo przekrzywił głowę na bok i przeżuwał bardzo ostrożnie.

- Gaz trujący. Zalety lokalizacji były oczywiste. Miejsce trudne do zbombardowania; strumień wartki, potrzebny był do ścieków; wioska mała, więc mogli wyrzucić każdego, kto im się nie spodobał. Prawda?

- Prawda. - Bradfield zapisywał w punktach to, co mówił Turner. Turner zobaczył liczby po lewej stronie i pomyślał: co to za różnica, czy są numery? Nie zniszczysz faktów, numerując je.

- Miejscowi twierdzą, że nie wiedzieli, co tam się dzieje, co zresztą pewnie jest prawdą. Wiedzieli, że papiernię rozebrano i że zbudowano drogą fabrykę. Wiedzieli, że magazyny na tyłach są pilnie strzeżone i wiedzieli, że personelowi nie wolno się zadawać z mieszkańcami. Siłą roboczą byli Francuzi i Polacy, których w ogóle nie wypuszczano, więc i na niższym poziomie nie dochodziło do kontaktów z ludnością. Wszyscy za to wiedzieli o zwierzętach. Głównie były to mały, ale także owce, kozy i psy. Zwierzęta, które tam wchodziły, już nie wychodziły. Istnieje notatka o tym, że miejscowy *gauleiter* otrzymywał listy ze skargami od miłośników zwierząt.

Popatrzył z zamysłem na Bradfielda.

- Pracował tam noc po nocy i wszystko to składał do kupy.

- Nie miał tam nic do roboty. Archiwum w piwnicy od wielu lat jest wyłączone z bieżącego zasobu.

- Ależ jak najbardziej miał tani wiele roboty.

Bradfield pisał.

- Na dwa miesiące przed końcem wojny fabryka została zniszczona przez brytyjskie lotnictwo. Precyzyjne bombardowanie. Wybuch był ogromny. Fabryka została zmieciona z powierzchni ziemi a wraz z nią wioska. Zagraniczni robotnicy zginęli. Powiadano, że odgłos wybuchu słysząc było z odległości wielu kilometrów.

Pióro Bradfielda pędziło po papierze.

- W czasie bombardowania Karfeld był w domu, w Essen; co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Mówi, że chował swoją matkę, która została zabita podczas nalotu.

- I co z tego?

- Rzeczywiście był w Essen. Ale nie na pogrzebie matki. Umarła dwa lata wcześniej.

- Nonsens! - krzyknął Bradfield. - Prasa już dawno by...

- W aktach zachowała się fotokopia oryginalnego świadectwa zgonu - odparł stanowczo Bradfield. - Nie umiem powiedzieć, jak wygląda to nowe. Ani kto je sfalszował. Choć sądzę, że obaj możemy się domyślić, bez szczególnego wysiłku wyobraźni.

Bradfield popatrzył na niego z aprobatą.

- Po wojnie Brytyjczycy znaleźli się w Hamburgu i wysłali ekipę, żeby sprawdziła, co zostało z Hapstorf, zebrali pozostałości i zrobili zdjęcia. To była zwyczajna grupa wywiadowcza, nie szczególnego. Myśleli, że może uda się znaleźć naukowców, którzy tam pracowali skorzystać z ich wiedzy, rozumie pan, co mam na myśli? Złożyli raport, że nic nie zostało. Złożyli też raport o pewnych pogłoskach. Pewien francuski robotnik, jeden z nielicznych, którzy przeżyli, opowiedział historię o eksperymentach na ludzkich świnkach morskich. Nie na robotnikach, ale na przywożonych specjalnie ludziach. Z początku używano zwierząt, ale później chcieli czegoś bardziej konkretnego, więc specjalnie ich dowieziono. Powiedział, że pewnej nocy miał służbę przy bramie - musieli mu ufać - a Niemcy kazali mu wrócić do baraku. Poszedł spać i nie pokazywał się do rana. Zaczął coś podejrzewać, więc pokręcił się dookoła. Zobaczył coś dziwnego; szary autobus, po prostu zwyczajny szary autobus przejeżdżał przez wszystkie bramy i nie był sprawdzany. Autobus podjechał do magazynów i robotnik niczego więcej już nie słyszał. Kilka minut później autobus wyjechał prędzej, niż wjeżdżał. Pusty - przerwał, wyjął chusteczkę z kieszeni i ostrożnie przetarł sobie skroń. - Francuz powiedział też, że jego przyjacielowi, pewnemu Belgowi, proponowano pracę w nowych laboratoriach pod urwiskiem. Poszedł na kilka dni, a kiedy wrócił, wyglądał jak duch. Powiedział, że nie spędzi tam więcej ani jednej nocy, za żadne przywileje pod słońcem. Następnego dnia zniknął. Powiedzieli

im, że został przeniesiony. Ale zanim zniknął, porozmawiał ze swoim kumplem i wspomniiał imię doktora Klaus. Powiedział, że doktor Klaus jest kierownikiem administracyjnym; człowiekiem, który zajmuje się szczegółami, żeby ułatwić pracę naukowcom. To właśnie ten człowiek zaproponował mu nową pracę.

- Pan nazywa to dowodem?

- Niech pan poczeka. Zespół złożył raport z wyników badań, a kopia została przesłana do grupy zajmującej się zbrodniami wojennymi. Ci przejęli sprawę. Przesłuchali Francuza, spisali wszystko, ale nie udało im się tego potwierdzić. Stara kobieta prowadząca kwiaciarnię powiedziała im, że w nocy słyszała krzyki, ale nie była w stanie stwierdzić, która to była noc, a poza tym to mogły być zwierzęta. Dowody były marne.

- I to bardzo. Tak myślałem.

- Niech pan posłucha - powiedział Turner. - Jesteśmy teraz po tej samej stronie, prawda? Nie ma więcej drzwi, które należałoby otwierać.

- Ale parę należałoby może zamknąć - powiedział Bradfield, wracając do notowania.

Grupa była przeciążona pracą, miała za mało ludzi, więc sprawę zakończono. Odłożył na półkę i nie kontynuował. Mieli dużo większych spraw. Zarejestrowali doktora Klaus i zapomnieli o nim. Francuz wrócił do Francji, stara pani zapomniiała o krzykach. Minęło parę lat.

- Niech pan poczeka.

Pióro Bradfielda nie spieszyło się. Formował litery tak, jak zawsze to robił: precyzyjnie, z myślą o czytelnikach.

- Wydarzył się wówczas pewien wypadek. Z rodzaju takich, których nie można przewidzieć. Pewien rolnik z okolic Hapstorfu kupił od rady gminy kawałek starego ugoru. To był nieużytek kamienisty i zadrzewiony, ale chłop pomyślał, że da się coś z tym zrobić. Przekopał i zorał, a w trakcie tych prac wydobył z ziemi trzydzieści dwa ciała dorosłych mężczyzn. Nie miecka policja zawiadomiła władze okupacyjne. Przestępstwa wymierzone przeciwko członkom alianckich sił zbrojnych podlegały sądownictwu alianców. Brytyjczycy wszczęli śledztwo i stwierdzili, że trzydziestu jeden z tych mężczyzn zostało zagazowanych. Trzydziesty drugi nosił odzież robotnika i zginął od strzału w potylicę. Było coś jeszcze... coś, co naprawdę nimi wstrząsnęło. Ciała były strasznie spaprane.

- Spaprane?

- Badano je, robiono autopsję. Ktoś dobrał się do nich przed aliancami. Więc ponownie wszczęli sprawę. Ktoś w mieście pamiętał, że doktor Klaus pochodził z Essen.

Bradfield przypatrywał mu się teraz; odłożył pióro i złożył dłonie.

- Przejrzeli po kolei akta wszystkich chemików mieszkających w Essen, którzy mieli kwalifikacje do prowadzenia zaawansowanych badań i któ-

rzy na imię mieli Klaus. Wkrótce dotarli do Karfelda. Nie miał doktoratu; zrobił go później. Ale skoro wszyscy pracowali pod pseudonimami, czemu nie miałyby dodać sobie tytułu? Essen leżało w strefie brytyjskiej, więc go aresztowali. Zaprzeczył wszystkiemu. Oczywiście. Rozumie pan: poza ciałami nie bardzo było się na czym oprzeć. Poza jedną przypadkową informacją. Tym razem Bradfield nie przerywał.

- Słyszał pan o programie eutanazji?

- Hadamar. - Bradfield skinieniem głowy wskazał na okno. - W dole rzeki. Hadamar - powtórzył.

- Hadamar, Weilmunster, Eichberg, Kalmenhof: kliniki eliminujące ludzi niechcianych: wszystkich, którzy żyli z państwowych pieniędzy a nie pracowali. Wszystko na ten temat można wyczytać w rupieciarni, a sporo tego jest w archiwum. Pomiędzy aktami przeznaczonymi do zniszczenia. Ludzi, których zabijano, podzielono na kategorie. Wie pan: zdeformowani, chorzy umysłowo, ciężko upośledzone dzieci w wieku od ośmiu do trzynastu lat. Moczzenie nocne. Z bardzo nielicznymi wyjątkami ofiary te były obywatelami Niemiec.

- Nazywali ich pacjentami - powiedział Bradfield z odrazą.

- Od czasu do czasu niektórzy wyselekcjonowani pacjenci byli używani do doświadczeń medycznych. Zarówno dorośli, jak i dzieci.

Bradfield pokiwał głową, jakby i o tym wiedział.

- Zanim wybuchła sprawa Hapstorfu, Amerykanie i Niemcy sporo zrobili już w sprawie programu eutanazji. Między innymi odkryli dowody dotyczące jednego autobusu załadowanego „robotnikami hybrydami” wyselekcjonowanymi do „niebezpiecznych prac w Stacji Badań Chemicznych w Hapstorf”. Do jednego autobusu mieściło się trzydziestu jeden ludzi. Używali szarych autobusów, przypomina to panu coś?

- Hanower - odparł natychmiast Bradfield. - Transport ochrony osobistej.

- Karfeld to świetny administrator. Wszyscy go za to podziwiają. Zarówno wtedy, jak i teraz. Miło się dowiedzieć, że nie stracił nic ze swoich starych zdolności, prawda? Jeden z tych umysłów, które potrafią się wdrować w rutynę.

- Niech pan przestanie filozofować. Chcę się wszystkiego dowiedzieć, szybko.

- A więc szare autobusy. Trzydzieści jeden foteli i miejsce dla strażnika. Okna były zaciemnione od środka. Stąd przypuszczenie, że jeździły nocą.

- Mówił pan, że były trzydzieści dwa ciała, a nie trzydzieści jeden...

- Był jeszcze ten robotnik z Belgii. Ten, który pracował pod urwiskiem i rozmawiał z zaufanym więźniem z Francji. Doskonale wiedzieli, co mają z nim zrobić. Dowiedział się trochę za dużo, prawda? Tak jak teraz Leo.

' - Proszę. - Bradfield wstał i przyniósł mu kawę. - Lepiej, żeby się pan trochę napił. - Turner wystawił swoją filiżankę, rękę miał całkiem pewną.

- Kiedy zgarnęli Karfelda, zawieźli go do Harburga i skonfrontowali z ciałami i dowodami -takimi, jakie mieli - a on ich po prostu wyśmiał. To bzdura, powiedział, ta cała historia. Nigdy w życiu nie był w Hapstorfie. Jest inżynierem. Specjalistą od prac wyburzeniowych. Przedstawił bardzo szczegółowe sprawozdanie ze swoich prac na froncie rosyjskim - dawali mu nawet medale i Bóg wie co jeszcze. Myślę, że zrobili je dla nich w SS, a on odstawił wielki *Spiel* na temat tego swojego Stalingradu. Były pewne niespójności w zeznaniach, ale niezbyt wiele, a on przez cały czas zaprzeczał, jakoby jego noga została w Hapstorfie i jakoby wiedział coś o fabryce. I tak przez całe miesiące. Dobrze, mówił: „Jeśli macie dowody, wytoczcie mi sprawę. Postawcie mnie przed sądem. Mało mnie to obchodzi; jestem bohaterem. Nigdy w życiu niczym nie zarządzałem, nie licząc naszej rodzinnej fabryki w Essen, a Brytyjczycy rozebrali ją na kawałki, prawda? Byłem w Rosji, nikogo nie trułem, bo niby dlaczego, jestem przyjacielem wszystkich ludzi. Znajdźcie żywego świadka, znajdźcie kogokolwiek”. No i nie znaleźli. W Hapstorfie chemicy mieszkali w całkowitym odosobnieniu i prawdopodobnie tak samo było z urzędnikami. Ich dane zostały zniszczone podczas bombardowania. Wszyscy byli znani tylko pod imionami lub pseudonimami. -Turner wzruszył ramionami. - Dodał nawet historyjkę o tym, jak pomagał antyhitlerowskiej partyzance w Rosji, ale ponieważ oddziały, o których mówił, zostały schwyte *en masse* albo wybite do nogi, z tym też nie mogli sobie poradzić. Zdaje się, że teraz nie wyjeżdża już z tym kawałkiem o ruchu oporu.

- To już nie jest w modzie - odparł krótko Bradfield. - Zwłaszcza w jego kręgach.

- Więc sprawa nie trafiła do sądu. Było ku temu wiele powodów. Jednostki ścigające zbrodnie wojenne były w przededniu rozwiązania; z Londynu i Waszyngtonu naciskano, żeby zakopać topór wojenny i przekazać jurysdykcję sądom niemieckim. Panował chaos. Gdy jednostka do spraw zbrodni hitlerowskich próbowała sporządzić akt oskarżenia, jej dowództwo przygotowywało amnestię. Były też inne powody, techniczne, żeby dalej tego nie prowadzić. Zbrodnia została popełniona prawdopodobnie na Francuzach, Belgach i Polakach, ale ponieważ nie było możliwe ustalenie narodowości ofiar, wynikły problemy dotyczące jurysdykcji. Nie były to problemy istotne, ale sprawiły, że nie wiedzianno, co robić. Wie pan, jak to jest, kiedy chce się znaleźć dziurę w całym.

- Wiem jak wtedy było - odparł cicho Bradfield. - Jeden wielki chaos.

- Francuzi nie byli tacy gorliwi, Polacy zbyt gorliwi, a Karfeld wyrósł już wtedy na szychę. Zajmował się jakimiś wielkimi kontraktami dla aliantów. Również subkontraktami dla konkurencji, żeby nadażyć za popytem. Bo przecież był dobrym administratorem. Efektywnym.

- Mówi pan Jakby to była zbrodnia.
- Jego własna fabryka została kilkakrotnie zdemontowana, teraz ją odbudowywano. Doprawdy, szkoda było przeszkadzać. Było też trochę plotek - powiedział Turner, nie zmieniając tonu - że miał ułatwiony start, bo znalazł szczególną partię towaru - rzadkie gazy - i pod koniec wojny zmagazynował je w Essen w podziemiach. To właśnie robił, gdy RAF bombardował Hapstorf. Sądzono, że chowa swoją biedną matkę, a on zbierał gałązki, żeby uwić sobie wygodne gniazdko.

- Wśród dowodów, które pan do tej pory przedstawił - powiedział ci cho Bradfield - nie ma niczego, co łączyłoby Karfelda z Hapstorffem i w ogóle niczego, co kojarzyłoby go z udziałem w spisku mającym na celu zabójstwo. Jego własna wersja może być uznana za równie prawdziwą. Że walczył w Rosji, że był ranny.

- Zgadza się. Tak właśnie uznano w dowództwie okupacyjnym.

- Nie ma nawet dowodu na to, że ciała pochodzą z Hapstorffu. Gaz mógł być ich; to jednak nie musi dowodzić, że chemicy sami aplikowali go ofiarom, a najwyżej tego, że Karfeld o rym wiedział albo w jakiś sposób przy tym współpracował...

- Dom w Hapstorffie ma piwnicę. Bombardowanie jej nie uszkodziło. Okna zamurowano, a przez sufit, z laboratorium na górze, biegly rury. Ceglane ściany piwnicy były porysowane.

- Co to znaczy porysowane?

- Rękami - powiedział Turner. - Prawdopodobnie paznokciami.

- Tak czy inaczej, przyjęto pański punkt widzenia. Karfeld trzymał język za zębami, nie było nowych dowodów. Nie skierowano sprawy do sądu. Prawidłowo. Akta trafiły na półkę. Jednostkę przeniesiono do Bremy, potem do Hanoweru, potem do Monchengladbach, zaś akta przesłano tutaj. Razem z innymi sprawami z naczelnej prokuratury wojskowej. Do czasu podjęcia decyzji co do ich ostatecznego usunięcia.

- I tym właśnie zajmował się Harting?

- Od zawsze. Był sierżantem śledczym. On i Praschko. Wszystkie akta, kopie, memoranda, korespondencja, raporty z przesłuchań, opisy dowodów, cała sprawa od początku do końca - teraz jest ten koniec - spisana jest ręką Leo. Leo aresztował Karfelda, przesłuchiwał go, uczestniczył w sekcjach zwłok, szukał świadków. Kobieta, z którą nieomal się ożenił, Margaret Aickman, również pracowała w tej jednostce. Była urzędniczką do spraw prac badawczych. Nazywano ich łowcami głów: to było jego życie... Wszyscy bardzo się starali, żeby postawić Karfelda w stan oskarżenia* tak, jak należy.

Bradfield był zatopiony w myślach.

- A to słowo: „hybrydy”... - zapytał wreszcie.
- To hitlerowski termin techniczny na określenie pół-Żydów.
- Rozumiem. Tak, rozumiem. Więc był w to osobiście zaangażowany? I to było dla niego ważne. Wszystko przyjmował tak osobiście. Żył dla siebie; to było jedyne, co rozumiał. Pióro zawisło w bezruchu. - Ale trudno to nazwać przypadkiem prawniczym. - Powtórzył jakby do siebie: - Trudno to nazwać przypadkiem prawniczym. Faktycznie, trudno to w ogóle nazwać sprawą; Raczej stroniczą analizą. To w ogóle nie jest sprawa. Interesująca, oczywiście: mówi coś o uczuciach Karfelda wobec Brytyjczyków. Ale jednak nie czyni z niego kryminalisty.

- Nie - zgodził się Turner, ku zdumieniu Bradfielda. - Nie. To nie jest sprawa. Ale napelniała Leo goryczą. On o niej nie zapomniał, tylko stłumił to w sobie, jak umiał. Nie był jednak w stanie przed nią uciec. Musiał to zbadać: musiał na to jeszcze raz spojrzeć i upewnić się. W styczniu tego roku zszedł na dół do rupieciarni i ponownie przeczytał własne raporty i argumenty.

Bradfield siedział w milczeniu.

- Może to kwestia wieku. A przede wszystkim poczucie, że się czegoś nie zrobiło do końca. - Turner powiedział to tak, jakby problem dotyczył go osobiście i nie widział sposobu, żeby go rozwiązać. - Może wycucie historii, jeśli pan woli. - Zawahał się. - Czy czasu. Paradoksy go dopadły i musiał coś z tym zrobić. Był też zakochany - dodał, patrząc przez okno. - Chociaż nie dopuszczał do siebie tej myśli. Wykorzystał kogoś, ale otrzymał więcej, niż chciał... Wyszedł z letargu. W tym sedno: przeciwieństwem miłości nie jest nienawiść, lecz letarg. Nicość. A wokół byli ludzie, którzy sprawiali, że wydawało mu się, że gra w pierwszej lidze... - dodał łagodnie. - Więc jakiegokolwiek były powody, ponownie otworzył teczkę. Jeszcze raz przeczytał papiery od początku do końca. Przystudiował ponownie oryginały, przedarł się przez współczesne akta, w archiwum i w rupieciarni. Sprawdził wszystkie fakty od początku i zaczął prowadzić własne śledztwo.

- Jak to, śledztwo? - zapytał Bradfield. Nie patrzyli na siebie.

- Otworzył własne biuro. Pisał listy i otrzymywał odpowiedzi. Wszystko na papierze firmowym ambasady. W archiwum przeglądał przychodzącą pocztę i wyciągał wszystko, co było adresowane do niego. Robił to tak, jak żył: potajemnie i skutecznie. Nie ufał nikomu, nie zwierzał się nikomu; rozgrywał jednych przeciw drugim... czasem robił małe wyprawy, pisał do archiwów, ministerstw, przeglądał rejestry kościelne, korespondował z ludźmi, którzy przeżyli... wszystko na papierze firmowym ambasady. Zbierał wycinki prasowe, robił kopie, sam drukował i pieczętował woskiem. Zwędził nawet pieczęć. W nagłówku pisał *Skargi i Sprawy Konsularne*, więc większość z tych spraw i tak trafiała do niego. Porównywał wszystkie szcze-

goły: świadectwa narodzin, świadectwa ślubów, świadectwo śmierci matki, zezwolenia na polowanie - przez cały czas szukał niespójności: czegokolwiek, co dowiodłoby, że Karfeld nie walczył na froncie rosyjskim. Zebrał ogromne dossier. Kontaktował się z Siebkronem. Trudno byłoby znaleźć instytucję rządową, z którą nie korespondowałby pod tym, czy innym pretekstem...

- O Boże - wyszeptał Bradfield, odkładając pióro w geście porażki.

Do końca stycznia doszedł do jedynego możliwego wniosku: że Karfeld łągał, aż się kurzyło, a ktoś - wyglądało na to, że ktoś wysoko postawiony, bardzo prawdopodobnie, że Siebkron - go chronił. Powiedziano mi, że Siebkron ma swoje własne ambicje - chce przyczepić się do jakiejś politycznej gwiazdy i trzymać się jej, dopóki wschodzi.

- To bardzo możliwe - przyznał Bradfield zatopiony we własnych myślach.

- Jak Praschko w tamtych dniach... Widzi pan, do czego dochodzimy, prawda? I oczywiście Siebkron, o czym Leo doskonale wiedział, szybko się zorientował, że ambasada prowadzi jakieś nieformalne śledztwo. I że ktoś cholernie się wkurzy i pewnie będzie nieprzyjemny. Szczególnie, że Leo znalazł dowód.

- Jaki dowód? Jakże można udowodnić coś takiego po dwudziestu z górą latami od popełnienia przestępstwa?

- Wszystko jest w archiwum - powiedział Turner z nagłą niechęcią. - Najlepiej, jeśli pan sam sprawdzi.

- Nie mam czasu i przywykłem do wysłuchiwanie podejrzanych plotek.

- I odrzucania ich.

- Nalegam, żeby mi pan powiedział. - Ale nie nalegał dramatycznie.

- No dobrze. W ubiegłym roku Karfeld postanowił obronić doktorat. Już wtedy był grubą rybą; w przemyśle chemicznym wart był fortunę - talenty administracyjne opłaciły mu się sowicie - i dobrze sobie radził w lokalnej polityce w Essen. Teraz zachciało mu się zostać doktorem. Może był taki jak Leo; zostawił sprawę niezakończoną i chciał ją doprowadzić do końca. A może uznał, że to mu się przyda: głosujcie na doktora Karfelda. Oni tu lubią, żeby kanclerz był doktorem... Więc wrócił na uniwersytet i napisał uczoną rozprawę. Nie robił wielu badań, więc wszyscy byli pod wrażeniem, szczególnie jego profesorowie. Cudownie, powiedzieli, że udało mu się znaleźć na to czas.

- I?

- Jest to studium o działaniu niektórych gazów trujących na ludzkie ciało. Najwyraźniej wysoko to ocenili; spowodowało to w swoim czasie trochę zamieszania.

- Trudno wyciągnąć z tego jakieś wnioski.

- Ależ przeciwnie; Karfeld oparł swoją analizę na szerepowym zbadaniu trzydziestu jeden przypadków Śmiertelnych.

Bradfield zamknął oczy.

- To nie jest dowód - powiedział w końcu; był bardzo blady, ale pióro trzymał pewnie. - Pan wie, że to nie jest dowód. Zgadza się, że budzi podejrzenia. Sugeruje, że był w Hapstorfie. Ale to nie jest nawet pół dowodu.

- Szkoda, że nie możemy tego powiedzieć Leo.

- Karfeld może powiedzieć, że informacje dotarły do niego, kiedy pracował w przemyśle. Uzyskał je od osób trzecich; to będzie podstawa jego obrony.

- Od tych właściwych sukinsynów.

- Jeśli nawet udałoby się dowieść, że informacje pochodzą z Hapstorfu, znajdzie się tuzin wyjaśnień, jak trafiły do Karfelda. Sam pan powiedział, że nawet nie prowadził badań...

- Nie. Siedział za biurkiem. Wykonywał je kto inny.

- Właśnie. A fakt, że zrobił użytek z informacji o badaniach, oczyści go z zarzutów, że sam je prowadził.

- Więc widzi pan, jaki to problem - powiedział Turner. - Leo jest prawnikiem zaledwie w połowie: jest hybrydą. Musimy uwzględnić tę drugą połowę. Musimy uwzględnić siedzącego w nim złodzieja.

- Tak. - Bradfield był zbity z tropu. - Zabrał zawartość zielonej teczki.

- Ale jeśli chodzi o Siebkrona i Karfelda, to zdaje się dotarł tak blisko prawdy, że jego życiu może zagrażać niebezpieczeństwo.

- Sprawa oparta na domniemaniu faktów - zauważył Bradfield, zaglądając ponownie do swoich notatek. - Są podstawy do ponownego wszczęcia śledztwa, Zapewniam pana. W najlepszym wypadku można nakłonić oskarżyciela publicznego, żeby zaczął wstępne dochodzenie. - Spojrzał na notes z telefonami. - Attache prawny będzie wiedział.

- Niech się pan nie fatyguje - powiedział pocieszająco Turner. - Cokolwiek Karfeld zrobił, jest teraz czysty. Przekroczył linię. - Bradfield spojrział na niego. - Nikt nie może go teraz oskarżać, nawet posiadając niezbite zeznania podpisane przez samego Karfelda.

- Oczywiście - odparł cicho Bradfield. - Zapomniałem - i powiedział to z ulgą.

T-Chroni go prawo. Ustawa o przedawnieniu dotyczy właśnie takich przypadków. Leo napisał to na aktach wieczorem, w czwartek. Sprawa jest przedawniona. Nic nie można z tym zrobić.

*- Na pewno istnieje jak#pn)c^wr% żeby ją wznowić,...

- Istnieje^- zgodził się Turner. - Ale się jej nie stosuje. Tak się składa, że to wina Brytyjczyków. Sprawa Hapstorfu prowadzona była przez nas. Nie przekazaliśmy jej Niemcom. Nie było rozprawy, nie było publicznych sprawozdań, a kiedy sądownictwo niemieckie przejęło hitlerowskie zbrodnie wojenne, nie poinformowaliśmy ich. Cała sprawa Karfelda utknęła w próżni między Niemcami a nami. - Przerwał. - A teraz to samo stało się z Leo.

- Co Harting zamierza zrobić? Jaki był cel jego dociekań?

- Musiał wiedzieć. Musiał dokończyć sprawę. To chodziło za nim, jak spaprane dzieciństwo, albo jak życie, z którym nie można się pogodzić. Musiał to wyprostować. Myślę, że resztę wymyślił na poczekaniu.

- Kiedy znalazł ten tak zwany dowód?

- Nadszedł w sobotę, zanim uciekł. Przyłożył stempel z datą, wszystko zostało wciągnięte do akt. W poniedziałek przyszedł do archiwum bardzo uradowany. Spędził kilka dni zastanawiając się, co robić dalej. W ostatni czwartek jadł obiad z Praschką...

- Poco?

- Nie wiem. Myślałem o tym. Nie wiem. Prawdopodobnie, żeby omówić następne kroki. Albo żeby uzyskać opinię prawną. Być może wydawało mu się, że nadal są jakieś możliwości, żeby wznowić śledztwo...

- Nie ma żadnych?

- Żadnych.

- Dzięki Bogu.

Turner zignorował to.

- Albo żeby powiedzieć Praschce, że robi się wokół niego gorąco. Może chciał prosić o ochronę.

Bradfield spozjrzał bardzo ostrożnie na Turnera.

- A zielonej teczki nie ma - powiedział, zbierając siły.

- Pudło jest puste.

- Harting uciekł. Czy to również potrafi pan wytłumaczyć? - Patrzył na Turnera. - To też jest zapisane w jego dossier?

- Zapisał w swoim notatniku: „Mam bardzo mało czasu”. Każdy, kto o nim mówi, opisuje go jako człowieka ścigającego się z czasem... coś go przypiliło... Sądzę, że myślał o ustawie.

- Ale my wiemy, że zgodnie z tą ustawą Karfeld i tak był wolnym człowiekiem, chyba że udałoby się uzyskać zawieszenie biegu sprawy. Więc co mu zostało? I co go tak goniło?

Odpowiedzią Turnera na pytania i drwiący ton Bradfielda było wzruszenie ramion.

- Nie wie pan dlaczego? Dlaczego wybrał właśnie ten moment, żeby uciec? Albo dlaczego ukradł właśnie te akta?

- Przypuszczam, że Siebkron go przyciskał. Leo miał dowód, a Siebkron o tym wiedział. Od tej chwili Leo był napiętnowany. Miał pistolet - powiedział Turner - stary wojskowy pistolet. Był na tyle wystraszony, że zabrał go ze sobą. Musiał wpaść w panikę.

- Właśnie - powiedział Bradfield, znów z nutką ulgi. - Właśnie. Bez wątplenia to wyjaśnia sprawę. - Turner patrzył na niego zszokowany.

Bradfield nie poruszył się ani nie powiedział słowa przez jakieś dziesięć minut.

W rogu pokoju stał pulpit składający się z pudła na Biblię i długich, dość brzydkich metalowych nóżek, które Bradfield zamówił u miejscowego kowala w Bad Godesbergu. Stał, opierając na nim łokcie, i patrzył przez okno na rzekę.

- Nic dziwnego, że Siebkron trzyma nas pod strażą- powiedział wreszcie, jakby mówił o pogodzie. - Nic dziwnego, że traktuje nas tak, jakbyśmy byli niebezpieczni. Trudno pewnie w Bonn znaleźć ministerstwo, a nawet dziennikarza, który nie słyszałby, że ambasada brytyjska tropi krwawy ślad z przeszłości Karfelda. Czego się po nas spodziewają? Że będziemy go publicznie szantażować? Że znów pojawimy się w sędziowskich togach i postawimy go przed alianckim trybunałem? A może po prostu sądzą, że jesteśmy żądni zemsty i próbujemy wziąć odwet na człowieku, który psuje nam nasze europejskie plany?

- Znajdzie go pan, prawda? Nie potraktuje go pan zbyt surowo? Jemu jest potrzebna pomoc.

- Nam też - powiedział Bradfield, nadal gapiąc się na rzekę.

- On nie jest komunistą. Ani zdrajcą. Uważa, że Karfeld jest groźny. Dla nas. Leo jest bardzo prostolinijny. Można to wyczytać w aktach...

- Wiem, co to za rodzaj prostoty.

- W końcu za niego odpowiadamy. To my wbiliśmy mu wtedy do głowy pojęcie sprawiedliwości absolutnej. My daliśmy mu te wszystkie obietnice: Norymberga, denacyfikacja. Sprawiliśmy, że w to uwierzył. Nie możemy pozwolić, żeby stał się ofiarą tylko dlatego, że się zmieniliśmy. Nie widział pan tych akt... nie jest pan w stanie wyobrazić sobie, jak wtedy myślano o Niemcach. Leo się nie zmienił. To człowiek-skamielina. A to nie przestępstwo, prawda?

- Wiem doskonale, jak wtedy myślano. Sam tu byłem. Widziałem to, co i on widział; wystarczająco dużo. Powinien był z tego wyrosnąć; my wyrosliśmy.

- Chodzi mi o to, że zasługuje na naszą ochronę. Jest w nim jakaś siła... Czuję to tam, na dole. Nie zniechęciły go paradoksy. Dla pana i dla mnie zawsze znajdzie się tuzin powodów, żeby nic nie robić. Leo działał inaczej.

W jego książeczce jest tylko jeden powód, żeby coś zrobić: bo musi. Bo tak uważa.

- Mam nadzieję, że nie przedstawia go pan jako przykładu do naśladowania?

- Co innego sprawiło, że zaczął się zastanawiać.

- Mianowicie?

- W takich sprawach zawsze istnieje dokumentacja zewnętrzna. Z dowództwa SS, z kliniki albo jednostki transportowej. Rozkazy przemieszczenia, upoważnienia, odnośne dokumenty skądś pochodzące, które wyjawiają prawdę. A tu nic nie wyszło na światło dzienne. Leo robił adnotacje: dlaczego nie ma dokumentów z Koblencki? Dlaczego nie ma tego czy tamtego? Jakby podejrzewał, że te dokumenty zostały zniszczone... przez Siebkrona na przykład. Moglibyśmy mu zaufać, prawda? - dodał Turner i zabrzmiało to niemal jak prośba.

- W takim wypadku nie ma prawdy absolutnej. - Bradfield nie odrywał wzroku od odległej sceny. - Wszystko jest wątpliwe. Zamglone. Mgła rozmywa kolory. Nie ma rozróżnień, socjaliści już się o to postarali.

Czemu Bradfield przypatrywał się tak dokładnie, tam na rzece? Łódkom przebijającym się przez mgłę? Czerwonym żurawiom i płaskim polom czy odległym winnicom splezającym z dala, z południa? Czy upiornemu wzgórzcu Chamberlaina i długiemu betonowemu pułku, w którym go niegdyś trzymano?

- Rupieciarnia jest poza głównym zasobem - powiedział wreszcie i znów zamilkł. - Prashko. Powiedział pan, że w czwartek jadł lunch z Prashką?

- Bradfield...

- Tak? - Szedł już ku drzwiom.

- Myślmy o nim teraz inaczej, prawda?

- Doprawdy? W końcu może jednak jest komunistą. - W głosie Bradfielda przebijała nutka ironii. - Zapomina pan, że ukradł akta, ni stąd ni zowąd uznał pan, że jest pan w stanie zajrzeć mu w serce.

- Dlaczego je ukradł? Co takiego było w tych aktach?

Ale Bradfield już precyzyjnie się między łózkami i sprzętem stłoczonym na korytarzu.

Wszędzie kwitły napisy: PUNKT PIERWSZEJ POMOCY ZNAJDUJE SIĘ... POKÓJ ODPOCZYNKOWY... .. DZIECIOM NIE WOLNO DALEJ WCHODZIĆ. Przechodząc obok archiwum kancelarii usłyszeli owacje, a po nich oklaski. Cork, biały na twarzy, wybiegł, żeby ich powitać.

- Urodziła - wyszeptał. - Właśnie dzwonili ze szpitala. Nie pozwoliła im, żeby po mnie posłali, bo mam zmianę. - Zaczzerwienione oczy miał sze roko otwarte ze strachu. - Nawet mnie nie potrzebowała. Nawet nie chciała, żebym tam był.

Praschko

Na tyłach ambasady jest asfaltowa droga. Biegnie ze wschodniej części dzielnicy na północ, przez osiedle nowych willi, za drogich na to, żeby mieszkali w nich Brytyjczycy. Przy każdej jest mały ogródek wielkiej wartości z punktu widzenia handlu nieruchomościami, każda z nich różni się nieco od sąsiedniej detalami architektury, które stanowią znak nowoczesnego konformizmu. Jeśli jeden dom miał ceglany dziedziniec i patio z kamieni rzecznych, drugi równał się z nim zewnętrzną ścianą z niebieskich płytek albo śmiało wyeksponowanym ciosanym kamieniem. Latem młode małżonki opalały się obok miniaturowych baseników. Zimą czarne pudle ryły w śniegu; a co południe, od poniedziałku do piątku, czarne mercedesy przywoziły do domu panów na posiłek. Powietrze przez cały czas pachniało kawą.

Był szary zimny poranek, ale ziemię oświetlała jasność, która następuje po deszczu. Jechali bardzo powoli, z opuszczonymi szybami. Przejechali obok szpitala i skręcili w posepniejszą uliczkę, gdzie przetrwało stare przedmieście. Za zmierzwionymi drzewami iglastymi i niebieskoczarnymi krzakami wawrzynów, ołowiane wieżyczki, które niegdyś odzwierciedlały sen o Weimarze, stały jak lance w gnijącym lesie. Na wprost nich wznosił się Bundestag, nagi i niewygodny; wielki motel oplakiwany przez własne flagi, pomalowany na mleczożółto. Na jego tyłach brązowy Ren, dosiadany okrakiem przez most Kennedy'ego, trzymany w cuglach przez hałę Beethovena, toczył taktownie niepewny nurt.

Policja była wszędzie: rzadko się zdarza, by siedzibę demokracji tak dobrze strzeżono przed demokratami. Przy głównym wejściu linia młodzieży czekała w niespokojnym rządku, a policja strzegła jej, jakby to były ich dzieci. Ekipa telewizyjna rozstawiała reflektory. Przed kamerą młody człowiek w zielonym garniturze ze sztruksu kręcił bezmyślne piruety z ręką na biodrze, a kolega oceniał jego cerę; policja przyglądała się groźnie, zdezorientowana tą swobodą. Wzdłuż krawężnika posłusznie czekał szary tłum; transparenty stały prosto jak rzymskie sztandary. Hasła się zmieniły: NAJPIERW JEDNOŚĆ NIEMIECKA, POTEM JEDNOŚĆ EUROPEJSKA, TEŻ JESTEŚMY DUMNYM NARODEM, ODDAJCIE NAM NAJPIERW NASZ KRAJ! Policjanci stali naprzeciwko, ramię przy ramieniu, kontrolując ich tak, jak dzieci.

- Zaparkuję w dole, przy rzece - powiedział Bradfield. - Bóg wie, co się stanie do czasu, gdy wyjdziemy.

- Co się dzieje?
- Debata. Poprawki do ustawy o stanie wyjątkowym,
- Myślałem, że skończyli z tym dawno.
- W tym mieście nic nie jest postanowione raz na zawsze.

Wzdłuż nabrzeża, daleko jak okiem sięgnąć, biernie czekały szare oddziały, jak nieuzbrojeni żołnierze.

Prowizoryczne transparenty ogłaszały, skąd pochodzą: Kaiserslautern, Hanower, Dortmund, Kassel. Stali w absolutnej ciszy, czekając na rozkaz, żeby zaprotestować. Ktoś przyniósł głośno grzmiące radio tranzystorowe. Wyciągali szyje na widok białego jaguara.

Równymi szeregami odchodzili powoli do tyłu, na wzgórze, dalej od rzeki. Przeszli obok kiosku, w którym na pierwszy rzut oka były tylko kolorowe fotografie Sorai. Dwie kolumny studentów uformowały aleję do głównego wejścia. Bradfield szedł do przodu z głową podniesioną do góry. Przy drzwiach strażnik miał wątpliwości co do Turnera i Bradfield, przez chwilę się z nim sprzeczał. W korytarzu było koszmarnie gorąco i śmierdziało cygarami; wypełniał go pomruk rozmów. Dziennikarze, niektórzy z aparatami fotograficznymi, patrzyli na Bradfielda z zainteresowaniem, a on potrząsał głową i odwracał wzrok. Deputowani, stojąc w małych grupkach, rozmawiali po cichu, patrząc sobie nawzajem przez ramię w poszukiwaniu kogoś ciekawszego. Przed nimi wyrosła znajoma postać.

- Najsilniejsza figura! Moje własne słowa. Bradfield, to ty jesteś najsilniejszą figurą. Przyszedłeś, żeby zobaczyć koniec demokracji? Przyszedłeś na debatę? Mój Boże, jakież ty jesteś pracowity! A służby tajne nadal są z to bą? Panie Turner, mam nadzieję, że jest pan lojalny? Mój Boże, co się stało z pańską twarzą? - Nie otrzymał odpowiedzi i dalej mówił już ciszej, ukradkiem. - Bradfield, muszę z tobą pogadać. To coś cholernie pilnego. Próbo wałem złapać cię w ambasadzie, ale dla Saaba nigdy cię nie ma.,

-Mamy spotkanie.

- Długie? Powiedz mi, jak długie. Sam Allerton też chciałby wiedzieć; chcielibyśmy porozmawiać.

Zbliżył czarną głowę do ucha Bradfielda. Nieprzekraczalne terminy, nasze gazety, małe rybki. Musimy rozmawiać z Bradfieldem.

- Bez komentarza. Wczoraj opublikowaliśmy nasze oświadczenie. My ślałem, że masz egzemplarz. Przyjmujemy wyjaśnienie kanclerza. Oczekujemy, że niemiecka ekipa pojawi się w Brukseli za kilka dni.

Zeszli po schodach do restauracji.

- Tam jest. Ja będę mówił. Ma go pan zostawić tylko mnie.

- Spróbuję.

- Niech pan się postara i niech pan trzyma głowę na kłódce. To śliski gość.

Najpierw Turner zobaczył cygaro. Było bardzo małe i spoczywało w kąciku ust jak czarny termometr, a on wiedział, że też jest holenderskie i że Leo rozdawał je za nic.

Wyglądał jakby przez pół nocy zajmował się wydawaniem gazety. Ukazał się w drzwiach prowadzących do galerii ze sklepami i szedł z rękami w kieszeniach, objając się o stoliki i nie przepaszając nikogo. Był wielkim, brudnym mężczyzną o siwych, krótko przyciętych włosach i szerokiej klatce piersiowej przechodzącej w jeszcze szerszy brzuch. Okulary nosił nad brwiami jak gogle. Za nim szła dziewczyna z teczką. Była apatyczna, bez wyrazu albo bardzo zmęczona, albo bardzo cnotliwa; miała czarne bujne włosy.

- Zupa! - krzyknął przez salę, gdy uściśnął im ręce. - Przynieś trochę zupy i coś dla niej. - Kelner słuchał wiadomości przez radio, ale kiedy zobaczył Praschkę ściszył głos i podszedł gotów do usług. Szelki Praschki miały mosiężne zatrzaski, uczezione kurczowo brudnych spodni.

- Też pracowaliście? Ona nic nie rozumie - objaśnił. - W żadnym, cholera, języku. *Nicht wahr, Schatz!* Jesteś głupia owca. O co chodzi? - Mówił płynną angielszczyzną, a jeśli miał jakiś akcent, to zakamuflowany amerykańską intonacją. - Ambasadorujesz ostatnio?

- Obawiam się, że nie.

- Co to za facet?

- Gość.

PraschKó bardzo dokładnie przyjrzał się Turnerowi, potem Bradfieldowi, potem znów Turnerowi.

- Jakaś dziewczyna się na ciebie zdenerwowała?

Poruszały się tylko jego oczy. Ramiona uniósł lekko ku szyi a w jego zachowaniu widać było napięcie, instynktowną ostrożność. Położył lewą rękę na przedramieniu Bradfielda.

- Jak miło - powiedział. - Doskonale. Lubię odmianę. Lubię nowych ludzi. - Mówił głosem przyciężkim, ale szorstkim, głosem konspiratora, ściszonego z doświadczenia w mówieniu rzeczy, które nie powinny zostać podслuchane.

- Po co, chłopaki, przyszliście? Po osobistą opinię Praschki? - Zwrócił się do Turnera: - Kiedy ma się do czynienia z koalicją, to opozycja staje się, cholera, ekskluzywnym klubem. - Roześmiał się głośno, dzieląc się dowcipem z Bradfieldem.

Kelner przyniósł supę gulaszowa. Ostrożnie, drobnymi nerwowymi ruchami ręki zaczął wyszukiwać kawałki mięsa.

- Po co przyszliście? Hej, a może chcecie wysłać telegram do królowej? - Uśmiechnął się. - Wiadomość od jej dawnego poddanego? OK. Więc wyślijcie jej telegram. Co ja, u diabła, obchodzi, co tam mówi Praschko? Co

to kogokolwiek obchodzi? Jestem starą dziwką *- zwrócił się do Turnera. <ŕ Mówili ci to już? Byłem Anglikiem, byłem Niemcem, prawie byłem choler nym Amerykaninem. Byłem w tym burdelu dłużej niż inne dziwki. To dlatego nikt już mnie nie chce. Byłem na wszystkie sposoby. Mówili ci to już? Lewica, Prawica i Centrum.

- A w jaki sposób teraz cię mają? - zapytał Turner.

Jego oczy zatrzymały się na okaleczonej twarzy Turnera. Podniósł rękę i potarł opuszką palca wskazującego o kciuk.

- Wiesz, co liczy się w polityce? Kasa. Sprzedaż. Cała reszta to bzdury. Traktaty, polityki, sojusze: bzdury... Może powinienem pozostać marksistą. Więc teraz wycofali się z Brukseli. To bardzo smutne. Nie macie już z kim rozmawiać.

Przełamał bułkę na pół i zamoczył jedną połówkę w zupie.

- Powiedźcie królowej, że Praszko mówi, że Anglicy są nędznymi, zakłamanymi hipokrytami. Jak tam żona, w porządku?

- Dobrze, dziękuję.

- Już od dawna nie jadłem tu obiadu. Nadal mieszkasz w tym getcie? Miłe miejsce. Nie szkodzi. Nikt nie tojeruje mnie zbyt długo. Dlatego zmieniam partie - wyjaśnił Turnerowi. - Kiedyś myślałem, że jestem romantykiem, ciągle szukającym kwiatu paproci. Teraz sądzę, że po prostu jestem zmęczony. To samo z przyjaciółmi, to samo z kobietami, to samo z Bogiem. Oni wszyscy są wierni. I wszyscy cię oszukują. Wszyscy są sukinsynami. Jezu. Wiesz co: wolę nowych przyjaciół od starych. Hej, mam nową żonę: co o niej sądzicie? - Uniósł podbródek dziewczyny i lekko przechylił jej twarz, żeby pokazać ją z najlepszej strony, a dziewczyna uśmiechnęła się i klepnęła go po ręce. - Jestem zdumiewający. - Był taki czas - powiedział, zanim któryś z nich mógł cokolwiek skomentować - był taki czas, kiedy mógłbym się położyć na moim tłustym brzuchu, żeby wpuścić Anglików do Europy. Teraz płaczecie pod drzwiami, a mnie to nie obchodzi. - Potrząsnął głową. - Doprawdy, jestem zdumiewający. No cóż, to historia. A może to po prostu ja. Może jestem jedynym zainteresowanym władzą: może was kochałem, bo byliście silni, a teraz was nienawidzę, bo jesteście niczym. Ubiegłej nocy zabili chłopca, słyszeliście? W Hagen. Mówili o tym w radio.

Napił się steinh8gera. Podkładka przykleiła się do podstawy kieliszka. Oderwał ją.

- Jednego chłopca. Jednego starca. Jedną zwariowaną bibliotekarkę. Okay, więc mamy drużynę piłkarską: ale to nie jest Sąd Ostateczny.

Za oknem długie szare kolumny czekały na esplanadzie. Praszko zatoczył ręką wokół.

- Popatrzcie na te bzdury. Papier. Papierowa demokracja, papierowi politycy, papierowe orły, papierowi żołnierze, papierowi deputowani. Demokracja

z domku dla lalek; jak tylko Karfeld kichnie, robimy w portki. Wiecie dlaczego? Bo jest tak cholernie blisko prawdy.

- Więc jesteś jego zwolennikiem? Tak? - zapytał Turner, ignorując gniewne spojrzenie Bradfielda.

Praschko dokończył zupeę, oczy przez cały czas miał utkwione w Turnerze.

- Świat młodnieje z dnia na dzień - powiedział. - Okay, więc Karfeld to kupa bzdur. Okay. Wzbogaciliśmy się, rozumiesz, chłopcze? Jedliśmy i pili śmy, budowaliśmy domy, kupowaliśmy samochody, płaciliśmy podatki, cho dziliśmy do kościoła, robiliśmy dzieci. Teraz pragniemy czegoś prawdziwe go. Wiesz co to jest, chłopcze?

Nie spuszczał oczu z pokancerowanej twarzy Turnera.

- Iluzje. Królowie i królowe. Kennedy'owie, de Gaulie'owie, Napole onowie, Wittelsbachowie, Poczdam. I żadnej cholernej wiochy więcej. Hej, a co z rozruchami studenckimi w Anglii? Co królowa o tym sądzi? Dajecie im za mało kasy? Młodzież. Chcecie coś wiedzieć o młodzieży? Powiem wam. - Teraz jego jedynym słuchaczem był Turner. - Niemiecka młodzież obwinia swoich rodziców o to, że rozpoczęli wojnę. To się słyszy. Codzienne jakiś zwariowany mędrak wypisuje o tym w innej gazecie. Chcecie posłuchać prawdziwej opowieści? Oni obwiniają rodziców o to, że przegrali tę cholerną wojnę, a nie za to, że ją rozpoczęli! „Hej! A gdzie u diabła jest nasze imperium?” Zgaduję, że tak samo jest z Anglikami. Te same bzdury. Te samedziaciaki. Chcą powrotu Boga. - Przechylił się przez stół, aż jego twarz znalazła się blisko twarzy Turnera. - Słuchaj. Może zrobimy interes. My wam damy gotówkę, wy nam dacie iluzję. Problem w tym, że już próbowaliśmy. Dobiliśmy targu, a wy nam daliście kupę gówna. Nie dostarczyliście iluzji. Tego właśnie nie lubimy w Anglikach. Nie wiedzą, jak robić interesy. Ojczyzna chciała poślubić Matczyznę, ale wy nie pokazaliście się na ślubie. - Znów wybuchnął fałszywym śmiechem.

- Może teraz nadszedł czas, żeby się zjednoczyć - powiedział Bradfield, uśmiechając się jak mąż stanu.

Kątem oka Turner dostrzegł dwóch mężczyzn, blondynów w czarnych garniturach i zamszowych butach, którzy po cichu usiedli przy sąsiednim stoliku. Kelner szybko podszedł do nich, zgadując, kim są. W tej samej chwili z korytarza weszło stadko młodych dziennikarzy. Niektórzy nieśli dzisiejsze gazety. Tytuły mówiły o Brukseli albo Hadze. Na czele, jak ojciec, szedł Karl-Heinz Saab, patrząc z niepokojem na Bradfielda. Za oknem, na nieładnym patio, stały plastikowe krzesła jak sztuczne kwiaty posadzone na popękanym betonie.

- To prawdziwi naziści. - Głos Praschki wzniósł się, żeby wszyscy mogli go usłyszeć. Wskazał na dziennikarzy pogardliwym machnięciem tłustej

ręki. - Wystawiają języki, pierdzą i myślą, że to oni wymyślili demokrację, Gdzie jest ten cholerny kelner: umarł?

- Szukamy Hartinga - powiedział Bradfield.

- Jasne! - Praschko był przyzwyczajony do sytuacji kryzysowych. Ręka, którą przesuwiał serwetkę po popękanych wargach, posuwała się ze stałą szybkością. Oczy, błyskające żółto z zapadłych oczodołów, ledwie mrugnęły, gdy przyglądał się dwóm mężczyznom.

- Nie widziałem go w pobliżu - powiedział niedbale. - Może jest na galerii. Wy, chłopaki, macie tam specjalny boks. - Odłożył serwetkę. - Może powinniście tam iść popatrzeć.

- Nie ma go od piątku rano. Zaginął przed tygodniem.

- Leo? Ten facet zawsze wraca. - Pojawił się kelner. - Jest niezniszczalny.

- Jesteś jego przyjacielem - mówił dalej Bradfield. - Być może jedynym przyjacielem. Myśleliśmy, że może konsultował się z tobą.

- W jakiej sprawie?

- Cóż, w tym problem - powiedział Bradfield z nikłym uśmiechem. - Myśleliśmy, że ci o tym powiedział.

- Nigdy nie znalazł sobie angielskiego przyjaciela? - Praschko przenosił wzrok z jednego na drugiego. - Biedny Leo. - W jego głosie pojawił się teraz szczególny ton.

- Zajmowałeś specjalne miejsce w jego życiu. W końcu wiele rzeczy robiliście razem. Dzielicie razem różne doświadczenia. Sądziliśmy, że jeśli potrzebna mu była rada, albo pieniądze, albo cokolwiek, czego się potrzebuje w pewnego rodzaju kryzysach życiowych, to instynktownie poszuka ciebie. Myśleliśmy, że mógł nawet zgłosić się do ciebie po ochronę.

Praschko znów popatrzył na skaleczenia na twarzy Turnera.

- Ochronę? - Wargi ledwie mu się otwierały, gdy mówił; jakby wolał nie wiedzieć, że w ogóle się odzywa. - Z równym powodzeniem mogłobyście chronić... - Czoło nagle zrobiło mu się mokre. Jakby wilgoć spadła z zewnątrz i osiadła jak para. - Odejdź - powiedział do dziewczyny. Wstała bez słowa, obdarzyła wszystkich roztargnionym uśmiechem i wyszła z re-stauracji, a Turner nie licząc się przez chwilę z nikim, patrzył z zadowoleniem, jak kręci biodrami; ale Bradfield już zaczął mówić.

- Nie mamy wiele czasu. - Pochylił się i mówił bardzo szybko: - Byłeś z nim w Hamburgu i w Berlinie. Są pewne sprawy, o których wiesz zapewne tylko wy dwaj. Rozumiesz mnie?

Praschko czekał.

- Jeśli możesz pomóc nam go znaleźć bez robienia zamieszania; jeśli wiesz, gdzie jest i możesz go namówić do powrotu; jeśli jest coś, co możesz

zrobić ze względu na starą przyjaźń, to ja postąpię z nim bardzo łagodnie i bardzo dyskretnie. Twoje nazwisko nie będzie z tym związane, w ogóle nie będzie żadnych nazwisk.

Teraz Turner musiał czekać. Patrzył to na jednego, to na drugiego. Tylko pot zdradzał Praschkę; tylko wieczne pióro zdradzało Bradfielda. Trzymał je w zaciśniętej pięści, gdy nachylał się nad stołem. Za oknem Turner zobaczył czekające szare kolumny; przy sąsiednim stoliku księżycowi ludzie obserwowali ich służbiście, jedząc bułki z masłem.

- Wyślę go do Anglii; tak czy inaczej usunę go z Niemiec, jeśli to potrzebne. Już teraz postawił się na straconej pozycji; nie ma mowy o ponownym zatrudnieniu. Zrobił coś - zachował się w sposób, który sprawia, że nie możemy brać go pod uwagę. Rozumiesz, o co mi chodzi? Cokolwiek wie, jest to własnością państwową... - Wyprostował się. - Musimy go znaleźć, zanim oni to zrobią- powiedział, a Praschko patrzył na niego małymi oczkami i nic nie mówił.

- Rozumiem też - kontynuował Bradfield - że muszą być uwzględnione twoje interesy.

Praschko lekko się poruszył.

- Bądź ostrożny - powiedział.

- Nic nie jest odleglejsze od moich zamiarów, jak chęć mieszania się w wewnętrzne sprawy Republiki Federalnej. Twoje ambicje polityczne, przeszłość twojej partii w stosunkach z Ruchem, to są sprawy bardzo odległe od sfery moich zainteresowań. Jestem tutaj, żeby chronić nasz sojusz, a nie osądzać sojusznika.

Niespodziewanie Praszko uśmiechnął się.

- To świetnie - powiedział.

- Twoja przyjaźń z Leo dwadzieścia lat temu, twój związek z pewnymi brytyjskimi agendami rządowymi...

- Nikt o tym nie wie - szybko powiedział Praszko. - Bądź w tych sprawach cholernie ostrożny.

- Właśnie chciałem powiedzieć to samo - stwierdził Bradfield i obaj uśmiechnęli się z ulgą. - Nawet przez chwilę nie miałem zamiaru powiedzieć, że w ambasadzie żywimy jakieś resentymenty, że prześladowujemy wybitnych polityków niemieckich, wzniecamy od dawne umarłe stare waśnie; że mamy za sojuszników kraje niechętne sprawie niemieckiej. Jestem całkowicie pewien, że ty też nie chciałbyś, żeby coś takiego mówiono o tobie. Nasze interesy są tożsame.

- Jasne - powiedział Praszko. - Jasne. - Jego pobrużdżona twarz była nieodgadniona.

- Wszyscy miewamy jakieś czarne owce. Nie możemy pozwolić, żeby nas skłóciły.

- Jezu - powiedział Praszko, zerkając z ukosa na ślady na twarzy Turnera. - Miewamy też rozrywkowych przyjaciół. Czy to Leo ci zrobił?

- To ci, co siedzą w kącie - powiedział Turner. - To oni mnie urządzili. Czekają żeby to zrobić jemu, jeśli damy im szansę.

- Okay - powiedział wreszcie Praszko. - Pomogę ci. Jedliśmy razem lunch. Od tamtego czasu nie widziałem go. Czego ten małpison chce?

- Bradfield! - krzyknął Saab przez salę. - Jak długo jeszcze?

- Mówiłem ci, Karl-Heinz. Nie będzie wypowiedzi.

- Po prostu gadaliśmy, to wszystko. Nieczęsto go widuję. Zadzwoił do mnie: „Może spotkalibyśmy się na obiedzie?” Więc powiedziałem: „Spotkajmy się jutro”. - Otworzył dłonie, żeby pokazać, że nie chowa niczego w rękawie.

- O czym rozmawialiście? - zapytał Turner.

Wzruszył ramionami.

- Wiecie, jak to jest ze starymi przyjaciółmi. Leo to fajny gość, ale... cóż, ludzie się zmieniają. A może to my nie lubimy, żeby nam przypominano, że się nie zmieniają. Rozmawialiśmy o dawnych czasach. Wypiliśmy drinka. Wiesz, jak to jest.

- O jakich dawnych czasach? - naciskał Turner, a Praszko spiorunował go wzrokiem, bardzo już zły.

- O Anglii. Gówniane czasy. Wiecie jak się tam dostaliśmy? Jego nazwisko zaczyna się na H, moje na P. Więc zmieniłem to na B. Harting Leo, Braschko Harry. Co za czasy. Szczęście, że nie nazywaliśmy się Weiss i Zachary te litery były za daleko w alfabecie. Anglikom nie podobała się druga część alfabetu. O tym rozmawialiśmy: o Dover, o darmowych biletach. Cholerne czasy. Cholerna szkoła rolnicza w Shepton Mallet, znacie to gówniane miejsce? Może do tej pory je odmalowali. Może ten stary facet, który nas tak ganił za to, że jesteśmy Niemcami i mówił, że powinniśmy dziękować Anglikom, że żyjemy, już umarł. Wiecie, czego nauczyliśmy się w Shepton Mallet? Włoskiego. Od jeńców wojennych. To były jedyne sukinsyny, z którymi mogliśmy porozmawiać! - Popatrzył na Bradfielda. - A kim jest ten nazista? - zapytał i wybuchnął śmiechem. - Hej, zwiariowałem, czy co? Jadłem po prostu lunch z Leo.

- Czy on mówił o jakichś kłopotach? - zapytał Bradfield.

- Chciał się czegoś dowiedzieć o ustawie - odparł Praszko, nadal się uśmiechając.

- Ustawie o przedawnieniu?

- Jasne. Chciał poznać prawo.

- Stosujące się do konkretnej sprawy?

- A powinno?

- To było pytanie.
- Pomyślałem, że może chodzić o jakąś konkretną sprawę.
- Jako uogólnienie przepisów prawa?
- Jasne.
- Tak sobie myślę, jakiej polityce mogłoby to służyć? Wskrzyszanie przeszłości nie leży w niczyim interesie.
- A co leży?
- Zdrowy rozsądek - powiedział Bradford. -1 sądzę, że to bardziej cię przekona do naszych intencji, niż jakiegokolwiek nasze zapewnienia. Co chciał wiedzieć?

Praschko mówił bardzo powoli.

- Chciał poznać przyczynę. Chciał poznać filozofię. Więc powiedziałem mu: „To nie jest nowe prawo, tylko stare. Jest po to, żeby zakończyć pewne sprawy. W każdym kraju ostateczne jest rozstrzygnięcie sądowe, punkt, za który nie można się już posunąć. W Niemczech ten kończący wszystko dzień też musiał nadejść”. Rozmawiałem z nim jak z dzieckiem - on jest tak cholernie niewinny, wiedzieliście o tym? Jak mnich. Powiedziałem: „Słuchaj, wyobraź sobie, że jedziesz na rowerze bez świateł, rozumiesz? Jeśli przez cztery miesiące nikt się o tym nie dowie, jesteś czysty. Jeśli to nieumyślne spowodowanie śmierci, to nie są to już cztery miesiące, ale piętnaście lat; jeśli morderstwo z premedytacją, to dwadzieścia lat. Jeśli zbrodnia hitlerowska, to jeszcze dłużej, bo dali tu dodatkowy czas. Odczekali parę lat, zanim zaczęli liczyć do dwudziestu. Jeśli nie założyli sprawy, to oskarżenie upada”. Powiedziałem mu też: „Słuchaj, wozili się z tym tak długo, aż to wygasło. Zmienili to, żeby zadowolić królową i żeby zadowolić siebie; najpierw liczyli od czterdziestego piątego, potem od czterdziestego dziewiątego, a teraz znów to zmienili”. - Praschko rozłożył ręce. - A on zaczął na mnie krzyczeć: „Co takiego świętego jest w tych dwudziestu latach?” „Nie ma nic świętego w dwudziestu latach; nie ma nic świętego w żadnym terminie. Starzejemy się. Jesteśmy coraz bardziej zmęczeni. Umieramy”. To mu powiedziałem. Powiedziałem: „Nie wiem, co tam knujesz w swoim głupim łbie, ale to wszystko bzdury. Wszystko musi mieć swój koniec. Moralisci mówią, że to prawo moralne. Jestem twoim przyjacielem i mówię ci, Praschko ci to mówi: to fakt, więc nie wygłupiaj się”. Wtedy on się rozszalał. Widzieliście go kiedyś, jak jest zły?

- Nie.

- Po lunchu przywiozłem go z powrotem tutaj. Nadal się kłóciliśmy. Przez cały czas, w samochodzie. Potem usiedliśmy przy tym stole. Dokładnie tutaj, gdzie teraz siedzimy. „Może znajdę nowe informacje - powiedział. A ja mu na to: „Jeśli znajdziesz nowe informacje, to zapomnij o nich, bo nic tym nie zyskasz. Nie marnuj czasu. Spóźniłeś się. Takie jest prawo”.

- Nie sugerował czasem, że już znalazł tę informację?
- A znalazł? - zapytał Praschko bardzo szybko.
- Nie wyobrażam sobie, żeby istniała.

Praschko powoli pokiwał głową, przez cały czas nie spuszczać Bradfielda z oczu.

- I co się wtedy stało? - zapytał Turner.
- To wszystko. Powiedziałem mu: „Dobrze, więc dowiedziesz nieumyślnego spowodowania śmierci, spóźniłeś się z tym o całe lata. Nawet jeśli udowodnisz zabójstwo, to od grudnia jest już za późno. Odpieprz się”. Tak mu powiedziałem. A on złapał mnie za ramię i szeptał jak jakiś zwariowany klecha: „Żadne prawo nie rozliczy tego, co zrobili. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. W kościele nauczają: Chrystus zrodził się z dziewicy i wstąpił do nieba w świetlistym obłoku. Miliony w to wierzą. Słuchaj, grywam co niedzielę w kościele, wysłuchuję tego”. Czy to prawda?

- Grał na organach w kościele - powiedział Bradfield.
- Jezu-jęknął Praschko kompletnie zaskoczony. -Leo?
- Od lat.

- Więc mówi dalej: „Ale ty i ja, Praschko, w całym naszym życiu, wdziliśmy żyjących świadków zła”. Tak powiedział. „Nie na szczycie góry, nie w nocy, ale tutaj, na tej ziemi, na której stoimy. Jesteśmy uprzywilejowani. A teraz znów się to dzieje”.

Turner chciał przerwać, ale Bradfield powstrzymał go.

- Wtedy cholernie się wkurzyłem. I mówię do niego: „Ty mi tu nie wyjeżdżaj z Panem Bogiem. Nie skamlaj mi tu o tysiącletniej sprawiedliwości norymberskiej, która wytrzymała cztery lata. Ustawa daje nam przynajmniej dwadzieścia. A przy okazji, kto wprowadził w życie tę ustawę? Wy, Brytyjczycy, mogliście nas zmusić, żebyśmy ją zmienili. Kiedy przekazywaliście nam władzę, mogliście nam powiedzieć: słuchajcie, cholerni Niemcy, przejmijcie te przypadki, zróbcie rozprawy przed własnymi sądami, wydajcie wyroki według waszego kodeksu karnego, ale najpierw znieście ustawę. Wtedy byłeś z nimi i teraz jesteś z nimi. Skończone. Cholernie dobrze, cholernie dobrze się skończyło”. Tak mu powiedziałem, a on tylko patrzył na mnie i powtarzał: „Praschko, Praschko”.

Wyjął chusteczkę z kieszeni, otarł czoło i usta.

- Nie zwracajcie na mnie uwagi - powiedział. - Podniecam się. Wiecie, jacy są politycy. Jak tak na mnie patrzył, to mu powiedziałem: Zrozum, to jest mój dom. Jeśli gdzieś zostawiłem serce to tutaj, w tym burdelu. Sam się dziwię dlaczego. Dlaczego nie w pałacu Buckingham? Dlaczego nie w kraju kultury coca-coli? Ale to jest mój kraj. I tego powinieneś szukać: kraju. Nie tylko jakiejś cholernej ambasady”. Nadal na mnie patrzył. Mówię wam, mało nie zwariowałem. Powiedziałem mu: „Więc przypuścimy, że znalazłeś ten

dowód, powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi: jak możesz popełnić zbrodnię w latach trzydziestych i być ukaranym w sześćdziesiątych? Co to znaczy? Jesteśmy starymi ludźmi. Wiesz, czego nas uczy Goethe: nikt nie może patrzeć na zachód słońca dłużej niż przez kwadrans". A on do mnie: „To znów się dzieje. Popatrz na te twarze, Praschko, posłuchaj przemówień. Ktoś musi powstrzymać tego sukinsyna, albo ty i ja znów będziemy nosić etykietki".

Bradfield odezwał się pierwszy.

- A gdyby znalazł dowód, choć wiemy, że nie znalazł, to co by zrobił? Jeśli już go nie szuka, tylko go ma, co dalej zrobi?

- O Jezu, mówię wam: oszalałby.

- Kto to jest Aickman? - zapytał Turner, przerywając długie milczenie.

- Kto taki, chłopcze?

- Aickman. Kim ona jest? Panna Aickman, panna Etling i panna Brandt... był z nią kiedyś zaręczony.

- To była po prostu kobieta, którą miał w Berlinie. A może w Hamburgu. Może i tu, i tam. Jezu, wszystko zapominam. Bogu dzięki, co?

- Co się z nią dzieje?

- Nie słyszałem o niej - odparł Praschko. Jego małe oczka wyglądały, jakby ktoś je wyciął siekierą w starej korze.

Z kąta nadal patrzyły na nich wygolone twarze; czworo bladych rąk leżało na stoliku jak odłożona broń. Głośnik wzywał Praschkę: *Fraktion* czeka na niego.

- Zdradziłeś go - powiedział Turner. - Nasłałeś na niego Siebkrona. Sprzedałeś go. Opowiedział ci tyle rzeczy, a ty ostrzegłeś Siebkrona, bo też chcesz się załapać.

- Uspokój się - powiedział Bradfield. - Uspokój się.

- Ty brudny sukinsynu - syknął Turner. - Zabijesz go. On ci powiedział, że znalazł dowód; powiedział ci, co to jest i prosił, żebyś mu pomógł, a ty napuściłeś na niego Siebkrona. Byłeś jego przyjacielem i zrobiłeś to.

- On oszalał - wyszeptał Praschko. - Zdajesz sobie z tego sprawę, że on oszalał? Nie widziałeś go. Nie widziałeś go z Karfeldem w tej piwnicy. Myślisz, że ci chłopcy ci dołożyli? Karfeld nawet mówić nie mógł: „Gadaj! Gadaj!” - Zmrużył mocno oczy. - Po tym, jak zobaczyliśmy te ciała na polu... Były powiązane razem. Związali ich razem, zanim ich zagazowali. Wściekł się. Powiedziałem mu: „Słuchaj, to nie twoja wina. To nie twoja wina, że przeżyłeś!” Może pokazywał wam guziki? Pieniądze z obozu? Pewnie tego też nie widzieliście? Nigdy nie wychodziliście na miasto z nim i z dziewczynami? Nigdy nie widzieliście, jak zabawiał się tymi guzikami, żeby wywołać bójkę? On oszalał, mówię wam. Wspomnienia doprowadziły go do roz-

paczy. Powiedziałem mu: „Chodź, idziemy. Czy ktoś kiedyś zbudował Jeruzalem w Niemczech? Nie zamartwiaj się na śmierć, chodź* przelecimy kilka dziewczyn! Musimy trzymać umysły w karbach, bo inaczej wszyscy powariujemy”. Ale on jest jak mnich. Zwariowany mnich, co nigdy nie zapomina. A wy co myślicie, że jaki jest ten świat? Cholerne poletko do uprawiania moralów? Jasne, że powiedziałem Siebkronowi. Cwany chłopak z ciebie. Ale też musisz się nauczyć zapominać. Chryste, jeśli Brytyjczycy tego nie potrafią, to kto potrafi?

Gdy weszli do kularów, rozległy się krzyki. Dwaj studenci w skórzanych płaszczach przedarli się przez kordon u drzwi i walczyli z woźnymi. Starszy wiekiem deputowany trzymał przy ustach chusteczkę, a po nadgarstku ściekała mu krew. „Naziści! - krzyczał ktoś -Naziści!”- Ale pokazywał na studentów na balkonie, a oni wymachiwali czerwoną flagą.

- Z powrotem do restauracji - powiedział Bradford. - Możemy wyjść drugą stroną.

Restauracja nagle opustoszała. Deputowani i goście, przyciągnięci zamieszaniem w kularach albo wystraszeni, rozeszli się każdy w swoją stronę. Bradford nie biegł, ale szedł długim wojskowym krokiem. Byli w galerii ze sklepami. Sklep z artykułami skórzanymi oferował czarne teczki z cienkiej cielęcej skóry. W następnej witrynie fryzjer rozprowadzał pianę na twarzy niewidocznego klienta.

- Bradford, musisz mnie wysłuchać: Boże, nie mogę cię nawet ostrzec przed tym, co wygadują?

Saabowi brakowało powietrza. Jego obfite ciało falowało pod zatłuszczonej marynarką; kropelki potu zraszały wory pod żółtawymi oczami. Allerton z purpurową twarzą pod czarną czupryną wyglądał mu zza ramienia. Cofnęli się do drzwi. W końcu korytarza panował spokój.

- Kto co wygaduje?

Allerton odpowiedział za kolegę:

- Całe Bonn, stary. Cała cholerna papiernia.

- Słuchaj. Ludzie opowiadają fantastyczne rzeczy. Wiesz, co się stało w Hanowerze? Wiesz, dlaczego były zamieszki? Szeptano o tym we wszystkich kawiarniach: ludzie Karfelda o tym mówią. Pogłoski rozeszły się już po całym Bonn. Zakazano im cokolwiek mówić; to tajemnica.

Rozejrzał się szybko po galerii.

- To najlepszy kawałek od lat - powiedział Allerton.

- Dlaczego ci chłopcy, którzy przyjechali szarymi autobusami prze-wali kordon i pobiegli jak wściekłe psy do biblioteki? Ktoś strzela do Karfelda. Kiedy grała muzyka: strzelano do niego z okna biblioteki. Jakiś

przyjaciel tej kobiety, bibliotekarki Eich. Pracowała dla Brytyjczyków w Berlinie. Była emigrantką, zmieniła nazwisko na Eich. Wpuściła go, żeby strzelił z okna. Potem opowiedziała to wszystko Siebkronowi, zanim umarła. Ochrona osobista Karfelda widziała, jak strzelał. Kiedy grała muzyka! Zobaczyli faceta strzelającego z okna i pobiegli, żeby go złapać. Słuchaj, Bradfield! Słuchaj, co mówią! Znaleźli kulę, kulę z angielskiego pistoletu. Rozumiesz teraz? Angolicy dokonują zamachu na Karfelda: tak mówi plotka. Musisz położyć temu kres; porozmawiaj z Siebkronem. Karfeld jest przerażony; to straszny tchórz. To dlatego jest taki ostrożny, to dlatego buduje wszędzie te cholerne *Schaffbtt*. Jak się mówi „*Schaffott*”, na litość boską?

- Rusztowanie - powiedział Turner.

Tłum z kuluarów wypchnął ich na zewnątrz.

- Rusztowanie! To ściśle tajne, Bradfield! Do twojej wiadomości! - Usłyszeli, jak krzyczy: -Nie wolno ci mnie cytować, na litość boską. Siebkron się wścieknie.

- Masz to jak w banku, Karl-Heinz - odparł spokojny głos, absurdalnie oficjalny na tle wrzawy - twoje zaufanie nie zostanie nadużyte.

- Stary. - AUerton zbliżył głowę do ucha Turnera. Nie golił się, czarne loki pokryte były potem. - Co się stało z Leo? Zdaje się, że gdzieś znikł. Mówi się, że stara Eich w swoim czasie była niezłą latawicą... pracowała z łowcami skalpów w Hamburgu. Co ci zrobili z twarzą, stary? Za szybko zacisnęła nogi, co?

- Nie będzie wypowiedzi - powiedział Bradfield.

- Jeszcze jej nie ma, stary - odparł Allerton.

- I nigdy nie będzie.

- Mówi się, że prawie go miał w Bonn, w nocy przed wiecem w Hano-werze. Karfeld wyszedł z tajnej konferencji i Leo prawie go dopadł. Chłopa-czki Siebkrona pojawiły się w porę.

Nieruchome kolumny czekały cierpliwie w szykach wzdłuż nabrzeża. Czarne flagi niespiesznie powiewały na lichym wietrze. Za rzeką, za linią błękitnych drzew, odległe kominy fabryczne wyrzucały leniwie dym w szare światło poranka. Małe łódeczki, odrobiny świetlistości, leżały porzucone na szarym trawiastym brzegu. Po lewej stronie Turnera stała stara szopa na łodzie, której jeszcze nie rozebrano. Napis na niej głosił, że jest własnością Instytutu Fizyki Doświadczalnej uniwersytetu w Bonn.

Stali na brzegu ramię przy ramieniu. Bładziutka mgielka, jak ślad oddechu na szkle, unosiła się nad brązowymi łąkami i pobliskim mostem. Nie słychać było żadnych dźwięków, tylko echa nieobecnych przedmiotów: krzyk zagubionej mewy, jęk zabłąkanej barki, nieuchronne wycie niewidocznych

świdrów. Nie było ludzi, tylko szare cienie wzdłuż nabrzeża i niezwiązany z nimi tupot nóg; nie padało, ale od czasu do czasu czuli wilgoć we mgle, jak pulsowanie krwi w nagrzaną skórę. Nie było statków, tylko pogrzebowe kadłuby dryfujące w stronę bogów północy i nie było zapachów poza wonią z ładu - węgla i nieistniejącego tu przemysłu.

- Karfeld będzie siedział w ukryciu aż do wieczora - powiedział Bradfield. - Siebkron zatroszczył się o to. Spodziewają się, że Leo znów spróbuje wieczorem. I spróbuje.

- Karfeld ukrywa się aż do demonstracji. Po demonstracji znów zostanie ukryty. Harting ma dość ograniczone środki; nie może liczyć na to, że długo zostanie na wolności. Spróbuje wieczorem.

- Aickman nie żyje - powiedział Turner. - Zabili ją.

- Tak. Będzie próbował wieczorem.

- Każ Siebkronowi odwołać wiec.

- Gdyby to było w mojej mocy, zrobiłbym to. Gdyby to było w mocy Siebkrona, on by to zrobił. - Pokazał na kolumny. - Jest za późno.

Turner spojrzał na niego.

- Nie, Karfeld nie odwoła wiecu bez względu na to, jak bardzo jest wystraszony - powiedział Bradfield, jakby na chwilę naszyły go wątpliwości. - Ten wiec jest kulminacją jego kampanii. Zorganizował go w takim czasie, żeby zbiegł się z krytycznym momentem w Brukseli. Jest już w połowie drogi do wygranej.

Odrzucił się i poszedł powoli dróżką w stronę parkingu. Szare kolumny obserwowały go w milczeniu.

- Wracaj do ambasady. Weź taksówkę. Od tej chwili obowiązuje całkowicie zakaz przemieszczania się. Nikt nie ma prawa opuszczać terenu ambasady pod karą dymisji. Powiedz to de Lisle'owi. Powiedz mu, co się stało i odłóż papiery Karfelda dla mnie. Wszystko, co go obciąża: raport ze śledztwa, przesłuchania... wszystko z rupieciarni, co składa się na oskarżenie. Powinienem wrócić wczesnym popołudniem.

Otworzył drzwi do samochodu.

- Jaki jest układ z Siebkronem? - zapytał Turner. - Co mam przeczytać między wierszami?

- Nie ma układu. Albo oni zniszczą Hartinga, albo on zniszczy Karfelda. W każdym wypadku muszę się go wyprzeć. Tylko to się liczy. Chciałbyś, żebym zrobił coś innego? Widzisz inne wyjście? Powinienem powiadomić Siebkrona. Muszę mu przysiąc, że nie mamy żadnego udziału w pracach Hartinga i żadnej wiedzy na ten temat. Czy jesteś w stanie zaproponować inne rozwiązanie? Byłbym ci wdzięczny.

Zapalił silnik. Szare kolumny poruszyły się z zainteresowaniem, podobnie jak im się biały jaguar.

- Bradfield!
- Tak?
- Błagam. Pięć minut. Ja też mam kartę do rozegrania. Coś, o czym nigdy nie mówiliśmy. Bradfield!

Bradfield bez słowa otworzył drzwi i wysiadł.

- Powiedziałeś, że nie mamy w tym udziału. Mamy. On jest naszym produktem, wiesz o tym, my uczyniliśmy go takim, jakim jest, zmiażdżyliśmy go między tymi wszystkimi światami... zmieliliśmy go, kazaliśmy oglądać rzeczy, których nikt nie powinien oglądać, słuchać... to my wysłaliśmy go w jego prywatną podróż... ty nie wiesz, jak jest tam na dole. Ja wiem! Bradfield, słuchaj! Jesteśmy jego dłużnikami. I on to wiedział.

- Wszyscy mamy wierzycieli. Mało kto otrzymuje zwrot długu.
- Chcesz go zniszczyć! Chcesz, żeby stał się nikim! Chcesz się go wyprzeć, bo był jej kochankiem! Bo...

- Mój Boże - powiedział łagodnie Bradfield - gdyby o to chodziło, musiałbym zabić więcej niż trzydziestu dwóch facetów. Czy to wszystko, co chciałeś mi powiedzieć?

- Czekaj! Bruksela... Wspólny Rynek... W przyszłym tygodniu złoto, potem Układ Warszawski. Przyłączymy się i do Armii Zbawienia, jeśli Amerykanom tak się spodoba. Dryfujemy! Dlaczego dajesz się unosić? Dlaczego nie powiesz: stop?

- To co mam zrobić z Hartingiem? Powiedz, co mogę zrobić innego, niż się go wyprzeć? Wiesz, jacy tutaj jesteśmy. Kryzysy są poprawne. Skandale nie. Nie zrozumiałeś, że tylko pozory się liczą?

Turner gorączkowo szukał argumentów

- To nieprawda! Nie możesz być tak przywiązany do powierzchni rzeczy!

- A co mi pozostaje, jeśli środek jest zgniły? Przebij się przez powierzchnię i utoniemy. To właśnie zrobił Harting. Ja jestem hipokrytą - stwierdził szczerze. - Jestem wielkim wyznawcą hipokryzji. To największa z naszych cnót. Deklaracja tego, jacy powinniśmy być. Jak religia, sztuka, prawo, małżeństwo. Służę pozorom. To najgorszy z systemów, ale lepszy niż pozostałe. Taki jest mój zawód i moja filozofia. I w odróżnieniu od ciebie - dodał - nie podpisałem kontraktu, że będę służył potężnemu narodowi, a już w najmniejszym stopniu cnotliwemu. Wszelka władza korumpuje. Utrata władzy korumpuje jeszcze bardziej. Bądźmy wdzięczni za tę radę. Jesteśmy skorumpowanym narodem i potrzebujemy wszelkiej pomocy, jaką możemy uzyskać. To godne pożałowania i, przynajmniej, czasami poniżające. Wolę jednak zawieść jako człowiek dysponujący potęgą, niż przeżyć jako impotent. Wolę zwyciężyć, niż pozostać neutralnym. Wolę być Anglikiem niż Szwajcarem. I inaczej niż ty, niczego nie oczekuję. Nie

oczekuję więcej od instytucji, niż spodziewam się od ludzi. Więc nie masz propozycji? Jestem rozczarowany.

- B rad field, ja to znam. Znam też ciebie i wiem, co czujesz! Nienawidzisz go! Nienawidzisz go bardziej, niż jesteś skłonny przyznać. Nienawidzisz go za uczucie: za miłość, nawet za nienawiść. Nienawidzisz go za oszustwa i za to, że jest uczciwy. Za to, że ją rozbudził. Że cię wystawił na pośmiewisko. Nienawidzisz go za czas, który spędziła z nim... za myśli, za jej sny o nim!

- Ale ty nadal nie masz propozycji. Wydaje mi się, że twoje pięć minut minęło. On rzeczywiście mnie uraził-dodał od niechcenia, jakby ponownie przyglądał się temu tematowi. - Tak. Zrobił to. Nie tyle przeciwko mnie, jak pewnie myślisz. Ale przeciwko porządkowi wyrastającemu z chaosu; przeciwko umiarkowaniu, wbudowanemu w społeczeństwo żyjące bez celu. Nie miał żadnego interesu w tym, żeby nienawidzić Karfelda i żadnego by... Nie miał interesu w pamiętaniu. Gdybyśmy ty albo ja mieli jeszcze jakikolwiek cel, to byłoby nim zbawienie świata od takich podejrzeń.

- Z was wszystkich... Z was wszystkich on jeden jest prawdziwy, jest jedynym, który wierzył i działał! Dla ciebie to po prostu gra. Ale Leo zaangażował się! Wie, czego chce i będzie to miał!

- Tak. I to wystarczy, żeby go potępić. - Zapomniał teraz o Turnerze. - Nie ma już miejsca dla jego gatunku. Dzięki Bogu, tego jednego się nauczyliśmy. - Patrzył na rzekę. - Nauczyliśmy się, że nawet zero jest ślicznym kruchym kwiatem. Mówisz, jakby istnieli ci, którzy dokładają swoje i ci, którzy nic nie dają. Jakbyśmy wszyscy pracowali na ten dzień, kiedy już nie będziemy potrzebni; kiedy świat będzie się mógł spakować i pójść swoją drogą. Ale tego nie ma. Nie ma ostatniego dnia. Pracujemy dla życia. Teraz. W tej chwili. Noc w noc, gdy idę spać, mówię sobie: jeszcze jeden dzień. Jeszcze jeden dzień dodany do sprzecznego z naturą życia świata na jego łożu śmierci. A jeśli nigdy nie spocznę, jeśli nie zmrużę oka, przeżyjemy jakoś następne sto lat. Tak - powiedział do rzeki. - Nasza polityka to ta fala wysoka na metr. Metr wolności w górę i w dół przy brzegu. Dalej jest anarchia i wszystkie te romantyczne frazesy na temat protestu i sumienia. Wszyscy szukamy większej wolności, każdy z nas. Ale ona nie istnieje. Dopóki to akceptujemy, możemy marzyć do woli. Harting nigdy nie powinien schodzić do piwnicy. A ty powinieś wrócić do Londynu, wtedy kiedy ci kazałem. Ustawa dała nam prawo do zapominania. On je zламаł. Praschko ma rację: Harting zламаł prawo umiarkowania.

- Nie jesteśmy automatami! Urodziliśmy się wolni, ja w to wierzę! Nie możemy kontrolować naszego umysłu!

- Dobry Boże, któż ci to powiedział? - Stał teraz twarzą w twarz z Turne-rem, w oczach miał łzy. - Kontrolowałem mój umysł przez osiemnaście lat

małżeństwa i dwadzieścia lat dyplomacji. Połowę życia spędziłem w rym, żeby nauczyć się nie patrzeć, a drugą połowę, żeby nauczyć się nie czuć. Myślisz, że nie mogę się także nauczyć zapominania? Czasem przytłaczają mnie sprawy, których nie znam! Więc dlaczego, do diabła, on nie miałby zapomnieć? Czy myślisz, że to, co muszę zrobić, sprawia mi przyjemność? Myślisz, że nie zmusił mnie do tego? To on wprowadził to wszystko w ruch, nie ja! Ta jego przekłeta nieskromność...

- Bradfield! A co z Karfeldem? Czy Karfeld także nie przekroczył granicy?

- Są widać zupełnie różne sposoby traktowania tego przypadku. -Jego głos znów stał się oficjalny.

- Leo znalazł jeden sposób.

- Ale niewłaściwy.

- Dlaczego?

- Nieważne dlaczego.

Zaczął powoli iść do samochodu, ale Turner zawołał za nim.

- Dlaczego Leo musiał uciekać?! On coś przeczytał. Coś, co ukradł. Co było w tej zielonej teczce? Co to za rozmowy formalne i nieformalne z niemieckimi politykami, Bradfield! Kto z kim rozmawiał?

- Ciszej, mogą cię podsłuchać.

- Powiedz mi! Czy odbyłeś rozmowę z Karfeldem? Czy to sprawiło, że Leo wybrał się na nocny spacer? Czy o to właśnie chodzi?

Bradfield nie odpowiedział.

- Święty Boże - wyszeptał Turner. - W końcu jesteśmy jak oni wszyscy. Jak Siebkron i Prashko, próbujemy obstawić numer jutrzejszego zwy ciężcy!

- Uwważaj! - ostrzegł go Bradfield.

- Allerton... co powiedział Allerton...

- Allerton? On nic nie wie!

- Karfeld przyjechał z Hanoweru w piątek wieczorem. Potajemnie przybył do Bonn. Dla pewności. Przyszedł i wyszedł pieszo, taka to była tajemnica. Ty nie pojechałeś w końcu do Hanoweru, prawda? Zmieniłeś plany, odwołałeś rezerwację. Leo dowiedział się o tym w dziale podróży...

- Opowiadasz kompletne bzdury.

- Spotkałeś się z Karfeldem w Bonn. Siebkron zatroszczył się o to, a Leo cię śledził, bo wiedział, co zamierzasz zrobić!

- Zwariowałeś.

- Nie, nie zwariowałem. Ale Leo zwariował, prawda? Bo Leo cię podejrzewał. Przez cały czas wiedział, że potajemnie ubezpieczasz się przed

porażką w Brukseli. Dopóki nie zobaczył tej teczki i nie dowiedział się, że może jeszcze działać w granicach prawa. Ale kiedy zobaczył zieloną teczkę, już wiedział: to naprawdę dzieje się od nowa. Wiedział. Dlatego się tak śpieszył. Musiał cię powstrzymać, musiał powstrzymać Karfelda, zanim będzie za późno!

Bradfield nie odpowiedział.

- Co było w zielonej teczce, Bradfield? Cóż zabrał na pamiątkę? Dlaczego ukradł tylko tę teczkę? Bo zawierała notatki z tego spotkania, prawda? I to cię zaalarmowało! Chciałeś odzyskać zieloną teczkę! Podpisywałeś te notatki, Bradfield? Tym swoim ochoczym piórem? - Blade oczy płonęły gniewem. - Kiedyż to on ukradł pudło na depesze, pomyślmy tylko: w piątek... w piątek rano znalazł potwierdzenie, prawda? Widział to czarno na białym: to był ten dodatkowy dowód, którego szukał. Zabrał to do Aickman... „Mają zamiar zastosować swoje stare sztuczki, musimy to powstrzymać, zanim będzie za późno... jesteśmy do tego wybrani”. Dlaczego zabrał zieloną teczkę? Żeby ją im pokazać! „Dzieciaki, patrzcie - chciał powiedzieć - historia naprawdę się powtarza i to nie jako komedia!”

- To był dokument najwyższej tajności. Tylko za to może pójść do więzienia na wiele lat.

- Ale nie pójdzie, bo ty chcesz mieć teczkę, a nie człowieka. To jeszcze jedna składowa metrowej wolności, prawda?

- Wolałbyś, żebym był fanatykiem?

- Podejrzał to od miesięcy, docierały do niego plotki krążące po Bonn i skrawki informacji, które uzyskał od niej; teraz miał dowód, że Brytyjczycy zabezpieczają się na dwie strony. Prowadzą politykę wyciągania korzyści na osi Bonn-Moskwa. Jaki był ten układ, Bradfield? Czego teraz należy szukać między Wierszami? Nic dziwnego, że Siebkron myślał, że prowadzisz potrójną grę! Najpierw stawiasz wszystko na Brukselę, bardzo mądrze. „Niech nic nie przeszkadza temu przedsięwzięciu”. Potem umawiasz się z Karfeldem i wciągasz w to Siebkrona. „Zabierz mnie w tajemnicy do Karfelda - mówisz mu. - Brytyjczycy też są zainteresowani porozumieniem z Moskwą”. Bardzo nieformalnie zainteresowani, oczywiście. Rozmowy o charakterze czysto wyjaśniającym i żadnych świadków. Ale ewentualne rozmowy handlowe ze Wschodem nie są wykluczone. Herr doktor Karfeld, gdyby pan kiedyś przypadkiem stał się wiarygodną alternatywą dla kruszącej się koalicji! W istocie jesteśmy obecnie dość antyamerykańscy, wie pan, Herr doktor Karfeld...

- Minąłeś się z powołaniem.

- I co się wtedy dzieje? Ledwie Siebkron przyprowadził ci Karfelda do łóżka, gdy dowiaduje się czegoś, co sprawia, że oblewają go zimne poty: ambasada brytyjska tworzy dossier na temat podejrzanej przeszłości Karfelda!

Ambasada ma już archiwalia -jedyne archiwalia, Bradfield— a teraz przymiera się, żeby go na boku szantażować. I to nie wszystko!

- Nie.

- Ledwie Siebkron i Karfeld zdążyli się trochę otrząsnąć z szoku, raczycie ich jeszcze większym. Takim, który naprawdę nimi wstrząsnął. „Nie, nawet Albion nie może być tak perfidny - pomyśleli. - Brytyjczycy usiłują dokonać zamachu na Karfelda. To, oczywiście, nie ma sensu. Po co zabijać człowieka, którego chce się szantażować? - Musieli się nad tym ciężko głowić. Nic dziwnego, że Siebkron wyglądał na chorego we wtorek wieczór!

- No to teraz wiesz wszystko. Znasz tajemnicę: zachowaj ją.

- Bradfield!

- Tak?

- Na kim chcesz wygrać? Teraz, tutaj, po południu, na kogo stawiasz pieniądze tym razem? Na Leo czy na sojuszników z przeceny?

Bradfield zapuścił silnik.

- Na przyjaciół z przeceny! Tylko na takich możemy sobie pozwolić! Tylko takich mamy odwagę sobie dobierać! Jesteśmy dumnym narodem, Bradfield! Możesz mieć Karfelda z dwudziestopięcioprocentowąniżką! Nie szkodzi, że nas nienawidzi. Da się przekonać! Ludzie się zmieniają! A on myśli o nas przez cały czas! To zachęcający początek! Trochę go teraz popchnąć i będzie chodził jak w zegarku.

- Jesteś z nami albo przeciwko nam. Włączasz się albo nie. - Zawahał się. - A może wolisz być Szwajcarem?

Bez jednego słowa czy spojrzenia Bradfield odjechał pod górę, skręcił w prawo, w stronę Bonn, i zniknął. Turner poczekał, aż znalazł się poza polem widzenia i poszedł z powrotem ścieżką wzdłuż rzeki do postoju taksówek. Gdy tak szedł, nagle za nim rozległo się dudnienie nóg i gwar głosów. Był to najsmutniejszy, najgłębszy dźwięk, jaki słyszał w życiu. Kolumny ruszyły; dreptał powoli do przodu, przeciętny, przycięzki i przerażający, bezmózgi szary potwór, którego już nie można powstrzymać, a za nimi, nieomal ukryty za mgłą, rysował się lesisty kontur wzgórza Chamberlaina.

Epilog

Bradfield szedł przodem, de Lisie i Turner za nim. Był wczesny wieczór i na ulicach nie było ruchu. W całym Bonn nic się nie poruszało poza niemymi, odzianymi na szaro przybyszami zalewającymi aleje, śpieszącymi w stronę rynku. Czarne chorągiewki zwiślały nieruchomo nad opadającą falą.

Bonn nie widziało jeszcze takich twarzy. Młodzi i starzy. Zagubieni i odnalezieni, najedzeni i głodni, mądrzy, tępi, opanowani i niesforni, dzieci Republiki, zebrali się w jeden legion, żeby ruszyć na jej małe bastiony. Byli wśród nich ludzie ze wzgórz, ciemnowłosi, krzywonodzy, oskrobani świętecznie; byli wśród nich urzędnicy, niedzielni spacerowicze, powolna piechota niemieckiej promenady w gabardynie i czarnych kapeluszach. Niektórzy nieśli flagi nieśmiało, jakby ich przerastały, niektórzy jak sztandary bitewne, niektórzy jak kruki związane na targ. Las Birnamski podszedł do murów Dunsinanu.

Bradfield czekał na nich, żeby się przyłączyć.

- Siebkron zarezerwował dla nas miejsce. Musimy wejść wyżej. Musimy przebić się na prawo.

Turner kiwnął głową, ledwie go słysząc. Rozglądał się na wszystkie strony, zaglądał w każdą twarz, w każde okno, do każdego sklepu, w każdy róg i alejkę. Raz chwycił de Lisle'a za ramię, ale ktokolwiek tam był, zdążył odejść i wtopić się w masę.

Nie tylko sam plac: balkony, okna, sklepy, każda piędź ziemi i szczelina wypełnione były szarymi płaszczami, białymi twarzami i zielonymi mundurami wojska i policji. A oni ciągle nadciągali, coraz ich było więcej, tłoczyli się u wylotów pociemniałych alei, wyciągali szyje, żeby zobaczyć stanowisko

mówcy, czekali na przywódcę, ludzie bez oblicza szukający jednej twarzy. Turner rozglądał się rozpaczliwie wokół, też szukając twarzy, której nigdy nie widział. Nad ich głowami, przed reflektorami, zwisały na drutach głośniki jak ostrzeżenia, dalej było niebo.

Nigdy mu się to nie uda, pomyślał ponuro Turner; nigdy się nie przebije przez taki gęsty tłum. Ale wtedy napłynął do niego głos Hazel Bradfield: „Miałam młodszego brata, który grał w rugby, stał w młynie. Byli prawie nie do odróżnienia”.

- Na lewo - powiedział Bradfield. - Idźcie w stronę hotelu.

- Jesteście Anglikami? - zapytała jakaś kobieta, co zabrzmiało jak herbatka w przyjaznym domu. - Moja córka mieszka w Yarmouth. - Ale fala zabrała ją dalej. Zwinięte flagi zagradzały im drogę, trzymane nisko jak lance. Sztandary tworzyły koło, a w jego środku stała studencka brać zebrana wokół swojego małego ogniska.

- Płoń Axelu Springerze! - krzyknął jakiś chłopiec bez wielkiego przekonania, a inny przedarł książkę i rzucił ją w płomienie. Książka źle się paliła, dławiała się, zanim umarła. Nie powinien tego robić z książkami, pomyślał Turner, potem będzie to robił z ludźmi. Grupa dziewcząt spoczywała na materacach, a ogień czynił z ich twarzy poematy.

- Jeśli nas rozdziela, spotykamy się na schodach ratusza - polecił Bradfield. Usłyszał go jakiś chłopak i wybiegł zachęcany przez innych. Dwie dziewczyny już krzyczały po francusku.

- Jesteście Anglikami, - krzyknął chłopiec. Miał młodą i nerwową twarz. - Angielskie świnię! - Zamachnął się małymi piąstkami. Turner pospieszył naprzód, ale cios dosięgnął tylko ramienia Bradfielda, który nie zwrócił na to uwagi.

Tłum rozstał się nagle, pozbawiony się w tajemniczy sposób woli, a przed nimi, po drugiej stronie Rynku pojawił się ratusz jak pierwszy sen tej nocy. Magiczna barokowa góra różowych słodczy i kupieckiego złota. Wizja pełna stylu i elegancji, z jedwabiu, filigranów i światła słonecznego. Wizja zbudowana ze świetlistości i łańcuchowej chwały, pałace, w których niezagrane menuety de Lisle'a cieszyły pulchne serca mieszczan. Po lewej stronie stało rusztowanie, ciągle w ciemności, odcięte ekranem światła reflektorów wycelowanych w budynek; czekało jak kat na pojawienie się cesarskiego gościa.

- Herr Bradfield? - zapytał blady detektyw. Nie zmienił skórzanego płaszcza od świtu w Kónigswinter, ale w jego czarnych ustach brakowało dwóch zębów. Księżycowe twarze kolegów poruszyły się na dźwięk nazwiska.

- Tak, jestem Bradfield.

- Polecono nam opróżnić dla panów stopnie. - Był to wyuczony anielski frazes: drugorzędna rola dla nowicjusza. Radio w skórzanej kieszeni za trzeszczało, wydając jakąś pilną komendę. Uniósł je do ust. „Džentelmeni

z dyplomacji właśnie przybyli - powiedział - i są w bezpiecznym miejscu. Dżentelmen z działu badań także jest obecny".

Turner popatrzył znacząco na zmaltretowane usta i uśmiechnął się.

- Ty skurwielu - powiedział z satysfakcją. Wargi też były brzydko penkalczone, choć nie tak brzydko jak wargi Turnera.

- Słucham?

- Skurwielu - wyjaśnił Turner. - Skurwysynu.

- Zamknij się - powiedział Bradfield.

Ze schodów był widok na cały plac. Popołudnie przeszło już w zmierzch; zwycięskie reflektory dzieliły nieprzeliczone morze głów na białe plamy, pływające jak blade dyski po czarnym morzu. Domy, sklepy, kina były niewidoczne. Zostały tylko ich szczyty, rysujące się jak wycinanki z bajki na tle ciemnego nieba i to był drugi sen, *Opowieści Hoffmanna*, drzeworytowy świat niemieckich iluzji, którego celem jest przedłużenie niemieckiego dzieciństwa. Wysoko na dachu pomrugiwał znak firmowy Coca-Coli, barwiąc dachówki wokół kosmetycznym różem; raz zabłąkany krąg światła przebiegł po fasadach, zaglądając okiem kochanka do pustych okien sklepów. Na niższym stopniu czekali detektywi, tyłem do nich, z rękami w kieszeniach, czarni na tle mgły.

- Karfeld nadejdzie z boku? - spytał nagle de Lisie.

- Aleją z lewej.

Patrząc za wyciągniętym ramieniem de Lisle'a, Turner dostrzegł tuż u stóp rusztowania wąskie przejście między apteką a ratuszem, szerokie na około trzy metry i pozornie bardzo głębokie, bo otoczone wysokimi ścianami sąsiednich budynków.

- Nie ruszamy się stąd. Jasne? Zostajemy na tych stopniach, cokolwiek by się działo. Jesteśmy tutaj jako obserwatorzy; wyłącznie obserwatorzy, nic więcej. - Surowe rysy Bradfielda wyostrzała rozterka. - Jeśli go znajda, dostarczą go nam. Tak się umówiliśmy. My zabierzemy go natychmiast do ambasady, żeby go chronić.

Muzyka, Turner pamiętał. W Hanowerze próbował, kiedy muzyka była najgłośniejsza. Muzyka ma zagłuszyć odgłos strzału. Przypomnił sobie też suszarki do włosów i pomyślał: to nie jest człowiek zmieniający technikę; jeśli zadziałała wcześniej, to i teraz zadziała, i to jest ten Niemiec siedzący w nim; jak Karfeld z szarymi autobusami.

Jego myśli rozplynęły się w poszumie tłumu, zadowolonym pomruku oczekiwania, wzbierającym jak gniewna modlitwa, gdy zgasły reflektory. Został tylko ratusz, czysty promienny ołtarz, obsługiwany przez grupkę, która ukazała się na balkonie. Nazwiska pojawiały się na niezliczonych ustach, wokół niego zaczynało się powolne, liturgiczne wyliczanie:

- Tilsit, Tilsit tam jest* Tilsit, staty generał, trzeci od lewej i patrz, nosi swój medal, ten jedyny, którego kazali mti się wyprzeć, jego specjalny me dal wojenny, nosi go na szyi, Tilsit, odważny człowiek. Meyer-Łothringen, ekonomista! Tak, *der Grosse*, ten wysoki, jak elegancko macha, wiadomo doskonale, że pochodzi z doskonałej rodziny; mówią, że to pół-Wittelsbach; krew w końcu bierze górę; i wielki uczony; rozumie wszystko. I księża! Bi skup! Patrz, sam biskup nas błogosławi! Liczcie ruchy jego poświęcanej dłoni! Teraz patrzy na prawo! Wyciągnął ramię! I Halbach, ten młody, gorąca krew: patrzcie, nosi pulower! Fantastyczna jest ta jego impertynencja: pulower na taką okazję? W Bonn? *Halbach! Du toller Humdl* Ale Halbach jest z Berlina, a Berlińczycy znani są z arogancji; pewnego dnia poprowadzi nas wszyst kich, taki młody, a tak mu się udało.

Pomruk wzrósł do ryku, z głębi trzewi, głodny, pełen miłości ryk, głębszy, niż gdyby pochodził z jednego gardła, bardziej oddany niż jedna dusza, bardziej kochający, niż może pokochać jedno serce; i znów zamarł, rozpadł się w szepty, gdy zabrzmiały pierwsze, ciche akordy muzyki. Ratusz oddalił się, a przed nimi stanęło rusztowanie. Ambona kaznodziei, mostek kapitański, podwyższenie dla dyrygenta? Dziecięca kołyska, prosta trumna z zu chwale zwyczajnego drewna, pretensjonalna, ale cnotliwa, drewniany Graal mieszczący germańskie prawdy. A na nim, samotny i dzielny, jedyny szermierz tych prawd, zwyczajny człowiek o nazwisku Karfeld.

- Peter - Turner ostrożnie wskazał w stronę alejki. Ręka mu drżała, ale oko miał pewne. Cień? Strażnik zajmujący stanowisko?

- Na twoim miejscu niczego bym nie pokazywał - szepnął de Lisie. - Mogą cię źle zrozumieć.

Ale w tym momencie nikt nie zwracał na nich uwagi, bo wszyscy patrzyli tylko na Karfelda.

- *Der Klaus!*- krzyczał tłum. -*Der Klaus* jest tutaj!

Machajcie do niego, dzieci, czarodziej, magik, który przeszedł całą drogę do Bonn na szczydach z germańskiej sosny.

- On jest bardzo angielski, ten *der Klaus* - usłyszał pomruk de Lisle'a - chociaż nienawidzi nas do szpiku kości.

Tam na górze wyglądał na takiego małego człowieczka. Mówiono, że jest wysoki, i nie byłoby trudno, przy tylu sztuczkach technicznych, podnieść go kilkanaście centymetrów, ale widocznie wolał być pomniejszony, jakby chciał podkreślić, że wielkie prawdy goszczą w ustach skromnych ludzi; bo Karfeld był skromnym człowiekiem i zachowywał się z angielską rezerwą.

I był też człowiekiem nerwowym, zaabsorbowanym swoimi okularami, których najwyraźniej nie zdążył wyczyścić, bo teraz je zdjął i zaczął polerować,

jakby nie wiedział, że jest obserwowany: to inni urządzają ceremonię, mówił im, zanim zdążył wyrzec słowo; tylko wy i ja wiemy, dlaczego tu jesteście.

Módlmy się.

- Światła są dla niego za jaskrawe - powiedział ktoś. - Powinni przyćmić światła.

Był jednym z nich, ten samotny doktor; nie ma wątpliwości, że tęga głowa, ale i tak jeden z nich, gotów w każdej chwili zstąpić na dół z wysokiego miejsca, gdy tylko pojawi się ktoś lepszy. I wcale nie jest politykiem. Zupełnie bez ambicji, bo jeszcze wczoraj obiecał, że ustąpi na rzecz Halbacha, jeśli taka będzie wola ludzi. Tłum wyszeptywał swoje zatroskanie: Karfeld wygląda na zmęczonego, wygląda na wypoczętego; wygląda dobrze; Karfeld wygląda na chorego, starszego, młodszego, wyższego, niższego... mówi się, że odchodzi na emeryturę; nie, zrezygnuje z fabryki i zajmie się wyłącznie polityką. Nie może sobie na to pozwolić; jest milionerem.

Zaczął z cicha mówić.

Nikt go nie przedstawiał, nie powiedział swojego nazwiska. Pojedyncza nuta, która zapowiedziała jego przybycie nie miała akompaniamentu, bo Klaus Karfeld jest tam w górze samotny, zupełnie samotny i żadna muzyka go nie pocieszy. Karfeld to nie boński frazesowicz; to jeden z nas przy całym swoim intelekcie; Klaus Karfeld, doktor i obywatel, przyzwoity człowiek przyzwoicie zaniepokojony losem Niemiec, zobowiązany jest, z poczucia honoru, zwrócić się do swoich nielicznych przyjaciół.

To było zrobione łagodnie, w nienarzucający się sposób, a Turnerowi zdawało się, że całe wielkie zgromadzenie nadstawia uszu, żeby zaoszczędzić Karfeldowi kłopotu z podnoszeniem głosu.

Później Turner nie był w stanie stwierdzić, ile z tego zrozumiał ani jak to się stało, że zrozumiał aż tyle. Z początku odniósł wrażenie, że Karfeld koncentruje się wyłącznie na historii. Mowa dotyczyła przyczyn wojny i Turner wychwytał stare slogany starej religii, Wersal, chaos, depresja i okrażenie; błędy popełnione przez polityków po obu stronach, bo Niemcy nie mogą wymigiwać się od odpowiedzialności. Potem nastąpił mały hołd dla ofiar niedorzeczności: zbyt wielu ludzi zginęło, powiedział Karfeld, i zbyt niewiele znało powod. To nie może się nigdy więcej zdarzyć, Karfeld o tym wie: ze Stalingradu wyniósł coś więcej niż tylko rany, wyniósł też wspomnienia, niezatarte wspomnienia o ludzkim nieszczęściu, okaleczeniach i zdradzie...

Doprawdy, szepetano, ten biedny Klaus. Cierpiął za nas wszystkich.

Nadal nie było chwyków oratorskich.

- Wy i ja - mówił Karfeld - nauczyliśmy się lekcji historii; wy i ja możemy patrzeć na te sprawy z dystansu: to nie może się nigdy powtórzyć? To

fawda, są tacy, którzy widzieli bitwy z czternastego i trzydziestego dziesiątego roku jako fragmenty nieustającej krucjaty przeciwko wrogom niemieckiej spuścizny, ale Karfeld chce, żeby wiedzieli o tym wszyscy jego rzyjaciele - Klaus Karfeld nie do końca odrzuca ten pogląd.

- Alan. - Głos de Lisle'a był stanowczy jak głos kapitana. Turner podał za jego spojrzeniem.

Jakiś trzepot, poruszenie, ktoś przekazuje wiadomość? Coś się ruszało a balkonie. Zobaczył, jak Tilsit, generał, nachyla swą żołnierską głowę, Halbach, przywódca studentów, szepcze mu do ucha, zobaczył, jak Meyer-Lothringen wychyla się przez balustradkę i wysłuchuje kogoś, kto stoi na ole. Policjanta? Tajniaka? Zobaczył błysk okularów i twarz pacjenta, to iebkron wstał i zniknął; i znów wszystko się uspokoiło poza Karfeldem, czonym i człowiekiem rozsądnym, który mówił o dniu dzisiejszym.

„Dzisiaj - powiedział-jak nigdy przedtem, Niemcy stały się igraszką woich sojuszników. Kupili je i teraz sprzedają". „To fakt" - powiedział Larfeld, a on nie będzie się zajmował teorią. W Bonn jest już za dużo teorii, wyjaśnił, a on nie chce przyczyniać się jeszcze bardziej do tego zamieszania. To fakt i trzeba będzie, choćby nawet to było bolesne, przedyskutować z dobrymi, rozsądnymi przyjaciółmi, jak sojusznicy Niemiec osiągnęli ten dziwny stan rzeczy. W końcu Niemcy są bogatsze od Francji i bogatsze >d Włoch. Bogatsze od Anglii, dodał od niechcienia, ale nie wolno nam ;achowywać się niegrzecznie wobec Anglików, bo w końcu to Anglicy wygrali wojnę i są ludźmi o niepospolitych talentach. Racjonalnym głosem zaczął wymieniać wszystkie te angielskie talenty: minispódniczki, pionkarzy pop, Armię Renu, co siedzi w Londynie, imperium, które się roz->ada, deficyt narodowy... bez tych angielskich talentów, Europa na pewno >y się zawałiła. Karfeld zawsze tak mówił.

Wtedy się roześmieli: to był rozgrzewający, gniewny śmiech, a Karfeld, wstrząśnięty i może leciutko rozczarowany, że ci umiłowani grzesznicy, których mu Bóg powierzył, w jego skromności, aby ich pouczył, roześmieli się v świątyni; Karfeld czekał więc cierpliwie, aż śmiech zamarł.

Więc jak to jest, że Niemcy, skoro posiadają największą armię stałą w Europie i są w stanie zdominować tak zwany Wspólny Rynek, jak to jest możliwe, że są sprzedawani na publicznych placach jak dziwka?

Oparł się o mównicę, zdjął okulary i uczynił kilka ostrożnych, uspokajających gestów dłonią, bo wzniosły się głosy protestu i oburzenia, ale Karfeld wyraźnie nie dbał o to. Musimy spróbować rozwiązać ten problem

w zbożny, rozsądny i całkowicie intelektualny sposób, ostrzegął, bez emocji i bez nienawiści, jak przystało na dobrych przyjaciół! To była pulchna, krągła ręka, i mogła być pletwiasta, bo nigdy nie rozdzielał palców, ale posługiwał się pięścią jak maczugą.

- Poszukując zatem racjonalnego wyjaśnienia tego dziwnego i, przynajmniej dla Niemców, niezwykle istotnego faktu historycznego, przede wszystkim należy zachować obiektywizm. Po pierwsze - pierwszy wyrzut pięści w górę - było u nas dwanaście lat hitleryzmu i trzydzieści pięć lat antyhitleryzmu.

Karfeld nie rozumie, co takiego bardzo złego było w nazizmie, że musi on być karany po wieczne czasy i budzi wrogość całego świata. Naziści prześladowali Żydów i to było złe. Życzy sobie, żeby zapisano, że on to potępia. Tak samo, jak potępia Olivera Cromwella za to, jak traktował Irlandczyków, Stany Zjednoczone za to, jak traktują czarnych i za ich ludobójcze kampanie przeciwko czerwonoskórym i przeciwko złotemu zagrożeniu w Azji Południowo-wschodniej; tak jak potępia Kościół za prześladowanie heretyków, a Brytyjczyków za zbombardowanie Drezna, tak samo potępia Hitlera za to, co zrobił Żydom; i za importowanie tego brytyjskiego wynalazku, tak skutecznego podczas wojen burskich: obozu koncentracyjnego.

Turner zobaczył, jak stojący na wprost niego młody detektyw łagodnie wkłada rękę pod skórzaną kurtkę; znów usłyszał ciche trzeszczenie krótkofalówki. Jeszcze raz wyteżył wzrok penetrując tłum, balkon, aleje. Jeszcze raz przyjrzał się drzwiom i oknom; nie było nic. Nic, tylko wartownicy ustawieni na dachach i policjanci czekający w furgonetkach; nic, poza niezliczonym tłumem milczących kobiet i mężczyzn, nieruchomych jak pomazaniec Boży w obecności Słowa.

- Przeanalizujmy to - zaproponował Karfeld - gdyż pomoże nam to dotrzeć do logicznego i obiektywnego rozwiązania wielu kwestii, które obecnie nas dręczą - przeanalizujmy, co stało się po wojnie. Po wojnie - wyjaśniał - za jedynie sprawiedliwe uznano, że Niemcy mają być traktowani jak przestępcy; a ponieważ Niemcy praktykowali rasizm, ich synowie i wnuki też mają być traktowani jak przestępcy. Ale alianci byli uprzejmymi ludźmi i dobrymi ludźmi, więc postanowili coś zrobić, żeby zrehabilitować Niemców. Jako szczególną kurację zaaplikowali im przystąpienie do NATO.

Z początku Niemcy byli nieśmiali; nie chcieli remilitaryzacji, wielu miało dość wojny. Sam Karfeld należał do nich; lekcja Stalingradu była jak kwas w pamięci młodego człowieka. Ale alianci byli równie stanowczy, jak uprzejmi. Niemcy muszą dostarczyć armię, a Brytyjczycy, Amerykanie i Francuzi będą nią dowodzić. .. I Holendrzy... I Norwegowie... I Portugalczycy; i wszyscy inni zagraniczni generałowie, którzy mieliby ochotę dowodzić zwyciężonymi.

- Cóż, dlaczego afrykańscy generałowie nie mieliby dowodzić Bundeswehra?!

Kilku mężczyzn - tych z przodu, z ochronnego kręgu w skórzanych płaszczach pod rusztowaniem - zaczęło się śmiać, ale on natychmiast ich zgasił.

- Słuchajcie! - powiedział do nich. - Przyjaciele, musicie słuchać! Na to właśnie zasługiwaliśmy! Przegraliśmy wojnę! Prześladowaliśmy Żydów! Nie nadawaliśmy się do dowodzenia! Tylko do tego, żeby płacić! - Ich gniew stopniowo ustępował. - Dlatego - wyjaśniał - płaciliśmy także za armię brytyjską. I dlatego wpuścili nas do NATO.

- Alan!

- Widziałem ich.

Dwa szare autobusy stały koło apteki. Światło reflektorów omiotło ich ponure karoserie i przesunęło się dalej. Okna były czarne, zakryte od wewnątrz.

- A my byliśmy wdzięczni - kontynuował Karfeld. - Wdzięczni za to, że dopuszczono nas do tak ekskluzywnego klubu. Oczywiście, że byliśmy. Klub nie istniał; jego członkowie nie lubili nas; składki były bardzo wysokie; a że Niemcy nadal byli dziećmi, nie wolno im było bawić się bronią, która mogłaby zniszczyć ich wrogów; ale my i tak byliśmy wdzięczni, bo byliśmy Niemcami i przegraliśmy wojnę.

Ponownie podniósł się pełen oburzenia pomruk, ale on znów zdusił go w zarodku dyskretnym ruchem ręki.

- Nie chcemy tutaj emocji - upomniał ich. - Zajmujemy się faktami!

Wysoko, na wąskim parapecie matka trzymała dziecko.

- Spójrz w dół - szeptała. - Nigdy nie zobaczysz kogoś takiego jak on. Na całym Rynku panował spokój; głowy nie poruszały się, głęboko osadzone oczy patrzyły.

Żeby podkreślić swoją bezstronność, Karfeld ponownie odsunął się od pulpitu, nie spieszył się, trochę poprawił okulary i przejrzał kartki leżące przed nim. Gdy już to uczynił, zawahał się, ze zwątpieniem spojrzął w dół, na najbliższe niego twarze i zastanowił się, niepewny jak dalece to stadko zrozumie to, co ma zamiar powiedzieć.

Jaka zatem była funkcja Niemców w tym ekskluzywnym klubie? Ujmie to następująco. Najpierw przedstawi formułę, a potem da jeden czy dwa proste przykłady metod, za pomocą których można ją stosować. Funkcja Niemców w NATO, ujmując rzecz skrótowo, jest taka: być potulnym w stosunku do Zachodu i wrogim w stosunku do Wschodu; rozróżniać pomiędzy zwycięskimi aliantami dobrych zwycięzców i złych zwycięzców...

Znów rozległ się śmiech i za chwilę zamarł.

- *Der Klaus* - szeptało. - *Der Klaus* wie, jak opowiadać dowcipy; co to za klub z tego NATO. NATO, Wspólny Rynek, to wszystko oszustwo, wszyst-

ko to samo; glosują te same zasady do Wspólnego Rynku, jak i do NATG Klaus nam to powiedział i dlatego Niemcy muszą się trzymać z dala od Brukseli. To tylko następna pułapka, znów okrążenie.

- To Lesere-mruknał de Usle.

Mały, siwiejący mężczyzna, który Turnerowi niejasno kojarzył się z konduktorem autobusu, dołączył do nich na schodach i z zadowoleniem zapisywał coś w notatniku.

- Radca francuski. Wielki przyjaciel Karfelda.

Turner już miał skierować wzrok na rusztowanie, ale przypadkiem zerknął w boczną uliczkę; i dzięki temu po raz pierwszy zauważył maleńką armię czekającą na sygnał.

Dokładnie po drugiej stronie placu, w nieoświetlonej alejce czekało ciche zgromadzenie mężczyzn. Nieśli transparenty, które nie były całkiem czarne w świetle zmierzchu, a przed nimi stary, Turner był pewien, że przed nimi, resztki orkiestry wojskowej. Niewyraźne światła uliczne lśniły na trąbce, odbijały się od sznurowanych paneli bębna. Na czele stała samotna postać; jej ramię, wzniesione jak ramię dyrygenta, trzymało ich w bezruchu.

Jeszcze raz zatrzeszczała krótkofalówka, ale słowa utonęły w śmiechu, bo Karfeld opowiedział jeszcze jeden dowcip; ostry dowcip, wystarczający, by wzbudzić ich gniew, odniesienie do zgnilizny w Anglii i osoby monarchini. Ten ton był nowy i twardy: lekkie smagnięcie po plecach, bardziej dynamiczny, celowo pieszczołliwy, zapowiadający ostrzejsze uderzenie, wyszukujący jak koniec bicia kręgosłupa politycznych resentymentów. A więc Anglia ze swoimi sojusznikami reedukowała Niemców. A kto się do tego najlepiej nadawał? W końcu Churchill wpuścił dzikusów do Berlina, Truman zrzucił bomby atomowe na bezbronne miasta; razem zrujnowali Europę: kto był lepiej przygotowany, żeby uczyć Niemców, co to znaczy cywilizacja?

W alei nic się nie poruszało. Ramię dowódcy nadal było wzniesione przed małą orkiestrą. Czekał na sygnał, żeby grać.

- To socjaliści - wyszeptał de Lisie. - Urządzają kontrademonstrację. Kto, do diabła, ich tu wpuścił?

Więc alianci wzięli się do pracy: Niemców należy nauczyć zachowania. Nie było dobrą rzeczą zabijanie Żydów, tłumaczyli, zamiast nich zabijacie komunistów. Zaatakowanie Rosji było błędem, tłumaczyli, ale będziemy was chronili, gdyby Rosjanie was zaatakowali. Było błędem walczyć o własne granice, tłumaczyli, ale popieramy wasze roszczenia co do terytoriów na Wschodzie.

- Wszyscy wiemy, co znaczy takie poparcie! - Karfeld wyciągnął ręce, dłońmi na zewnątrz. — Proszę, kochanie. Proszę! Możesz pożyczyć mój pałasz, chyba że pada!

Czy to była wyobraźnia Turnera, czy wyczuł w tej teatralnej sztuczce ślad obłudnego tonu, którym kiedyś w niemieckich musicalach tradycyjnie wysmiewano Żydów? Zaczęli się śmiać, ale znów ich uciszył.

W alei ramię dyrygenta nadal było uniesione. Czy on się nigdy nie zmeńczy tym makabrycznym salutem? - dziwił się Turner.

- Zamordują ich - stwierdził de Lisie. - Tłum ich zamorduje!

- A więc, moi przyjaciele, to się właśnie stało. Nasi zwycięzcy, przy całej swej moralnej czystości, przy całej swej wiedzy, nauczyli nas, co to znaczy demokracja. Hura dla demokracji! Demokracja jest jak Chrystus; nie ma niczego, czego nie można by zrobić w imię demokracji.

- Praschko - oświadczył po cichu Turner. - Praschko mu to napisał.

- Sporo pisuje - powiedział de Lisie.

- Demokracja strzela do Murzynów w Stanach Zjednoczonych i daje im złota złota w Afryce! Demokracja włada kolonialnym imperium, walczy w Wietnamie, atakuje Kubę; demokracja sprawdza sumienia Niemców! Demokracja mówi, że cokolwiek byś zrobił, nigdy, ale to nigdy, nie będziesz taki zły, jak Niemcy!

Podniósł głos, by dać znak, ten znak, na który czekała orkiestra. Turner raz jeszcze popatrzył nad głowami tłumu w stronę alejki, zobaczył jak biała ręka, biała jak serwetka, opada leniwie w świetle lamp, dostrzegł białą twarz samego Siebkrona, który pospiesznie schodził ze swego punktu dowodzenia i wycofywał się w cienie chodnika, zobaczył, jak przed nim odwraca się pierwsza głowa, potem druga, aż sam to usłyszał: odległy dźwięk muzyki, perkusję i śpiewające męskie głosy; zobaczył, jak Karfeld spoziera zza pulpitu i woła do kogoś, kto stoi pod nim, zobaczył, jak się cofa, nadal mówiąc, i usłyszał, jak znów przybiera ton pełen oburzenia, a pod nowym wybuchem gniewu Karfelda i jego nawoływaniem, pod jego sztuczkami, pod obrazą i zachętą, rozpoznał nieomylnie nutkę strachu.

- Socjaliści! - krzyknął młody detektyw stojący w tłumie. Pięty trzymał razem, skórzane ramiona miał ściągnięte do tyłu, krzyczał przez zwinięte w trąbkę dłonie: - Socjaliści są w alei! Socjaliści nas atakują!

- To dywersja - powiedział Turner rzeczowo. - Siebkron zorganizował dywersję. Żeby go wywabić, pomyślał, żeby wywabić Leo i dać mu szansę spróbować sił. A to jest muzyka, która ma zagłuszyć strzał, dodał do siebie, gdy zaczęła się *Marsylianka*. To wszystko zorganizowano, żeby mógł spróbować.

Z początku nikt się nie poruszył. Pierwsze takty były ledwie słyszalne; cichutkie, nieważkie nutki grane przez dziecko na ustnej harmonijce. A śpiew, który temu towarzyszył, nie był głośniejszy niż przyśpiewka z yorkshirskiego pubu w sobotni wieczór, odległy i niepewny, wychodzący z ust nienawykłych do muzyki; z początku tłum to zignorował, bo bardziej był zainteresowany Karfeldem.

Ale Karfekł usłyszał muzykę i to sprawiło, że wyraźnie przyspieszył.

- Jestem starym człowiekiem'.-krzyknął.-Wkrótce będę starym czło-
wiekiem. Co powiecie sobie, młodzi ludzie, kiedy obudzicie się rano? Co
powiecie, kiedy spojrzycie na tę amerykańską dziwkę, którą jest Bonn? Po
wiecie to: jak długo my, młodzi ludzie, możemy żyć bez honoru? Popatrzy-
cie na wasz rząd i powiecie, popatrzycie na socjalistów i powiecie: czy mu
simy słuchać nawet psa, bo jest na urzędzie?

Cytuje *Leara*, pomyślał absurdalnie Turner, a reflektory zostały wyłączone
i zapadła jakby czarna kurtyna: głęboka ciemność wypełniła plac, a wraz
z nią głośniejszy śpiew. Wyczuł ostry zapach smoły niesiony przez nocne po-
wietrze, gdy w niezliczonych miejscach zamigotały i zniknęły iskry; usłyszał
wyszeptane wezwanie i wyszeptaną odpowiedź; usłyszał rozkaz podawany
w pospiesznej konspiracji z ust do ust. Śpiew i muzyka urosły do ryku, podjęte
nagle i z rozmysłem przez głośniki; szalony, monstualny, plebejski, chro-
pawy ryk, wzmocniony i zniekształcony niemal nie do poznania, ogłuszający
i rozwścieczający.

Tak, powiedział sobie w duchu Turner, to jest to, co bym zrobił, gdybym
był Siebkronem. Stworzyłbym tę dywersję, poruszyłbym tłum i narobił tyle
hałasu, żeby sprowokować go do strzelania.

Muzyka grzmiała jeszcze głośniej. Zobaczył, jak policjant odwraca się
i staje naprzeciwko niego, a młody detektyw podnosi ostrzegawczo rękę.

- Proszę tu zostać, panie Bradfield! Panie Turner, proszę tu zostać! -
Podniecony tłum szeptał; wszędzie wokół słyszeli świszczący, zachlanny syk.

- Proszę wyjąć ręce z kieszeni!

Wokół zapalono pochodnie; ktoś dał sygnał. Rozpalily się jak szalone
nadzieje, ozlaczając ponure twarze wiarą, czyniąc z pospolitych rysów szalone
widowisko, rozogniając w mętnych oczach wiarę apostołów. Mała orkiestra
wchodziła na plac; liczyła nie więcej niż dwudziestu muzyków, a za nią szła
nierównym krokiem niezdecydowana armia. Ale teraz muzyka była wszędzie,
socjalistyczny terror wzmocniony głośnikami Siebkrona.

- Socjaliści!-znów krzyknął tłum.-Socjaliści nas atakują!

Kazalnica była pusta, Karfeld odszedł, ale socjaliści nadal maszerowali
w imię Marksa, żydostwa i wojny.

- Bić ich, bić naszych wrogów! Bić Żydów! Bić czerwonych! Uważać
na ciemność - szeptały głosy - uważać na światło, uważać na szpiegów i Sa-
botażystów; socjaliści są winni wszystkiemu.

Muzyka grała coraz głośniej.

- Teraz - powiedział spokojnie de Lisie. - Wyciągnęli go.

Ruchliwa, milcząca grupa zebrała się wokół surowych, białych nóg rusz-
towania Karfelda; skórzane płaszcze nachylały się, księżycowe oblicza prze-
mykały się i naradzały.

- Socjaliści! Zabić socjalistów! - W tłumie zaczynało wrzeć; zapomniano o rusztowaniu. -Zabić ich! -A głosy szeptały, jeśli czegoś nienawidzisz, to zabij to tutaj: Żydów, Murzynów, szpiegów, spiskowców, odstępców, sprawców wypadków, rodziców, kochanków; oni są dobrzy, oni są źli, głupi albo sprytni".

- Zabić socjalistycznych Żydów! - wyskakiwali pływacy, głosy naszeptowały; marsz, marsz!

- Musimy go zabić, Praszko - Alan Turner mówił do siebie, zakłopotany - albo znów będziemy nosić etykiety... - Kogo zabić? - spytał de Lisie' a. - Co oni robią?

- Gonią sen.

Muzyka grała na jedną nutę, hałaśliwego, grubiańskiego, nieokrzesanego, ogłuszającego ryku, nutę wzywającą do zabijania ohydy, niszczenia chorych i niesprawnych, okaleczonych, obmierzłych i niekompetentnych. Nagle, w świetle pochodni i uniosły się czarne flagi i zadrżały jak przebudzone ćmy, tłum zdawał się dryfować i przeć, aż pierwsze szeregi puściły i pochodnie wpłynęły w aleję, pędząc orkiestrę przed sobą, uznając ją za swego bohatera, dusząc pocałunkami, tańcząc w rozbrykanej furii, rozbijając okna i instrumenty, sprawiając, że czerwone sztandary robiły zawijasy i spływały w dół jak strugi krwi, a potem niknęły pod masą, niezdarną i pomrukującą, która wiedziona przez rozwiązłe pochodnie wpełzła do alei i posuwała się dalej. Krótkofalówka zatrzeszczała. Turner usłyszał chłodny i wyraźny głos Siebkrona, usłyszał ostrą komendę i jedno słowo: „*Schaffott*". A potem biegł przez fale, kierując się ku rusztowaniu, ramię bolało go od ciosu; czuł, jak ręce rozbitków przytrzymują go, łamał je jak ręce dzieci. Biegł. Ręce go przytrzymywały, a on odtrącał je jak gałązki. Wyrosła przed nim twarz, usunął jąuderzeniem, ujeżdżał fale, żeby dostać się do rusztowania. Wtedy go zobaczył.

- Leo! - krzyknął.

Kucał między nieruchomymi stopami jak artysta uliczny malujący na chodniku. Stali wokół niego, ale nikt go nie dotykał. Stłoczeni byli blisko, ale zrobili mu miejsce, żeby miał gdzie umrzeć. Turner zobaczył, jak się podnosi i znów pada, i jeszcze raz krzyknął:

- Leo!

Zobaczył, jak ciemne oczy zwracają się ku niemu i usłyszał jak odpowiada krzykiem Turnerowi, światu, Bogu litości, miłosierdziu każdego, kto uratowałby go przed tym, co się stało. Zobaczył, jak młyft się nachyla i grzebie go, i ucieka; zobaczył kapelusz toczący się po wilgotnym bruku i pobiegł przed siebie powtarzając:

- Leo!

Schwycił pochodnię i poczuł przypalany materiał. Wymachiwał pochodnię odtrącał ręce i nagle oporu już nie było; stał na brzegu, pod rusztowaniem,

patrzył na swoje życie, swoją twarz, na ręce kochanka obejmujące bruk, na ulotki zlatujące na małe ciało jak liście na wietrze.

Nie było przy nim bronii ani niczego, co wskazywałoby na to, jak umarł, poza ułożeniem szyi, gdzie dwa kawałki już do siebie nie pasowały. Leżał jak laleczka, którą rozbito na kawałki i starannie złożono, przyciśnięty ciepłym bońskim powietrzem. Człowiek, który czuł, już nie czuł niczego; sprawiedliwy sięgał po nagrodę, której już nie dostanie. Turner usłyszał w oddali gniewny krzyk szarego tłumu, ścigającego cichnącą muzykę; z tyłu doszło go szuranie zbliżających się kroków.

- Przeszukać mu kieszenie - powiedział jakiś łagodny anglosaski głos.